

~~NAJLEPSZA POWIEŚĆ ROKU~~

ZMIENIĆ NA: BESTSELLER NEW YORK TIMESA



YELLOWFACE

REBECCA F. KUANG

fabryka słów®
WYDAWNICTWO

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Dziewięć

Dziesięć

Jedenaście

Dwanaście

Trzynaście

Czternaście

Piętnaście

Szesnaście

Siedemnaście

Osiemnaście

Dziewiętnaście

Dwadzieścia

Dwadzieścia jeden

Dwadzieścia dwa

Dwadzieścia trzy

Dwadzieścia cztery

Karta redakcyjna

Okładka



YELLOWFACE

REBECCA F. KUANG

fabryka słów®

LUBLIN – WARSZAWA

Ericowi i Janette

Jeden

Wieczorem tego dnia, w którym zobaczę śmierć Atheny Liu, oblewamy jej umowę z Netflixem.

Przed wszystkim jednak, żeby cała ta opowieść nabrała sensu, powinniście dowiedzieć się na temat Atheny dwóch rzeczy.

Po pierwsze, dziewczyna zdobywa dosłownie wszystko. Tuż po studiach – na jednej z uczelni, o których słyszał cały świat – podpisuje umowę z renomowanym wydawnictwem, od razu na kilka tytułów. W CV ma pełno prestiżowych stypendiów artystycznych, a lista jej dotychczasowych nominacji do rozmaitych nagród jest dłuższa od listy, z jaką biegam na zakupy. W wieku dwudziestu siedmiu lat Athena ma na koncie trzy powieści, z których każda wzbudziła większy rozgłos od poprzedniej. Podpisanie umowy z Netflixem nie jest dla Atheny żadnym przełomem, nie odmieni diametralnie biegu jej życia. To po prostu kolejny przyjemny dodatek, jeden z długiej serii bonusów zgarnianych na drodze ku statusowi literackiej gwiazdy, po której pędzi z oszłamiającą prędkością od dnia opuszczenia uniwerku.

Po drugie, co może zresztą wynikać z pierwszego, Athena, praktycznie rzecz biorąc, nie ma przyjaciół. Pisarze naszego pokolenia – ludzie młodzi, ambitni, dobiegający trzydziestki – wiodą zazwyczaj stadny tryb życia. Jednoznaczne świadectwa istnienia literackich klik bez trudu można znaleźć w mediach społecznościowych – dobrze rokujący autorzy rozpływają się tam nad roboczymi fragmentami utworów swoich kumpli i psiapsiółek („TY! JESZCZE NIEUKOŃCZONE, A JUŻ GENIALNE!”), pieją z zachwytem, oceniając projekty okładek („NORMALNIE CHYBA

PADNĘ Z WRAŻENIA!”), i wrzucają selfiki z rozmaitych literackich zlotów z całego świata. Tymczasem na zdjęciach, które trafiają na Instagrama Atheny, widnieje ona i tylko ona. Nikt inny. Dziewczyna tweetuje regularnie. Licząca dwadzieścia siedem tysięcy osób rzesza obserwujących może poczytać o postępach w jej karierze bądź pośmiać się ze specyficznych dowcipów. Jednak Athena bardzo rzadko oznacza w tych wpisach innych ludzi. Nie wtrąca mimochodem nazwisk celebrytów, nie pisze tekstów na okładki cudzych książek, nie pokazuje się publicznie ze sławami w ostentacyjny, rozpaczliwy sposób, tak przecież typowy dla innych pisarzy u progu kariery. Odkąd ją znam, ani razu nie słyszałam, by wspomniała o jakiegokolwiek innej bliższej przyjaźni.

Dawniej myślałam, że Athena jest po prostu wyniosła. Wiedzie się jej tak absurdalnie, niedorzecznie świetnie, że byłoby w zasadzie zrozumiałe, gdyby nie miała ochoty zadawać się z przeciętnymi śmiertelnikami. Być może gada wyłącznie z posiadaczami vipowskich kont na Twitterze i podobnymi do niej, głośnymi autorami, którzy są w stanie zaspokoić jej wysublimowany gust oryginalnymi uwagami na temat kondycji współczesnych społeczeństw. Być może Athena nie ma czasu kumplować się z proletariuszami.

W ciągu kilku ostatnich lat wypracowałam jednak inną hipotezę. Otóż podejrzewam, że wszyscy inni, podobnie jak ja, uważają ją za osobę nieznośną. Ostatecznie trudno jest przyjaźnić się z kimś, kto przyćmiewa nas pod każdym możliwym względem. Prawdopodobnie nikt nie jest w stanie z Atheną wytrzymać, ponieważ żaden człowiek nie ścierpi bezustannego porównywania się z lepszymi od siebie. A ja trwam przy niej zapewne dlatego, że jestem żaloszna.

Tak więc siedzimy w tym hałaśliwym, absurdalnie drogim barze urządzonym na dachu jednego z hoteli w dzielnicy Georgetown tylko we dwie. Athena wlewa w siebie koktajl za koktajlem, jakby czuła się w obowiązku dowieść, że fantastycznie się bawi. A ja piję, by uciszyć tkwiącą we mnie dziwkę, która raz po raz powtarza, że z całego serca życzy Athenie śmierci.

Zaprzyjaźniłam się z Atheną właściwie przez przypadek. Na pierwszym roku w Yale ulokowano nas na jednym piętrze akademika, a ponieważ obie chciałyśmy zostać pisarkami, odkąd tylko nauczyłyśmy się samodzielnie myśleć, trafiłyśmy również na te same seminaria z literatury. Jako raczkujące artystki drukowałyśmy opowiadania w tych samych periodykach, a w kilka lat po magisterce obie przeprowadziłyśmy się do Waszyngtonu – Athena otrzymała prestiżowe stypendium badawcze na Uniwersytecie Georgetown, którego kadra, jak głosi plotka, była tak zachwycona wykładem, wygłoszonym gościnnie przez stypendystkę w American University, że w ramach wydziału anglistyki, specjalnie dla niej, utworzono nowy zakład twórczego pisania. Ja tymczasem przeniosłam się do Rosslyn, ponieważ kuzynka matki miała tam mieszkanie, które zgodziła się wynająć po kosztach, pod warunkiem że będę regularnie podlewać kwiaty. Nigdy nie łączyło mnie z Atheną poczucie szczególnego pokrewieństwa dusz, nie przeżyłyśmy też wspólnej, wiążącej na wieki traumy – bywałyśmy po prostu w tych samych miejscach, zajmowałyśmy się tymi samymi rzeczami, więc zaprzyjaźniłyśmy się niejako z wygody.

Niemniej chociaż obie startowałyśmy z jednego punktu – seminarium profesorki Natalii Gaines „Propedeutyka krótkiej formy literackiej” – po studiach nasze kariery potoczyły się skrajnie odmiennymi torami.

Ja pierwszą powieść napisałam w nagłym przypływie inspiracji, który dopadł mnie w czasie nudnego jak flaki z olejem roku, spędzonego na pracy dla organizacji Teach for America. Dzień w dzień po powrocie z roboty siadałam na tyłku i mozolnie układałam konspekt powieści, jaką chciałam napisać od dziecka – bogatej w szczegóły, subtelnie magicznej historii o dojrzewaniu, śmierci, żałobie i siostrzanej więzi – zatytułowanej „Ponad jaworem”. Rękopis odrzuciło niemal pięćdziesiąt rozmaitych agencji literackich, aż wreszcie książką zainteresowała się niewielka oficyna o nazwie Evermore, która ogłosiła akurat otwarty konkurs młodych talentów. Zaoferowane przez nich pieniądze wydały mi się kwotą wręcz niebotyczną – zainkasowałam dziesięć tysięcy dolarów zaliczki, a w razie odpowiedniej skali zainteresowania tytułem mogłam dodatkowo liczyć na tantiemy. Jednak wówczas nie miałam

pojęcia, że Athena za swój debiut wydany przez Penguin Random House skasowała sumę sześciocyfrową.

Evermore zamknęło działalność na trzy miesiące przed planowanym terminem wysłania książki do druku. Prawa autorskie wróciły do mnie. Cudownym zrządzeniem losu moja agencja – nawiązałam z nią współpracę już po otrzymaniu propozycji z Evermore – zdołała sprzedać powieść jednemu z wydawnictw Wielkiej Piątki za zaliczkę w wysokości dwudziestu tysięcy, co w żargonie branżowego serwisu Publishers Marketplace określane jest mianem „niezłego interesu”. Wszystko wskazywało na to, że wreszcie osiągnęłam sukces przez wielkie S, że lada moment spełnią się moje marzenia o sławie i powodzeniu. Wtem, jeszcze przed premierą, ograniczono nakład z dziesięciu do pięciu tysięcy, moje tournée, które początkowo miało objąć sześć dużych miast, zmieniło się w trzy spotkania autorskie w Waszyngtonie i okolicach, a obiecywane pochwały z ust znanych autorów nie padły. Dodruku nie było. Sprzedałam w sumie dwa, może trzy tysiące egzemplarzy. Mojego redaktora prowadzącego wylano przy okazji jednej z czystek, jakie wydawnictwa przeprowadzają za każdym razem, kiedy gospodarka łapie zadyszkę. W efekcie trafiłam do faceta imieniem Garrett, który wykazywał tak niewielkie zainteresowanie moim losem, że często zastanawiałam się, czy w ogóle o mnie pamięta.

E tam. To przecież normalka – zapewniali wszyscy dokoła. Debiuty zawsze są do dupy, tak już jest. Tak właśnie działa ta branża. W Nowym Jorku panuje bezustanny chaos, redaktorzy i ludzie od reklamy są przepracowani, zarabiają psie pieniądze, więc nic dziwnego, że ciągle się coś pieprzy. A inni wcale nie mają lepiej. Wszyscy pisarze darzą swoich wydawców szczerą nienawiścią. W tym światku nie ma Kopciuszków – jest za to ciężka harówka, upór i nieustanne dążenie, by stać się Kimś.

Tylko dlaczego w takim razie niektórzy osiągają status gwiazdy już za pierwszym podejściem? Pół roku przed premierą debiutanckiej powieści Atheny w znanym i czytany przez wszystkich świętych czasopiśmie branżowym ukazał się traktujący o niej, okraszony seksownymi fotkami artykuł, zatytułowany „Najnowsze, cudowne dziecko pióra tłumaczy nam świat widziany oczyma Amerykanki o azjatyckich korzeniach”. Sprzedała prawa do

trzydziestu różnych wersji obcojęzycznych. Na temat jej fenomenalnego stylu wygłaszali peany recenzenci z pism tak prestiżowych jak „New Yorker” i „New York Times”, a książka przez wiele tygodni okupowała czołowe miejsca na wszystkich możliwych listach bestsellerów. Od razu było wiadomo, że w przyszłym roku spadnie na nią deszcz zaszczytów. Debiut Atheny – „Głos i echo”, opowiadający o Amerykance z chińskim rodowodem, zdolnej wywoływać duchy zmarłych kobiet ze swojej rodziny – okazał się jedną z tych wyjątkowych powieści, którym udaje się znaleźć równowagę pomiędzy pisarstwem myślącym a literaturą czysto komercyjną. Posypały się więc nominacje. Booker, Nebula, Hugo i World Fantasy. Dwie z nich przerodziły się w nagrody. A działo się to przed zaledwie trzema laty. Od tamtej pory wydała dwie kolejne książki, a krytycy zgodnie powtarzają, że z czasem staje się tylko lepsza.

Nikt nie twierdzi, że Athenie brakuje talentu. Jest wręcz kurewsko dobrą pisarką – czytałam wszystko, co napisała, a nie jestem aż tak zawistna, by nie dostrzec wartości w dobrym tekście. Rzecz w tym, że w oczywisty sposób supermocą tej dziewczyny nie jest wcale pisanie. Ona sama jest swoją supermocą. Mówiąc najprościej jak się da, Athena Liu jest zajebista. Nawet jej nazwisko – Athena Ling En Liu – brzmi zajebiście. Dobra robota, państwo Liu, dokonaliście idealnej syntezy egzotyki z klasyką. Urodzona w Hongkongu, wychowana pomiędzy Sydney i Nowym Jorkiem, wykształcona w ekskluzywnych brytyjskich szkołach prywatnych, z których wyniosła niełatwy do określenia akcent wyższych sfer; wysoka i chuda jak patyk, pełna gracji właściwej wszystkim byłym baletnicom, blada niczym porcelanowa laleczka i obdarzona ogromnymi, ocienionymi długimi rzęsami, orzechowymi oczyma, które sprawiają, że wygląda jak chińska Anne Hathaway. (Nie, to wcale nie jest z mojej strony rasistowskie stwierdzenie – Athena sama pewnego razu wrzuciła na Insta selfie z „Annie”. Czerwony dywan, jakaś ważna impreza, te sprawy. Czwooro wielkich, sarnich oczu wpatrywało się w obiektyw jedno obok drugiego, a pod zdjęciem widniał króciutki komentarz: „Bliźniaczki!”).

Laska jest niesamowita. Dosłownie nie z tej ziemi.

Tak więc to naturalne, że Athenę spotyka wszystko, co dobre. Tak właśnie działa nasza branża. Wydawniczy światek wybiera sobie zwycięzcę – osobę odpowiednio atrakcyjną, fajną, młodą i, no tak, wszyscy o tym myślimy, więc mogą to równie dobrze powiedzieć głośno, o stosownie „różnorodnym” pochodzeniu – po czym wspiera ją kasą i wszystkimi innymi dostępnymi sobie środkami. Kurewsko to arbitralne. A może nie arbitralne, ale zależne od czynników, które mają dosłownie zero wspólnego z siłą pióra danej osoby. Athena – piękna, wykształcona w Yale, obyta w świecie, niejednoznaczna seksualnie, kolorowa kobieta – została wybranką systemu. Ja tymczasem jestem zwyczajną June Hayward, przeciętną brązowooką szatynką z Filadelfii, i bez względu na to, jak zawzięcie będę pracować i jak wspaniale pisać, nigdy nie stanę się Atheną Liu.

Przypuszczałam, że na tym etapie kariery wystrzeli już daleko poza moją orbitę towarzyską. Wciąż jednak przysyła sympatycznie brzmiące wiadomości: „Jak ci się dzisiaj pisze? Wyrobiłaś normę? Trzymam kciuki za termin!”, oraz zaproszenia: a to drinki, bo w El Centro mają akurat happy hour, a to brunch w Zaytyni, a to poetycki slam na U Street. Łączy nas ten płytki rodzaj przyjaźni, który pozwala dwojgu ludziom spędzać ze sobą masę czasu, a jednocześnie wcale drugiej osoby nie poznać. Wciąż na przykład nie wiem, czy Athena ma rodzeństwo. Ona z kolei nigdy nie pyta o moich chłopaków. Jednak nadal wyskakujemy razem na miasto, ponieważ tak nam wygodnie, bo obie mieszkamy w Waszyngtonie i dlatego jeszcze, że im człowiek starszy, tym trudniej nawiązuje się nowe znajomości.

Szczerze? Nie mam pojęcia, dlaczego Athena mnie lubi. Kiedy się spotykamy, zawsze rzuca mi się na szyję. Moje wpisy w mediach społecznościowych lajkuje parę razy w tygodniu. Przynajmniej co drugi miesiąc wychodzimy na drinki, przy czym zazwyczaj to ona zaprasza. Zupełnie nie wiem, co takiego mam jej do zaoferowania – nie dysponuję wpływami, popularnością ani kontaktami, które mogłyby wynagrodzić czas spędzany w moim towarzystwie.

W głębi ducha od dawna podejrzewam, że Athena lubi się ze mną zadawać właśnie dlatego, że nie jestem jej w stanie zagrozić. Rozumiem jej świat, ale nie mogę z nią konkurować, a jej osiągnięcia przerastają moje tak dalece, że może opowiadać mi o swoich

sukcesach bez skrupowania. Chyba wszyscy chcielibyśmy mieć przyjaciela, który nigdy nie kwestionuje naszej wyższości, gdyż zdaje sobie sprawę, że to nie do wygrania? Chyba każdy chce mieć kogoś, kogo może traktować jak worek treningowy?

*

– Na pewno aż tak źle nie jest – zauważa Athena. – Jestem przekonana, że po prostu przesuną ci edycję z miękką okładką o kilka miesięcy.

– Nie, to nie jest opóźnienie – odpowiadam. – Skasowali cały projekt. Brett powiedział, że... nie widzą dla tej książki miejsca w planie wydawniczym.

– Oj tam, nie przejmuj się. – Klepie mnie po ramieniu. – Przecież i tak tantiemy za twarde okładki są wyższe! Wiesz, jak to mówią, szklanka do połowy pełna i w ogóle, nie?

Myślisz, że ja w ogóle dostaję tantiemy? Śmiałe założenie – oczywiście nie mówię tego na głos. Kiedy zwraca się Athenie uwagę na niezbyt taktowne zachowanie, reaguje zawsze przesadnie wylewnymi, niemal rzewnymi przeprosinami, a to naprawdę trudne do zniesienia. Znacznie łatwiej jest po prostu zacisnąć zęby.

Siedzimy w barze na dachu hotelu Graham, na małej dwuosobowej kanapie, z której widać zachód słońca. Athena żłapie swój drugi whisky sour, ja jestem przy trzeciej lampce pinot noir. Rozmowa schodzi na wyświechtany temat moich bojów z wydawnictwem, czego głęboko żałuję, ponieważ każda uwaga Atheny, która w zamyśle autorki ma mnie pocieszyć bądź podsunąć mi jakiś świetny pomysł, niezmiennie okazuje się kolejną szpilą.

– Nie chcę Garretta wkurzyć – tłumaczę. – A tak po prawdzie to myślę, że on tylko czeka, żebym zerwała z tego powodu umowę. Wtedy mogliby spokojnie się mnie pozbyć.

– Bzdura, nie umniejszaj sobie – rzuca Athena. – Przecież kupił twój debiut, nie?

– To nie był on – mówię.

Muszę jej o tym przypominać dosłownie za każdym razem. W odniesieniu do moich problemów Athena dysponuje pamięcią

złotej rybki. By jakakolwiek informacja zagrzała u niej miejsce na dłużej, należy ją powtórzyć dwa albo i trzy razy.

– Tamtego redaktora wylali, a Garrett przejął mnie w spadku. Przy każdej rozmowie czuję, że koleś po prostu się zmusza.

– No to walić go! – stwierdza radośnie Athena. – Jeszcze kolejkę?

Alkohol jest w tym lokalu niesamowicie drogi, ale nie widzę problemu, ponieważ to ona stawia. Athena zawsze stawia, przestałam już nawet proponować. Odnoszę nieodparte wrażenie, że ona nigdy nie przyswoiła sobie znaczenia pojęć „drogo” i „tanio”. Zaraz po Yale otrzymała porządną posadę naukową, a chwilę potem miała już na koncie setki tysięcy dolarów. Pewnego razu, kiedy powiedziałam jej, że nowojorskie wydawnictwa płacą początkującym pracownikom tylko około trzydziestu pięciu tysięcy rocznie, zrobiła wielkie oczy i spytała: „To dużo czy mało?”.

– Kusi mnie malbec – przyznaję. Za kieliszek tego wina trzeba tu zapłacić dziewiętnaście dolców.

– Mówisz i masz, kochana. – Athena wstaje i podchodzi wdzięcznym krokiem do baru. Barman mówi jej coś z uśmiechem, na co ona wydaje okrzyk zaskoczenia i podrywa dłonie do ust, jakby była jakąś Shirley Temple. Wygląda na to, że jeden z siedzących tam mężczyzn postawił jej szampana.

– Tak, rzeczywiście świętujemy. – Uroczy, pełen zachwytu śmiech Atheny wzbija się ponad dźwięki muzyki. – A czy mogłabym zamówić też dla przyjaciółki? Sama zapłacę?

Mnie nikt tutaj szampana nie stawia. Cóż, normalka. Dokąd się nie wybierzemy, Athena natychmiast staje się główną atrakcją wieczoru – jeśli akurat nie interesują się nią spragnieni selfie lub autografu czytelnicy, to robią to zafascynowani jej powalającą urodą faceci i kobiety. Ja jestem niewidzialna.

– No to co? – Athena wraca na kanapę i podaje mi kieliszek. – Opowiedzieć ci o spotkaniu w Netflixie? Mój Boże, Junie, było niesamowicie. Poznałam producenta „Króla tygrysów”, czaisz?! „Króla tygrysów”!

Ciesz się jej radością, napominam się w duchu. Świętuj razem z nią, niech ten wieczór będzie jej wieczorem.

Przyjęło się opisywać zazdrość jako emocję ostrą i jadowitą. Coś bezpodstawnego, zjadliwego, podłego. Dochodzę jednak do wniosku, że z punktu widzenia pisarza zazdrość znacznie bardziej przypomina strach. Zazdrość to gwałtowny skok pulsu, którego doznaję, gdy na Twitterze pojawia się wiadomość o kolejnym sukcesie Atheny – o jeszcze jednej podpisanej umowie, o nominacji do następnej nagrody, o specjalnym wydaniu jednej z jej książek, tłumaczeniach na nowe języki. Zazdrość to przymus nieustannego porównywania się z nią, z czego zawsze wychodzę pokonana. To panika, jaką budzi we mnie myśl, że nie piszę dostatecznie dobrze, że piszę zbyt wolno, że jestem – i zawsze będę – po prostu kiepska. Zazdrość sprawia, że wystarczy, bym usłyszała, że Athena podpisała sześciocyfrową umowę z Netflixem, a z pewnością przez kilka najbliższych dni nie będę w stanie skupić się na pracy i poświęcić cały ten czas na nurzanie się we wstydzie i pogardzie do siebie samej.

Wszyscy znani mi autorzy mają w swoim życiu taką osobę. Książki pisze się w samotności. Pisząc, nie ma się gwarancji, że powstający tekst ma jakąkolwiek wartość, i wystarczy cię sugestii, że w literackim wyścigu szczurów zaczyna się odstawać od peletonu, by człowiek runął prosto w otchłań rozpacz. „Najważniejsze dla ciebie powinno być to, co właśnie tworzysz” – podpowiadają mi wszyscy. Ale to naprawdę niełatwe, kiedy to, co tworzą inni, widać na witrynie każdej mijanej księgarni.

Aczkolwiek, przyznaję, czuję też tę podłą odmianę zawiści. Pojawia się, kiedy obserwuję Athenę opowiadającą o uwielbieniu, jakim darzy niejaką Marlenę Ng, swoją redaktorkę, wpływową w branży postać, która „wyłowiła Athenę z niebytu” i która „po prostu naprawdę rozumie, co Athena próbuje osiągnąć warsztatowo”. Wpatruję się w orzechowe oczy Atheny, oprawione tymi absurdalnie długimi rzęsami, przez które dziewczyna wygląda jak leśne zwierzątko z kreskówki Disneya. Jak to jest być tobą? – zastanawiam się. Jak to jest być tak niesamowicie doskonałą i mieć wszystko, co na tym świecie dobre? Może to wpływ drinków bądź jakaś sztuczka mojej hiperaktywnej, literackiej wyobraźni, ale czuję, jak w trzewiach rodzi mi się specyficzne gorąco, osobliwa pokusa, by wsadzić łapy między te pociągnięte truskawkową czerwienią wargi

i rozerwać jej twarz, obrać jej ciało, jakby była pomarańczą, i nałożyć jej skórę na siebie.

– Wiesz, ona normalnie mnie wyczuwa, zupełnie jakby kochała się z moimi słowami. To taki trochę, wiesz, seks między umysłami – chichoce Athena, czarownie marszcząc nos. Korci mnie, żeby dziabnąć go palcem. – Myślałaś kiedyś o procesie redakcji tekstu jako o seksie z redaktorem? Jakbyście tworzyli wspaniałego, literackiego dzidziusia?

Dociera do mnie, że Athena jest pijana. Dwa i pół drinka, a już się nawaliła. Po raz kolejny zdążyła też zapomnieć, że ja, w przeciwieństwie do niej, swojego redaktora nie cierpię.

Athena ma słabą głowę. Dowiedziałam się tego już na początku pierwszego roku studiów, na jakiejś studenckiej domówce w East Rock, kiedy trzymałam jej włosy, gdy rzygała do kibla. Ma przy tym wyszukany gust: uwielbia popisywać się rozległą wiedzą na temat szkockiej whisky, ale wystarczy, że umoczy usta, a już ma mocno zarumienione policzki i płacze się jej język. Athena lubi się nawalić, a nawalona Athena ma skłonność do dramatyzowania i nadmiernej autokreacji.

Po raz pierwszy odnotowałam ten fakt, kiedy pojechaliśmy do San Diego na Comic-Con. Siedziałyśmy w grupie nowych znajomych przy wielkim stole w hotelowym barze, a ona, cała czerwona na twarzy, zaśmiewała się do rozpuku, podczas gdy siedzący obok kolesie – o jednym z nich niedługo potem przeczytałam na Twitterze, że był wielokrotnie oskarżany o wykorzystywanie seksualne – gapili się zawzięcie na jej biust.

– Mój Boże – powtarzała raz po raz – nie jestem na to gotowa. To wszystko bardzo źle się skończy. Nie jestem gotowa. Myślicie, że ludzie mnie nienawidzą? Że wszyscy w cichości ducha mają mnie dosyć, tylko nikt nie chce mi o tym powiedzieć? Wy byście mi powiedzieli, gdybyście mnie nie lubili, prawda?

– Ależ skąd! Wykluczone! – zapewniali faceci, gładząc jej dłoń. – Przecież ciebie nie da się nie lubić.

Dawniej myślałam, że Athena w ten sposób walczy po prostu o uwagę, lecz kiedy jesteśmy same, robi dokładnie to samo. Staje się taka delikatna, bezbronna. Zachowuje się tak, jakby miała zaraz zalać się łzami lub jakby mężnie dzieliła się ze mną tajemnicami,

których nikomu dotąd nie wyjawiała. Trudno się na to patrzy. Jest w tej pozie coś rozpaczliwego i sama nie wiem, co przeraża mnie bardziej – fakt, że Athena potrafi się posunąć do tak skrajnej manipulacji, czy ewentualność, że wszystko, co w takich chwilach mówi, może być prawdą.

Mimo dudniącej muzyki i wyraźnie odczuwalnych w ciele wibracji basu bar wydaje się martwy – w sumie nic dziwnego, środowa noc. W pewnym momencie jakichś dwóch typów stara się wymienić z Atheną numerami telefonów, lecz ona prędko spławia ich machnięciem. Jesteśmy tu jedynymi kobietami. Atmosfera na hotelowym dachu staje się mocno klaustrofobiczna, co zaczyna napawać nas strachem, więc dopijamy drinki i wychodzimy. Z niejaką ulgą myślę sobie, że wieczór dobiega końca – lecz zaraz potem Athena zaprasza mnie do siebie. To przecież bardzo niedaleko, Lyftem dosłownie kawaleczek, tuż przy Dupont Circle.

– No weź – nalega. – Mam w domu taką niesamowitą whisky. Trzymałam tę butelkę z myślą o takiej właśnie chwili. Po prostu musisz spróbować.

Padam ze zmęczenia na twarz i niespecjalnie się bawię – po pijaku zazdrość uwiera bardziej niż zwykle – lecz jestem ciekawa jej mieszkania, więc odpowiadam, że chętnie.

Mieszkanie jest naprawdę zajebiste. Wiedziałam, że Athena ma pieniędzy jak lodu – ostatecznie tantiemy za bestsellerowe książki to nie przelewki – ale nie miałam pojęcia, jak bardzo jest bogata. Uświadamiam to sobie dopiero, kiedy przekraczamy próg jej znajdującego się na ósmym piętrze gniazdka, którego nie musi z nikim dzielić. W jednym pokoju zrobiła sypialnię, w drugim gabinet do pisania. Wysokie sufity, błyszczący parkiet z prawdziwego drewna, okna na całą ścianę i narożny balkon. Całość urządzona jest w tym wszechobecnym, znanym z Instagrama stylu – minimalizm, ale z tych droższych: smukłe, drewniane meble, proste, lecz świetnie zaprojektowane regały na książki i gładkie, jednobarwne dywany. Nawet rośliny sprawiają wrażenie kosztownych. W cieniu kalatei pomrukuje nawilżacz powietrza.

– No to czego się napijesz? Whisky czy coś lżejszego? – Athena wskazuje chłodziarkę z winem. Ja pierdzielę, ma własną

chłodziarkę! – Riesling? Ach, mam też to precudowne sauvignon blanc, ale może wolisz zostać przy czerwonym...

– Whisky – rzucam, ponieważ mam już niezbitą pewność, że jedyną metodą na przetrwanie reszty nocy jest jak najszybciej się zalać.

– Czystą, z lodem czy old fashioned?

– Hm, tak jak ty. – Nie mam pojęcia, jak się pije whisky.

– W takim razie robimy old fashioned. – Athena pędzi do kuchni.

Po chwili dolatuje mnie odgłos otwierania i zamykania szafek, brzęk naczyń. Kto by pomyślał, że z tym old fashioned będzie tyle zachodu?

– Mam wyborną, osiemnastoletnią whistlepig. Niesamowicie gładki smak. Połączenie toffi i pieprzu, zresztą zaraz sama się przekonasz.

– Jasne – wołam. – Nieźle się zapowiada.

Przygotowania trochę się przeciągają, a mnie bardzo chce się siku. Zaczynam więc krążyć po pokoju w poszukiwaniu drogi do toalety. Zastanawiam się, co takiego w niej zastanę. Może luksusowy dyfuzor zapachowy? Może koszyk z nefrytowymi jajeczkami waginalnymi?

Moją uwagę zwracają szeroko otwarte drzwi gabinetu. Cudowne miejsce. Nie potrafię się powstrzymać i zaglądam do środka. Rozpoznaję wnętrze z instagramowych fotek – Athena nazywa ten pokój „pałacem kreatywności”. Okno przesłaniają koronkowe firanki w wiktoriańskim stylu, a poniżej stoi wielkie, mahoniowe biurko na giętych nogach. Błat okupuje jej ukochana, czarna maszyna do pisania. Bo tak. Athena pisze na maszynie. Nie uznaje Worda, Google Docs ani Scrivenera: spisywane w notatnikach Moleskine’a pomysły stają się planami rozrysowanymi na żółtych karteczkach, a następnie za pomocą klawiatury Remingtona przeradzają się w pełnoprawne rękopisy. Ten system pracy zmusza ją do pełnej koncentracji na każdym zdaniu, tak przynajmniej twierdzi sama Athena. (Opowiadała o tym w tak licznych wywiadach, że nauczyłam się tego zdania na pamięć). Gdyby pisała inaczej, skupiałaby się na całych akapitach, tracąc z oczu drzewa na rzecz lasu.

Bądźmy poważni. Kto tak mówi? Kto w ogóle tak myśli?

Na rynku dostępne są różne modele brzydkich i nierozumnie drogich elektronicznych maszyn do pisania, znakomitych narzędzi dla pisarzy, którzy rozprasza się na rzecz Twittera już po skleceniu kilku zdań. Jednak takich urządzeń Athena nie trawi; ona korzysta z zabytkowej, staromodnej maszyny do pisania. Niezgrabnego ustrojstwa, do którego musi kupować specjalne, nasączone tuszem taśmy i gruby, odpowiednio wytrzymały papier.

– Ja po prostu nie umiem pisać na ekranie – wyznała mi kiedyś. – Muszę widzieć tekst na kartce. Myślę, że ma to jakiś związek z konkretnością utrwalonego na papierze słowa. Widok słów na kartce w pewnym sensie dodaje mi otuchy. Sprawiają wrażenie trwałych, jakby wszystko, co w ten sposób napiszę, miało swoistą wagę. Poza tym, pisząc na maszynie, czuję się zakorzeniona; maszyna pozwala mi zachować dyscyplinę myśli i zmusza do precyzji.

Wchodzę do gabinetu głębiej, ponieważ jestem akurat na tyle pijana, by nie pamiętać, że to niegrzecznie. W maszynie zauważam kartkę, na której widnieje jedno jedyne słowo: KONIEC. Obok na blacie wznosi się wysoki prawie na stopę plik papieru.

– Ach tak. – Athena materializuje się obok mnie, w rękach trzyma szklaneczki. – Pierwsza wojna światowa. Nareszcie udało mi się to zamknąć.

Athena słynie z niechęci do opowiadania o nieukończonych projektach. Nikomu nie rozdaje rękopisów do przejrzania. Nie wspomina o nich w wywiadach, nie dzieli się w mediach społecznościowych co bardziej błyskotliwymi fragmentami. Do momentu zakończenia pracy nawet jej agenci i redaktorzy znają jedynie szkice.

– Książka musi dojrzeć we mnie jak dziecko w brzuchu ciężarnej kobiety – tłumaczyła mi kiedyś. – Gdybym pokazała ją światu, zanim się w pełni uformuje, po prostu bym ją zabiła.

(Swoją drogą niesamowite, że nikt jeszcze nie skrytykował tej makabrycznej metafory, ale zapewne wszystko jest fajne, o ile powie to Athena). W ciągu ostatnich dwóch lat ujawniła jedynie, że jej najnowszy projekt ma związek z historią wojskowości

w dwudziestym wieku i że jest to dla niej „wielkie wyzwanie jako dla artystki”.

– Kurde! Gratulacje! – rzucam.

– Ostatnią stronę napisałam dzisiaj rano – świergoce. – Jeszcze nikt tego nie czytał.

– Nawet twój agent?

– Jared? – prycha Athena. – Jared jest mi potrzebny do papierologii i podpisywania czeków.

– Strasznie to długie. – Podchodzę do biurka, sięgam po pierwszą stronę, lecz natychmiast cofam dłoń. Głupia, nie mogę po pijaku wszystkiego dotykać. Athena jednak, zamiast warknąć, kiwa po prostu głową.

– Co myślisz?

– Chcesz, żebym przeczytała?

– No, może nie od razu całość – odpowiada ze śmiechem. – To naprawdę straszna masa tekstu. Chodzi o to... Naprawdę bardzo się cieszę, że to skończyłam. Czy ten stos papieru nie wygląda przepięknie? Jest taki ciężki... Ma się wrażenie, że... coś znaczy.

Bełkoce. Jest tak samo nawalona jak ja, ale świetnie rozumiem, co ma na myśli. Ta książka jest wielka w kilku tego słowa znaczeniach. Mam przed sobą jedną z książek, które są w stanie coś zmienić.

– Mogę...? – pytam, gdy moje palce zawisają nad rękopisem.

– Jasne, pewnie... – Athena energicznie kiwa głową. – Muszę się powoli przyzwyczajać do myśli, że ludzie będą to czytać. Muszę wreszcie urodzić.

Znowu ta dziwaczna, nieustępliwa metafora. Zdaję sobie sprawę, że lektura nawet krótkiego fragmentu dodatkowo podsyci moją zawiść, ale nie umiem się powstrzymać. Zgarniam ze stosu pierwszych dziesięć, może piętnaście kartek i zaczynam przeglądać.

Mój Boże, dobre to.

Czytanie po kieliszku nie wychodzi mi najlepiej, a oczy samowolnie, zbyt szybko przeskakują na koniec każdego akapitu, lecz nawet po chwili pobieżnego, niechlujnego wertowania mogę stwierdzić, że ta książka będzie olśniewać. Język Atheny jest zwięzły, pewny siebie. Nie znajduję ani jednej z młodzieńczych niedoskonałości, jakie pamiętam z debiutu. Jej głos dojrzał,

wyostrzył się. Opisy, każde zdanie – wszystko tu po prostu śpiewa. Tekst jest prawdopodobnie lepszy niż cokolwiek, co zdołam napisać w obecnym wcieleniu.

– Podoba ci się? – pyta Athena.

Denerwuje się. Oczy ma rozszerzone, niemal wylęknione. Obserwuje moje reakcje, bawiąc się naszyjnikami. Jak często odstawia tę szopkę? Jak usilnie inni ludzie obsypują ją w takich momentach komplementami?

To małosłowne, lecz nie chcę brać w tym udziału. Jej gierki działają na zachwyconych krytyków i fanów, nie na mnie.

– Nie wiem w sumie – odpowiadam oschle. – Po pijaku trudno mi się czyta.

Athena robi przygnębioną minę, lecz trwa to jedynie chwilę. Niemal natychmiast przywołuje na usta sztuczny uśmiech.

– No tak, jasne. Głupio pytam. Oczywiście, że nie chcesz... – milknie, spogląda na swoją szklaneczkę, na mnie i na salon. – To może po prostu... posiedzimy?

Tak więc po prostu sobie siedzimy. Ja i Athena Liu.

Okazuje się, że pijana jest wstrząsająco banalna. Nie przepytuje mnie ze znajomości dzieł Heideggera, Arendt ani żadnych innych filozofów, których nazwiska z wielkim upodobaniem przemycza w wywiadach. Nie opowiada, jak fantastycznie bawiła się jako gościnna modelka Prady (naturalnie doszło do tego zupełnym przypadkiem; bawiła akurat w Paryżu, a reżyser pokazu po prostu zauważył ją w kawiarnianym ogródku i zaprosił do udziału). Rechocemy, plotkując o celebrytach. Obie wyznajemy, że uroda tego modnego ostatnio geja o szczenięcym spojrzeniu nie działa na nas zupełnie, za to Cate Blanchett mogłaby nas mieć w dowolnym momencie dnia i nocy. Athena komplementuje mój styl. Pyta, gdzie kupiłam buty, broszkę, kolczyki. Zachwycą się moim talentem do wynajdowania ciuchów i ładnych pierdolek w lumpeksach i na wyprzedażach. „Bo ja nadal połowę rzeczy kupuję w Talbotsie. Stare babsko jestem i tyle”. Rozśmieszam ją opowieściami o swoich uczniach, korowodzie pryszczatych dzieciaków o otępiałych twarzach, którzy dzięki kontaktom rodziców bez problemu dostaliby się na najlepsze uniwerki, gdyby tylko zdołali zyskać dwieście punktów więcej na egzaminie. O tym, że wszystkie ich – pisane

naturalnie za kasę przez kogoś innego – eseje opowiadają o wielkich osobistych tragediach, choć jasne jest, że autorzy w życiu nie zaznali najmniejszej przykrości. Przerzucamy się wspomnieniami z nieudanych randek, gadamy o wspólnych znajomych ze studiów i o tym, że jakimś cudem zaliczyliśmy dwóch tych samych koleśi z Princeton.

Kończymy rozwalone na kanapie, śmiejąc się do bólu. Nie miałam pojęcia, że z Atheną można się tak świetnie bawić. I nigdy dotąd nie byłam przy niej do tego stopnia sobą. Znamy się dziewięć lat z okładem, lecz zawsze w jej towarzystwie mocno się pilnuję – częściowo z powodu strachu przed tym, że ostatecznie zrozumie, iż nie jestem nawet w połowie tak genialna i interesująca, jak się wydaje, a po części z powodu tego, co wydarzyło się na pierwszym roku.

Dzisiaj jednak, po raz pierwszy od bardzo dawna, nie mam wrażenia, że muszę każdą wypowiedź przepuszczać przez specjalny filtr. I nie próbuję na siłę robić wrażenia na wielkiej Athenie Liu. Po prostu siedzę sobie u Atheny.

– Powinnyśmy to robić zdecydowanie częściej – powtarza raz za razem. – Junie, serio, dlaczego nigdy tego nie robiłyśmy?

– Nie wiem – odpowiadam, po czym podejmuję próbę wygłoszenia głębokiej refleksji. – Może dlatego, że boimy się tego, jak bardzo się lubimy?

Głupie to i nieprawdziwe nawet w przybliżeniu, ale o dziwo, wprawia ją w zachwyty.

– Tak. Może właśnie dlatego – mówi. – Może. Och, Junie. Życie jest takie krótkie. Po co stawiamy te wszystkie mury?

Oczy Atheny błyszczą. Usta ma wilgotne. Siedzimy na jej futonie, tak blisko siebie, iż niemal stykamy się kolanami. Przez moment wydaje mi się, że zaraz nachyli się i mnie pocałuje – ależ byłaby to fabuła, jaki zwrot akcji, przemyka mi przez myśl – lecz ona nagle podskakuje i piszczy. Dociera do mnie, że zbyt mocno przechyliłam szklaneczkę i rozlałam whisky na podłogę. Dzięki Bogu pocięło na parkiet, bo gdybym zniszczyła jeden z drogich dywanów, rzuciłabym się natychmiast z balkonu. Athena śmieje się i biegnie do kuchni po serwetkę. Uspokajam się kolejnym łykiem alkoholu i zastanawiam, dlaczego tak mocno wali mi serce.

A potem nagle wybija północ i smażymy naleśniki – wszystko robimy same, zero gotowych miksów, nic z tych rzeczy – które wzbogacamy ekstraktem z pandanu, sprawiającym, że ciasto nabiera odcienia żarówiastej zieleni. Athena Liu nie smaży zwyczajnych naleśników.

– Pandan smakuje jak wanilia, tylko jeszcze lepiej – objaśnia. – Daje taki ziołowy aromat, jakbyś oddychała zapachem lasu. W sumie trudno mi uwierzyć, że biali nie odkryli jeszcze pandanu – dodaje, zsuwając naleśniki z patelni na mój talerz.

Placki są przypalone i nierówne, ale pachną niewiarygodnie, a do mnie dociera właśnie, że umieram z głodu. Pierwszy naleśnik wpycham sobie do ust rękoma, praktycznie w całości. Kiedy podnoszę wzrok, zauważam, że Athena bacznie mi się przygląda. Przerażona, że ją obrzydziłam, pospiesznie wycieram palce, lecz ona parska po prostu śmiechem i proponuje zawody. Moment później stoper odlicza już czas, a my na wyścigi wcinamy półpłynne, niedosmażone naleśniki, popijając kawały ciasta wielkimi łykami mleka.

– Siedem – sapię w przerwie dla nabrania powietrza. – Siedem, a ty...

Athena jednak nie patrzy w tej chwili na mnie. Bardzo intensywnie mruga, marszczy czoło. Podrywa rękę do gardła. Drugą dłonią gwałtownie trzepie mnie po ramieniu. Rozchyła usta, z których dobywa się stłumiony, obleśny charkot.

Dławi się.

Heimlich! Chwyć Heimlicha! Przecież wiem, jak to się robi. To znaczy chyba wiem? Nie myślałam o tym przynajmniej od podstawówki. Niemniej ustawiam się za Atheną, obejmuję ją w pasie i pociągam rękoma ku sobie, z całej siły uciskając brzuch, co powinno przemieścić kęs naleśnika. Kurza dupa, ależ ona jest chuda! Athena jednak nadal potrząsa głową i klepie mnie po ramieniu. Nie pomogło. Szarpię jeszcze raz. I znowu. Nie działa. Przychodzi mi na myśl, by wyciągnąć komórkę i wygooglować „Heimlich”, może nawet obejrzeć jakiś tutorial na YouTubie. Ale to zajęłoby wieki, nie ma czasu.

Athena słania się, objija o kuchenne blaty. Twarz jej zsiniała.

Przypominam sobie, że kilka lat temu czytałam artykuł o jakiejś studentce, która w czasie identycznych zawodów zadławiła się naleśnikiem na śmierć. Pamiętam, że siedziałam na kibelku i ogarnięta niezdrową fascynacją chłonełam szczegóły. Tak nagła, absurdalna i koszmarna śmierć. „Naleśniki zmieniły się w gardle denatki praktycznie w kawał cementu” – relacjonował ratownik medyczny. Kawał cementu.

Athena szarpie mnie za ramię, wskazuje palcem telefon. „Pomocy” – mówi, bezgłośnie poruszając wargami. „Pomocy, pomocy”.

Okropnie trzęsą mi się palce. Odblokowuję komórkę dopiero przy trzeciej próbie. Wreszcie wybieram 911. Głos w słuchawce pyta, o co chodzi.

– Jestem z przyjaciółką – dukam. – Dławi się. Próbowałam już Heimlicha, ale nic z tego...

Athena tymczasem zawisa brzuchem na oparciu krzesła i zgięta w pół zaczyna się szamotać, próbuje własnej wersji Heimlicha. Jej podrygi z każdą chwilą stają się bardziej paniczne. Wygląda, jakby ruchała to krzesło, myślę jak skończona kretyńka. To jednak również nic nie daje; nie wykrztusiła ani kawałka ciasta.

– Proszę o adres.

Kurwa mać! Nie znam adresu!

– Nie wiem, to mieszkanie przyjaciółki. – Próbuję się zastanowić. – Hm... Naprzeciwko takiej knajpki z tacosami... Jest tu też księgarnia. Nie wiem dokładnie...

– Może pani podać jakieś konkrety?

– Dupont! Dupont Circle... Tak... Przecnicę od stacji metra. Budynek z takimi ładnymi obrotowymi drzwiami...

– Czy to blok mieszkalny?

– Tak...

– Independent? Madison?

– Tak! Madison! Dokładnie!

– Numer mieszkania?

Nie wiem. Spoglądam na Athenę, lecz ona leży skulona na podłodze i cała się trzęsie. Paskudny widok. Waham się, rozdarta pomiędzy potrzebą udzielenia pomocy a sprawdzenia numeru na

drzwiach. Nagle jednak wraca mi pamięć. Dziewiąte piętro, z balkonu widać całą dzielnicę.

– Dziewięć zero siedem – dyszę. – Proszę, przyjdźcie szybko. O mój Boże...

– Karetka jest już w drodze. Czy pacjentka jest przytomna?

Zerkam przez ramię. Athena przestała wierzgać. W tej chwili poruszają się już tylko jej barki, dygocą jak u opętanej.

Po chwili nieruchomieją i one.

– Halo? Proszę pani?

Odrywam telefon od ucha, opuszczam rękę. Mąci mi się w oczach. Nachylam się i potrząsam Athenę za ramię: nic. Szeroko otwarte oczy wychodzą niemal z orbit; nie jestem w stanie w nie patrzeć. Przyciskam palce do jej szyi, próbuję wyczuć puls. Nic. Dyspozytorka coś jeszcze mówi, lecz nic do mnie nie dociera. Nie rozumiem nawet własnych myśli, a wszystko, co dzieje się potem, łomotanie do drzwi, tupot wpadających do mieszkania ratowników, zlewa się w jeden mroczny, oszłamiający wir.

*

Do domu docieram dopiero wczesnym rankiem.

Okazuje się, że udokumentowanie ludzkiej śmierci zabiera wiele czasu. Ratownicy muszą sprawdzić każdy możliwy szczegół, zanim wreszcie zanotują w swoich rubryczkach: Athena Liu, dwadzieścia siedem, kobieta, zmarła wskutek zakrztuszenia. Zadławiła się, kurwa mać, naleśnikiem.

Składam zeznania. Bardzo intensywnie wpatruję się w oczy przepytującej mnie ratowniczkii – niezwykle jasny odcień błękitu, klejące się do rzęs grudki tuszu – by nie widzieć leżących w kuchni noszy i umundurowanych ludzi nakrywających zwłoki Atheny plastikową płachtą. O mój Boże. O Boże, to przecież worek na ciała. To się stało naprawdę.

Athena nie żyje.

– Nazwisko?

– June... Przepraszam. Juniper Hayward.

– Wiek?

– Dwadzieścia siedem.
– Kim była dla pani denatka?
– Athena jest... była... moją przyjaciółką. Poznałyśmy się na studiach.

– A co robiłyście dzisiaj wieczorem?
– Świątowałyśmy. – Gdzieś u nasady nosa zbierają mi się piękące łyzy. – Świątowałyśmy, bo ona dopiero co podpisała umowę z Netflixem i była tak zajebiście szczęśliwa...

Ogarnia mnie dziwaczna paranoja, że zaraz aresztują mnie pod zarzutem zabójstwa. Choć to przecież głupie – Athena się zadławiła i kęs pokarmowy (uparcie nazywają to „kęsem pokarmowym” – co to w ogóle za nazwa?) wciąż tkwi w jej gardle. Nie ma żadnych śladów walki. Sama mnie zaprosiła. Ludzie widzieli nas w barze. „Zadzwońcie do barmana z Grahama” – mam ochotę powiedzieć. „On wszystko potwierdzi”.

Zaraz, po co zastanawiam się nad linią obrony? Po co szukam alibi? Nie zrobiłam tego. Nie zabiłam jej. To śmieszne. I śmieszne jest, że w ogóle się tym martwię. Żaden sąd mnie za to nie skaże.

Ostatecznie słyszę, że mogę iść. Jest czwarta rano. Jeden z policjantów – w pewnym momencie przyjechali i oni, co pewnie jest normalką, kiedy pojawia się trup – proponuje, że podwiezie mnie do domu, do Rosslyn. Większą część drogi spędzamy bez słowa, dopiero kiedy podjeżdżamy pod blok, słyszę kondolencje, których nie jestem w stanie przyswoić. Na ostatnich nogach docieram do mieszkania, ściągam buty i stanik, odświeżam usta łykiem płynu do płukania i padam na łóżko. Przez jakiś czas beczę, szlocham i wyję, by wyrzucić z ciała tę potworną, bolesną energię, aż wreszcie, jedną pigułkę melatoniny i dwie lunesty później, udaje mi się zasnąć.

Tymczasem w porzuconej przy łóżku torebce wciąż leży, niczym gorący kartofel, rękopis Atheny.

Dwa

Zażłoba to dziwne stworzenie. Athena była dla mnie zwykłą kumpelą. Koleżanką, nie bliską przyjaciółką. Myśląc to, czuję się jak ostatnia suka, ale nie była w moim życiu ważnym człowiekiem, nie pozostawiła po sobie ziejącej wyrwy, wokół której musiałabym teraz wytyczać objazdy. Nie ma we mnie tego czarnego, dławiącego bólu, który dręczył mnie po śmierci ojca. Nie walczę o każdy oddech. Nie zalegam rano w łóżku, zastanawiając się, czy w ogóle warto jeszcze wstawać. Nie oburzam się na każdego napotkanego człowieka za to, że ma czelność chodzić i mówić, teraz kiedy Ziemia przestała się kręcić.

Śmierć Atheny nie zburzyła mojego świata, uczyniła go jedynie bardziej... pokręconym. Moje dni wyglądają w zasadzie zwyczajnie. Jeżeli o tej sprawie nie myślę, jeżeli nie oddaję się roztrząsaniu wspomnień, wszystko jest w porządku.

Chociaż byłam tam przecież. Widziałam śmierć Atheny. Przez kilka pierwszych tygodni wśród moich emocji prym wiedzie nie tyle żałoba, co oszołomienie i szok. To się stało naprawdę. Naprawdę patrzyłam na jej stopy bębniące o drewniany parkiet, widziałam sięgające gardła palce. I naprawdę siedziałam obok jej martwego ciała przez całe dziesięć minut, zanim przyjechała karetka. Naprawdę patrzyłam w te wybałuszone, pełne grozy, niewidzące oczy. Kiedy te chwile wspominam, nie płaczę – nie mogę tego doznania uczciwie nazwać cierpieniem – za to przynajmniej kilka razy dziennie łapię się na tym, że siedzę tępo wpatrzona w ścianę, raz po raz szepcząc pod nosem: „Ja pierdole”.

Wygląda na to, że śmierć Atheny zwróciła uwagę mediów, ponieważ mój telefon aż puchnie od wiadomości od przyjaciół, którzy usiłują napisać wszystko, co w takich chwilach napisać wypada, chcąc wyrazić troskę i żal („Hej. Pomyślałem, że się odezwę.

Jak się trzymasz?”), oraz znajomych, próbujących wycisnąć ze mnie co bardziej soczyste szczegóły („OMG, czytałam na Twitterze. Serio tam byłaś?”). Brak mi energii, by odpisywać. Obserwuję jedynie z dziwnym dreszczem podziwu i odrazy stale rosnące czerwone liczby w okienkach moich aplikacji społecznościowych.

Za radą Rory, mojej siostry, pojawiając się na spotkaniu lokalnej grupy wsparcia, a także umawiam się z psychoterapeutką, specjalistką od żałoby. Obie sesje jedynie pogarszają moje samopoczucie, ponieważ wszyscy zakładają istnienie przyjaźni, której przecież nie było, a tłumaczenie, dlaczego nie jestem śmiercią Atheny załamana bardziej, niż jestem, okazuje się zbyt trudne, więc zarzucam oba pomysły na dobre. Nie chcę opowiadać, jak bardzo mi jej brakuje, ani o tym, że bez Atheny moje dni wypełnia pustka. Problem w tym, że moje życie toczy się dalej zupełnie zwyczajnie, jeśli nie liczyć tego jednego, zdumiewającego faktu, że Athena, kurwa, nie żyje. Że nagle, ot tak po prostu, odeszła, a ja nie mam pojęcia, co powinnam w tej sytuacji czuć. Ostatecznie więc wieczorami, kiedy ogarnia mnie chandra, zaczynam pić i zajadać stres, przez co kilka tygodni chodzę wzdęta od nadmiaru lodów i lazanii, lecz nic gorszego się ze mną nie dzieje.

Prawdę powiedziawszy, odporność mojej psychiki zaskakuje mnie samą.

Załamuję się tylko raz, tydzień po. Nie jestem pewna dlaczego, lecz całą noc spędzam, oglądając na YouTube filmiki uczące chwytu Heimlicha i godzinami porównuję je z tym, co zrobiłam. Próbuję sobie przypomnieć, czy ułożyłam ręce w ten sam sposób, czy pociągnęłam wystarczająco mocno. Mogłam ją uratować. Powtarzam to na głos, normalnie jak lady Makbet wpatrzona w omamy krwawych plam na rękach. Mogłam zachować zimną krew, przemyśleć, co robię, odpowiednio umieścić zaciśnięte pięści na wysokości jej pępka, pomóc jej pozbyć się zatoru, pozwolić zaczerpnąć oddech. To przeze mnie umarła.

– Nie – rzuca Rory, kiedy dzwonię do niej o czwartej nad ranem, zachłystując się łzami tak bardzo, że ledwie jestem w stanie mówić. – Nie, nie, nie. Nawet przez sekundę nie wolno ci tak myśleć, rozumiesz? Nie jesteś niczemu winna. Nie ty zabiłaś tę dziewczynę. Jesteś niewinna. Rozumiesz mnie?

– Tak. Okej. Tak – mamrocę do słuchawki, czując się jak małe dziecko.

Ale tego właśnie teraz potrzebuję: ślepej, dziecięcej ufności w prostotę świata. Muszę wierzyć, że skoro nie chciałam zrobić nic złego, to nic nie mogło się stać z mojej winy.

– Będzie dobrze? Poradzisz sobie? – dopytuje Rory. – Może chcesz, żebym zadzwoniła do doktor Gaily?

– Nie, Boże, nie. Wszystko w porządku. Nie dzwoń do doktor Gaily.

– Jasne, tylko wiesz, prosiła nas, żeby w razie gdybyś zaczęła odczuwać nawroty...

– Nie odczuwam żadnych nawrotów. – Biorę głębszy oddech. – To nie tak. Rory, naprawdę czuję się dobrze. Nie byliśmy z Atheną bardzo blisko. Jest okej.

Kilka dni po tym, jak wiadomość rozeszła się po świecie, wrzucam na Twittera długi wątek, w którym opowiadam, co zaszło. Mam wrażenie, że korzystam z gotowca, że powtarzam sformułowania z niezliczonych doniesień o ludzkiej śmierci, w które chorobliwie wczytywałam się w przeszłości. Posługuję się zwrotami w stylu „tragiczny wypadek”, „wciąż do mnie nie dociera” i „nadal nie jestem w stanie uwierzyć”. Nie wdaję się w szczegóły – to byłoby podłe. Piszę, jak bardzo jestem wstrząśnięta, jak wiele znaczyła dla mnie Athena i jak strasznie za nią tęsknię.

Raz po raz słyszę od nieznajomych, jak bardzo im przykro, że powinnam teraz traktować samą siebie łagodnie i wyrozumiale, że po tak traumatycznym przeżyciu moje emocje są totalnie normalne. Powtarzają, że jestem dobrym człowiekiem. Przesyłają uściski i pozdrowienia. Pytają, czy mogą założyć z myślą o mojej terapii konto na GoFundMe. Perspektywa pieniędzy jest mocno kusząca, lecz czuję się zbyt niekomfortowo, by na to przystać. Ktoś nawet zaproponował, że przez cały miesiąc będzie mi przywozić domowe jedzenie. Tę ofertę ignoruję, ponieważ nie powinno się ufać ludziom z Internetu. Jaką mam gwarancję, że ten ktoś nie chce mnie otruć?

Mój tweet zgarnia w ciągu jednego dnia trzydzieści tysięcy polubień. Dla mnie to rekord wszech czasów. Większość lajków pochodzi od luminarzy świata literatury i głośnych w Internecie osobistości, cieszących się zweryfikowanymi kontami. Śledzenie

rosnącej z sekundy na sekundę liczby obserwujących wprawia mnie w dziwną ekscytację. Potem jednak pojawia się też obrzydzenie, bardzo podobne temu, które ogarnia mnie, kiedy zaczynam się masturbować tylko po to, żeby zabić nudę. Ostatecznie więc blokuję Twittera na wszystkich urządzeniach („Zrobię sobie przerwę od sieci. Muszę zadbać o zdrowie psychiczne, ale dziękuję wam wszystkim za troskę”) i składam uroczystą przysięgę, że nie zaloguję się przynajmniej przez tydzień.

*

Uczestniczę w pogrzebie Atheny, na którym jej matka prosi, bym powiedziała kilka słów. Zadzwoniła do mnie parę dni po wypadku i kiedy się przedstawiła, prawie upuściłam komórkę; nie wiedzieć czemu przestraszyłam się, że pani Liu urządzi mi przesłuchanie lub oskarży o zabójstwo córki – usłyszałam jednak przede wszystkim przeprosiny, zupełnie jakby Athena, umierając w mojej obecności, złamała jakąś ważną zasadę etykiety.

Ceremonia odbywa się w Rockville, w koreańskim kościele, co wydaje mi się dziwne, ponieważ sądziłam, że Athena była Chinką, ale co tam. Zaskakuje mnie, jak niewielu żałobników jest w moim wieku. Większość stanowią starsi Azjaci, zapewne przyjaciele jej matki. Nie rozpoznaję żadnego pisarza, nie pojawia się nikt ze studiów. Może jednak ten pogrzeb służy przede wszystkim lokalnej wspólnoty – prawdziwe towarzystwo Atheny prawdopodobnie pożegnało ją w trakcie wirtualnej ceremonii, którą zorganizowało Stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Pochodzenia Azjatyckiego.

Dzięki Bogu trumna jest zamknięta.

Wielu przemawiających mówi po chińsku, więc siedzę skępowana i rozglądam się wokół, starając zorientować, kiedy parsknąć wzruszonym śmiechem, kiedy pokręcić głową, a kiedy zapłakać. Kiedy nadchodzi moja kolej, matka Atheny przedstawia mnie jako jedną z najbliższych przyjaciółek córki.

– Junie była przy Athenie tamtej nocy – mówi pani Liu. – Zrobiła wszystko, co mogła, próbując ją uratować.

I te słowa wystarczają, bym się rozpląkała. Ale to dobrze – tłumaczy okropny, cyniczny głos w mojej głowie. Łzy sprawiają, że moja żaloba wydaje się tym bardziej szczerą. Odwracają uwagę od faktu, że nie mam, kurwa, bladego pojęcia, co tu właściwie robię.

– Athena była olśniewająca – mówię, wcale nie kłamiąc. – Była niedościgła. Nie można było oderwać od niej wzroku, lecz z drugiej strony, widzieć ją to jak spoglądać prosto w słońce. Lśniła blaskiem tak silnym, że nie można było patrzeć na nią zbyt długo.

Po wszystkim udaje mi się przecierpieć pół godziny na stypie i wreszcie wymykam się pod zmyślonym pretekstem – istnieją pewne granice ilości cuchnącej chińszczyzny, jaką mogę w siebie wmusić, i czasu, jaki jestem w stanie spędzić w towarzystwie starych ludzi, którzy nie znają ani słowa po angielsku. Przy pożegnaniu pani Liu wtula się we mnie i pociąga nosem. Zmusza mnie, bym obiecała, że pozostaniemy w kontakcie, że dam jej znać, jak się trzymam. Jej zwilżony łzami tusz zostawia na mojej aksamitnej bluzce plamy, które nie schodzą mimo sześciu prań. Ostatecznie wywaliłam bluzkę w cholerę.

*

Odwołuję zajęcia na resztę miesiąca. (Pracuję na pół etatu w Veritas College Institute, gdzie przygotowuję uczniów szkół średnich do egzaminu SAT, a poza tym piszę za kasę eseje aplikacyjne. Oba zajęcia to standard dla absolwentów topowych uniwersytetów, którym brak lepszych perspektyw). Szef jest niezadowolony, a rodzice moich uczniów są w zrozumiwały sposób wkurzeni, lecz ja po prostu nie zdołam teraz wysiedzieć w pozbawionym okien pokoju, przerabiając kolejne testy z gnojkami mielącymi w gębach gumy do żucia. Po prostu nie dam rady.

– W zeszłym tygodniu widziałam, jak przyjaciółka umiera, szamocąc się w agonii na podłodze własnego mieszkania – wybucham, kiedy dzwoni do mnie ze skargą matka jednego z tych krzywozębnych uczniów. – Należy mi się chyba chwila oddechu, prawda?

Przez kilka tygodni nigdzie nie wychodzę. Cały czas spędzam w domu, w piżamie. Przynajmniej kilkadziesiąt razy zamawiam chipotle na dowóz. Żeby uspokoić głowę, oglądam w kółko stare odcinki „Biura”. Po pewnym czasie mogę je cytować na wrywki.

Poza tym – czytam.

Athena była słusznie podekscytowana. Krótko mówiąc, „Ostatni front” to arcydzieło.

Żeby zorientować się w temacie, odpalam Wikipedię i na pewien czas wsiąkam jak w czarną dziurę. Powieść opowiada o przeżyciach i niedocenionym wysiłku stu czterdziestu tysięcy chińskich robotników, którzy w ramach tak zwanego Chińskiego Korpusu Pracy zostali zwerbowani przez armię brytyjską i wysłani na fronty pierwszej wojny światowej. Wielu zginęło wskutek wybuchów bomb, wypadków i chorób. Większość od momentu przybycia do Francji traktowana była niegodnie, nie otrzymywała zapowiadanych zarobków. Robotników zmuszano do mieszkania w brudnych, przeludnionych kwaterach, odmawiano im dostępu do tłumaczy. Dochodziło też do fizycznych napaści ze strony innych robotników. Spory procent tych ludzi nie wrócił do domów.

Wyświechtane powiedzonko głosi, że każdy poważny pisarz na pewnym etapie musi stworzyć wielką, ambitną powieść wojenną. Taką właśnie książkę napisała Athena. Miała dość wiary we własne siły, pisała na tyle lirycznie i odpowiednio wiele pozostawiała niedomówieniom, by opowiedzieć tak trudną historię, unikając przy tym zadęcia, młodzieńczego idealizmu i świętoszkowatości. Większość wojennych epei, które wychodzą spod pióra młodych twórców, sprawia wrażenie najwyżej imitacji rzeczywistości, a ich autorzy wydają się dziećmi z szabelką w dłoni, dosiadającymi bujanego konika. W prozie Atheny słychać jednak echa bitewnego gziełku. W jej słowach rozbrzmiewa prawda.

Jasne jest, dlaczego mówiła o tej książce jako o wyższym etapie ewolucji swojego warsztatu. Jak dotąd w jej powieściach narracja prowadzona była linearnie, w czasie przeszłym z perspektywy narratora opowiadającego o losach indywidualnego bohatera. Tym razem Athena zastosowała chwyt podobny do tego, jakim Christopher Nolan posłużył się w „Dunkierce” – zamiast od początku do końca śledzić jedną historię, nałożyła na siebie kilka

różnych opowieści i perspektyw, otrzymując dzięki temu żywą, ruchomą mozaikę, głos chórny, zbiorowy. „Ostatni front” wywołuje doznania bliskie tym, jakie budzi oglądanie filmów dokumentalnych; podczas czytania niemal widzi się w głowie kolejne sceny, słyszy wiele osób, wspólnie odkrywających pogrzebaną przeszłość.

Opowieść pozbawiona konkretnego głównego bohatera właściwie nie powinna wciągać. Jednak Athena składała zdania w sposób tak szalenie zajmujący, że raz po raz zatracam się w historii; czytam, zamiast przepisywać z rękopisu do swojego laptopa. To historia miłosna pod maską opowieści o wojnie, a detale są tak wstrząsająco żywe, tak konkretne, aż trudno uwierzyć, iż nie czyta się pamiętnika, że autorka nie spisała po prostu słów wyszeptanych jej na ucho przez duchy. Rozumiem już, dlaczego praca nad tą książką zajęła Athenie tyle czasu – w każdym akapicie widać stojący za nim ogrom dokumentacji, od szczegółów dotyczących wydawanych robotnikom futrzanych czapek, po opisy emaliowanych kubków, z których pili lurowatą herbatę.

Athena posiadała magiczną niemal zdolność przykuwania oczu czytelnika do kolejnych stron. Czytając, po prostu muszę wiedzieć, co spotka A Genga, chuderlawego studenta i tłumacza, oraz jakie będą dalsze losy Xiao Li, niechcianego siódmego syna. Pod koniec, zalana łzami, opląkuję Liu Donga, który nie wrócił do domu, gdzie czekała na niego świeżo poślubiona żona.

Książka jednak wymaga pracy. Nie jest to jeszcze pierwsza wersja – w zasadzie to wciąż szkic. Amalgamat zadziwiająco pięknych zdań, brutalnie podanych motywów i pojawiających się od czasu do czasu notatek: „Tutaj opis podróży – do uzupełnienia”. Athena zostawiła jednak trop na tyle widoczny, że jestem nim w stanie podążyć. Wiem, co chciała osiągnąć, i wiem, że to cudowna powieść. Tak oszałamiająco cudowna, że zapiera dech w piersiach.

Do tego stopnia cudowna, że nie potrafię się oprzeć pokusie podjęcia próby jej dokończenia.

Początkowo robię to w ramach zabawy. Pisarskiego ćwiczenia. Nie tyle przepisuję rękopis na czysto, co chcę się przekonać, czy zdołam wypełnić luki; czy dysponuję wystarczająco rozwiniętą techniką, by wszystko wycieniować, wyczelować

i ekstrapolować na tyle, by otrzymać skończony, kompletny obraz. Chciałam pogmerać tylko przy jednym ze środkowych rozdziałów, zawierającym tak wiele niedokończonych scen, że jedynie osoba blisko znająca autorkę i pisarski fach może zrozumieć, co Athena chciała za jego pomocą powiedzieć.

Potem jednak piszę dalej. Nie mogę przestać. Mówi się często, że zdecydowanie łatwiej jest zredagować kiepski tekst, niż samodzielnie zapisać czystą kartkę, i to prawda – pracując nad „Ostatnim frontem”, czuję się bardzo pewna swego pióra. Raz za razem znajduję frazy znacznie lepiej pasujące do całości niż wtrącone mimochodem opisy Atheny. Wyławiam momenty, w których siada tempo narracji, i bezlitośnie usuwam zawile wypełniacze. Dzięki mnie kierunek fabuły staje się jasny i wyraźny niczym czysty, mocny dźwięk pianina. Uładam, przycinam, ozdabiam; sprawiam, że tekst zaczyna płynąć.

Wiem, że mi nie uwierzycie, ale nawet przez moment nie pomyślałam: zabiorę jej tę książkę. Nie nastąpiła chwila, w której usiadłam i obmyślałam zbrojecki plan obrabowania nieżyjącej przyjaciółki. Nie, naprawdę wszystko potoczyło się bardzo naturalnie, jakbym odkryła właśnie swoje powołanie, jakbym wykonywała rozkaz jakiegoś bóstwa. Skoro już zaczęłam, stało się oczywiste, że muszę tę pracę doprowadzić do końca, że muszę rękopis Atheny uzupełnić, a potem oszlifować.

A później – kto wie? Być może mogłabym tę książkę w jej imieniu wydać.

Pracuję tak cholernie ciężko. Codziennie zasiadam do pisania o świcie i odrywam się od klawiatury sporo po północy. Do żadnego literackiego projektu nie przykładałam się jeszcze z takim zaangażowaniem, nawet do własnego debiutu. Słowa żarzą się w mojej piersi niczym węgle, zasilają mnie i muszę je z siebie wyrzucić, zanim mnie spopiela.

Pierwszą wersję mam gotową po trzech tygodniach. Robię sobie tydzień wolnego i cały ten czas wykorzystuję na długie spacery i czytanie książek po to, by oczyścić głowę i oderwać się od tekstu. Któregoś dnia drukuję całość w Office Depot, żeby móc przysiąść nad „Ostatnim frontem” z czerwonym mazakiem. Powoli brnę przez kolejne stronicę, czytam całość na głos, by poczuć każde zdanie

z osobna, żeby usłyszeć, jak brzmi, by poznać kształt słów. Wreszcie spędzam bezsenną noc na wklepywaniu poprawek do Worda.

Rankiem piszę maila do swojego agenta, Brett Adamsa, z którym nie kontaktowałam się od kilku miesięcy, ponieważ wszystkie jego uprzejme, lecz naglące pytania o postępy pracy nad moją drugą książką usuwałam natychmiast do kosza.

*Cześć, Brett,
wiem, że chcesz wiedzieć, co z moją nową powieścią, ale tak
się składa, że mam*

Odrywam palce od klawiatury i po zastanowieniu kasuję końcówkę zdania. Jak miałabym to Brettowi wytłumaczyć? Jeśli dowie się, że to Athena stworzyła manuskrypt, będzie musiał poinformować jej agenta, Jareda. Dojdzie do paskudnych negocjacji prawniczych. Nie mam żadnego dowodu na piśmie, niczego, co potwierdziłoby jej wolę, bym to ja dokończyła książkę, aczkolwiek jestem pewna, że wolałaby takie rozwiązanie niż świadomość, iż jej dzieło zaginie w pomroce dziejów. Bez takiego dowodu jednak moja wersja nie ma szans na autoryzację.

Kurczę, ale przecież... nikt nie wie, że Athena pozostawiła po sobie rękopis, prawda? Czy widniejące na okładce nazwisko jest ważniejsze od faktu, że beze mnie „Ostatni front” mógłby w ogóle nie ujrzeć światła dziennego?

Nie mogę pozwolić, by największe dzieło Atheny zostało wydane w obecnym, marnym stanie, jako zwykły szkic. Po prostu nie mogę. Jaką okazałabym się przyjaciółką?

Cześć, Brett, w załączniku rękopis. Poszłam w trochę innym kierunku, niż rozmawialiśmy, ale znalazłam w sobie nowy głos i efekt bardzo mi się podoba. Co myślisz?

*Pozdrawiam
June*

I już. Po wszystkim. Mail poszedł. Zamykam laptopa i odsuwam go od siebie. Własna śmiałość zapiera mi dech w piersi.

*

Najgorsze okazuje się czekanie. Do Bretta napisałam w poniedziałek, odpowiedź otrzymuję dopiero w czwartek. Dowiaduję się, że na zapoznanie się z tekstem zarezerwował sobie najbliższy weekend. Nie wiem, czy to prawda, czy facet gra tylko na zwłokę, bym dała mu spokój. Kiedy nastaje wreszcie kolejny poniedziałek, jestem dosłownie kłębkim nerwów. Każda minuta wydaje się wiecznością. Swoją blokadę okrążam przynajmniej milion razy. A komórkę, żeby nie sprawdzać co chwila poczty, trzymam w mikrofali.

Bretta poznałam dzięki regularnie organizowanej na Twitterze akcji. W jej ramach kilka razy do roku autorzy piszą tweety, w których skrótowo prezentują swoje nowe książki i opatrują je hasztagiem akcji. W ten sposób agenci mogą znaleźć i polubić interesujące ich teksty. Ja napisałam tak:

*„Ponad jaworem”: Siostry Janie i Rose przeżywają najgorsze lato swojego życia. Ich ojciec jest śmiertelnie chory. Matka wiecznie nieobecna. Mają jedynie siebie oraz tajemnicze drzwi na podwórzu. Portal do innej krainy.
#Dorośli #Dojrzewanie #Fikcja*

Brett poprosił o rękopis. Wysłałam mu, przy czym wspomniałam, że mam już podpisany kontrakt z wydawcą. Tydzień później umówił się ze mną na rozmowę telefoniczną. Wydał mi się takim trochę ziomkiem z osiedla. Co chwila wtrącał zwroty typu „elo” lub „czilować” i sprawiał wrażenie koszmarne młodego. Dwa lata wcześniej ukończył studia na Hamiltonie, gdzie zrobił magisterkę z rynku wydawniczego, a w obecnej agencji pracował dopiero od kilku miesięcy. Niemniej sama agencja cieszyła się dobrą opinią, a jego wcześniejsi klienci byli zadowoleni, więc zdecydowałam się podpisać umowę. Poza wszystkim nie miałam żadnej lepszej oferty.

I przez te kilka lat nie mam w zasadzie na co narzekać. Od początku czuję, że moje sprawy nie są dla Bretta najważniejsze, tym bardziej że nie dorobił się dzięki mnie fortuny, ale przynajmniej odpisuje na moje maile w ciągu tygodnia i nie okłamuje mnie

w kwestii wysokości tantiem czy stanu praw autorskich, a podobno to rzadko spotykająca młodych pisarzy kurtuazja. Jasne, jest mi trochę niezręcznie czytać krótkie, bezosobowe wiadomości typu: „Cześć, June, wydawnictwo nie wypuści twojej książki w miękkiej okładce, bo nie są pewni, czy to się sprzeda” tudzież „Cześć, June, nikt nie jest zainteresowany prawami do wersji audio, więc przestaję na razie proponować. Tak tylko daję znać”. I jasne, zdarzało mi się od czasu do czasu rozważać, czy nie powinnam z usług Bretta zrezygnować i rozejrzeć się za agentem, przy którym czułabym się bardziej człowiekiem. Gdybym jednak znowu została zupełnie sama, bez jednej w miarę przyjaznej duszy w całej branży, popadłabym chyba w czarną rozpacz.

Podejrzewam, że Brett po cichu liczył, że sama z siebie zarzucę pisarstwo. Wszystko bym dała, byle tylko zobaczyć jego minę, kiedy odkrył, jaką podesłałam mu petardę.

Ostatecznie odpisuje mi we wtorek około północy. Mail jest krótki.

Cześć, June,

kurde, mamy tu coś wyjątkowego. Niedziwne, że rzuciłaś wszystko, by poświęcić się temu projektowi. Tekst trochę odbiega od tego, co robiłaś dotąd, ale to może być świetna okazja do rozwoju. Moim zdaniem Garrett nie nadaje się do pracy nad tą książką. Powinniśmy rozejrzeć się za kimś innym. Biorę to na siebie. Osobiście mam tylko kilka uwag. Zerknij do załącznika.

Pozdro

Brett

Zmiany Bretta są leciutkie, nieinwazyjne. Poza kilkoma uwagami dotyczącymi stylu są to przede wszystkim skrót, mające na celu przyspieszenie akcji (Athena uwielbiała brzmienie własnej prozy). W kilku miejscach przesunął sceny z przeszłości, co nadało narracji bardziej linearny charakter. A pod koniec książki uwypuklił kilka konkretnych motywów. Przysiadam więc fałdów w towarzystwie kilku puszek espresso i uwzględniam wszystkie jego

zastrzeżenia w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Właściwe słowa znajduję bez trudu – redakcja zazwyczaj kojarzy mi się z wyrywaniem zęba, ale tym razem świetnie się bawię. Pisanie od lat nie sprawiało mi tak wielkiej radości. Może dlatego, że wycinam cudze akapity, przez co nie mam wrażenia, że morduję własne dzieci. A może dlatego, że materiał wyjściowy jest na tyle dobry, iż czuję się, jakbym szlifowała drogocenne kamienie, jakbym usuwała skazy i niedoskonałości, by wydobyć ich właściwy wewnętrzny blask.

Gotowy tekst przesyłam Brettowi, który w pierwszej kolejności pokazuje go Garrettowi, ponieważ formalnie to jemu przysługuje prawo do odmowy. Nasze nadzieje się spełniają i Garrett mówi pas. Swoją drogą przypuszczam, że nawet nie otworzył pliku. Zaraz potem Brett rozsyła powieść do kilku poważnych i decyzyjnych postaci ze znanych wydawnictw. Tym razem czekamy we dwoje.

*

Po trzech tygodniach bardzo ważny redaktor inicjujący z wydawnictwa HarperCollins udaje się z moją książką do działu zakupów, na jedno z tych spotkań, na których wszyscy święci siadają przy jednym biurku i zastanawiają się, czy warto daną książkę kupić. Jeszcze tego samego popołudnia dzwonią do Brettta z ofertą. Suma, jaka znalazła się w owej ofercie, sprawia, że opada mi szczęka. Nie miałam pojęcia, że za książkę można dostać aż tyle. Chwilę później jednak odzywa się do nas Simon & Schuster, po nich Penguin Random House, a na końcu także Amazon (Brett zapewnia mnie, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wydaje w Amazonie, posłużą nam wyłącznie do podbicia ceny). Po tych kilku zgłaszają się oficyny mniejsze, niezależne i prestiżowe, które jakimś cudem jeszcze nie upadły. Odbywa się aukcja. Cena idzie w górę. Pojawiają się rozmowy o rozłożeniu zaliczki na raty, o bonusach za osiągnięcie konkretnych poziomów sprzedaży, o prawach międzynarodowych i na rynek północnoamerykański, o prawach do wydania audiobooka, słowem o wszystkim tym, o czym nikt się nawet nie

zająknął, kiedy negocjowałam sprzedaż debiutu. Aż wreszcie, koniec końców „Ostatni front” trafia do Eden Press, średniej wagi niezależnego wydawcy, mającego na koncie sporo głośnych, nagradzanych powieści. Kupują tę książkę za kwotę, jakiej nie spodziewałam się zarobić do śmierci.

Kiedy Brett dzwoni, by przekazać mi tę wiadomość, kładę się na podłodze i wstaję dopiero, kiedy sufit przestaje wirować.

„Publishers Weekly” publikuje wielki, efekciarski tekst informujący o mojej umowie. Brett zaczyna przebąkiwać o zainteresowaniu ze strony wydawców obcojęzycznych, filmowców, twórców multimedialnych. Prawdę powiedziawszy, niewiele mi to wszystko mówi, dociera do mnie jedynie, że z nieba sypnie jeszcze więcej pieniędzy.

Chcąc się pochwalić, dzwonię do mamy i siostry. Mimo że nie do końca rozumieją, co moje rewelacje znaczą, cieszą się, że na kilka najbliższych lat mam zapewnione stałe źródło dochodu.

Dzwonię też do Veritas College i informuję, że rezygnuję z pracy na dobre.

Koledzy z kręgów literackich, osoby, z którymi kontaktuję się najwyżej dwa razy w roku, przesyłają mi „GRATULACJE!!!” i wiem, że aż się ślinią z zawiści. Gdy wiadomość pojawia się na oficjalnym koncie twitterowym Eden Press, z miejsca zyskuję kilkuset nowych obserwujących. Wskakuję na miasto napić się ze znajomymi z Veritas, ludźmi, których właściwie nie lubię i którzy nie bardzo chcą słuchać o tej książce, lecz po trzeciej kolejce nic z tego nie jest już ważne, gdyż pijemy po prostu moje zdrowie.

I przez cały ten czas myślę sobie: udało mi się. Kurwa, naprawdę mi się udało. Żyję życiem Atheny. Nareszcie poznaję wydawniczą rzeczywistość od tej strony, od której powinnam. Przebiłam szklany sufit. Mam wszystko, czego zawsze pragnęłam – a sukces smakuje dokładnie tak wspaniale, jak sobie zawsze wyobrażałam.

Trzy

Wiem, co sobie myślicie. Złodziejka. Plagiatorka. I może jeszcze, ponieważ wszystko, co złe musi mieć przyczynę w rasizmie, rasistka.

Wysłuchajcie mnie.

Nie jest tak źle, jak się wydaje.

Plagiat to pójdźcie na łatwiznę, w ten sposób oszukują ludzie, którzy nie potrafią samodzielnie sklecić paru zdań. To, co zrobiłam ja, wcale nie było łatwe. Napisałam od zera większą część „Ostatniego frontu”. Pierwotny rękopis Atheny jest tekstem chaotycznym, prymitywnym, usianym niedokończonymi zdaniem. Czasami nie byłam w stanie rozgryźć, o co jej w konkretnych akapitach chodziło, i takie po prostu wycinałam. To nie tak, że wykradłam cudzy obraz i sprzedawałam go z własnym podpisem. Odziedziczyłam zaledwie ołówkowy szkic, wypełniony farbą jedynie miejscami, a i to nierówno. I dokończyłam to malowidło, dochowując wierności stylowi oryginału. Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby Michał Anioł zostawił niedokończoną Kaplicę Sykstyńską. Wyobraźcie sobie, że całość musiał doprowadzić do końca Rafael.

Cały ten projekt jest w pewnym sensie piękny. Nawiązałam literacką współpracę, jakiej świat nigdy jeszcze nie widział.

I co z tego, że tę książkę ukradłam? Co z tego, że ją bezwstydnie zwędziłam?

Athena zmarła, zanim ktokolwiek dowiedział się, że ten rękopis istnieje. Jej powieść nie zostałaby wydana nigdy lub ukazałaby się w stanie surowym i już zawsze byłaby jedynie niedokończonym manuskrytem, równie przereklamowanym i rozczarowującym jak „Ostatni z wielkich” Francisa Scotta Fitzgeralda. Także dzięki mnie „Ostatni front” uniknął piętna, jakie

zawsze towarzyszy książkom pisany przez więcej niż jednego autora. A przy tym włożyłam w ten tekst tyle pracy, tyle godzin – dlaczego moje nazwisko miałyby nie widnieć na okładce?

Zresztą w podziękowaniach zamieściłam wyrazy wdzięczności dla Atheny. Dla swojej najdroższej przyjaciółki. I największego źródła natchnienia.

Myślę też, że być może sama Athena poparłaby to rozwiązanie. Uwielbiała przecież wszelkiego rodzaju literackie mistyfikacje. Z rozkoszą opowiadała o tym, jak skutecznie James Tiptree Jr wmówiła ludziom, że jest facetem, i o tym, że masa czytelników nadal żyje w przekonaniu, iż Evelyn Waugh to kobieta.

– Ludzie zasiadają do czytania obciążeni masą uprzedzeń, ukształtowanych przez wszystko, co im się wydaje, że wiedzą na temat autora – powiedziała kiedyś. – Zastanawiam się czasami, jaki byłby odbiór moich książek, gdybym podszywała się pod mężczyznę lub białą kobietę. Tekst byłby identyczny, lecz w jednym wypadku mogłabym zostać zmiażdżona przez krytykę, a w innym odnieść oszałamiający sukces. I dlaczego tak jest?

Być może więc na całą sprawę da się spojrzeć jak na wielki literacki figiel. Być może zdołałam tak skomplikować relację autor-czytelnik, że uczeni literaturoznawcy będą mieć soczystą pożywkę na kilka następnych dekad.

No dobra, to ostatnie to chyba jednak lekka przesada. A jeśli wszystko, co napisałam powyżej, brzmi, jakbym usiłowała ukoić wyrzuty sumienia, niech i tak będzie. Jestem pewna, że wolelibyście, żebym te kilka tygodni spędziła, cierpiąc duchowe katusze, mocując się bezustannie z poczuciem winy.

Prawda jednak wygląda tak, że byłam na to zbyt rozemocjonowana.

Po raz pierwszy od wielu długich miesięcy pisanie zaczęło przynosić mi szczęście. Czulałam się, jakbym otrzymała od losu drugą szansę. Ponownie uwierzyłam we własne marzenie – w to, że jeśli ktoś dopracuje warsztat i opowie dobrą historię, resztą zajmie się już branża. Że wystarczy usiąść z piórem w rękę, że jeśli ktoś pracuje odpowiednio wytrwale i wystarczająco dobrze pisze, wydawniczy oligarchowie z dnia na dzień uczynią go literacką gwiazdą.

Zaczęłam nawet kombinować z niektórymi własnymi pomysłami. Teraz stały się w pewien sposób bardziej świeże, wyraziste i przychodziły mi do głowy dosłownie dziesiątki sposobów, w jakie mogłabym je ugryźć. Otworzył się przede mną bezkres możliwości. Zupełnie jakbym usiadła za kierownicą nowego samochodu bądź pracowała na nowym laptopie. W jakiś sposób przejęłam całą bezpośredniość i werwę, z jaką tworzyła Athena. Przywołując słowa Kanye, czułam się twardsza, lepsza, szybsza i silniejsza. Czułam się tak, jak muszą się czuć jego prawdziwi słuchacze.

Wybrałam się kiedyś na pogadankę znanej autorki fantasy, która stwierdziła, że niezawodnym trikiem pozwalającym jej przełamać brak weny jest przeczytanie mniej więcej stu stron dobrej prozy.

– Wtedy zaczynają mnie świerzbic palce, nabieram ochoty, by sama napisać kilka dobrych zdań – powiedziała. – Po prostu chce mi się stworzyć coś równie dobrego.

Tak właśnie się czułam, redagując książkę Atheny. Uczyniła mnie lepszą pisarką. Tempo, w jakim przyswoiłam sobie jej warsztat, było wręcz nieziemskie; zupełnie jakby po jej śmierci cały ten talent musiał znaleźć sobie nowe miejsce i przeszedł na mnie.

Miałam wrażenie, że piszę za nas obie. Jakbym kontynuowała jej dzieło.

Czy to wystarczające usprawiedliwienie? Czy nadal macie mnie za rasistowską złodziejkę?

Dobra. Oto, co naprawdę poczułam, kiedy przyszło co do czego.

Jeszcze na Yale spotykałam się kiedyś z doktorantem z wydziału filozofii, zajmującym się etyką populacji ludzkich. Pisał sążniste artykuły na temat eksperymentów myślowych, tak nieżyciowych, że często myślałam sobie, iż lepiej by zrobił, gdyby został pisarzem fantastycznonaukowym. Interesowało go, czy ciążą na nas moralne obowiązki wobec przyszłości, na przykład wobec nienarodzonych jeszcze ludzi, lub czy można mówić o zbeczeszczeniu zwłok, jeżeli dany czyn nie zaszkodzi w żaden sposób nikomu żywemu. Posługiwał się przy tym niekiedy bardzo skrajnymi argumentami. Nie sądził, dajmy na to, że jesteśmy

moralnie zobowiązani realizować testamenty zmarłych, jeżeli pozostawione przez nich dobra bardziej przysłużą się gdzie indziej, niż wskazali. Był też zdania, że dozwolone byłoby wykorzystanie terenów obecnych cmentarzy pod budowę osiedli dla najuboższych. Najogólniej rzecz ujmując, głównym tematem jego rozważań było badanie, w jakich okolicznościach człowiek staje się podmiotem moralnym, z którym należy się liczyć.

Większości jego myśli nie rozumiałam, lecz jeden argument wydawał mi się bardzo przekonujący: nie jesteśmy nic winni umarłym.

Zwłaszcza w sytuacji, kiedy umarli są złodziejami i kłamcami.

Dobra, kurwa, powiem prosto z mostu: przejęcie rękopisu Atheny sprawiło, że poczułam, jakbym otrzymała należną sobie rekompensatę, jakby zapłaciła mi wreszcie za wszystko, co ona zabrała mnie.

Cztery

Młyny branży wydawniczej miały powoli, ale tylko do czasu. Najbardziej ekscytujące momenty – konkursy ofert, negocjowanie umów, rozmowy z potencjalnymi wydawcami, wybór oficyny – przypominają oszałamiający wir, lecz cała reszta sprowadza się głównie do wlepiania oczu w telefon i czekania na wiadomości. Większość książek sprzedaje się do dwóch lat przed publikacją. Ważne informacje (Umowa na książkę! Kontrakt na ekranizację kinową lub telewizyjną! Nominacja do tej czy innej nagrody!), które pojawiają się w Internecie, zawsze są od kilku tygodni lub wręcz miesięcy najwyżej tajemnicą poliszynela. Emocje i zaskoczenie to jedynie maskarada na użytek mediów społecznościowych.

„Ostatni front” ukaże się dopiero piętnaście miesięcy po podpisaniu umowy. Przedtem należy przebrnąć przez okres produkcji.

Swoją nową redaktorkę poznaję w dwa miesiące po podpisaniu umowy z Eden Press. Jest nią Daniella Woodhouse, obdarzona głębokim głosem, rzeczowa, szybko mówiąca kobieta, która w trakcie naszej pierwszej rozmowy telefonicznej zdołała mnie naraz onieśmielić i zaintrygować. Przypomniałam sobie, że w zeszłym roku na jakiejś konferencji wywołała niejakie zamieszanie, nazywając jedną z uczestniczek „żałosną istotą” za stwierdzenie, iż seksizm jest wciąż w tej branży poważnym problemem. Z miejsca została okrzyknięta przez wszelkiej maści internetowe wyrocznie naczelnym wrogiem kobiet. Domagano się od niej publicznych przeprosin, niektórzy żądali także zmiany zawodu. (Daniella nie ugięła się w żadnej z tych kwestii). Afera nie miała zauważalnego wpływu na jej karierę. W zeszłym roku wypuściła na rynek trzy bestsellery: powieść o życiu duchowym

seksownych gospodyń domowych przejawiających zabójcze zapędy, thriller opowiadający o pianiście koncertowym, który sprzedaje duszę diabłu w zamian za talent, oraz pamiętnik pszczelarki lesbijki.

Początkowo wahałam się, czy warto podpisać kontrakt z Eden Press, przede wszystkim dlatego, że jest to oficyna mniejsza, niezależna, a nie jedno z wydawnictw Wielkiej Piątki – HarperCollins, Penguin Random House, Hachette, Simon & Schuster i Macmillan. Brett przekonał mnie jednak, że współpracując z wydawcą średniej wielkości, stanę się wielką rybą w niewielkim stawie, w związku z czym otoczą mnie tam troską i uwagą, których nie zaznałam przy publikacji debiutu. I rzeczywiście, w porównaniu z Garrettem Daniella praktycznie mnie rozpieszcza. Na maile odpowiada jeszcze tego samego dnia, często nie muszę czekać nawet godziny i zawsze są to odpowiedzi wyczerpujące. Potrafi sprawić, że czuję się ważna. A kiedy zapewnia, że ta książka okaże się strzałem w dziesiątkę, wiem, że mówi poważnie.

Podoba mi się również jej styl pracy. Większość uwag, jakie zgłasza do tekstu, dotyczy uproszczeń i usuwania niejasności. „Czy amerykański czytelnik na pewno zrozumie ten zwrot właściwie?“, „Czy to wspomnienie naprawdę powinno pojawiać się w jednym z pierwszych rozdziałów, skoro nie poznaliśmy jeszcze jego bohatera w głównej linii fabularnej?“, „Tak, ten dialog to istna perełka, tylko czy rzeczywiście posuwa akcję?“

Ulżyło mi, naprawdę. Nareszcie znalazł się ktoś, kto w obliczu wodolejstwa, rozmyślnie gmatwających wymowę całości struktur zdaniowych oraz enigmatycznych odniesień kulturowych, w jakich lubowała się Athena, potrafi powiedzieć: „Sprawdzam”. Athena uwielbiała zmuszać czytelnika do „pracy z książką”. W odniesieniu do kwestii kulturowych napisała kiedyś, że nie widzi „potrzeby przybliżania tekstu do publiczności, w sytuacji kiedy owa publiczność dysponuje nieograniczonym dostępem do Google’a i jest w stanie sama przybliżyć się do tekstu”. Wrzucała całe zdania po chińsku, nie zamieszczając przekładu – jej maszyna nie umożliwiała pisania chińskimi znakami, więc zostawiała wolne miejsca i uzupełniała luki odręcznie. Zabawa z tłumaczem i poszukiwanie znaczeń w sieci zajęły mi całe godziny, a i tak musiałam usunąć z rękopisu mniej więcej połowę obcojęzycznych wtrętów. Członków

rodziny określała nazwami chińskimi, nie angielskimi, więc sama musiałam się domyślać, czy dana postać jest wujem, czy może cioteczynym kuzynem. (Przeczytałam dziesiątki artykułów wprowadzających w zawiloci chińskiej nomenklatury dotyczącej pokrewieństwa i jego stopni. Pomieszenie z poplątaniem).

Wszystko to pojawiało się również w jej poprzednich książkach. Fani wychwalają podobne zabiegi pod niebiosa, nazywając je genialnymi i wprowadzającymi do tekstu autentyzm – jest to jakoby niezbędna reakcja należącego do mniejszości autora na domyślną białość angielszczyzny. No cóż, pod względem warsztatowym są to wady. Pisana w ten sposób proza staje się frustrująco nieprzystępna. Jestem przekonana, że głównym celem takiej strategii jest sprawienie, by sama Athena i jej czytelnicy mogli poczuć się mądrzejsi, niż są.

Motto Atheny mogłoby brzmieć: „Ekscentryczna, erudycyjna i wyniosła”. Ja obrałam sobie inne: „Atrakcyjna komercyjnie, nieodparcie wciągająca, a przy tym kunsztowna literacko”.

Najtrudniej jest zapanować nad mrowiem zaludniających „Ostatni front” postaci. Wraz z Daniellą zmieniamy nazwiska kilkunastu bohaterów, by czytelnik nie popadł w zbyt wielką konsternację. Dwie odmienne postacie noszą nazwisko Zhang, a aż cztery Li. Athena rozróżnia ich za pomocą imion, którymi jednak posługuje się bardzo skąpo, oraz wyrazów, które wyglądają na nazwiska, lecz są, jak myślę, przydomkami (A Geng, A Zhu; no chyba że coś mi umknęło i A jest prawdziwym nazwiskiem). Pojawiają się także na przykład Da Liu i Xiao Liu, co kompletnie zbija mnie z tropu, ponieważ wydawało mi się, że Liu to nazwisko, i nie mam pojęcia, skąd się tu biorą te Da i Xiao? Nie wiem także, dlaczego tak wiele bohaterek nazywa się Xiao? A skoro to słowo funkcjonuje jako nazwisko, czy znaczy to, że one wszystkie są ze sobą spokrewnione? Może to powieść o kazirodztwie? Prostem rozwiązaniem okazuje się jednak obdarzenie każdej postaci nazwiskiem wyrazistym i łatwym do zapamiętania. Spędzam więc kolejne godziny, przewijając internetowe strony dotyczące historii Chin i chińskich imion dla dzieci w poszukiwaniu kulturowo stosownych rozwiązań.

Wycinamy tysiące słów niepotrzebnego tła. Athena z upodobaniem pozwalała swojej historii wypuszczać niezliczone

odnogi i kłacza: potrafiła nagle i niespodziewanie cofnąć się o dziesięć bądź dwadzieścia lat i pochylić nad dzieciństwem jednego z bohaterów; całe długie i kompletnie nieprzystające do reszty rozdziały poświęcała opisom krajobrazów chińskiej wsi; wprowadzała postacie niezwiązane w żaden naturalny sposób z fabułą, a następnie zapominała o nich aż po ostatnią kropkę powieści. Zdaję sobie sprawę, że próbowała w ten sposób wzbogacić fakturę rzeczywistości, pokazać czytelnikom, z jakiego świata bohaterowie przybyli, i unaocznić struktury, w jakich istnieją, lecz mocno z tym przedobrzyła. Sprawiała, że w trakcie lektury zbytnio oddalamy się od głównej osi fabularnej. A czytanie powinno być przyjemnością, nie mozolnym trudem.

Łagodzimy język. Wywalamy precz wszystkich „chinoli” i „żółtków”.

„Może chciałaś osiągnąć w ten sposób efekt szokowy” – pisze do mnie Daniella. „Ale w obecnej epoce nie ma potrzeby stosować tak bardzo dyskryminującego języka. Nie warto prowokować czytelnika”.

Łagodzimy też część białych postaci. Nie, nie jest tak źle, jak możecie myśleć. Jednak rękopis Atheny jest niemal żenująco pełen uprzedzeń. Żołnierze francuscy i brytyjscy są rasistowscy w komiksowy wręcz sposób. Wiem, że chciała w ten sposób ukazać panującą w wojsku dyskryminację, lecz część scen to naprawdę przegięcie. A przez takie rzeczy czytelnik przestaje skupiać się na fabule. Przerabiamy więc jednego z białych brutalni na Chińczyka, a jednego z bardziej krzykliwych chińskich robotników na empatycznego białego rolnika. Wprowadzamy dzięki temu pewną głębię, swoiste humanistyczne zniuansowanie, którego w rękopisie brakowało, zapewne ze względu na zbyt ścisły, osobisty związek Atheny z tekstem.

W pierwotnej wersji kilku robotników popełnia samobójstwo, do którego doprowadza ich niegodne traktowanie, jakiego doznają ze strony Brytyjczyków. Jeden z robotników wiesza się w ziemiance kapitana. Kiedy oficer znajduje zwłoki, poleca tłumaczowi, by przekazał pozostałym pracownikom, żeby jeśli już muszą, wieszali się we własnych kwaterach, co uzasadnia stwierdzeniem: „My tutaj nie lubimy takich widoków”. Cała scena została jakoby żywcem

przeniesiona z historycznych zapisków – na marginesie tekstu Atheny widniała odręczna notatka: „WSPOMNIEĆ W PODZIĘKOWANIACH. BOŻE. CZEGOŚ TAKIEGO NIE IDZIE WYMYŚLIĆ”.

To kilka bardzo mocnych akapitów i kiedy czytałam je za pierwszym razem, groza chwyciła mnie za serce. Daniella jednak uważa, że to przesada. „Rozumiem, że to żołnierze, faceci nieokrzesani i w ogóle, ale ten fragment to robienie z ludzkiej tragedii zwykłego porno” – pisze do mnie. „Wyciąć, bo dłużyzna?”

Największą zmianę wprowadzamy w końcowej jednej trzeciej książki.

„Tutaj tempo naprawdę siada” – czytam w komentarzu Danielli. „Czy ten cały kontekst traktatu wersalskiego jest naprawdę bardzo potrzebny? Mam wrażenie, że odstaje. Mimo wszystko to chyba nie jest powieść o Chinach i geopolityce, co?”

Blisko finału powieść staje się nieznośnie świętoszkowata. Athena porzuca snucie porywających historii osobistych bohaterów na rzecz okładania czytelnika po łbie tysiącami przykładów sytuacji podkreślających, że robotnicy zostali przez wszystkich zapomniani i pozostawieni samym sobie. Ci, którzy polegli w czasie pełnienia obowiązków, nie mogli być grzebani w pobliżu grobów europejskich żołnierzy. Nie przyznawano im żadnych odznaczeń, ponieważ rzekomo nie brali udziału w walkach. A co gorsza – to rozjuszyło Athenę chyba najbardziej – chiński rząd został w podpisanym na koniec pierwszej wojny światowej traktacie wersalskim oszukany poprzez przekazanie Japonii części prowincji Szantung, należącej wcześniej do pokonanych Niemiec.

Tylko kto się na tym skupi? Bez głównego bohatera trudno zrozumieć, o jaką stawkę toczyła się ta gra. Końcowe czterdzieści stron rękopisu czyta się bardziej jak historyczny esej niż wciągającą epopeję wojenną. Zupełnie jakby ktoś przez przypadek wkleił do książki pracę semestralną studenta historii. Athena zawsze miała dydaktyczne zapędy.

Daniella chce, bym wycięła to wszystko w cholerę. Proponuje zwieńczyć całość sceną, w której A Geng wsiada na statek i odpływa do domu. Byłby to mocny obraz, w dodatku znakomicie harmonizujący z wcześniejszą sceną pogrzebu. Resztę zawsze można

dopisać w posłowniu lub w eseju, który puści się do mediów niedługo przed premierą. Albo jako dodatek do wersji z miękką okładką? Ciekawostka dla pasjonatów z klubów dyskusyjnych?

Pomysł jest moim zdaniem fantastyczny. Wywałam. A potem, tak dla smaku, dodaję po scenie z A Gengiem króciutki epilog, będący fragmentem listu, który jeden z robotników napisał w 1918 roku do cesarza Wilhelma II z prośbą o doprowadzenie do pokoju na świecie: „Jestem przekonany, że wołą niebios jest, by ludzkość żyła ze sobą w zgodzie, jak jedna wielka rodzina”.

„Genialne!” – pisze Daniella w reakcji na mój pomysł. „Tak świetnie się z tobą pracuje. Większość autorów kręci nosem, kiedy muszą zabić swoje dzieci”.

Cała promienieję. Chcę, by redaktorka mnie lubiła. Zależy mi na tym, by łatwo się jej ze mną pracowało. Nie chcę okazać się upartą gwiazdą, która odmawia dokonywania jakichkolwiek zmian. Dzięki temu tym chętniej będzie ze mną pracować w przyszłości.

Nie chodzi tu jedynie o uleganie autorytetom. Naprawdę uważam, że wspólnie uczyniłyśmy tę książkę lepszą, bardziej przystępną, lżejszą w odbiorze. Po lekturze rękopisu człowiek mógł się poczuć głupi, wyobcowany i mocno rozdrażniony protekcyjnym, pouczającym tonem przekazu. Pierwowzór cuchnął wszystkim, co było w Athenie irytujące. Nowa wersja opowiada historię uniwersalną, do której odnieść się może każdy i którą każdy mógłby przeżyć osobiście.

Ostatecznie cały proces wymaga trzykrotnego przejrzania tekstu, co zajmuje nam cztery miesiące z okładem. Pod koniec „Ostatni front” jest mi już tak bliski, że sama nie wiem, gdzie kończy się Athena, a zaczynam ja. Nie mam pojęcia, które słowa są czyje. Odrobiłam lekcje. Mam za sobą lekturę kilkunastu książek o azjatyckiej polityce rasowej i dziejach sprowadzonych na front pierwszej wojny chińskich robotników. Nad każdym słowem, zdaniem i akapitem ślęczałam tak długo, że znam je wszystkie niemal na pamięć – kurczę, podejrzewam, że przeczytałam tę powieść więcej razy niż Athena.

W efekcie jedno dociera do mnie bardzo jasno: naprawdę umiem pisać. Niektórymi z ulubionych ustępów Danielli są fragmenty, które z całą pewnością stworzyłam sama. Na przykład ta

część, w której uboga francuska rodzina niesłusznie oskarża grupę chińskich robotników o kradzież stu franków z ich domu. Chińczycy, chcąc w dobrym świetle zaprezentować swój naród i rasę, urządzają zrzutkę i zbierają dwieście franków, które przekazują owej rodzinie, mimo że są w oczywisty sposób niewinni. W wersji Atheny znalazła się jedynie przelotna wzmianka o fałszywym oskarżeniu, lecz w moim ujęciu staje się ona wzruszającą ilustracją uczciwości Chińczyków.

Wracają do mnie, i to wezbrana falą, pewność siebie i animusz, które straciłam wskutek straszliwych doświadczeń z debiutancką powieścią. Jestem wspaniałą pisarką. Uczę się pisać już niemal dekadę i wiem, jak skonstruować bezpośrednio, celne zdanie. Potrafię nadać opowieści taką konstrukcję, by czytelnik nie mógł się od niej oderwać od pierwszej do ostatniej strony. Wiele lat poświęciłam na doskonalenie warsztatu. Może rzeczywiście myśl przewodnia tej książki nie była moja, lecz to ja ją ocaliłam, ja ten diament znalazłam i oszlifowałam go w przepięknej urody brylant.

Problem w tym, że nikt nigdy nie zrozumie, jak wiele w „Ostatni front” zainwestowałam. Jeśli kiedykolwiek rozejdzie się wieść, że książkę napisała Athena, wszyscy będą patrzeć na moje dzieło, na te moje prześwietne zdania, i będą w nich widzieć jedynie Athenę Liu.

Na szczęście nikt nie musi o tym wiedzieć, prawda?

*

Kłamstwo najskuteczniej ukrywa się, pamiętając o zasadzie „najciemniej pod latarnią”. Fundament kładę na długo przed ukazaniem się powieści, zanim jeszcze wczesne wersje trafiają do rąk recenzentów i blogerów. Nigdy nie ukrywałam znajomości z Atheną, a teraz opowiadam o niej bardziej otwarcie niż kiedykolwiek. Obecnie jestem przecież najlepiej znana jako naoczna świadkini jej śmierci.

Tak więc rozgrywam swój związek z Atheną. We wszystkich wywiadach przemycam jej nazwisko. Żałoba po jej śmierci staje się kamieniem węgielnym mojej literackiej historii. Okej, być może

zdarza mi się przy tym nieco koloryzować. Zdarzające się raz na kwartał wspólne wypadki na miasto stają się wypadami comiesięcznymi, a nawet cotygodniowymi. W komórce mam zaledwie dwa nasze wspólne selfie, ale i tak traktuję je czarno-białym filtrem i wrzucam na Instagrama, uzupełniając zdjęcia wzruszającym wierszem okolicznościowym. Czytałam wszystko, co napisała Athena, a ona czytała wszystko, co napisałam ja. Nie raz i nie dwa wymienialiśmy się pomysłami. Była dla mnie najważniejszym źródłem inspiracji, a jej uwagi i rady stanowiły nawóz, który pozwolił mi wzrosnąć jako pisarce. O wszystkim tym opowiadam publicznie.

Bo widzicie, im bliższe sobie się wydajemy, tym mniej zagadkowe będą ewentualne podobieństwa mojej książki do jej wcześniejszych prac. Odciski palców Atheny widnieją na każdej stronie „Ostatniego frontu”. Nie usiłuję ich zatrzeć, dostarczam jedynie alternatywnego uzasadnienia ich obecności.

„Po kłapie debiutanckiej książki znalazłam się jako pisarka w niezwykle trudnym położeniu” – mówię w wywiadzie dla Book Riot. „Nie byłam nawet pewna, czy chcę to dalej ciągnąć. I to właśnie Athena mnie przekonała, bym raz jeszcze przysiadła do tego rękopisu. A potem pomogła mi z dokumentacją. To ona przedzierała się przez wszystkie chińskojęzyczne źródła i wyszperała masę cennych tekstów w Bibliotece Kongresu”.

To nie są kłamstwa. Przysięgam, nawet przez chwilę nie byłam aż taką psychopatką. Po prostu naginam lekko rzeczywistość, rzucam na obraz odpowiednie światło po to, by czający się w zakamarkach mediów społecznościowych mściwy tłum nie zwęszył świeżej krwi. Poza tym mleko się już rozlało – gdybym wyjawiała prawdę w tej chwili, zniszczyłabym książkę, a to przecież spuścizna Atheny. Nie mogę jej tego zrobić.

Nikt niczego nie podejrzewa. Pomocna okazuje się wyniosłość Atheny. Jeśli wierzyć wspominkom, jakie po jej pogrzebie pojawiły się na Twitterze, miała innych znajomych, lecz to wszystko ludzie rozsiani po całych Stanach i różnych kontynentach. W Waszyngtonie nie miała nikogo, z kim spotykałaby się regularnie. Nie istnieje nikt, kto mógłby podać w wątpliwość moją wersję historii naszej znajomości. Cały świat jest gotów wierzyć, że byłam najbliższą

przyjaciółką Atheny Liu – owszem, jest to niewiarygodnie cyniczne, lecz nasza przyjaźń stawia w niewygodnym położeniu każdego ewentualnego krytyka. Jeśli ktokolwiek oskarży mnie o naśladowanie jej stylu, stanie się potworem atakującym pogrążoną w żałobie przyjaciółkę.

Athena, martwa muza. I ja, oplakująca ją bratnia dusza, nawiedzona przez jej widmo, niezdolna napisać choć słowa, w którym nie rozbrzmiewałoby echo głosu zmarłej.

I proszę, ktoś miał wątpliwości, że potrafię napisać dobrą historię?

Kontaktuję się ze Stowarzyszeniem Amerykańskich Pisarzy Pochodzenia Azjatyckiego i informuję, że ufunduję stypendium imienia Atheny dla uczestników prowadzonych przez tę organizację letnich warsztatów literackich. Athena również brała udział w jednej z edycji, a potem przez trzy lata udzielała się jako gościnnie instruktorka. Na początku rozmowy dyrektorka stowarzyszenia, Peggy Chan, wydaje się lekko skonsternowana i nieufna, lecz kiedy orientuje się, że proponuję jej pieniądze, błyskawicznie zmienia ton. Od tamtej pory podaje dalej wszystkie moje wpisy, a także zaśmieca mojego Twittera wiadomościami w stylu: „GRATULACJE! I NIE MOGĘ DOCZekać SIĘ LEKTURY #BrawoJune!”.

Entuzjazm Peggy nieco mnie krępuje, tym bardziej że cała reszta jej twitterowej aktywności skupia się na rasizmie w branży wydawniczej i podłym traktowaniu, jakiego ze strony decydentów doświadczają pisarze wywodzący się z marginalizowanych mniejszości. Lecz cóż, skoro ona może wykorzystać mnie, to ja wykorzystam ją.

*

W tak zwanym międzyczasie zabezpieczam się na wszelkie możliwe sposoby.

Uczę się. Czytam wszystkie teksty źródłowe, na które Athena powoływała się w rękopisie, dzięki czemu staję się prawdziwą ekspertką w dziedzinie Chińskiego Korpusu Pracy. Usiłuję nawet liznąć nieco mandaryńskiego, lecz mimo że naprawdę się

przykładam, wszystkie te znaki nadal uparcie przypominają krzaczkę, a niezbędne do opanowania wymowy tony okazują się czymś w rodzaju wyrafinowanego żartu sadysty. Daję więc za wygraną. (Ale to nie szkodzi: znalazłam stary wywiad, w którym Athena przyznała, że nie mówi płynnie po mandaryńsku, a skoro sama Athena Liu nie mogła zapoznać się ze źródłami w oryginale, to dlaczego miałabym je czytać ja?)

Ustawiam w Google'u alerty reagujące na moje nazwisko, nazwisko Atheny i nasze nazwiska pojawiające się obok siebie. Większość wyników to branżowe, niewnoszące nic nowego informacje – doniesienia o mojej umowie, hołdy dla literackiej spuścizny Atheny i rzadkie wzmianki na temat jej wpływu na moje pióro. Ktoś napisał długi, wzruszający artykuł o dziejach literackich przyjaźni i ze łzami w oczach czytam porównania swojej znajomości z Atheną do takich par jak Tolkien i Lewis czy Brontë i Gaskell.

Przez kilka tygodni wszystko sugeruje, że mi się upiekło. Nikt nie zastanawia się, w jaki sposób weszłam w posiadanie tekstu. Wygląda na to, że naprawdę nikt nie miał pojęcia, nad czym pracowała Athena.

Pewnego dnia jednak na stronie „Yale Daily News” ukazuje się nagłówek, który sprawia, że żołądek podchodzi mi do gardła: „Yale pozyskuje robocze notatki Atheny Liu”.

A oto fragment pierwszego akapitu:

Nieżyjąca powieściopisarka, absolwentka Yale Athena Liu, pozostawiła po sobie liczne zeszyty z notatkami, które już wkrótce staną się częścią zbiorów Archiwum Literackiego Marlina, wchodzącego w skład Biblioteki Sterlinga. Zapiski owe zostały przekazane bibliotece przez matkę zmarłej autorki, Patricię Liu, która wyraziła wdzięczność, że dokumenty zawierające zapis procesu twórczego jej córki zostaną zachowane w murach jej alma mater...

Kurde, kurde, kurde, kurde.

Przecież Athena w tych swoich głupich moleskine'ach notowała dosłownie wszystko.

Opowiadała o tym publicznie: „Całość pracy wstępnej nad pomysłem, a także zapiski z dokumentacji wykonuję ręcznie, na

papierze” – mówiła. „W ten sposób łatwiej mi się myśli, łatwiej rozpoznaję i łączę poszczególne tematy i motywy. Podejrzewam, że dzieje się tak, ponieważ fizyczny akt pisania zmusza umysł do bardziej powolnej pracy, do konkretnego namysłu nad każdym zapisywanym słowem. Dopiero kiedy zapełnię takimi notatkami sześć czy siedem zeszytów, wyciągam maszynę do pisania i tworzę prawdziwy rękopis”.

Nie wiem, dlaczego nie przyszło mi do głowy, by zabrać te notatniki. Leżały przecież na biurku – widziałam co najmniej trzy, dwa czekały otwarte obok stosu kartek. Byłam tamtej nocy mocno spanikowana. Pewnie uznałam, że wraz z całą resztą jej rzeczy trafią do jakiegoś magazynu. Ale publicznie dostępne archiwum? Kurwa mać. Pierwszy chętny, by napisać o Athenie jakąś pracę, a jestem pewna, że będzie takich niemało, z miejsca zobaczy zapiski dotyczące „Ostatniego frontu”. Nie mam wątpliwości, że będą to notatki wyczerpujące i szczegółowe. Wszystko stanie się jasne. Cała moja konstrukcja legnie w gruzach.

Nie mam czasu, by się uspokajać i dokładnie wszystko planować. Muszę zdusić tę aferę w zarodku. Z rozkołatanym sercem sięgam po komórkę i dzwonię do matki Atheny.

*

Pani Liu jest piękna. To prawda, co mówią – Azjatki się nie starzeją. Myślę, że kilka lat temu stuknęła jej pięćdziesiątka, lecz wygląda najwyżej na trzydziestkę. W eleganckiej, drobnej figurze i wydatnych kościach policzkowych widać ślady eterycznej urody, którą odziedziczyła Athena. Na pogrzebie twarz pani Liu była tak opuchnięta od płaczu, że nie zauważyłam, jak jest piękna. Teraz, z bliska, przypomina córkę tak bardzo, że to aż upiorne.

– Junie! Jak miło cię widzieć. – Obejmuje mnie na progu. Pachnie jak suszone kwiaty. – Wejdz, proszę.

Zajmuję miejsce przy kuchennym stole. Gospodyni nalewa i stawia przede mną filiżankę bardzo aromatycznej herbaty, po czym siada i częstuje się sama.

– Jak zrozumiałam, chcesz porozmawiać o rzeczach Atheny.

Jest bardzo bezpośrednia. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie zaczęła czegoś podejrzewać. W niczym nie przypomina ciepłej, otwartej na świat i ludzi kobiety, jaką poznałam na pogrzebie. Zaraz potem jednak zauważam opadnięte wskutek zmęczenia kąci jej ust, wyraźne cienie pod oczami i uświadamiam sobie, że pani Liu próbuje po prostu przebrnąć przez kolejny dzień życia. Przyszłam uzbrojona w cały arsenał tematów do niezobowiązującej rozmowy: opowieści z życia Atheny, historie ze studiów, refleksje dotyczące żałoby i tego, jak trudno jest mierzyć się z upływającymi minutami człowiekowi, który raptownie traci jeden z filarów egzystencji. Wiem, czym jest strata. Potrafię o niej rozmawiać.

Zamiast tego od razu przechodzę do rzeczy:

– Przeczytałam, że chce pani przekazać notatniki Atheny bibliotece w Yale?

– Owszem. – Pani Liu pochyla głowę na bok. – Nie sądzisz, że to dobry pomysł?

– Nie, nie. Nie w tym rzecz. Po prostu... ciekawi mnie, jak to się stało? Z jakiego powodu podjęła pani taką decyzję? – Moje policzki stoją w ogniu. Nie potrafię wytrzymać jej spojrzenia. Opuszczam wzrok. – Oczywiście, jeśli ma pani ochotę o tym mówić. Zdaję sobie sprawę, że to wszystko... Że właściwie nie sposób o tym rozmawiać. Rozumiem. W dodatku prawie mnie pani nie zna...

– Przed kilkoma tygodniami dostałam mail od prowadzącej ten projekt bibliotekarki – tłumaczy pani Liu. – Marjorie Chee. Bardzo sympatyczna dziewczyna. Porozmawiałyśmy trochę przez telefon i okazało się, że świetnie zna książki Atheny. – Wzdycha, upija łyk herbaty.

Z jakiegoś powodu bez przerwy myślę o tym, jak dobrze mówi po angielsku. Ślad obcego akcentu jest ledwie zauważalny, dysponuje bogatym słownictwem, posługuje się złożonymi i zróżnicowanymi strukturami gramatycznymi. Athena zawsze robiła wielkie halo z faktu, że jej rodzice przybyli do Stanów, nie znając nawet słowa po angielsku. Na moje ucho jednak angielszczyźnie pani Liu nie można niczego zarzucić.

– No i cóż. Nie za bardzo się znam na tych sprawach, ale uznałam, że przekazanie tych zapisków do publicznie dostępnego archiwum to świetny sposób na upamiętnienie Atheny. Była taka

inteligentna... Cóż, sama wiesz o tym najlepiej. Jej myśli biegły zawsze tak fascynującymi ścieżkami. Jestem pewna, że jacyś naukowcy zajmujący się literaturą zainteresują się jej twórczością i podejmą badania. Athenie bardzo by się to spodobało. Zawsze była zachwycona, kiedy uczeni pisali o jej książkach. Powtarzała, że dla niej to ważniejsze niż... uwielbienie mas. Jej własne słowa. Poza tym przecież te zeszyty nie są mi do niczego potrzebne. Co mi po nich? – Wskazuje ruchem głowy kąt kuchni. Spoglądam tam, gdzie ona, i zapiera mi dech w piersiach. Wszystkie zapiski są tuż przede mną, bezceremonialnie wrzucone do kartonowego pudła ustawionego na półce tuż pod torebką ryżu i warzywem wyglądającym jak gładki arbuż bez pasków. Umysł zalewa mi fala najdziwszych fantazji. Mogłabym po prostu złapać ten karton i wybiec. Zanim pani Liu się połapie, będę pół przecznicy dalej. Mogłabym też poczekać, aż wyjdzie z domu, polać wszystko olejem i podpalić i nikt by się nie zorientował.

– Czytała to pani? – pytam ostrożnie.

– Nie. – Z piersi pani Liu wyrывa się jeszcze jedno westchnienie. – Myślałam o tym, ale... to bolesny temat. Wiesz, nawet kiedy Athena żyła, niełatwo było mi czytać jej powieści. Tak wiele czerpała z dzieciństwa, z opowieści, których nasłuchiwała się ode mnie i ojca, z pewnych rzeczy... z przeszłości. Z przeszłości naszej rodziny. Kiedy przeczytałam jej pierwszą książkę, uświadomiłam sobie, że bardzo trudno wracać do tych wspomnień, kiedy ogląda się je z cudzego punktu widzenia. – Patrzę, jak pulsuje jej gardło. Poprawia sobie kołnierzyk. – Zaczęłam się nawet potem zastanawiać. Być może powinniśmy byli jej tego wszystkiego oszczędzić. Tyle bólu.

– Rozumiem – mówię. – Moi krewni podchodzą do mojej pisaniny bardzo podobnie.

– Naprawdę?

Nie, to kłamstwo. Nie mam pojęcia, co mnie podkusiło. Moich bliskich w ogóle nie obchodzi, o czym piszę. Dziadek przez całe cztery lata, które spędziłam w Yale, marudził, że tyle pieniędzy idzie na mój bezużyteczny tytuł magistra filologii, a mama do tej pory regularnie raz na miesiąc dzwoni z pytaniem, czy nie zdecydowałam się przypadkiem zmienić zawodu na taki, który przyniesie mi prawdziwe pieniądze. Prawo, może konsulting. Rory przeczytała mój

debiut, z tym że zupełnie go nie rozumiała. Pytała bez przerwy, dlaczego te siostry są takie niezdolne, co swoją drogą mocno mnie zaskoczyło, ponieważ wzorowałam postacie na nas.

Tym jednak, czego potrzeba w tej chwili pani Liu, jest towarzystwo i współczucie. Chce usłyszeć kilka właściwych słów. A dobieranie właściwych słów to przecież moja specjalność.

– Takie książki wydają się zbyt bliskie prawdy – mówię. – Ja również zawieram w swoich powieściach sporo elementów własnego życia. – To akurat prawda, mój debiut był praktycznie autobiografią. – A że moje dzieciństwo nie było usłane różami, rodzinie nie jest łatwo... Nie lubią sobie przypominać o własnych błędach. Nie podoba im się, kiedy muszą pewne rzeczy oglądać moimi oczyma.

– Świetnie to rozumiem. – Pani Liu energicznie kiwa głową.

Dostrzegam dogodną okazję. Takie to oczywiste, że aż zbyt łatwe.

– I w sumie... No właśnie, bo ja, prawdę powiedziawszy... przyszłam dzisiaj porozmawiać trochę z tego powodu... – Nabieram powietrza. – Pani Liu, będę z panią szczerą. Moim zdaniem udostępnianie notatek Atheny całemu światu to niedobry pomysł.

– Dlaczego? – Na jej czole pojawia się zmarszczka.

– Nie jestem pewna, jak wiele wie pani o procesie twórczym córki...

– Niewiele – przyznaje pani Liu. – Właściwie to nic. Nie znośiła opowiadać o pracy przed ukończeniem książki. Wystarczyło wspomnieć słówko, a już zaczynała się jeżyć.

– No właśnie. W tym szkopuł – mówię. – Okres tworzenia opowieści był dla Atheny czasem bardzo intymnym. Jej książki dotyczą tak bolesnych spraw. Pamiętam, że rozmawiałam z nią o tym. Nazwała to wydobywaniem z własnej przeszłości zadawnionych blizn. Znajdowała te blizny, a następnie je rozdrapywała, by zaczęły na nowo krwawić. – Ani razu nie rozmawiałam z nią tak głęboko na temat pisania. Motyw rozdrapywania blizn zaczerpnęłam z jakiegoś wywiadu. Ale to prawda, tak właśnie Athena myślała o powstawaniu swych książek. – Nie była w stanie pokazać swojego bólu nikomu, dopóki nie wyraziła go w sposób idealny. Dopóki nie miała pełnej kontroli nad

opowieścią. Dopóki nie uzyskała wersji, z którą czuła się dobrze. Tymczasem te notatniki pełne są pierwotnych refleksji, myśli w surowej, nieoczyszczonej formie. I po prostu nie jestem w stanie... Sama nie wiem. Czuję, że przekazanie jej zapisków bibliotece naruszyłoby coś ważnego. Że to trochę jak wyciągnięcie na widok publiczny jej zwłok.

Być może nieco przeginam z porównaniem. Niemniej to działa.

– Mój Boże... – Pani Liu podrywa rękę do ust. – O mój Boże, nie wierzę....

– Naturalnie decyzja należy do pani – dopowiadam pospiesznie. – Ma pani pełne prawo postąpić zgodnie z własnym sumieniem. Uznałam po prostu, że jako przyjaciółka mam obowiązek powiedzieć pani o swoich zastrzeżeniach. Myślę, że Athena by tego nie chciała.

– Rozumiem. – Oczy pani Liu są w tej chwili czerwone, rozwodnione łzami. – Dziękuję ci, June. Nie przyszło mi nawet do głowy... – Milknie na chwilę, wpatrzona w filiżankę. Kilka razy energicznie mruga, po czym podnosi wzrok na mnie. – Może więc ty je zabierzesz?

– Ja? – wzdrygam się.

– Mieć to wszystko pod ręką... to dla mnie bolesne. – Opadają jej ramiona, wygląda, jakby nagle przywiedła. – A ty przecież znałaś ją tak dobrze... – Kręci głową. – Och, co ja wygaduję? Narzucam się... Zapomnij o tym.

– Nie, nie. Tylko... – Czy powinnam się zgodzić? Zyskałabym pełnię kontroli nad notatkami Atheny z okresu powstawania „Ostatniego frontu”. Kto wie co jeszcze mogłabym w tych zapiskach znaleźć? Pomysły na kolejne książki? Może nawet kompletne plany, szkice?

Nie, chciwość rzadko popłaca. I tak zrealizowałam już swój cel. Jeśli posunę się dalej, mogę zostawić zbyt wyraźny trop. Pani Liu może i jest dyskretna, lecz co będzie, kiedy „Yale Daily News” zamieści choćby najbardziej niewinną na świecie informację, że archiwum Atheny trafiło w moje ręce?

Poza tym wcale nie mam zamiaru budować kariery wyłącznie na jej spuściznie. „Ostatni front” to sytuacja wyjątkowa, pomyślny

zbieg okoliczności, połączenie dwóch odmiennych rodzajów geniuszu. Wszystko, co wydam potem, będzie już tylko moje. Niepotrzebna mi taka pokusa.

– Nie mogłabym – podejmuję łagodnie. – Nie czułabym się z tym dobrze. Może powinny zostać w rodzinie?

Najbardziej chciałabym, żeby po prostu spaliła te notatniki, żeby rozsypała pozostały po nich popiół wraz z prochami Atheny, by już nikt, żaden wścibski krewny po kilkudziesięciu latach nie zaczął w nich grzebać, roztrącając to, co powinno zostać w spokoju. Muszę jednak sprawić, by sama na tę myśl wpadła.

– Poza mną nie ma nikogo. – Pani Liu kręci głową. – Odkąd mąż wrócił do Chin, byliśmy tu same. Tylko ja i Athena. – Pociąga nosem. – Właśnie dlatego przystałam na propozycję biblioteki. Pomyślałam, że mnie w ten sposób odciążą.

– Niezbyt bezpieczne rozwiązanie – rzucam. – Nigdy nie wiadomo, co ludzie mogliby w tych zeszytach znaleźć i wyciągnąć na światło dzienne...

Matka Atheny otwiera szeroko oczy. Nagle zaczyna się bardzo denerwować i zastanawiam się, o czym w tej chwili myśli. Zdaje sobie jednak sprawę, że nie powinnam wypytywać. Mam, co chciałam. Pozwolę, by dzieło doprowadziła do końca jej własna wyobraźnia.

– O mój Boże... – powtarza. – Nie wierzę...

Czuję, jak skręca mi się żołądek. Pani Liu jest naprawdę roztrzęsiona. Jezu Chryste. Co ja wyprawiam? Nagle mam ochotę po prostu stąd wyjść. W cholerę z tymi notatnikami. Popieprzona sytuacja. Skąd miałam tyle tupetu, by do niej przyjść?

– Pani Liu, za nic nie chciałabym wywierać na panią presji...

– Nie. – Zdecydowanym ruchem stawia filiżankę na stół. – Nie. Masz rację. Nie mogę pokazać całemu światu duszy własnego dziecka.

– Skoro rzeczywiście tak pani... – Wypuszczam wstrzymywane powietrze. Przyglądam się jej z rezerwą. Czyżbym wygrała? Czy to mogło być takie proste?

– Tak, taka jest moja decyzja. – Mierzy mnie ostrzegawczym spojrzeniem, jakby spodziewała się, że spróbuję wybić jej pomysł z głowy. – Nikt nie przeczyta tych zapisków. Nikt.

Zostaję u niej jeszcze pół godziny. Rozmawiamy o błahostkach, tłumaczę matce Atheny, jak wygląda moje życie od dnia pogrzebu. Opowiadam o „Ostatnim froncie”, o tym, jak wielkim natchnieniem dla tej powieści była Athena i że mam nadzieję, że będzie dumna z tego, co napisałam. Pani Liu jednak nie wykazuje większego zainteresowania. Jest rozkojarzona, trzykrotnie pyta, czy napiję się jeszcze herbaty, mimo że odmówiłam już za pierwszym razem. Wreszcie staje się oczywiste, że chce zostać sama i tylko uprzejmość nie pozwala jej mnie wyprosić. Kiedy w końcu wstaję i ruszam do drzwi, pani Liu wpatruje się w karton, ewidentnie przerażona tym, co może się w nim kryć.

*

Przez kilka najbliższych tygodni uważnie obserwuję stronę internetową biblioteki Yale, wypatrując ewentualnych doniesień na temat notatek Atheny Liu.

Nie pojawia się jednak nawet jedna wzmianka. Trzynasty styczeń przychodzi i odchodzi, a właśnie tego dnia zapiski miały zostać udostępnione szerokiej publiczności. Kilka dni później przeszukuję też serwis „Yale Daily News” i okazuje się, że pierwotna zapowiedź wydarzenia zniknęła bez śladu. Link prowadzi w pustkę, jakby artykuł nigdy nie istniał.

Pięć

W najbliższą środę ma się odbyć moja pierwsza wideokonferencja z ludźmi od reklamy i marketingu.

Denerwuję się tak strasznie, że niewiele brakuje, bym puściła pawia. Współpracę z laską od reklamy z poprzedniego wydawnictwa wspominam jak koszmar. Kimberly, blondynka o wiecznie ściągniętej twarzy, przekazywała mi prośby o wywiad od blogerów, których wpisy śledziło góra pięć osób. A kiedy zasugerowałam, że mogłaby zrobić coś więcej, na przykład załatwić wzmiankę o mojej książce na stronie, którą naprawdę ktoś czyta, usłyszałam w odpowiedzi: „Cóż, zobaczymy, co się da zrobić, ale to zależy od zainteresowania”. Kimberly, podobnie jak cała reszta świata, już na bardzo wczesnym etapie wiedziała, że mój debiut jest spektakularną klapą, tylko nie miała serca, by powiedzieć mi o tym prosto w oczy. Mniej więcej co drugą rozmowę myliła moje imię i nazywała mnie Jane. Kiedy zrezygnowałam z dalszej pracy z jej wydawnictwem, przysłała mi króciutki mail o następującej treści: „Miło się z tobą pracowało”.

Tym razem entuzjazm całej załogi dosłownie powala. Odpowiedzialna za reklamę Emily razem z Jessicą, dziewczyną od marketingu cyfrowego, rozpoczynają spotkanie, mówiąc, jak bardzo podoba im się manuskrypt.

– Ten tekst otacza taka specyficzna aura... Jakby napisał go ktoś znacznie starszy – zachwyca się Jessica. – Myślę, że uda się nam „Ostatni front” spozycjonować gdzieś w przestrzeni pomiędzy powieścią historyczną, za tym gatunkiem przepadają kobiety, a epopeją wojenną, co z kolei wpasuje się w gusta męskiej części rynku.

Szok. Jessica chyba naprawdę tę książkę przeczytała. Dla mnie to spora nowość. Kimberly nigdy nie była do końca pewna, czy

napisałam powieść, czy pamiętnik.

Następnie przedstawiają mi swoją strategię marketingową. Fachowość obu dziewczyn zbija mnie z nóg. Wspominają o kampanii na Facebooku i reklamach na Goodreads. Kto wie, może wykupią nawet banery na stacjach metra, choć nie jest do końca jasne, czy w tych czasach ktokolwiek zwraca jeszcze na nie uwagę. Sporo uwagi poświęcają też odpowiedniej ekspozycji „Ostatniego frontu” w księgarniach, dzięki czemu już w dniu premiery moja powieść będzie pierwszą, którą zobaczą ludzie po wejściu do dowolnego oddziału Barnes & Noble na terenie całego kraju.

– Nie mam cienia wątpliwości, że mamy tu sensację sezonu – zapewnia Jessica. – W każdym razie dołożymy ze swojej strony wszelkich starań, by tak się stało.

Odbiera mi mowę. Serio. Czy to tak jest być Atheną? Już na starcie słyszy się, że książka będzie przebojem?

Na zakończenie Jessica przedstawia kilka dat. Ustalamy między innymi, do kiedy będę musiała dostarczyć materiały promocyjne. A potem na krótką chwilę zapada milczenie. Emily raz po raz pstryka długopisem.

– Chcemy z tobą omówić jeszcze kwestię... hmm, pozycjonowania.

Po chwili dociera do mnie, że powinnam zareagować.

– Jasne, przepraszam... Co konkretnie masz na myśli?

Dziewczyny wymieniają spojrzenia.

– Cóż, chodzi o to, że spora część „Ostatniego frontu” rozgrywa się w Chinach – tłumaczy Jessica. – A biorąc pod uwagę ostatnie dyskusje medialne na temat... No wiesz...

– Autentyczności kulturowej – wtrąca Emily. – Nie wiem, czy i jak dokładnie śledzisz życie w sieci. Blogerzy książkowi i admini literackich kont twitterowych bywają w pewnych kwestiach... grymaśni.

– Chciałybyśmy po prostu uprzedzić ewentualne afery tudzież... przejawy moralnego wzmożenia, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć – dodaje Jessica.

– Na dokumentację poświęciłam naprawdę mnóstwo czasu – odpowiadam. – Nie pisałam przecież w oparciu o... no wiecie, stereotypy. To nie taka książka...

– Naturalnie – rzuca swobodnie Emily. – Ale sama jesteś... To znaczy właśnie nie jesteś...

Nagle zaczynam rozumieć.

– Nie jestem Chinką – kwituję zwięźle. – Moja powieść nie jest głosem marginalizowanej mniejszości, jeśli do tego zmierzasz. Czy to jakiś kłopot?

– Nie, skądże znowu. Żaden. Po prostu wolimy się zabezpieczyć. A nie jesteś przypadkiem... no ten... czymś innym? – Emily milknie i natychmiast się krzywi. Wie, że nie powinna była zadawać tego pytania.

– Jestem biała – rzucam. – Czy wy próbujecie mi powiedzieć, że będziemy mieć problem, dlatego że napisałam tę książkę, a jestem biała?

Natychmiast żałuję, że ujęłam problem w taki właśnie sposób. Prowadzę rozmowę zbyt obcesowo, okazuję nerwowość i brak pewności siebie. Dziewczyny zaczynają bardzo intensywnie mrugać, zerkają po sobie jakby z nadzieją, że to koleżanka odpowie.

– Oczywiście, że nie – odzywa się wreszcie Emily. – To jasne, że każdy powinien móc pisać o tym, o czym tylko zechce. Zastanawiamy się po prostu, jak najlepiej tę książkę spozycjonować, by czytelnicy mogli jej zaufać.

– Przecież mogą – zauważam. – Mogą zaufać słowom, które znajdą na papierze. Niech uwierzą w krew, pot i łzy, jakie wylałam, opowiadając tę historię.

– No tak, jasne – rzuca Emily. – Nie mamy zamiaru tego unieważniać.

– Pewnie, że nie – wtóruje jej Jessica.

– Powtarzam, wszyscy powinni móc opowiadać dowolne historie.

– Nie pracujemy przecież w cenzurze. Nie na takich wartościach opiera się działalność Eden Press.

– Właśnie.

Zaraz potem Emily zmienia temat na kwestie typu, gdzie mieszkam, gdzie trzeba będzie zorganizować spotkania promocyjne i tak dalej. Rozmowa wkrótce wygasa i spotkanie dobiega końca, zanim mam szansę na powrót zorientować się, na czym stoję. Dziewczyny ponownie zapewniają, że wprost nie mogą się doczekać

książki, że wspianiale było mnie poznać oraz że cieszą się na myśl o naszej dalszej współpracy. Rozłączają się i zostają sama, wgapiona w pusty ekran.

Czuję się okropnie. Natychmiast piszę maila do Bretta i wylewam z siebie wszystkie zastrzeżenia i niepokoje. Odpowiada po godzinie, zapewniając, że niepotrzebnie się martwię. „Chciały mieć po prostu jasność w temacie” – pisze. „Muszą wiedzieć, w jaki sposób cię spozycjonować”.

Jak się okazuje, kluczowym hasłem pozycjonowania ma być „bywała w świecie”. W następny poniedziałek Jessica i Emily przysyłają nam dłuższy mail, w którym szczegółowo opisują swój plan: „Naszym zdaniem dotychczasowe koleje życia June są bardzo ciekawe, dlatego chcemy zadbać, by poznali je również czytelnicy”. Podkreślają, że jako mała dziewczynka mieszkałam w najrozmaitszych częściach świata. Ameryka Południowa, Europa Środkowa, sześć różnych miast w samych Stanach, słowem wymieniają wszystkie przystanki na trasie niekończącego się tournée, jakie odbywał mój ojciec jako pracujący na budowach inżynier. (Emily szczególnie upodobała sobie określenie „nomadka”). Silny nacisk w moim na nowo opracowanym biogramie kładą na rok, który spędziłam, pracując dla Korpusu Pokoju, mimo że Azji nie widziałam wówczas nawet z daleka (trafiłam do Meksyku, gdzie miałam szansę wykorzystać poznany w liceum hiszpański, lecz dość szybko stamtąd wróciłam, gdyż dopadł mnie jakiś okrutny wirus żołądkowy i skończyło się pilną ewakuacją). Sugerują również, bym zrezygnowała z nazwiska June Hayward i publikowała odtąd pod pseudonimem Juniper Song („Twój debiut nie dotarł do tak szerokiej grupy czytelników, na jaką liczymy teraz, więc lepiej będzie zacząć na nowo, bez zbędnego bagażu. Poza tym Juniper to niesamowicie wyjątkowe imię. A jeszcze w połączeniu z Song? Zwróćcie uwagę, jak fantastycznie to brzmi, prawie jakbyś była rdzenną Amerykanką”). Nikt nie wspomina o różnicy w odbiorze obu proponowanych nazwisk. Nikt nie mówi wprost, że Song przypomina chińskie nazwisko, choć w rzeczywistości jest to moje najprawdziwsze drugie imię. Mama wymyśliła je w latach osiemdziesiątych, w swoim hipisowskim okresie. Niewiele brakowało, a nazwałaby mnie Juniper Serenity Hayward.

Emily pomaga mi sklecić artykuł na temat pseudonimów i literackiej tożsamości, który wysyłamy do „Electric Lit”. Wyjaśniam w tym tekście, że postanowiłam przyjąć pseudonim Juniper Song, by uhonorować swoje korzenie i wpływ, jaki na moje życie wywarła matka. „Mój debiut »Ponad jaworem«, który napisałam jeszcze jako June Hayward, zbudowany został na fundamencie żałoby, jaką przeżywałam po śmierci ojca” – piszę. „»Ostatni front«, który stworzyłam już jako Juniper Song, symbolizuje krok naprzód, jaki poczyniłam w swojej artystycznej podróży. Właśnie to podoba mi się w pisarstwie najbardziej: literatura oferuje autorowi bezmiar możliwości stwarzania i odtwarzania samego siebie, dostajemy pełnię władzy nad opowieściami, jakie snujemy na własny temat. Pisząc, możemy wydobywać na światło dzienne dowolne aspekty swojego dziedzictwa i historii”.

Nie skłamałam ani słowem. To bardzo ważne. Nie udaję Chinki, nie przypisuję sobie fikcyjnych przeżyć. Nie dopuszczamy się oszustwa. Sugerujemy po prostu, że jestem odpowiednio doświadczona i wyposażona przez życie, by czytelnicy mogli potraktować moją powieść poważnie i by nikt nie odrzucił tej książki z powodu przestarzałych uprzedzeń dotyczących tego, kto może pisać na jaki temat. A jeśli ktoś mimo wszystko wyciągnie z tego artykułu fałszywe wnioski, jeżeli połączy kropki w niewłaściwy sposób i otrzyma błędny obraz, czyż nie powie to więcej o nim niż o mnie?

*

Znacznie bardziej gładko posuwają się prace redakcyjne. Daniella jest zachwycona wprowadzonymi przeze mnie zmianami. Po trzecim przejrzaniu tekstu prosi jedynie o kilka delikatnych poprawek i chce też, bym dodała dramatis personae, czyli, mówiąc językiem zwykłych Ziemian, listę występujących w książce postaci wraz z krótkim ich opisem. Dzięki temu czytelnik się nie pogubi i zawsze będzie mógł sprawdzić, kto jest kim. Następnie „Ostatni front” trafia w ręce korektorki. O korektorach wiem z doświadczenia tyle, że są to nadludzie, a właściwie obdarzone nadludzkiem

wzrokiem monstra, zdolne wychwycić wszelkie błędy, nawet te, których nie widać gołym okiem.

Po drodze natykamy się tylko na jeden wybór, tydzień przed planowanym terminem końca korekty.

Nagle i niespodziewanie w mojej skrzynce odbiorczej ląduje mail od Danielli:

Cześć, June,

mam nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku. Dasz mi wiarę, że do premiery już tylko sześć miesięcy? Odzywam się, bo chcę poznać Twoje zdanie w pewnej sprawie. Candice zasugerowała, że powinniśmy pokazać tekst konsultantowi, Chińczykowi bądź komuś pochodzącemu z chińskiej mniejszości, by przejrzał całość pod kątem wrażliwości kulturowej. Wiem, że jest na to dość późno, ale może chcesz, byśmy się tym zajęły?

Chodzi o człowieka, który za stosowną opłatą przeczyta książkę i wyszuka w niej ewentualne treści mogące dla pewnych grup okazać się krzywdzące. Dajmy na to, biały autor pisze książkę, w której pojawia się czarnoskóry bohater. Wydawca może wtedy zatrudnić osobę odpowiedzialną za wychwycenie ewentualnych wątków rasistowskich, umieszczonych w rękopisie świadomie bądź nieświadomie. W ostatnich latach konsultantów kulturowych zatrudnia się coraz częściej, ponieważ pisarze coraz częściej spotykają się z oskarżeniami o posługiwanie się rasowymi stereotypami. Konsultacje tego rodzaju pozwalają autorom i wydawcom uniknąć twitterowych afer, aczkolwiek zdarza się też, iż okazują się katastrofalne w skutkach. Słyszałam mrożące krew w żylach historie o przynajmniej dwóch książkach, które nie doczekały się publikacji z powodu jednej, subiektywnej opinii konsultanta.

„Nie widzę powodu” – odpisuję. „Jestem pewna, że wszystko wzięłam pod uwagę w trakcie dokumentacji i zbierania materiałów”.

Odpowiedź przychodzi praktycznie natychmiast. Tym razem od Candice:

Moim zdaniem zdecydowanie powinniśmy wynająć konsultanta. Potrzebujemy kogoś zaznajomionego zarówno z historią, jak i z językiem. June nie należy do chińskiej mniejszości i naprawdę wiele zaryzykujemy, jeżeli nie sprawdzimy, czy w książce nie pojawiają się żadne rasistowskie zwroty, nazwiska lub inne naleciałości, jakie wychwycić może jedynie czytelnik wprawiony w wylapywaniu tego rodzaju omyłek.

Wyrywa mi się cichy jęk.

Candice Lee, asystentka Danielli, jest jedyną w całym Eden Press osobą, która mnie nie lubi. Nigdy nie dała mi tego odczuć wprost, nie w stopniu, który mogłabym uznać za podstawę do skargi – w mailach jest niezawodnie uprzejma, moje wpisy na mediach społecznościowych lajkuje i zawsze udostępnia, jeśli tylko dotyczą książki, a w czasie spotkań online wita się ze mną z szerokim uśmiechem na twarzy. Czuję jednak wyraźnie, że wszystkie te zachowania są sztuczne i wymuszone. Każdą rozmowę ze mną stara się jak najszybciej zakończyć, a szeroki uśmiech, którym mnie wita, skrywa specyficzny grymas.

Być może Candice знаła Athenę. Może jest jedną z tych pisarek, które chowają w szufladzie własny, niepublikowany, zainspirowany chińską kulturą rękopis, a utrzymują się, harując jako skąpo opłacane szeregowy pracownicy branży wydawniczej. Może jest zazdrosna, ponieważ mnie się udało, a jej nie. Świetnie to rozumiem. W naszych kręgach zawiść jest powszechnym zjawiskiem. Niemniej nie mój problem.

Powtórzę, jestem przekonana, że przygotowując się do pracy nad „Ostatnim frontem”, dochowałam należytej staranności. Nie wydaje mi się konieczne, byśmy opóźniały proces dodatkowymi konsultacjami, zwłaszcza na obecnym etapie, kiedy powinniśmy już przekazywać pierwsze wstępne egzemplarze recenzentom.

Wysyłam.

I na tym sprawa powinna się zakończyć. Tymczasem godzinę później znów słyszę dźwięk przychodzącej wiadomości. Candice.

Tego maila zaadresowała do mnie, Danielli i całego marketingu.

Moi drodzy,

chcę raz jeszcze podkreślić, iż w moim odczuciu skorzystanie z usług konsultanta kulturowego będzie przy tym projekcie niesłychanie istotne. W obecnej atmosferze czytelnicy będą podwójnie podejrzliwi wobec autorki piszącej o obcej sobie kulturze – i nie bez powodu. Zdaję sobie sprawę, że konsultacje spowolnią proces produkcji, uchronią za to June przed oskarżeniami o przywłaszczenie kulturowe, nikt nie nazwie jej kulturową pijawką. Dowiedlibyśmy w ten sposób, że June od początku zamierzała przedstawić punkt widzenia chińskiej mniejszości w jak najlepszej wierze.

Jezu Chryste. Przywłaszczenie kulturowe? Pijawka kulturowa? Co ta laska pali?

Przesyłam jej wiadomość Brettowi. „Mógłbyś jej napisać, żeby się odczepiła?” – proszę. Kiedy dochodzi do tego rodzaju gorących dyskusji, agenci są cudownymi pośrednikami; dzięki agentowi autor nie musi wykonywać brudnej roboty osobiście. „Wydaje mi się, że dostatecznie jasno napisałam, co o tym myślę, więc nie rozumiem, po co ciągnie temat?”

Brett sugeruje, że może zamiast zatrudniania zewnętrznego konsultanta tekst mogłaby przejrzeć pod względem wrażliwości kulturowej sama Candice. Candice odpowiada dość lakonicznie, że jej przodkowie pochodzą nie z Chin, a z Korei, a fakt, że Brett automatycznie założył jej chiński rodowód, stanowi akt rasistowskiej mikroagresji. (I w tym momencie dochodzę do wniosku, że jedynym sensem istnienia Candice jest zapewne wytykanie wszystkim dokoła rozmaitych form mikroagresji). Do rozmowy dołącza Daniella, która stara się złagodzić atmosferę. Oczywiście, że najważniejsza jest moja opinia, jako autorki. Wynajęcie konsultanta zależy wyłącznie ode mnie, a dałam przecież do zrozumienia, że sobie tego nie życzę. Produkcja potoczy się wcześniej zaplanowanym torem. Wszystko jest w porządku.

Po mniej więcej tygodniu Candice pisze do mnie i przeprasza za zbyt ostry ton, mail wysłany został też do wiadomości Danielli.

Niemniej nie są to przeprosiny z prawdziwego zdarzenia. Szczerze mówiąc, wiadomość jest po prostu pasywno-agresywna.

Przepraszam, June, jeśli poczułaś się urażona moimi sugestiami dotyczącymi prac redakcyjnych. Jak dobrze wiesz, jedynym moim celem jest jak najlepsze wejście „Ostatniego frontu” w rynek.

Wznoszę oczy do nieba, lecz postanawiam podejść do rzeczy z honorem. Zwyciężyłam, a przecież nie warto toczyć bitew z biednymi asystentkami. Odpowiadam więc najkrócej jak mogę: „Dziękuję, Candice. Doceniam to”.

Wkrótce dostaję prywatną wiadomość od Danielli, która informuje, że Candice została odsunięta od pracy przy naszym projekcie. Nie będę już musiała się nią przejmować. Wszelkie dalsze sprawy związane z „Ostatnim frontem” mogę załatwić przez Daniellę, Emily lub Jessicę. „Bardzo przepraszam, że musiałaś się z nią użerać” – pisze Daniella. „Candice ewidentnie podeszła do tej książki bardzo emocjonalnie, co zaburzyło jej osąd. Chcę, byś wiedziała, że odbyłam z Candice poważną rozmowę na temat respektowania pewnych granic w kontaktach z autorami. Dopilnuję, by nic podobnego się nie powtórzyło”.

Wiadomość tak bardzo tchnie skrucą, że przez chwilę jest mi naprawdę głupio. Denerwuję się, że rozdmuchałam tę aferę ponad miarę. Przelotny niepokój błędnie jednak wobec ulgi, jaką odczuwam, wiedząc, że tym razem wydawca zdecydowanie stoi po mojej stronie barykady.

*

Czy mieliście może okazję obserwować znajomego, który z pozycji szarego człowieka staje się znienacka kimś półślawnym – wygładzonym, sztucznym tworem, rozpoznawalnym dla setek tysięcy ludzi? Na przykład muzykujący kolega ze szkoły, którego zespół odniósł nagły sukces? Albo gwiazdka filmowa, w której rozpoznajecie tę blondynkę z pierwszego roku z zaburzeniami odżywiania? Czy zastanawialiście się kiedyś nad tym, jakie

właściwie mechanizmy rządzą zdobywaniem popularności? Jak to się dzieje, że żywa jednostka, istota z krwi i kości, przeobraża się w zestaw marketingowych haseł, pożeranych i wychwalanych przez fanów, którym jedynie wydaje się, że daną osobę znają, lecz i tego są w pełni świadomi i uwielbiają ją mimo wszystko?

Obserwowałam ten proces na przykładzie Atheny w rok po studiach, przed wydaniem jej pierwszej powieści. Athena była wprawdzie w Yale znaną osobistością, uniwersytecką celebrytką, regularnie otrzymującą miłosne wyznania w ramach facebookowej grupy Tajne Walentynki, nie miała jednak własnej strony w Wikipedii, a spojrzenie przeciętnego czytelnika nie rozpałało się świeżym błyskiem na sam dźwięk jej nazwiska.

Wszystko zmieniło się, kiedy „New York Times” opublikował na jej temat pełen zachwytu artykuł, zatytułowany „Absolwentka Yale podpisuje sześciocyfrową umowę z wydawnictwem Random House”. Tekst opatrzony był fotką przedstawiającą Athenę w bluzce z głębokim dekoltem, tak cienkiej, że wyraźnie widać było sutki, pozującą przed budynkiem uniwersyteckiej Biblioteki Sterlinga. Autor zamieścił w artykule wypowiedź wykładającego wówczas na Yale głośnego poety, który nazwał ją „niewątpliwie godną następczynią pisarek pokroju Amy Tan i Maxine Hong Kingston”. Od tamtego momentu było tylko lepiej. Liczba obserwujących jej twitterowe konto osób przekroczyła dziesięć tysięcy; wyświetlenia na Instagramie szły w setki tysięcy. Bałwochwalcze wywiady z Atheną ukazały się w „Wall Street Journal” i „Huffington Post”. Pamiętam, jak pewnego razu, kiedy jechałam Uberem do lekarza, przestraszył mnie dolatujący z radia jej krystaliczny, trudny do umiejscowienia, momentami podejrzenie nienaturalny, lekko brytyjski akcent.

Tak tworzy się mity w czasie rzeczywistym; tak powstaje sztuczny człowiek. Dział marketingu uznaje daną osobę za maksymalnie chwytliwy towar i rozpoczyna się proces zaprawiony zdrową dawką neoliberalnego wyzysku. Złożony przekaz ulega redukcji do medialnych setek; z pełnej biografii wybiera się jedynie to, co nietypowe i egzotyczne. Zjawisko to dotyczy każdego pisarza, któremu udaje się osiągnąć sukces, lecz kiedy człowiek zna materiał wyjściowy osobiście, wrażenie jest co najmniej dziwne. Athena Liu

pisze wyłącznie na maszynie (to prawda, lecz dopiero od końca studiów, gdyż pomysł ten podsunął jej pewien wykładowca na ostatnim roku). Athena Liu już jako szesnastolatka znalazła się w gronie finalistów ogólnokrajowego konkursu literackiego (to również prawda, ale opamiętajmy się; w tego rodzaju konkursach wyróżnienia zdobywa wcześniej czy później każdy nastolatek potrafiący zbudować kilka w miarę sensownych zdań; nie jest żadnym wyczynem pokonanie bandy dzieciaków, dla których szczytem sztuki jest splagiatowanie tekstów Billie Eilish). Athena Liu jest cudownym dzieckiem, geniuszem, nadzieją literatury, głosem pokolenia. A oto sześć książek, bez których Athena Liu nie wyobraża sobie życia (na liście, rzecz oczywista, nieśmiertelny Proust). Oto pięć niedrogich notatników, polecanych osobiście przez Athenę Liu (sama korzysta jedynie z moleskine'ów, ale jeśli nie śmierdzisz groszem, możesz wypróbować i te!).

„Niesamowite” – napisałam do niej w wiadomości, do której dołączyłam link do jej niedawnej sesji w „Cosmopolitan”. „Nie miałam pojęcia, że czytelnicy Cosmo wiedzą, co to książka!”

„HAHAHA. Właśnie” – odpisała. „Sama nie poznaję tej dziewczyny z okładki. Wyretuszowali mnie na maksa. Przecież ja nie mam takich brwi!”

„Normalnie jakaś hiperrzeczywistość”. W tamtych czasach modnie jeszcze było sugerować, że czytało się Baudrillarda.

„Dokładnie. Athena 0 i Athena 1. Jestem dziełem sztuki. Konstruktem. Jestem Atheną Del Rey”.

Tak więc kiedy nadeszła kolej na mój debiut, przepełniona byłam rozbuchanymi oczekiwaniami, że wydawca w identyczny sposób potraktuje mnie i „Ponad jaworem”. Spodziewałam się, że świetnie naoliwiona machina stworzy mój publiczny wizerunek właściwie sama, a ja nie będę musiała kiwnąć palcem; że dział marketingu weźmie mnie za rękę i nauczy, w co mam się ubierać i co mówić w wywiadach, które zorganizują dla mnie w najważniejszych mediach całego kraju.

Tymczasem wydawnictwo rzuciło mnie wilkom na pożarcie. Wszystko, co wiem na temat autopromocji, wiem dzięki rozmowom prowadzonym na Slacku debiutujących pisarzy, gdzie wszyscy byli równie zagubieni jak ja i przerzucali się antycznymi wpisami

z blogów wygrzebanych w zakurzonych zakamarkach sieci. Jasne było, że pisarz musi mieć własną stronę. Ale czy lepszy jest WordPress czy Squarespace? Czy newslettery faktycznie zwiększają sprzedaż, czy to zwykła strata kasy? Czy do zdjęć lepiej wynająć zawodowego fotografa, czy wystarczy iPhone w trybie portretowym? Czy powinno się założyć na Twitterze dodatkowe, literackie konto, czy zostać przy dotychczasowym? I czy można umieszczać na nim głównowpisy? A publiczne przepychanki z innymi autorami? Podkreślają rozpoznawalność czy szkodzą sprzedaży? I czy w ogóle fajnie jest wdawać się w twitterowe pyskówki? Może obecnie robi się to tylko na Discordzie?

Nie muszę chyba dodawać, że do żadnego wywiadu w znanym medium nie doszło. Najbliżej byłam, kiedy otrzymałam zaproszenie od faceta imieniem Mark, którego podcast śledziło pięćset osób. Zgodziłam się, lecz pożałowałam tego natychmiast, kiedy Mark zaczął marudzić na przesadne upolitycznienie współczesnej literatury gatunkowej, i przyszło mi do głowy, że gość może być jakimś naziolem.

Eden wspiera mnie znacznie mocniej. Emily i Jessica na wszelkie moje pytania odpowiadają od ręki. Tak, powinnam być aktywna na wszystkich mediach społecznościowych. Tak, powinnam do każdego wpisu dołączać linki do sklepu internetowego. Co prawda algorytm Twittera ogranicza zasięgi wpisów z linkami, lecz można to obejść, umieszczając je w dalszej części wątku lub w bio. Nie, opatrzone gwiazdką recenzje nie są specjalne, ale i tak powinnam się nimi chwalić, ponieważ sztuczny rozgłos to również rozgłos. Tak, książka została już wysłana do recenzentów ze wszystkich liczących się mediów i liczymy na przynajmniej kilka pozytywnych reakcji. Nie, raczej nie będzie wywiadu dla „New Yorkera”, choć za kilka książek pewnie wrócimy do tematu.

Ponieważ dochrapałam się prawdziwych pieniędzy, wynajmuję fotografa, by zrobił mi nowy komplet zdjęć autorskich. Poprzednie wykonała przyjaciółka siostry ze studiów, zafascynowana fotografią amatorka imieniem Melinda, która akurat była w okolicy i wystawiła mi rachunek o rząd wielkości niższy niż kwoty, które pojawiały się w ogłoszeniach w necie. Wykrzywiłam twarz na kilkanaście różnych sposobów, starałam się epatować to

zmysłowością, to tajemnicą, to powagą znaną ze zdjęć Pisarek z Prawdziwego Zdarzenia. Staralam się wydobyć na powierzchnię swoją wewnętrzną Jennifer Egan i Donnę Tartt.

Athena na zdjęciach zawsze wyglądała jak modelka: włosy luźno opadające wokół twarzy, jaśniejąca, gładka jak porcelana cera, pełne wargi nieznacznie rozchylone i uniesione w kącikach, jakby rozbawił ją przed chwilą niezrozumiały dla oglądającego dowcip, leciutko podniesiona brew, mówiąca „spróbuj, jak smakuję”. Z tak olśniewającą urodą książki sprzedaje się łatwo. Ja już dawno temu pogodziłam się z faktem, że pod względem fizycznej atrakcyjności jestem najwyżej znośna, a i to wyłącznie wtedy, gdy ogląda się mnie pod odpowiednim kątem i w stosownym świetle. Postawiłam więc na coś nieznacznie tylko gorszego od piękna i zdecydowałam pokazać się światu jako „genialna pisarka, przeżywająca właśnie twórcze męki”. Dość trudno oddać coś takiego na zdjęciu i kiedy Melinda przysłała mi owoce sesji, ogarnęła mnie zgroza. Wyglądałam, jakbym ostatkiem sił tłumila kichnięcie lub jakbym bardzo chciała zrobić kupę, lecz bała się do tego przyznać. Miałam ochotę powtórzyć sesję, może tym razem z lustrem, żebym widziała, do cholery, co robię z twarzą, lecz nie chciałam marnować czasu Melindy, więc wybrałam fotkę, na której najbardziej zbliżałam się wyglądem do przeciętnej istoty ludzkiej, a najmniej do siebie i przelałam autorce pięćdziesiąt dolców.

Tym razem szarpnęłam się i wydałam pół tysiąca na zawodową fotografkę z Waszyngtonu, niejaką Cate. Zdjęcia robimy w jej studiu, zastawionym najrozmaitszymi lampami i innym sprzętem, którego konkretnej roli nie znam, lecz mam nadzieję, że skutecznie ukryje moje ślady po trądziku. Cate jest żywiołowa, sympatyczna, profesjonalna. Wydaje jasne, bezpośrednie polecenia: „Wyżej podbródek. Rozluźnij trochę twarz. Opowiem teraz dowcip. Zareaguj, jak tylko chcesz, nie przejmuj się obiektywem. Cudnie. O tak, tak... Ślicznie”.

Kilka dni po sesji przychodzą do mnie mailem wyselekcjonowane, opatrzone znakiem wodnym fotografie. To niesamowite, jak świetnie wyglądam, zwłaszcza na zdjęciach, które powstały poza studiem, o tak zwanej złotej godzinie. Wyglądam na ładnie opaloną, co dodaje mi pewnej rasowej wieloznaczności. Oczywiście

mam skromnie zwrócone na bok, od razu widać, że mój umysł wypełniają pogłębione, enigmatyczne rozmyślania. Sprawiam wrażenie kobiety, która mogłaby napisać książkę o chińskich robotnikach w czasie pierwszej wojny światowej i oddać im należną sprawiedliwość. Wyglądam jak Juniper Song.

Idąc za radą Emily, zacznę budować swoją obecność w mediach społecznościowych. Do tej pory zamieszczałam przede wszystkim gównowpisy i jakieś dowcipy o Jane Austen. Nikt mojego konta nie obserwował, więc nie miało znaczenia, co wrzucam. Teraz jednak, kiedy wiadomość o mojej umowie wzbudziła pewne zainteresowanie, staram się wyrzeć właściwe wrażenie. Chcę, żeby blogerzy, recenzenci i czytelnicy wiedzieli, iż jestem osobą, która, no wiecie, wyznaje odpowiednie wartości.

Badam twitterowe wpisy Atheny i jej znajomych, żeby wiedzieć, jakie popularne osoby powinnam obserwować oraz w jakich dyskusjach brać udział. Podaję dalej tweety dotyczące bubble tea, glutaminianu sodu, zespołu BTS i jakiegoś serialu noszącego tytuł „The Untamed”. Dowiaduję się przy tym, że ważne jest, by wyrażać postawę anty-ChRL (to skrót od Chińskiej Republiki Ludowej), lecz zarazem sprzyjać Chinom (nie do końca jestem pewna, czy ogarniam to rozróżnienie). Uczę się znaczenia zwrotów „little pinks”¹ i „tankies”², po czym skrzętnie przesyłam dalej wpisy wspierające obie te grupy. Stanowczo potępiam wydarzenia w Xinjiangu. Staję ramię w ramię z Hongkongiem. Odkąd zaczynam głośno wypowiadać się we wszystkich tych sprawach, zyskuję dziesiątki nowych obserwujących dziennie, a kiedy okazuje się, że większość tych kont należy do osób kolorowych bądź takich, które zamieszczają w swoich opisach tagi typu #BLM³ tudzież #WolnaPalestyna, uświadamiam sobie, że kroczę właściwą ścieżką.

I nagle, w zasadzie bez większego wysiłku, powołuję do istnienia swoje publiczne wcielenie. A więc żegnaj, June Hayward, nieznana szerzej autorko powieści „Ponad jaworem”. Witaj, Juniper Song, autorko największego bestsellera sezonu wydawniczego – witaj, błyskotliwa, enigmatyczna serdeczna przyjaciółko tragicznie zmarłej Atheny Liu.

W miesiącach poprzedzających premierę „Ostatniego frontu” dział reklamy dwoi się i troi, by o istnieniu tej książki dowiedziała się cała Ameryka. Rozsyłają egzemplarze recenzenckie do znanych autorów ze stajni Eden Press i choć nie wszyscy mają czas, by tekst przeczytać, garstka przebojowych pisarzy odsyła uprzejme wyrazy zachwytu, w rodzaju „totalnie wciągająca!” czy „przejmujący głos”, które Daniella zamieści na ostatniej stronie obwoluty.

Ostateczna wersja ilustracji na okładkę powstała na rok przed datą premiery. Daniella poprosiła, bym stworzyła na Pinterescie tablicę z pomysłami i inspiracjami. (Autorzy mają co nieco do powiedzenia w kwestii motywów i ogólnego wyglądu grafiki, lecz poza tym godzimy się z faktem, iż nie jesteśmy artystami plastykami i zostawiamy sprawę fachowcom). Przeczesałam Google’a w poszukiwaniu zdjęć Chińskiego Korpusu Pracy i znalazłam kilka niezłych, czarno-białych fotografii przedstawiających samych robotników. Szczególnie ujęło mnie zdjęcie prezentujące ósemkę Chińczyków stłoczonych wokół obiektywu z promiennymi uśmiechami na twarzach. Podesłałam fotkę Danielli. „Co powiesz o tym?” – spytałam. „Jest w domenie publicznej, odpadłby kłopot z prawami”.

Jednak Daniella i cały dział graficzny uznali, że zdjęciu brakuje odpowiedniego klimatu. „Nie chcemy wywołać wrażenia, że jest to zwykła książka historyczna” – odpisała. „Sama powiedz, czy przechadzając się po księgarni, sięgnęłabyś po książkę z taką okładką?”

Ostatecznie postawiliśmy na bardziej nowoczesny motyw. Wydrukowany wielkimi literami tytuł „Ostatni front” widniejący na tle abstrakcyjnej, dwukolorowej ilustracji przedstawiającej coś, co ma się kojarzyć z ogarniętą pożarem francuską wioską. „Chcieliśmy tymi kolorami podkreślić śmiałość, epicki rozmach i romantyzm twojej powieści” – napisała Daniella. „Zwróć też uwagę na chińskie znaki na skrzydełkach. Dzięki nim czytelnik od razu zrozumie, że powinien się spodziewać czegoś wyjątkowego”.

Okładka wydała mi się doniosła, poważna, a zarazem atrakcyjna wizualnie. W jakiś niesamowity sposób przywodziła na myśl wszystkie rozgrywające się w realiach pierwszej wojny światowej powieści, które ukazały się w ciągu ostatniej dekady,

a jednocześnie zwiastowała doświadczenie nowe, emocjonujące i oryginalne. „Doskonała” – odpisałam Danielli. „Naprawdę ideał”.

Teraz, znacznie bliżej premiery, reklamy „Ostatniego frontu” pojawiają się dosłownie wszędzie. Widuję je na stronach Goodreads i Amazona, na Facebooku i Instagramie. Ostatecznie wykupili nawet tę reklamę w metrze. Co ciekawe, albo dziewczyny mi o tym nie wspomniały, albo wyleciało mi z głowy, ponieważ kiedy wysiadłam pewnego dnia z pociągu i zobaczyłam okładkę swojej powieści zajmującą pół ściany, poczułam się tak oszołomiona, że przez chwilę stałam jak sparaliżowana. To moja książka. Moje nazwisko.

– „Ostatni front” – przeczytała swojemu towarzyszowi stojąca za moimi plecami kobieta. – Juniper Song. No proszę.

– Wygląda całkiem niezłe – stwierdził mężczyzna. – Trzeba by przeczytać.

– Pewnie – odparła ona. – Może.

Natychmiast przepełniła mnie radosna vibracja, pomyślicie pewnie, że to totalna sztampa i że naśladowałam po prostu jakąś aktorkę z taniego serialu, ale stojąc na tym peronie, zacisnęłam obie pięści i wyskoczyłam wysoko w powietrze.

Dobre wiadomości napływają coraz szerszym strumieniem. Brett przysłała mi maile z informacjami dotyczącymi sprzedaży praw za granicę. Jak dotąd wiadomo, że obcojęzyczne wydania ukażą się nakładem oficyn z Niemiec, Hiszpanii, Polski i Rosji. „Z Francji nikt się jeszcze nie odezwał, ale pracujemy nad tym” – tłumaczy Brett. „Trzeba natomiast pamiętać, że we Francji nic się dobrze nie sprzedaje. Niektórzy mówią nawet, że jeśli Francuzom podoba się, co piszesz, to znaczy, że powinieneś mocno popracować nad warsztatem”.

„Ostatni front” trafia na rozmaite listy w stylu „Dziesięć najlepszych książek tego lata”, „Najbardziej wyczekiwane debiuty”, a także, co chyba najbardziej niewiarygodne, na zamieszczoną w serwisie PopSugar listę „15 najlepszych lektur na plażę”. „Nie wszyscy lubią czytać na plaży o pierwszej wojnie” – żartuję na Twitterze. „Ale jeśli ktoś jest tak pokręcony jak ja, powinien tę pozycję wziąć pod uwagę!”

Moja książka zostaje nawet jedną z lektur ogólnokrajowego klubu literackiego, prowadzonego przez uroczą, białą republikankę,

słynącą głównie z tego, że jest córką wpływowego republikańskiego polityka. Budzi to we mnie swego rodzaju dysonans moralny, lecz ostatecznie dochodzę do wniosku, że skoro klub ów zrzesza głównie białe republikanki, to chyba dobrze, że przeczytają powieść, która poszerzy ich horyzonty, prawda?

W Wielkiej Brytanii „Ostatni front” zostaje jednym z tytułów sprzedawanych w ramach usługi subskrypcyjnej Readaholics Book Box. Nie miałam pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje, lecz okazuje się, że Readaholics rozsyła do dziesiątek tysięcy czytelników miesięcznie opakowane w przyjemne dla oka pudełka książki wraz z dodatkowymi gadżetami. Przygotowana z myślą o Readaholics edycja „Ostatniego frontu” otrzyma specjalną okładkę z nieobcinanymi brzegami, a do klientów trafi w towarzystwie ekologicznej torby na zakupy z wegańskiej skóry, wyjątkowych breloczków z nefrytowymi figurkami przedstawiającymi zwierzęta z chińskiego zodiaku (za dodatkową opłatą można poddać się w sieci specjalnemu psychotestowi, który ustali przynależność do danego znaku) oraz kilku torebek różnych odmian zielonej herbaty z Tajwanu, pochodzącej z organicznych upraw hołdujących zasadom zrównoważonego rozwoju.

Barnes & Noble postanawiają wypuścić także wyjątkową edycję sygnowaną, co oznacza, że na cztery miesiące przed datą premiery pojawia się w moim mieszkaniu osiem gigantycznych paczek, zawierających wkładki, czyli puste, oddzielne karty tytułowe, które trafią do gotowych egzemplarzy z moim odręcznym autografem. Złożenie tysięcy podpisów zajmuje całą wieczność, wobec czego przez okrągłe dwa tygodnie urządzam sobie wieczory pióra i kieliszka. Zasiadam przed telewizorem ze stertą kartek po prawej i butelką merlota po lewej i oglądam „Imperium przepychu”, wypisując jednocześnie na wkładkach słowa „Juniper Song” wielkimi, zamaszystymi, pełnymi ozdobników literami.

Czy to wszystko zwiastuje, że na moich oczach rodzi się bestseller? – zastanawiam się. Zapewne tak. Nie rozumiem, dlaczego nikt nie mówi autorowi wprost, już na samym wstępie, jak ważna dla wydawnictwa jest dana książka? Przed ukazaniem się „Ponad jaworem” tyrałam jak dziki osioł, motywowana nadzieją, że im więcej potu i krwi włożę w reklamę, tym bardziej szczerze

wynagrodzi moje starania wydawca. Teraz już wiem, że wysiłki autorów nie mają absolutnie żadnego przełożenia na powodzenie książek. Bestsellery po prostu się wybiera. Co robi pisarz, nie jest w najmniejszym stopniu istotne. My możemy jedynie cieszyć się skapującymi nam w ramach procesu bonusami.

*

Przedpremierowe recenzje zaczynają spływać na dwa miesiące przed ukazaniem się powieści. Popadam w nawyk wieczornego scrollowania nowych recenzji na Goodreads, niewielki zastrzyk serotoniny przed snem jeszcze nikomu nie zaszkodził. Wszyscy sugerują autorom, by pod żadnym pozorem nie zaglądali na Goodreads, lecz nikt się do tej rady nie stosuje – żaden człowiek pióra nie potrafi oprzeć się pokusie sprawdzenia, jak jego najnowsze dzieło odbierają czytelnicy. Tak czy siak, „Ostatni front” miażdży i deklasuje; średnia z recenzji wynosi solidne 4,89, a większość topowych jest tak pozytywna i pełna zachwytów, że zdarzające się od czasu do czasu dwuznaczne trzy gwiazdki nie robią na mnie większego wrażenia.

Pewnej nocy jednak mój wzrok pada na coś, przez co zamiera mi serce.

Jedna gwiazdka. „Ostatni front” otrzymał właśnie pierwszą jednogwiazdkową recenzję. Od użytkowniczki CandiceLee.

Ja pierdziele! Klikam w profil, zastanawiając się, czy to może być zwykły zbieg okoliczności. Nie jest. CandiceLee, Nowy Jork, pracuje w branży wydawniczej. Ulubieni pisarze: Cormac McCarthy, Marilynne Robinson i Jhumpa Lahiri. Na Goodreads nie jest wybitnie aktywna – ostatnio recenzowała jakiś tomik poezji z 2014 roku, a to oznacza, że o przypadku nie ma mowy. Nie omsknął się jej palec. Candice zupełnie świadomie podjęła wysiłek, by się zalogować i ocenić moją książkę jedną jedyną gwiazdką.

Rozdygotanymi palcami robię zrzut ekranu i przesyłam go redaktorce.

Cześć Daniella,

tak, wiem, prosiłaś, żebym nie czytała GR, ale dostałam właśnie coś takiego od kumpeli i trochę się przejęłam. Moim zdaniem to bardzo nieprofesjonalne. Domyślałam się, że formalnie Candice ma pełne prawo oceniać po godzinach moją pracę, jak jej się żywnie podoba, ale po tym, co zaszło w kwestii konsultanta, wydaje mi się, że zrobiła to celowo...

pozdr

June

Odpowiedź przychodzi z samego rana.

Dziękuję, że dałaś mi znać. To rzeczywiście nieprofesjonalne. Zajmiemy się tym w ramach firmy.

Maile Danielli czytam już na tyle długo, że potrafię rozpoznać, kiedy jest zirytowana. Posługuje się wtedy zwięzłymi, rwanymi zdaniem. Nawet się nie podpisała. Musi być naprawdę wkurzona.

Świetnie. Gorąca rozkosz zemsty rozlewa mi się w brzuchu. Candice sama sobie zasłużyła – pomijając nawet całą tę burzę o konsultanta, jaką trzeba być psychopatką, by w taki sposób deptać wrażliwość autora? Powinna przecież wiedzieć, jak stresującym i przerażającym doświadczeniem jest premiera książki. Napawam się chwilą, wyobrażam sobie chaos, jaki zasiałam tego ranka w biurze Eden Press. I choć za nic w świecie nie powiedziałabym tego na głos o żadnej kobiecie – w tej branży i tak nie mamy lekko – mam nadzieję, że suka wyleci z roboty.

1 little pinks – określenie działających głównie w Internecie, młodych chińskich nacjonalistów o radykalnym nastawieniu (przyp. tłum.).

2 tankies – pejoratywne określenie komunistów wyznających marksistowsko-leninowską odmianę tej ideologii. Początkowo stosowane przez członków Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii na określenie tych jej członków, którzy popierali oficjalną linię doktrynalną Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego (przyp. tłum.).

3 BLM – Black Lives Matter, międzynarodowy ruch walczący o prawa osób czarnoskórych (przyp. tłum.).

Sześć

Miesiące przechodzą w tygodnie, tygodnie stają się dniami, aż wreszcie „Ostatni front” trafia na półki.

Przy okazji publikacji debiutanckiego „Ponad jaworem” dowiedziałam się, w bardzo zresztą nieprzyjemny sposób, że dla większości pisarzy dzień premiery jest zarazem dniem skrajnego rozczarowania. Poprzedzający ukazanie się książki tydzień sugeruje, że trwa oto odliczanie do jakiegoś wiekopomnego wydarzenia, że rozlegną się fanfary, a krytycy zaczną piąć z zachwytem, że książka z miejsca trafi na szczyty rankingów sprzedaży i tam już pozostanie. Rzeczywistość tymczasem sprawia pisarzowi jeden wielki zawód. Prawda, przyjemnie jest chodzić od księgarni do księgarni i oglądać swoje nazwisko na okładce (no, chyba że premiera nie jest głośna i akurat twoja powieść ginie pogrzebana w masie innych lub, co gorsza, nie można jej dostać w żadnych najważniejszych sieciach księgarskich). Jednak poza tym na jakikolwiek bezpośredni odzew nie ma co liczyć. Ludzie, którzy książkę kupili, nie mieli jeszcze czasu jej przeczytać. Za większość sprzedaży odpowiada przedsprzedaż, więc nie widać też wzmożonego ruchu na Amazonie, Goodreads ani na żadnym z serwisów, które człowiek maniakalnie obserwował przez cały ostatni miesiąc. W duszy wciąż pełga z dawna gromadzona nadzieja i energia, lecz po prostu... nie ma dla niej ujścia.

Także jeśli dany tytuł zalicza klapę, nie można wskazać konkretnego momentu, gdy prawda o druzgocącej klęsce wychodzi na jaw. Jest jedynie tysiąc drobnych rozczarowań, nawarstwiających się z każdym upływającym dniem, kiedy autor porównuje swoje wyniki sprzedaży z wynikami innych pisarzy, kiedy widzi się ten sam, sygnowany odręcznym autografem egzemplarz, kładący na półce pobliskiej księgarni. Jest jedynie cienka strużka maili od

wydawcy o treści w rodzaju: „Sprzedaż idzie nieco wolniej, niż się spodziewaliśmy, ale mamy nadzieję, że niedługo trend się poprawi”. A potem nastaje głucha, nieprzenikniona cisza. Cisza, w której narasta rozgoryczenie i groza, aż wreszcie wszystko to staje się nieznośne, a człowiek zaczyna myśleć, że jest skończonym idiotą, skoro ważył się pomyśleć, że kiedykolwiek zostanie prawdziwym pisarzem.

Podsumowując, doświadczenie z „Ponad jaworem” nauczyło mnie, by nie rozniecać w sobie nadziei.

Tym razem jest jednak inaczej, wyjątkowo. Tym razem dowiaduję się, że autorzy tacy jak Athena żyją w diametralnie odmienną rzeczywistości. Rano w dzień premiery Eden Press przesyła mi do domu gigantyczną skrzynkę szampana. „Gratulacje” – czytam na załączonym, odręcznie zapisanym bileciku od Danielli. „Zasłużyłaś”.

Rozpakowuję i wyciągam butelkę, robię sobie z nią selfie i wrzucam na Instagrama z podpisem: „TO JUŻ DZISIAJ! Czuję się wdzięczna, przytłoczona i podenerwowana. Mam olbrzymie szczęście pracować z najlepszą drużyną w branży”. Post w ciągu godziny zdobywa dwa tysiące polubień.

Obserwacja rosnącej liczby serduszek sprawia, że zalewa mnie powódź serotoniny. Dokładnie czegoś takiego chciałam doświadczyć w dniu premiery. Przez cały poranek oznaczają mnie nieznanymi zamieszczający wpisy z gratulacjami, recenzjami i fotkami przedstawiającymi moją książkę w dziale nowości w Barnes & Noble tudzież w jakiejś lokalnej, niezależnej księgarni z karteczką z napisem: „Polecamy”.

Pewna właścicielka księgarni robi sobie zdjęcie na tle istnej piramidy książek i dopisuje: „MAM GORĄCY ZAMIAR SPRZEDAĆ W DNIU PREMIERY 100 EGZEMPLARZY »OSTATNIEGO FRONTU«. POTRZYMAJCIE MI PIWO”.

Mądrość ludowa głosi, że media społecznościowe są słabym probierzem powodzenia książki. Twitter nie odzwierciedla gustów całości szeroko rozumianej ekosfery czytelniczej, a tytuły, które wzbudzają pozornie najwięcej szumu, okazują się wydmuszkami, tworcami nadaktywnego działu reklamy. Liczba polubień i obserwujących niekoniecznie przekłada się na wyniki sprzedaży.

Z drugiej strony, cały ten hałas o czymś przecież chyba świadczy? Moją książkę recenzują w publicznym radiu, w „New York Timesie”, w „Washington Post”. Kiedy promowałam „Ponad jaworem” czułam się szczęściarą, kiedy recenzję zamieścił „Kirkus”, choć była ona czymś niewiele większym niż streszczeniem fabuły.

O „Ostatnim froncie” mówią praktycznie wszyscy, i to tak, jakby wiedzieli, że powieść okaże się przebojem. Zastanawia mnie, czy nie jest to przypadkiem ostateczna, tajemna prawda o branży wydawniczej: czy bestsellery nie osiągnęły sukcesu dlatego, że wszyscy w pewnym momencie uznają, że właśnie ten, a nie inny tytuł będzie hitem sezonu.

Arbitralne, wiem, ale cieszę się, że działa na moją korzyść.

Wieczorem czeka mnie spotkanie premierowe w księgarni Politics and Prose. Byłam tam kilka razy wcześniej, zawsze wśród publiczności. To jedna z tych księgarni, w których prezentują swoje książki byli prezydenci i celebryci. Przed kilku laty zajrzałam tam na wieczór autorski Hillary Clinton. Także Athena świętowała tam premierę debiutanckiej powieści. Kiedy Emily powiedziała, że załatwiła mi wieczór w P&P, wrzasnęłam z radości prosto w ekran.

Przed progiem muszę na moment przystanąć i zebrać się w sobie. Wydawca „Ponad jaworem” zorganizował dla mnie „tourné autorskie po kilku miastach”, lecz w każdej księgarni, w jakiej się stawiałam, czekało na mnie najwyżej dziesięć osób. A naprawdę trudno i boleśnie jest czytać fragmenty swojej książki oraz odpowiadać na pytania, kiedy słuchacze wychodzą w pół zdania. Jeszcze bardziej boli, kiedy potem siedzi się z długopisem w rękę obok sterty niesprzedanych książek, a kierowniczka księgarni stoi skrupowana obok i próbuje tłumaczyć, że to wszystko wina zbliżających się świąt, bo ludzie zajęci są zakupami, a czasu na rozreklamowanie spotkania było mało. Po drugim takim wieczorze chciałam się poddać i zrezygnować, lecz odwołanie spotkania autorskiego jest jeszcze większym upokorzeniem niż brnięcie przez jego kolejne minuty z coraz bardziej dotkliwą świadomością własnej małości i głupoty, jaką było snucie zbyt śmiałych marzeń.

Dzisiaj jednak Politics and Prose pęka w szwach – wewnątrz jest naprawdę ciasno, ludzie siedzą po turecku między regałami. Prawie rejterują. Przystaję znów w progach, zerkam na komórkę,

upewniam się, że to właściwy dzień i godzina, bo przecież to się nie może dziać naprawdę. Może coś pokręciłam i to Sally Rooney ma tu dzisiaj spotkanie? Po chwili jednak dostrzega mnie kierownik księgarni i zaprasza do swojego biura, gdzie częstuje mnie wodą i miętówkami. Dopiero wtedy dociera do mnie w pełni – to nie pomyłka, to się dzieje naprawdę, a wszyscy ci ludzie przyszli zobaczyć mnie.

Kiedy wchodzę wreszcie na salę, ze wszystkich stron rozlegają się brawa. Kierownik dokonuje prezentacji, a ja z rozdygotanymi kolanami zajmuję miejsce na podwyższeniu. Nigdy w życiu nie mówiłam do tak licznego tłumu. Na szczęście przed sesją pytań i odpowiedzi zaplanowano czytanie fragmentu książki, mam więc chwilę, by się oswoić. Wybrałam ustęp ze środka tekstu – samodzielną scenkę, która powinna świetnie wprowadzić czytelników w klimat całości. Jeszcze ważniejszy jest fakt, że ten akurat wycinek w znacznej mierze napisałam sama. To moje zdania, mój geniusz.

– Brytyjski oficer wyznaczony do kierowania ludźmi z brygady Ah Lunga sprawiał wrażenie nieustannie wylęknionego. Bał się, że cudzoziemcy lada moment obrócą się przeciwko niemu. – Głos zaczyna mi drzeć, lecz po chwili się uspokaja. Chrząkam, upijam łyk wody i wracam do lektury. Wszystko jest dobrze. Poradzę sobie. – Ich trzeba krótko trzymać, najlepiej w jednym miejscu, poradził mu kolega. Dobrze pracują, ale powinno się uważać, żeby nie zaczęli siać fermentu. Tak więc oficer zabronił robotnikom opuszczania wyznaczonej, ogrodzonej drutem kolczastym części obozu. Każdy, kto chciał to zrobić, musiał prosić o indywidualną zgodę, przez co Ah Lung pierwsze kilka tygodni we Francji spędził, obchodząc na palcach rozciągnięte tuż nad ziemią druciane pułapki z dzwoneczkami. Za każdym razem zastanawiał się przy tym, dlaczego, skoro przybył tu pomóc w wysiłku wojennym, traktują go jak jeńca.

Idzie dobrze, nawet bardzo dobrze. Człowiek od razu wie, kiedy panuje nad salą. W księgarni zalega specyficzna, pełna napięcia cisza, czuję się, jakbym złapała serca słuchaczy na haczyk i powoli skracala żyłkę. Także mój głos nabrał już właściwej gładkości; w tej chwili mówię wyraźnie, tonem zarazem pociągającym i niepewnym, w takim akurat stopniu, by sprawiać

wrażenie ludzkiej i wrażliwej, ale też opanowanej i świadomej. Wiem też, że świetnie wyglądam. Na dzisiejszy wieczór wybrałam szare legginsy, brązowe wysokie kozaki i przylegający golf w kolorze bordo. Jestem Poważną Młodą Pisarką. Jestem literacką gwiazdą.

Kiedy kończę czytać, rozlegają się entuzjastyczne oklaski. Rozmowa z czytelnikami przebiega równie pomyślnie. Pytania są albo mało kłopotliwe, dzięki czemu mam okazję nieco się popisać („Jak udało się pani znaleźć czas na zebranie materiałów dotyczących tak niszowego tematu i jednocześnie pracować zarobkowo? Czy można zrobić coś takiego i nie oszaleć?”, „Jak to się robi, by dawny świat wydawał się czytelnikowi tak bogaty i wyrazisty?”), albo okazują się w istocie komplementami („To rzadkość, by komuś tak młodemu, kto osiąga tak wielki sukces, nie uderzyła do głowy woda sodowa. Jaki ma pani na to przepis?”, „Czy kiedy otrzymała pani propozycję podpisania tak lukratywnej umowy, poczuła pani zwiększoną presję?”).

Udzielam odpowiedzi dowcipnych, elokwentnych, przemyślanych, skromnych:

– Nie jestem pewna, czy udało mi się nie oszaleć. Do dzisiaj nie wiem, jaki mamy dzień tygodnia. A rano miałam problem z przypomnieniem sobie własnego nazwiska.

Śmiech.

– Oczywiście, że wszystko, co pisałam w czasie studiów, było, oględnie mówiąc, koszmarnie. Studenci nie mają pojęcia, jak napisać dwa składne zdania o czymś innym niż romantyzm studenckiego życia.

Jeszcze więcej śmiechu.

– A jeśli chodzi o moje podejście do prozy historycznej, to najbardziej chyba pomogła mi opracowana przez Saidiyę Hartman metoda krytycznego budowania fabuły, polegająca na swoistym pisaniu na przekór naturze materiału historycznego, wprowadzaniu do nierzadko abstrakcyjnych i suchych danych archiwalnych realizmu i empatii.

Pełne zadumy spojrzenia, potakujące z uznaniem głowy.

Uwielbiają mnie. Nie potrafią oderwać ode mnie wzroku. Przyszli tu specjalnie dla mnie, spijają z moich ust każde słowo, są zaabsorbowani mną i tylko mną.

Nagle po raz pierwszy uświadamiam sobie, że naprawdę mi się udało. Zrobiłam to, postawiłam na swoim. Znalazłam się w gronie wybrańców, zostałam osobą, którą branżowi decydenci postanowili uczynić istotną. Płynę na wezbranej fali kontaktu z publicznością, śmieję się razem z nimi, odpowiadam grami słownymi, wykorzystującymi ich własne sformułowania. Przygotowane z góry sztywne teksty zdążyłam już zapomnieć. Mój występ stał się jedną wielką improwizacją, a w każdym moim słowie pobrzmiewa inteligencja, urok, oryginalność. Słowem, jestem zajebista.

I wtem dostrzegam ją.

Siedzi tuż przede mną, w pierwszym rzędzie, we własnej osobie. To żadna halucynacja, tylko konkretna kobieta z krwi i kości, widzę nawet jej cień. Ma na sobie szmaragdowy szal, jeden ze swoich ulubionych dodatków, spowija jej drobną sylwetkę w sposób, który przydaje ramionom pozorów kruchości, delikatności i elegancji. Siedzi z niekwestionowanym wdziękiem na składanym, plastikowym krześle, od czasu do czasu zarzucając lśniąco, czarnymi włosami.

Athena.

Uszy wypełnia mi szum krwi. Mrugam kilka razy z rozpaczliwą nadzieją, że to jedynie zjawy, lecz za każdym razem, kiedy otwieram oczy, ona wciąż tam siedzi, z uśmiechem wyczekiwania malującym się na pociągniętych jasną, truskawkowo czerwoną szminką wargach. Znam tę szminkę. Stila. Stay All Day, przemyka mi przez myśl, a wiem to na pewno, bo przed premierą przynajmniej tuzin razy czytałam ten jej durny wywiad dla „Vogue’a”, w którym opowiadała o makijażu. Cień do powiek Beso.

Uspokój się. Być może istnieje inne wytłumaczenie. Może to jej siostra lub ktoś inny, ktoś tylko podobny? Jakaś kuzynka? Bliźniaczka? Tyle że Athena nie miała siostry ani żadnych zbliżonych wiekiem krewnych, wspomniała o tym jej matka. Powiedziała, że były tylko one dwie.

Czar pryska. Przez kolejne pytania z sali brnę skołowana, bez kropli śliny w ustach. Straciłam całą władzę, jaką miałam nad słuchaczami. Ktoś chce wiedzieć, czy na kształt „Ostatniego frontu” wpłynęły moje studia, i nagle okazuje się, że zupełnie nie pamiętam, na jakie seminaria, wykłady i konwersatoria chodziłam.

Raz po raz rzucam okiem na Athenę w nadziei, że zniknie, że okaże się nietrwałym wytworem wyobraźni. Za każdym jednak razem widzę ją na tym samym krześle. Mierzy mnie chłodnym, nieodgadnionym spojrzeniem, ocenia każde padające z mych ust słowo.

Wreszcie spotkanie dobiega końca. Usilnie próbując nie zemdleć, siedzę i słucham oklasków. Kierownik księgarni prowadzi mnie do stolika, przed którym czeka kolejka spragnionych autografu. Z wymuszonym uśmiechem witam jednego czytelnika za drugim. To prawdziwa sztuka – trzeba wiedzieć, jak się uśmiechnąć, jak nawiązać kontakt wzrokowy, swobodnie i niezobowiązująco zagadnąć, a przy tym złożyć podpis, nie popełniając błędu w pisowni nazwiska własnego ani osoby, której dany egzemplarz się dedykuje. Pewnej wprawy nabrałam, składając nieliczne autografy w trakcie spotkań przedpremierowych, i w sprzyjających okolicznościach udałooby mi się ograniczyć chwile niezręcznego milczenia do minimum. Dzisiaj idzie fatalnie. Tę samą osobę dwa razy pytam, jak się czuje, a nazwisko jednego faceta przekręcam tak totalnie, że księgarnia proponuje mu dodatkowy egzemplarz gratis.

Przeraża mnie myśl, że lada moment stanie przede mną Athena z książką w ręku. Raz po raz wyciągam szyję i sprawdzam, czy w kolejce nie mignie mi zielony szal, lecz wygląda na to, że zniknęła.

Czy naprawdę nikt niczego nie zauważył? Czy tylko ja ją widziałam?

Pracownicy księgarni wyczuwają, że coś jest nie tak. Nie pytając mnie o zdanie, pospieszają oczekujących w kolejce ludzi, sami z siebie przypominają, że robi się późno. Po wszystkim nie zapraszają mnie na kolację czy drinka; zegnają się po prostu uściskiem dłoni i dziękują za przybycie. Kierownik proponuje, że zamówi dla mnie Ubera, na co przystaję ochoczo i z wdzięcznością.

W domu zrzucam tylko buty i zwijam się w ciasną kulkę na łóżku.

Serce bije mi jak oszalałe. Oddech mam płytki, przyspieszony. Głowę wypełnia szum tak głośny, że ledwie słyszę własne myśli. Czuję też coś dziwnego u podstawy czaszki, jakby jakaś siła próbowała wyciągnąć mnie z ciała. Zbliży się chyba atak paniki –

nie, nie zbliża, on się wzmacnia, osiąga właśnie apogeum. Rozpoczął się przed godziną i trwał w łagodniejszej formie aż do teraz, kiedy w znajomym otoczeniu wszystkie objawy rozwijają się w pełni. Ucisk w piersi, pole widzenia zawężone do drobnego punktu. Przypominam sobie technikę, której nauczyła mnie doktor Gaily. Co widzę? Beżową kołdrę pokrytą plamami podkładu i smugami tuszu do rzęs. Jaki zapach czuję? Zapach koreańskiego jedzenia, które zamówiłam dzisiaj na obiad i które wciąż czeka na stole, bo przed spotkaniem byłam zbyt zdenerwowana, by przełknąć choć kęs. Jest też czysta, bijąca mi prosto w nos chemiczna woń pościeli. Co słyszę? Ruch uliczny zza okna, bicie serca. Czy czuję jakiś smak? Smak zwietrzałego szampana, ponieważ przed momentem zauważyłam, że wciąż mam połowę butelki, którą otworzyłam dziś rano.

Zabiegi te pozwalają mi nieco się opanować, lecz wciąż dręczą mnie gonitwa myśli, a ściśniętym żołądkiem nadal wstrząsają mdłości. Powinnam się ruszyć i pójść do łazienki, dobrze by było wziąć przynajmniej prysznic i zmyć ten cholerny makijaż, ale nie chcę wstawać. Za bardzo kręci mi się w głowie.

Sięgam po komórkę.

Wpisuję do twitterowej wyszukiwarki nazwisko Atheny, swoje nazwisko i oba nasze nazwiska razem. Imiona i nazwiska razem, same imiona, same nazwiska; z hasztagiem, bez hasztaga. Szukam wzmianek na temat Politics and Prose. Wyszukuję konta wszystkich pracowników księgarni, których nazwiska zdołałam sobie przypomnieć.

Nic. Zupełnie nic. Tylko ja jedna widziałam Athenę. Wszystkie inne tweety dotyczą jedynie tego, że spotkanie wypadło fantastycznie, że okazałam się osobą pełną pasji i elokwentną i że wszyscy nie mogą się doczekać, kiedy wreszcie zaczną „Ostatni front” czytać. Wyszukiwanie hasła „June+Athena” zwraca tylko jeden wpis z ostatniej godziny, pozostawiony przez przypadkowego, jak myślę, czytelnika:

Przeczytany przez Juniper Song fragment „Ostatniego frontu” był cudowny. Jasne jest, dlaczego według autorki ta powieść stanowi hołd dla zmarłej przyjaciółki. Muszę przyznać, że kiedy opisywała swój proces twórczy, wrażenie było takie, jakby na sali towarzyszył nam duch Atheny Liu.

Siedem

W następną środę moja książka wskakuje na trzecie miejsce listy bestsellerów „New York Timesa”. Wiadomość przekazuje mi w mailu Daniella.

Gratulacje, June! Nikt tu nie jest zaskoczony, ale wiem, że mocno się denerwowałaś, więc podsyłam oficjalny dowód. Udało ci się :)

Po kilku minutach odzywa się też Brett: „JEEEEEEEEEEEE!”.

Emily z reklamy opiewa mój sukces na Twitterze, czym rozpoczyna całą lawinę radosnych tweetów, postów na Instagramie, wiadomości prywatnych. Oficjalne konto Eden Press oznacza mnie w tweecie zawierającym GIF-a przedstawiającego dwie kobiety pływające wokół butelki szampana. „JUNIPER SONG. BESTSELLEROWA AUTORKA NEW YORK TIMESA!”.

O Boże.

O mój Boże.

Właśnie tego pragnęłam przez całe życie. Już dzięki wynikom przedsprzedaży wiedzieliśmy, że prawdopodobnie uda się na tę listę trafić, lecz kiedy widzę te słowa czarno na białym, ogarnia mnie dosłownie paroksyzm zachwytu. Oto pieczęć, która ostatecznie zatwierdza mój sukces. Napisałam bestsellerową powieść. Udało mi się.

Pół godziny spędzam, siedząc przy biurku i gapiąc się pustym wzrokiem w telefon. Śledzę niesłabnący strumień wiadomości z gratulacjami. Mam ochotę do kogoś zadzwonić i wykrzyzczyć pełnym głosem swoją radość, ale nie wiem, do kogo. Na matce wiadomość nie zrobi wrażenia, w najlepszym wypadku uda, że się cieszy, i zacznie zadawać idiotyczne pytania o to, jak takie listy

bestsellerów działają, co będzie jeszcze gorsze. Rory ucieszy się moją radością, ale nie zrozumie skali osiągnięcia. Czwartą osobą w historii połączeń jest mój eks, który niedawno był w Waszyngtonie z delegacją i próbował się spiknąć z nadzieją na coś więcej, ale jemu na pewno nie mogę o tym powiedzieć. Co do znajomych ze świata literackiego, to z nikim nie jestem na tyle blisko, by nie uznał, że się po prostu niesmacznie przechwalam. Z kolei dzielenie się sukcesem z przyjaciółmi, którzy z pisaniem nie mają nic wspólnego, nie przyniesie mi żadnej satysfakcji. Potrzebuję kogoś wtajemniczonego, kogoś, kto naprawdę zrozumie, że to Kurewsko Wielka Sprawa.

Dobłą chwilę zajmuje mi zrozumienie, że pierwszą osobą, do której bym zadzwoniła, jedyną, która w pełni pojęłaby, co dzisiejsza wiadomość oznacza, i nie zareagowała małostkową zawiścią ani nieszczerym zachwytem, byłaby Athena.

– Gratuluję – zwracam się do jej ducha, ponieważ stać mnie na wspaniałomyślność, ponieważ w tej chwili wspomnienie jej przerażającej zjawy już wyblakło i odsunęło się w tło, wyparte przez gorącą, żywiołową radość. Teraz łatwo mi uznać tę wizję za nerwowe omamy; jeszcze łatwiej przychodzi mi zapomnieć, że w ogóle cokolwiek się wydarzyło.

Ostatecznie wchodzę na Twittera i przekazuję rewelacje całemu światu. Układam długi wpis, w którym wyznaję, jak wiele znalezienie się na tej liście dla mnie znaczy, zwłaszcza po kłapie debiutanckiej książki; piszę o długim, bolesnym marszu przez proces wydawniczy, który jednak dzisiaj, wreszcie, nareszcie się opłacił. „Nie każdy pisarz trafia na listy bestsellerów z dnia na dzień” – komentuję tonem mędrca. „W przypadku niektórych wymaga to lat ciężkiej pracy, nadziei i marzeń. Lecz zawsze miałam nadzieję, że ostatecznie doczekam się swojej chwili. I cóż, chyba właśnie nadeszła”.

Zastrzyk polubień oraz wpisów o treści „GRATULACJE” jest dokładnie tym, czego potrzebowałam, by wypełnić pustkę. Patrzę na ekran, obserwuję rosnące liczby, rozkoszuję się falami serotoniny, wzbierającymi przy każdym powiadomieniu.

W pewnym momencie o swoje prawa zaczyna dopominać się pęcherz, co zmusza mnie do odłożenia komórki. Korzystając z okazji, zamawiam tuzin ciasteczek z Baked & Wired, po jednym z każdego

smaku, jaki mają akurat w sprzedaży. A kiedy kurier przywozi słodczyce, rozsiadam się z widelcem w rękę na podłodze i jem. Jem, dopóki ciastka nie nabierają smaku.

*

„Ostatni front” pozostaje na liście bestsellerów. Po tygodniu spada na miejsce szóste, a w dwa tygodnie później zajmuje dziesiątą lokatę, którą utrzymuje przez cały miesiąc. To jasny sygnał, że nie trafiłam do tego rankingu przez przypadek. Książka sprzedaje się dobrze i co najważniejsze stabilnie. Inwestycja, jaką poczyniło wydawnictwo, wypłacając mi zaliczkę, już się zwróciła. Jakąkolwiek miarą by mierzyć, okazałam się dla Eden Press strzałem w dziesiątkę.

Wszystko się zmienia. Stałam się pisarką zupełnie innego gatunku. Otrzymuję sześć zaproszeń na rozmaite imprezy literackie, które mam uświetnić prelekcją – wszystkie mają się odbyć w ciągu miesiąca – i po kilku pierwszych dochodzę do wniosku, że bardzo mi się to podoba. Wcześniej nie cierpiałam tego rodzaju spędów. Złoty znanych pisarzy – ceremonie rozdania nagród, konferencje, konwenty – przypominają pierwszy dzień w liceum, choć są jeszcze gorsze, ponieważ te najfajniejsze dzieciaki są naprawdę fajne, a nie znam gorszego upokorzenia niż wykluczenie z kręgu rozmówców z powodu niedostatecznych nakładów, zbyt słabej reklamy czy zbyt niewielu pochwał ze strony krytyków, bym mogła zostać uznana za równorzędną istotę ludzką.

Na jednej z pierwszych konferencji literackich, w jakich brałam udział, nieśmiało przedstawiłam się pisarzowi, którego uwielbiałam od czasów ogólniaka. Zmrużył powieki, zerknął na mój identyfikator, po czym mruknął: „Och, chyba o tobie nie słyszałem” i odwrócił się na pięcie.

Teraz nagle okazuję się na tyle ważna, że mnie zauważają. Teraz faceci próbują mnie wyrwać i stawiają drinki przy barze (spotkania przy barze podczas literackich spędów nazywamy „barconami” – ludzie traktują je jako okazję do pokazania się w obecności sław lub porównania z innymi pod kątem wysokości nakładów i zaliczek). Redaktorka z jakiejś niedużej oficyny osacza

mnie w łazience i tłumaczy, że jest zagorzałą wielbicieleką mojej twórczości. Agenci filmowi wręczają mi wizytówki i zachęcają do podtrzymania kontaktu. Pisarze, którzy po katastrofie mojego debiutu obchodzili mnie szerokim łukiem, zachowują się, jakbyśmy przyjaźnili się od dziecka. „O mój Boże! Co u ciebie? Ależ ten czas leci, co? Hej, słuchaj, może napisałabyś dwa słowa o mojej nowej książce? Wiesz, fajnie by było, gdybyś przedstawiła mnie swojemu wydawcy, zgoda?”

W trakcie letnich targów BookCon, które można z grubsza określić mianem balu maturalnego branży wydawniczej, otrzymuję mrowie zaproszeń na rozmaite afterki w Javits Center, gdzie przechodzę z rąk do rąk, przedstawiana coraz to ważniejszym osobowościom, aż wreszcie trafiam do kółka tworzonego przez Daniellę i trzy jej najlepiej się sprzedające autorki: Marnie Kimball, odpowiedzialną za kilka bestsellerowych powieści o perypetiach seksownej blond kelnerki, walczącej przeciwko obdarzonym nadnaturalnymi mocami złoczyńcom i nawiązującej w szemranych knajpach romanse z przystojnymi wampirami; Jen Walker, która dopiero co opowiadała w „Today Show” o swoich wspomnieniach opisujących drogę, jaką odbyła, by jeszcze przed trzydziestką stać się zamożną i wpływową prezeską dużej korporacji; oraz Heidi Steel, surową i przystojną autorkę romansów, której książki od dziecka widuję na półkach w Targecie.

– Czy to tylko złudzenie, czy debiutanci naprawdę są z roku na rok coraz młodszy? – pyta Marnie. – Wszyscy wyglądają jak dzieci.

– Obecnie podpisują umowy tuż po studiach. – Heidi kręci głową. – Bez urazy, June, w panelu o romansach brała ze mną udział dziewczyna z drugiego roku. Przecież w tym wieku nie można nawet legalnie pić.

– Czy to aby mądre? – zastanawia się Jen. – Podpisać umowę na książkę z kimś, kto nie zdążył jeszcze w pełni rozwinąć płatów czołowych?

– Jedna taka podeszła do mnie, kiedy podpisywałam książki, i poprosiła o tekst na okładkę – opowiada Jen. – Dacie wiarę? Jakiś tytuł, który zupełnie nic mi nie mówi, wydawnictwo, o którym w życiu nie słyszałam, a ona uderza do mnie z egzemplarzem

recenzenckim i promiennym uśmiechem, święcie przekonana, że się zgodzę.

– I co powiedziałaś? – Marnie przeszywa dreszcz grozy.

– Że nie zmieszczę w torebce już ani jednej książki, ale że jej agent zawsze może podesłać mojemu epuba. Naturalnie nie zamierzam nawet zerknąć. Trafi prosto w niebyt – wyjaśnia Jen, naśladując windowsowy dźwięk opróżniania kosza.

Wszystkie chichocą.

– Dyplomatka – chwali Heidi.

– Nie bądź dla nich taka okrutna. Biedactwa nie mają odpowiedniego wsparcia z marketingu – zauważa Marnie.

– Tak, to rzeczywiście nieprzyjemne – wzdycha Daniella. – Nie mogę patrzeć, kiedy te małe oficyny kupują dobre powieści, a potem po prostu rzucają autorów wilkom na pożarcie.

– To diaboliczne – przytakuje Jen. – Ale to ich agenci powinni działać ostrożniej. To nie jest lekka branża.

– Komu to mówisz...

Wszystkie kiwamy głowami i sączymy wino, czując nieodpartą ulgę, ponieważ nie należymy do nieszczęsnych mas. Rozmowa schodzi na najnowsze wydawnictwo z serii tych niezależnych, które musiało zwolnić połowę pracowników, w tym niemal wszystkich redaktorów prowadzących. Rozważamy, czy autorzy z tej stajni powinni natychmiast szukać szczęścia gdzie indziej, czy zostać z nadzieją, że zmiany coś dadzą. Okazuje się, że plotki z wydawniczego światka mogą być ciekawe, zwłaszcza jeśli dotyczą cudzych niepowodzeń.

– Słuchaj – zwraca się do mnie Marnie – właściwie to dlaczego zainteresowałaś się akurat Chińskim Korpusem Pracy? Dopóki nie wydałaś książki, nawet o tym nie słyszałam.

– Jak większość – pysznię się, zadowolona ponad miarę, że Marnie w ogóle wie, o czym napisałam. Naturalnie nie zamierzam dopytywać o szczegóły, niepisana zasada pisarskiej etykiety głosi, że nie wolno pytać, czy ktoś rzeczywiście czytał twoje książki, czy tylko udaje. – Miałam na Yale seminarium z historii Azji Wschodniej. Wykładowca wspomniał o Korpusie przy okazji którejś z dyskusji i wydało mi się dziwne, że nie poświęcono tym ludziom jeszcze żadnej anglojęzycznej powieści. Ostatecznie uznałam, że sama tę

lukę wypełnię. – Pierwsza część jest prawdziwa, reszta już nie. Lwią część tych zajęć spędzałam na poznawaniu dzieł z zakresu dziejów sztuki japońskiej, to znaczy oglądałam porno z mackami w roli głównej. Doszłam jednak do wniosku, że ta bajeczka całkiem zgrabnie pozwoli uniknąć dalszych podobnych pytań.

– No proszę, ja robię identycznie – wykrzykuje Heidi. – Wyszukuję luki historyczne, sprawy, o których nikt nawet nie wspomina. Właśnie dlatego napisałam taki epicki romans fantasy o biznesmenie i mongolskiej łowczyni. „Dziewczyna orzeł”. Wyjdzie w przyszłym roku. Poproszę Daniellę, żeby podesłała ci egzemplarz. Naprawdę warto myśleć o punktach widzenia, których anglofoński czytelnik nie miał jeszcze okazji poznać, prawda? Trzeba robić miejsce dla słabszych głosów, dla stłumionych dotąd narracji.

– Zgadza się – potakuję. Jestem nieco zdziwiona, że Heidi zna takie słowa jak „anglofoński”. – Gdyby nie my, wszystkie te historie nigdy by nie wybrzmiały.

– Dokładnie, dokładnie.

Pod koniec imprezy, stojąc w kolejce do szatni, wpadam przypadkiem na Garretta, swojego dawnego redaktora. Rozkłada ręce do uścisku, jakbyśmy byli parą najlepszych przyjaciół, jakby nie zaszlachtował mojego pierwszego literackiego dzidziusia, jakby nie doprowadził do klapy i nie wystawił mnie do wiatru.

– Gratulacje, June – rzuca z szerokim uśmiechem na twarzy. – Nie masz pojęcia, jak przyjemnie jest obserwować twój sukces.

Przez cały ostatni rok bardzo często zastanawiałam się, co powiem Garrettowi, jeśli kiedykolwiek się znowu spotkamy. Kiedy byłam jeszcze jego autorką, zawsze gryzłam się w język; przerażała mnie perspektywa spalenia mostów, bałam się, że rozpowie w środowisku, że nie da się ze mną pracować. Tak bardzo chciałam powiedzieć mu prosto w twarz, jak mała i nieznacząca czułam się przez niego, jak te jego lakoniczne, lekceważące maile utwierdziły mnie w przekonaniu, że wydawca stracił wszelką nadzieję na powodzenie mojej książki, jak niewiele brakowało, by jego obojętność doprowadziła mnie do rezygnacji z pisania.

Najlepszą zemstą jest jednak rozkwitnąć. Prowadzona przez Garretta seria zaliczyła kolejne wpadki. Nie umieścił na liście bestsellerów żadnego tytułu z wyjątkiem dzieł sławnych, nieżyjących

autorów, których trzymał się kurczowo jak koła ratunkowego. Nie zdziwię się, jeśli przy następnym wstrząsie gospodarki wyleci z roboty. Wiem też, o czym ludzie ze środowiska szepczą pokątnie za jego plecami: „Garrett McKintosh miał u siebie Juniper Song i pozwolił jej odejść. Wypuścił z rąk »Ostatni front«. Czy można być głępszym?”.

– Dziękuję – mówię. A zaraz potem, ponieważ nie umiem się pohamować, dodaję: – Jestem naprawdę zadowolona ze wsparcia, jakie znalazłam w Edenie. Z Daniellą pracuje się po prostu fantastycznie.

– Tak, genialna dziewczyna. Robiliśmy w tym samym czasie staż u Harpera. – Garrett nie wyjaśnia, nie rozwija, po prostu spogląda na mnie z wyczekiwaniem.

Ogarnięta nagłą paniką uświadamiam sobie, że typ próbuje uciąć sobie ze mną luźną pogawędkę. Że wcale nie muszę się starać, by zrobić na nim wrażenie. Robię je samą swoją obecnością. Garrett chce się przy mnie pokazać.

– No właśnie. – Rzucam mu chłodny uśmiech. – Niesamowita jest. – I nagle, ponieważ w tej chwili jestem już rozdrażniona i dlatego, że chcę zadać jeszcze głębszą ranę, mówię: – Widzisz, ona po prostu ogarnia moją wizję w taki sposób, że rodzi się między nami niesamowite porozumienie. Jeszcze nigdy nie miałam okazji pracować z kimś tak przenikliwym i byстрыm. Można nawet powiedzieć, że to jej zawdzięczam sukces.

Cios jest celny. Garrett wyraźnie posępnieje. Wymieniamy jeszcze kilka zdawkowych uprzejmości, informujemy się nawzajem, co słyhać – ja pracuję już nad czymś nowym, on dopiero co wyszukał autora, który może okazać się kimś naprawdę wielkim – po czym się wycofuje:

– Przepraszam, June, ale powinienem jeszcze zamienić dwa słowa z koleżanką z angielskiego oddziału. Boję się, że zaraz się zbierze. Przyjechała tylko na weekend.

Wzruszam ramionami i macham mu na pożegnanie. Garrett odchodzi i mam ogromną nadzieję, że zniknie z mojego życia na dobre.

W styczniu przychodzi raport finansowy. „Ostatni front” zdołał pokryć moją i tak przecież szczodłą zaliczkę i od tej pory będę otrzymywać tantiemy, określony procent od dalszej sprzedaży. A sprzedaż, jeśli wierzyć zawartym w raporcie danym, idzie oszłamiająco dobrze.

Jak dotąd powstrzymywałam się przed wydawaniem pieniędzy z zaliczki. Czytałam wiele pouczających historii i wiem, że zaliczkę łatwo roztrwonić, że nie ma gwarancji, że książka pokryje jej wartość ani że ktokolwiek podpisze ze mną nową umowę, zbliżoną wysokością do pierwszej. W tym miesiącu jednak postanawiam sobie dogodzić. Nareszcie kupuję nowego laptopa, MacBooka Pro, który nie wyje i nie wyłącza się za każdym razem, kiedy próbuję otworzyć w Wordzie dokument dłuższy niż dwieście stron. Przenoszę się też do ładniejszego mieszkania – nie jest równie ekskluzywne jak to w Dupont, które wynajmowała Athena, ale na tyle eleganckie, że wszyscy goście dojdą do wniosku, że przytrafił mi się suty spadek. Wybieram się do IKEI, nie patrząc na ceny, zamawiam wszystko, na co mam ochotę, i dopłacam jeszcze za dostawę i montaż. Tym ostatnim zajmują się dwaj bardzo przystojni studenci, których wyszperałam na Task Rabbit. Kiedy zaczynają ze mną flirtować, nie oponuję. Dostają ode mnie bardzo porządny napiwek. Kupuję sobie barek. Bo jestem teraz taką osobą, która ma w domu barek.

Wypisuję czek, którym spłacam resztę kredytu studenckiego. Oblizuję kopertę i wysyłam ją do Departamentu Edukacji. Dzięki Bogu nie dostanę już ani jednego maila z Nelnetu. Wykupuję ubezpieczenie zdrowotne. Udaję się do dentysty, a kiedy okazuje się, że muszę wysupłać kilka tysięcy dolców, żeby zaleczyć wszystkie nieodkryte dotąd dziury, płacę bez zmużenia powieki. Odwiedzam lekarza pierwszego kontaktu. Czuję się dobrze, ale chcę sobie zrobić zestaw podstawowych badań. Bo mogę.

Zaczynam kupować dobrą whisky, aczkolwiek nie jestem w stanie przełknąć ani szklaneczki, nie myśląc o Athenie i jej głupich old fashioned. Zostaję klientką ekologicznej sieci Whole Foods. Uzależniam się od ich chleba kukurydzianego z jalapeno. A nowe ciuchy kupuję już w markowych outletach, nie w lumpeksach. Wyrzucam całą kolekcję taniej, kupionej na Etsy biżuterii i przestaję

nosić błyskotki, w których nie ma etycznie, w zrównoważony sposób wyprodukowanych klejnotów.

Kiedy nadchodzi sezon podatkowy, proszę Rory, swoją siostrę i księgową w jednej osobie, by ogarnęła temat. Kiedy wysyłam jej listę wydatków, odpowiedź przychodzi już po kilku minutach: „Jezu Chryste, to wszystko prawda?”.

„Żebyś, kurde, wiedziała” – odpisuję. „Zawsze ci przecież mówiłam, że ta cała pisanina jeszcze mi się opłaci”.

*

Staram się też zrobić z tymi pieniędzmi coś pożytecznego. Nie kłamie, kiedy mówię, że chcę wnieść pozytywny wkład w życie osób o azjatyckich korzeniach. Stowarzyszeniu Amerykańskich Pisarzy Pochodzenia Azjatyckiego wysyłam, zgodnie z obietnicą, czek na dwa tysiące dolarów i zamierzam podobne datki powtarzać corocznie, dopóki będę otrzymywać odpowiednio wysokie tantiemy. Z wdzięcznością przyjmuję propozycję zostania mentorką w programie Dobry Duch, kojarzącym w pary autorów publikowanych z pisarzami raczkującymi, którym należy pomóc ominąć najgorsze rafy branżowych mórz. Cieszę się, mogąc być tak wielkoduszną. Athena nigdy nie wspierała kolorowych twórców, wspinających się dopiero po najniższych szczeblach kariery. W zasadzie wręcz przeciwnie, drażnili ją.

– W mojej skrzynce ciągle pojawiają się maile od początkujących autorów, którym wydaje się, że poświęcę całe godziny na wypisywanie im dobrych rad, tylko dlatego, że łączy nas z grubsza kwestia pochodzenia – marudziła z pogardą. – „Dzień dobry, panno Liu, uczę się w drugiej klasie liceum i ponieważ też jestem Amerykanką azjatyckiego pochodzenia, bardzo panią podziwiam”. A weź się zamknij. Nie jesteś nikim wyjątkowym. Jesteś zwykłą, szarą myszką.

Fakt, że pisarze o azjatyckich korzeniach tak do niej lgnęli, irytował Athenę bardziej niż tylko trochę. Miałam wrażenie, że naprawdę nimi gardzi. Nie cierpiała, kiedy wspominałam o literackich debiutach, porównywanych w prasie z jej książkami.

Zrzędziła, że wszystkim brakuje oryginalności, że za bardzo się starają, że zbyt nachalnie próbują wypełnić sobą rynkową niszę literatury mniejszości.

– Napiszcie wreszcie o czymś innym! – prychała. – Komu potrzebna jeszcze jedna cikliwa opowiadka o imigrantach? Ojoj, ktoś w podstawówce powiedział, że twoje drugie śniadanie śmierdzi? Nabijali się z twoich skośnych oczu? Boże, naprawdę już o tym wszystkim czytałam. Zero oryginalności.

Być może padła ofiarą „zespołu Nieśmiertelnego” – czytałam kiedyś, że członkowie marginalizowanych grup, którym udało się coś osiągnąć, czują się zagrożeni, jeżeli ludzie z ich grupy zaczynają im dorównywać. Doświadczam tego zjawiska na własnej skórze. Za każdym razem, kiedy natykam się na informację o młodej dziewczynie, której debiutancka książka świetnie się sprzedaje, mam ochotę wydrapać sobie oczy. Niewykluczone, że także Athena bała się, iż ktoś ją w końcu zastąpi lub prześcignie. Ale ja będę od niej lepsza. Bo jestem kobietą, która pomaga innym kobietom.

Pod moje skrzydła trafia w ramach Dobrego Ducha dziewczyna nazwiskiem Emmy Cho, która przysłała mi wylewnego maila, pełnego górnolotnych słów uwielbienia dla moich książek. Emmy mieszka w San Francisco, więc pierwszą sesję mentorską odbywamy na Zoomie. Jest ładna. Świeża, niewinna buzia – uroda słodziutkiego króliczka, Athena z usuniętymi zębami jadowymi. Kiedy na nią patrzę, ogarnia mnie odruchowa pokusa, by osłonić ją swoim płaszczem i obronić przed całym światem.

Opowiada mi o książce, nad którą właśnie pracuje. To powieść o dojrzewaniu, traktująca o lesbijce z koreańskimi korzeniami, dorastającej w latach dziewięćdziesiątych na amerykańskim Środkowym Zachodzie. Rzecz w znacznej mierze oparta jest na osobistych przeżyciach Emmy.

– Moja książka jest troszkę podobna do tego filmu, „Więcej niż myślisz”, widziałaś może? – Emmy ma taki uroczy nawyk, za każdym razem, kiedy kończy zdanie, zakłada włosy za uszy. – Wiesz, trochę się niepokoję, że w branży nie ma większego zainteresowania tego rodzaju historiami. Kiedy dorastałam, nie widziałam w księgarniach podobnych książek. Ja nie piszę emocjonującego,

porywającego thrillera, tylko raczej spokojną, pełną introspekcji powieść. Dlatego właśnie nie wiem...

– Moim zdaniem nie masz się czym przejmować – zapewniam. – Wydaje mi się, że jeżeli dla pisarek pochodzenia azjatyckiego cokolwiek się w branży zmieniło, to tylko na lepsze.

– Poważnie mówisz? – Dziewczyna ściąga brwi.

– Oczywiście – potwierdzam. – Teraz sprzedaje się różnorodność. Wydawcy są złąknieni głosów mniejszości. A ty jesteś odmienna pod wieloma względami. Pomyśl, nieheteronormatywna Azjatka? Czego chcesz więcej. Zobaczysz, kiedy tylko wyślesz im rękopis, dostaną ślinotoku.

– No cóż. – Emmy parska nerwowym śmiechem. – Skoro tak...

– Po prostu napisz tę książkę najlepiej jak potrafisz i pokaż ją światu – tłumaczę. – To murowany przebój, uwierz mi.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę. O tym, jak jej idą kontakty z wydawnictwami (kilka poprosiło o fragmenty rękopisu, jak dotąd nie otrzymała żadnych konkretnych ofert), oraz o jej odczuciach wobec tekstu (jest pewna swojego sposobu narracji, lecz obawia się, że zawarła w książce zbyt wiele nakładających się planów czasowych).

Kiedy wyznaczona godzina ma się ku końcowi, Emmy chrząka i rzuca:

– Hm, przepraszam, że pytam, ale czy ty jesteś biała?

Zaskoczenie musiało odcisnąć mi się na twarzy, ponieważ dziewczyna natychmiast zaczyna przeproszać.

– Przepraszam, nie wiem, czy wypada tak pytać. Chodzi o to, że... no... ten... Song. Brzmi trochę dwuznacznie, więc wolałam się upewnić.

– Jestem biała – odpowiadam tonem bardziej mroźnym, niż zamierzałam. Czy ona coś insynuuje? Że ponieważ nie jestem Azjatką, nie mogę być dla niej dobrą mentorką? – Song to moje drugie imię. Mama mnie tak nazwała.

– Jasne. – Emmy po raz kolejny zaplata włosy za uszy. – No, to spoko. Tak tylko pytałam.

Osiem

To jasne, że pojawiają się także krytycy. Im książka bardziej popularna, tym bardziej popularne staje się jej hejtowanie. Dokładnie z tego powodu wszyscy millenialsi darzą poezję Rupi Kaur wrodzoną niechęcią. Większość recenzji „Ostatniego frontu” na Goodreads to pięć gwiazdek, lecz te jednogwiazdkowe pełne są jadu. „Bez polotu, wypociny kolonizatorki. Do śmieci” – pisze ktoś. „Kolejny przejaw wykorzystywania tematu kolorowych przez białych. Rzewna, sztafpowa formuła: kopiuj, wklej, zmień nazwiska i bestseller gotowy” – czytam w innej opinii. Jest też trzecia, sprawiająca wrażenie zbyt osobistej, by mogła być obiektywna: „Co za nadęta, nieznośna suka. Nic, tylko przechwała się studiami na Yale. Kupiłem na wyprzedazy wersję na Kindle’a i zamierzam odzyskać całe wydane na ten chłam dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć centów”.

Kiedy po raz pierwszy ktoś oznacza mnie w niepochlebnej recenzji na Twitterze („Zmylił mnie cały ten szum medialny, po żadną książkę tej autorki na pewno już nie sięgnę”), piszę do Marnie Kimball i Jen Walker, swoich nowych przyjaciółek poznanych na bankiecie po BookCon.

Obie zostawiły mi numery i nalegały, bym się do nich zwracała zawsze, gdy będę czegoś potrzebować. Od tamtej pory nasz grupowy czat, przewrotnie nazwany Aniołki z Edenu, jest moim stałym źródłem wsparcia i branżowych plotek.

„Jak w sumie radzicie sobie z całym tym nieprzyjemnym syfem, który ludzie wypisują o was w sieci?” – pytam. „To okropnie deprymujące. Zupełnie jakby wszyscy toczyli wobec mnie jakąś prywatną wendetę. Jakbym osobiście skopała im kiedyś pieska czy coś”.

„Zasada numer jeden: Nie Czytaj Recenzji” – pisze Marnie; podobnie jak wiele starszych kobiet, używa sporo spacji i wielkich liter. Nigdy nie jestem pewna, czy to błędy, czy tak ma być. „Gdyby tacy ludzie mieli cokolwiek wartościowego do powiedzenia, napisaliby o tym we własnych książkach. To Zwykli Mali Zawistnicy”.

„Niech sobie krzyczą” – odpowiada mi Jen. „Rytualne okazywanie nienawiści jest dla nich formą zacieśniania więzi. Dostają od tego wyrzutu serotoniny. Poważnie, robili badania. Nie bierz takich tekstów do siebie. To wszystko owce i nic więcej”.

Rady Aniołków byłyby dobre, gdybym posiadała odpowiednio rozwiniętą odporność i umiała nie przejmować się tym, co na mój temat myślą inni. Czytam więc dalej wylewające się z Goodreads tyrady, całe twitterowe wątki ociekające przeznaczonym dla mnie jadem oraz napisane szalenie protekcyjnym tonem wpisy na Reddicie. Klikam w każdy krytyczny artykuł zaraz, gdy tylko wyskakuje w moich alertach, nawet kiedy sam tytuł nie zwiastuje nic ponad świętoszkowatą zapiekłość.

Nic na to nie poradzę. Muszę wiedzieć, co takiego mówi o mnie świat. Muszę poznać kontury swojego cyfrowego ja, ponieważ znając rozmiar zniszczeń, będę przynajmniej wiedzieć, czy powinnam się bardzo martwić.

Najpopularniejszym hejterskim tekstem w obiegu jest recenzja z „Los Angeles Review of Books”, wysmażona przez krytyczkę nazwiskiem Adele Sparks-Sato, którą swoją drogą cenię, bo zawsze celnie punktuje powieści okrzyczane przez ogół „głosem pokolenia” i potrafi nazwać je wprost „stękiem narcystycznych bzdur”. Adele jest także autorką najostrzejszych ocen twórczości Atheny (o jej debiucie pisała tak: „Liu wpada w typową dla nowicjuszy pułapkę, która polega na błędnym uznawaniu lirycznych, napisanych w trzeciej osobie, lecz dotyczących wyłącznie autora zdań za głębokie spostrzeżenia ogólnej natury. Niestety, nawet Azjata może być orientalistą. Jak ja to odczytuje? Athena Liu powinna pozbyć się skłonności do stereotypizacji własnej rasy”). Tym razem wzięła na celownik mnie.

Pisząc „Ostatni front”, Juniper Song przeoczyła doskonałą okazję na wydobycie spod ziemi zapomnianego fragmentu

historii. Zamiast tego wykorzystala cierpienie tysięcy chińskich robotników jako tło służące melodramatycznym opowieściom i odkupieniu białych. Mogła na przykład przyjrzeć się roli chrześcijańskich misjonarzy, którzy przekonywali młodych, niepiśmiennych Chińczyków, by pracowali i umierali za siedmioma morzami, i których we Francji zatrudniano przede wszystkim po to, by uczynić z Azjatów pracowników potulnych, spokojnych i skorych do współpracy. Song postępuje inaczej, bez cienia zażenowania chwala rolę misjonarzy w nawracaniu Chińczyków. „Ostatni front” nie wytycza nowych szlaków, nie łamie barier, książka ta dołącza do długiego szeregu opowieści w rodzaju „Służących” czy „Łaskawej ziemi”, które nazywam historyczną literaturą eksploatacji. To nieautentyczne historie, wykorzystujące trudną przeszłość w charakterze atrakcyjnej scenografii taniego przedstawienia odgrywanego ku uciesze białych.

Oj tam, oj tam. Kim jest ta cała Adele, by oskarżać mnie o brak autentyczności? Czy nazwisko Sato nie jest przypadkiem japońskie? Czy nie mówi się teraz, że doświadczenie Chińczyków jest całkiem odmienne od doświadczeń Japończyków?

„Może by tak droga Adele użyła maści na ból dupy, dziwka” – skarżę się Aniołkom.

„Czego się spodziewasz? Panna ma inicjały ASS...” – odpisuje Marnie.

„Krytycy budują sobie markę, mieszając innych z błotem. Jedynie w ten sposób mogą uzasadnić własne istnienie. Toksyczna kultura w czystej formie. Nie pozwól się wciągnąć. Jesteśmy ponad to” – pisze Jen.

Jakaś studentka z UCLA, niejaka Kimberly Deng, wrzuca na YouTube’a dwunastominutowy filmik, zatytułowany: „WSZYSTKIE KULTUROWE BŁĘDY »OSTATNIEGO FRONTU«!!!”. W ciągu tygodnia dzieło to zyskuje ponad sto tysięcy wyświetleń. Z ciekawości oglądam kawałek i wychodzę z tego doświadczenia nie tyle urażona, co przygnębiona. Autorka wytyka same trywialne błahostki. Na przykład: „Chińscy żołnierze nie jedliby w Boże Narodzenie typowo

brytyjskiego ciasta”. Skąd ona wie, co takiego jedli i kiedy? Ewentualnie nabija się z nazwisk, które przecież wymyśliła sama Athena: „Ah Kay? Skąd ona to wzięła? Z hongkońskiego kryminału?”. Komentarze pod filmem to wyłącznie „LOL DAJESZ KIMMY” tudzież „BIAŁASKA NIE WIE CO PISZE”.

Sama Kimberly ma na tyle tupetu, że zaczepia mnie osobiście na Instagramie i pyta, czy zechciałabym pojawić się na jej kanale. Z mściwą satysfakcją sugeruję, by skontaktowała się z odpowiedzialną za moją reklamę Emily, której z kolei każę pannę olać.

Inny internetowy znawca, Xiao Chen, publikuje na Substacku esej, w którym twierdzi, że „Ostatni front” w ogóle nie powinien się ukazać. Xiao Chen jest mi poniekąd znany – Athena narzekala na niego często i zapalczywie. W zeszłym roku koleś miał wiralowy przebój, filmik pod tytułem „Skończmy z fikcją diasporę”, w którym twierdził, że żaden autor z obecnej fali amerykańskich pisarzy chińskiego pochodzenia nie pisze nic wartościowego, ponieważ żaden z nich nie doświadczył niczego w rodzaju masakry na placu Tian’anmen czy rewolucji kulturalnej, i że rozpieszczone dzieciaki z Bay Area, które nie znają słowa po mandaryńsku i którym wydaje się, że azjatycka tożsamość sprowadza się do niezdrowej fascynacji bubble tea i zespołem BTS, rozwadniają radykalną energię oryginalnej diasporę. Przeglądałam jego zażarte, twitterowe kłótnie z innymi pisarzami. „NAUCZ SIĘ CHIŃSKIEGO” – warczał. Albo: „ZAMKNIJCIE SIĘ, MARIONETKI ZACHODU O WYPRANYCH MÓZGACH”.

Jego modus operandi polega na przypisywaniu wszystkiego, co w danym tekście złe, jakiemuś samodzielnie zdiagnozowanemu problemowi psychologicznemu autora. W moim przypadku Xiao Chen uznaje, że napisałam „Ostatni front”, ponieważ jestem „jedną z wielu białych kobiet, jak te, które piszą queerowe fanfiki ze świata »The Untamed«, które nie tylko mają niezdiagnozowany fetysz kobieco wyglądających Azjatów, lecz uważają również, że historia Chin jest obszarem, z którego można dowolnie wybierać intrygujące, połyskliwe klejnociki i ustawiać je w kącie niczym urocze wazy z epoki Ming”.

Wylewający się z tych słów jad sprawia, że mam ochotę wybuchnąć śmiechem. Serio. Niektóre krytyczne wpisy są zimne i protekcyjne w takim stopniu, że rzeczywiście mnie bolą, lecz ten jest tak emocjonalny i wściekły, że ujawnia jedynie brak poczucia bezpieczeństwa autora i przepełniający go bezmiar niewy tłumaczalnego gniewu. Wyobrażam sobie Xiao Chena, jak siedzi w piwnicy zgarbiony nad laptopem i szczerząc zęby, toczy z ust pianę na użytek nieistniejącej publiczności. Zastanawiam się, co by zrobił, gdybyśmy spotkali się osobiście – uderzyłby mnie w twarz, czy może wybełkotał kilka nieskładnych wyrazów sympatii i czmychnął precz jak niepyszny? Ludzie tego pokroju zawsze o wiele bardziej odważni są w sieci, niż kiedy przychodzi do rozmowy w cztery oczy.

„Tacy jak on nie znoszą kobiet, które odnoszą sukces” – pisze Jen.

„Mizoginizm w najgorszym wydaniu. A swoją drogą, co to jest to całe »The Untamed«?” – wtóruje jej Marnie.

Jedna scena, pojawiająca się po dwustu stronach tekstu, stanowi przedmiot prawdziwej obsesji moich hejterów. Naprawdę, każda negatywna recenzja wspomina o niej najdalej w trzecim akapicie. Annie Waters – postać, którą zaczerpnęłam z rękopisu Atheny i samodzielnie rozbudowałam, siedemnastoletnia córka misjonarzy z YMCA – odwiedza samotnie obóz chińskich pracowników, gdzie rozdaje Biblie i bożonarodzeniowe wypieki. Mężczyźni, którzy od miesiący nie widzieli swych żon ani żadnej innej kobiety, z oczywistych powodów obrzucają dziewczynę pożądanymi spojrzeniami. Annie jest szczupłą, ładną blondynką: to jasne, że nie mogą się napatrzeć. Jeden pyta, czy może pocałować ją w policzek, a ponieważ trwa okres świąteczny, dziewczyna ze wstydem pozwala.

Moim zdaniem to wzruszający obrazek. Ludzie rozdzieleni barierami języka i rasy dowodzą wbrew wszelkim przeciwnościom, że nawet w środku wojny potrafią przeżyć wspólny moment czułości. Tworząc tę scenę, usunęłam również jedno z zastrzeżeń Danielli, która zauważyła, że „Ostatni front” koncentruje się niemal wyłącznie na mężczyznach. „Era maczystowskich opowieści

o wojnie dobiegła końca” – napisała mi. „Obecnie musimy wzmacniać kobiece głosy i pokazywać kobiecy punkt widzenia”.

W rękopisie Atheny nie było mowy o pocałunku. W jej wersji Annie była wychowaną pod kloszem, kapryśną dziewczuchą, która uważała robotników za brudnych, odrażających drabów. Annie w wydaniu Atheny rzuciła tym ludziom oziębłe „wesołych świąt”, po czym zostawiła ciasteczka przy otaczającym ich obóz drucie kolczastym, a następnie zbiegła lękliwie, jakby Chińczycy byli psami mogącymi lada moment zerwać się z uwięzi i zagryźć ją na śmierć.

Nie ulega wątpliwości, że Athena próbowała podkreślić rasizm, jakiego azjatyccy robotnicy doświadczali ze strony ludzi walczących po tej samej stronie frontu co oni. Jednak ta myśl pojawiała się dostatecznie często w innych miejscach książki. Chciałam uniknąć ciężkawych powtórzeń i pomyślałam: dlaczego by nie dopisać sceny wskazującej na możliwość narodzin uczucia między osobami różnych ras? Chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby takich związków potępić?

I to właśnie, z jakiegoś powodu, jest podobno najbardziej rasistowską z moich artystycznych decyzji.

Adele Sparks-Sato pisze: „Song, zamiast zbadać rzeczywiste czynniki utrudniające nawiązywanie romantycznych związków między Francuzkami a chińskimi robotnikami, uznała za stosowne opisać Azjatów jako bliskie zwierzętom stworzenia, niezdolne zapanować nad chucią, jaką budzi w nich widok białej kobiety”.

Xiao Chen: „Czy naprawdę wszystkie białe kobiety uważają, że obsesyjnie chcemy się z nimi pieprzyć??? Skrajna arogancja. Juniper, wierz mi, aż tak ładna to ty nie jesteś”.

„W następnym filmiku – zapowiada Kimberly Deng – nauczę was robić makijaż w stylu Annie Waters. Spodziewajcie się białych łez i maseczki z kurkumy”.

Cała ta dyskusja prowokuje powstanie serii memów. Fotografie przeciętnych, mało atrakcyjnych białych kobiet uzupełniają się cytatem z „Ostatniego frontu”: „Była szczupłą, drobną istotką, o włosach barwy wschodzącego słońca i oczach błękitnych jak morze. Kiedy sunęła lekkim krokiem przed siebie, mężczyźni nie potrafili oderwać od niej spojrzeń”. Na sporej ilości tych memów widnieją moje fotki, które hejterzy wygrzebali gdzieś w sieci.

Mam ochotę napisać publicznie, że jest to zachowanie skrajnie okrutne i seksistowskie, lecz Aniołki z Edenu zapewniają, że najlepszą formą obrony jest w takich razach milczenie. „Nie karm trolli” – podpowiada Jen. „Nie możesz im pokazać, że zdołali ci dopiec”.

Ponieważ nie mogę nikogo zrugać osobiście, często ćwiczę dyskusje pod prysznicem.

– Prawda jest taka – tłumaczę butelce szamponu – że choć Chińczycy padali ofiarą dyskryminacji, to sami również nierzadko okazywali się rasistami. Istnieją dokumenty czarno na białym stwierdzające, że robotnicy z Chin nie dogadywali się z Arabami i Marokańczykami. Według jednego z moich źródeł Chińczycy nazywali ich „czarnymi diabłami”. Musimy zdać sobie sprawę, że konflikty między poszczególnymi grupami etnicznymi istnieją od dawna.

W odpowiedzi na oskarżenie o gloryfikację zachodnich misjonarzy odpowiedziałabym:

– Równie esencjalistyczna byłaby teza, że nigdy żaden chiński żołnierz nie znalazł pocieszenia w chrześcijaństwie. Zgadza się, misjonarze często stosowali dyskryminację i traktowali Azjatów protekcyjnie, lecz z rozmaitych relacji i pamiętników wiemy również, że dochodziło do autentycznych nawróceń. Moim zdaniem rasistowskim jest twierdzenie, że nawrócenia takie były niemożliwe tylko dlatego, że chodziło o Chińczyków.

A w reakcji na idiotyczny clickbait Kimberly Deng stwierdziłabym:

– Żebyś, kurwa, wiedziała, że umieszczenie niektórych scen w Kanadzie ma sens, ponieważ ci robotnicy zostali najpierw przewiezieni właśnie do Kanady, a dopiero stamtąd trafili do Francji. Wystarczy zajrzeć do Wikipedii.

Rozkoszuję się, wyobrażając sobie przygnębione twarze krytyków, do których dociera nagle, że nie wystarczy być Azjata, by stać się historykiem, a pochodzenie nie decyduje o tym, czy ktoś posiada wyjątkowy dar postrzegania świata, czy nie; że kulturowy snobizm i maniackalne sprawdzanie autentyczności są jedynie specyficznymi formami odcinania się od innych ludzi, a wszystko to sprowadza się do jednego podstawowego faktu: że nie mają, kurwa,

pojęcia, o czym mówią. W takich wyimaginowanych dyskusjach nabieram doświadczenia, dzięki któremu, kiedy wreszcie dochodzi do rzeczywistej konfrontacji z krytykiem, wchodzę w nią świetnie przygotowana. Tego konkretnego wieczora mam pogadankę dotyczącą powieści historycznych, zorganizowaną w jednej z niezależnych księgarni w Cambridge. Początkowo publiczność traktuje mnie uprzejmie, choć zadają stosunkowo wymagające pytania. W przeważającej większości jest to młodzież z Harvardu i MIT, a jeszcze z Yale pamiętam, że studenci elitarnych uczelni niezmiennie mają się za mądrzejszych, niż są, oraz że pokonanie w dyskusji znanego intelektualisty jest dla nich jednym z ważniejszych życiowych osiągnięć. Jak dotąd sparowałam już pytania dotyczące pseudonimu („Jak już mówiłam, napisałam tę powieść pod swoim drugim imieniem dlatego, że chciałam w ten sposób podkreślić rozpoczęcie nowego etapu”), dokumentacji i procesu przygotowań do pracy (na to zawsze odpowiadam, cytując skróconą wersję bibliografii) oraz swoich związków ze wspólnotą Amerykanów chińskiego pochodzenia (przypominam o stypendium imienia Atheny Liu, które ufundowałam poprzez Stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Pochodzenia Azjatyckiego).

Aż tu nagle mikrofon trafia do rąk dziewczyny siedzącej w pierwszym rzędzie. Z miejsca wiem, że będzie kiepsko. Panna wygląda jak stworzony przez prawnicowca mem przedstawiający bojowniczkę o sprawiedliwość społeczną – krótko przyszczyżone fioletowe włosy, niedbale naciągnięta wełniana czapeczka, dzianinowe rękawki oraz kilkanaście znaczków i przypinek głoszących wszem wobec, że ich właścicielka pozostaje lojalna hasłom BLM, BDS⁴ i AOC⁵. (Kurczę no, wszyscy jesteśmy liberałami, ale dajcie spokój). Na jej twarzy maluje się dziki wyraz zaangażowanego przejęcia, zupełnie jakby od urodzenia czekała właśnie na tę jedną szansę, by mi dowalić.

– Hej – zaczyna i głos natychmiast zaczyna się jej łamać. Nie jest przyzwyczajona do prowadzenia dyskusji wobec publiczności na żywo. – Jestem Amerykanką chińskiego pochodzenia i kiedy przeczytałam „Ostatni front”, pomyślałam... Znaczy znalazłam w tej książce wiele bolesnych opowieści. Dlatego chcę zapytać. Co sprawia, że według ciebie jest wporzo, kiedy biała autorka, w sensie nie

Chinka, pisze o takich sprawach i czerpie z nich zyski? Dlaczego twoim zdaniem jesteś właściwą osobą do opowiadania o tym problemie?

Opuszcza mikrofon. Jej policzki pokrywa głęboki rumieniec. Niebywale się rozemocjonowała. Bez wątpienia myśli, że wymierzyła mi właśnie siarczysty policzek, że po raz pierwszy mam do czynienia z tak postawionym pytaniem. Podekscytowana jest zresztą cała sala. Wszyscy słuchacze zerkają to na nią, to na mnie, jakby spodziewali się rękoczynów.

– Myślę, że wprowadzanie cenzury polegającej na odgórnym decydowaniu, o czym dany autor może bądź nie może pisać, byłoby pomysłem bardzo niebezpiecznym – zaczynam z grubej rury, za co nagradza mnie kilka pomruków poparcia. Dostrzegam też w tłumie sceptyczne spojrzenia, zwłaszcza ze strony Azjatów. – Nie chciałabym żyć w świecie, w którym o tym, co wolno pisać, rozstrzyga kolor skóry. Spróbuj odwrócić to, co właśnie powiedziałaś, i zastanów się. Czy czarnoskóry pisarz nie ma prawa pisać książek, w których występują biali bohaterowie? A co z autorami, którzy pisali o drugiej wojnie światowej, mimo że nie brali w niej udziału? Oczywiście, każde dzieło literackie można krytykować za artystyczne niedociągnięcia oraz błędy w przedstawieniu konkretnych wydarzeń historycznych. To jasne. Nie widzę jednak powodu, bym nie mogła się zająć dowolnym tematem, o ile odpowiednio się do tej pracy przyłożę. A jak sama wiesz, ponieważ czytałaś moją książkę, ja się przyłożyłam. Sprawdź bibliografię. Każdy fakt możesz potwierdzić osobiście. Poza tym uważam, że pisanie jest w swej najgłębszej istocie ćwiczeniem zdolności współodczuwania. Czytając, jesteśmy w stanie wejść w skórę innego człowieka. Literatura buduje mosty, czyni nasz świat nie mniejszym, a większym. Natomiast co do kwestii zysków, czy każdy autor podejmujący ponure, trudne tematy powinien czuć z tego powodu wyrzuty sumienia? Czy twórcy nie powinni otrzymywać za swoją pracę wynagrodzenia?

„Czerpanie zysków z cudzego cierpienia”. Boże, jakie to okrutne sformułowanie. Athena również się z tym zarzutem zmagala, publicznie, aktywnie.

– Mam etyczny kłopot z faktem, że mogę tę historię opowiedzieć jedynie dlatego, że przeżyli ją moi rodzice i dziadkowie – powiedziała kiedyś w wywiadzie dla „Publishers Weekly”. – I czasami rzeczywiście mam wrażenie, że wykorzystuję ich cierpienie dla własnego zysku. Staram się pisać w sposób, który byłby dla nich hołdem. Niemniej pozostaję świadoma, że mam taką możliwość wyłącznie dlatego, że należę do uprzywilejowanego pokolenia szczęściarzy. Mam luksus perspektywy czasu, stać mnie na to, by po prostu opowiadać.

Łagam. Zawsze wydawało mi się, że to taki tani unik. Nie ma potrzeby niczego ubarwiać. Wszyscy jesteśmy sępami, a niektórzy z nas – mam tu na myśli konkretnie Athenę – okazują się po prostu lepsi w wyszarpywaniu z padliny bardziej soczystych, mięsistych opowieści i skuteczniej przebijają się przez chrząstki i kości do wrażliwego, krwawiącego serca, które wyciągają na widok publiczny.

Naturalnie czuję się trochę podle, kiedy informuję zasłuchaną widownię, że brytyjskim oficerom polecono tłumić niepokoje poprzez rozstrzelanie niezadowolonych robotników. Opowiadanie o tym jest zarazem ekscytujące i w pewien sposób niewłaściwe. Na podobnej zasadzie czułam się źle, licząc lajki pod swoim twitterowym wpisem o śmierci Atheny. Taki już jednak los człowieka, który opowiada historie. Stajemy się niekiedy ogniskami, w których skupia się makabra. To my mówimy „patrzcie!”, gdy wszyscy wokół zasłaniają sobie oczy, niezdolni zmierzyć się z pełną mocą koszmaru. To my wyrażamy wszystko, czego inni nie potrafią nawet objąć rozumem. My ujmujemy w słowa to, co niewyobrażalne.

– Przypuszczam, że dyskomfort, jaki wywołuje u niektórych fakt, że napisałam o tej tragedii, mówi przede wszystkim o tym, że mamy poważny problem z przyznaniem, że w ogóle do niej doszło – podsumowuję. – Niestety, taka jest dola każdego autora powieści o wojnie. Nie pozwolę jednak, by to powstrzymało mnie przed opowiadaniem historii, których nie opowiedział jeszcze nikt inny.

Umiarkowane oklaski. Nie wszyscy się ze mną zgadzają, lecz to żaden kłopot. Nikt nie buczy, a kiedy porusza się tak delikatne tematy, samo w sobie stanowi to zwycięstwo. Dziewczyna chce

chyba coś dodać, lecz pracownik księgarni przekazał już mikrofon następnemu chętnemu, który pyta o to, gdzie i w jaki sposób szukam natchnienia. Uśmiecham się, przytykam dłoń do podbródka i wygłaszam kolejną z góry przygotowaną i przećwiczoną odpowiedź.

*

Kto ma prawo pisać o cierpieniu?

Wybrałam się kiedyś z Atheną do muzeum na wystawę opowiadającą o wojnie koreańskiej. Działo się to w czasach, kiedy byłam jeszcze na tyle głupia, że wierzyłam, iż możemy zostać bliskimi przyjaciółkami. Byłam wtedy świeżo po przeprowadzce do Waszyngtonu, po krótkotrwałej współpracy z Teach for America i wiedziałam, że Athena również zamieszkała tu kilka miesięcy wcześniej, w związku ze stypendium na Georgetown. Wysłałam jej więc radosną wiadomość i zapytałam, jakie ma plany. Odpowiedziała, że rano pracuje, ale po południu wybiera się do muzeum i bardzo by chciała, żebym z nią poszła.

Oglądanie wystaw poświęconych wojnie koreańskiej nie jest moim topowym sposobem spędzania piątkowego popołudnia, lecz Athena miała ochotę się ze mną spotkać, a wówczas wciąż czułam dreszczyk emocji za każdym razem, kiedy poświęcała mi choć ochłap uwagi. Umówiliśmy się więc na piętnastą przed wejściem.

– Ależ się cieszę, że jesteś w mieście! – Zamknęła mnie w tym swoim lekkim, obojętnym uścisku. Można by pomyśleć, że jest supermodelką, która dopiero co wyściskała setkę fanów i nie potrafi już w pełni poświęcić się czynności ściskania. – Wchodzimy?

– No pewnie... Tak, jasne – odpowiadam.

Cała ona. Żadnych wstępów ani pogaduszek. Żadnego „co u ciebie”. Przelotny uścisk i już po chwili wchodzimy do części muzeum poświęconej przeżyciom amerykańskich jeńców wojennych w Korei Północnej.

Najpierw myślałam, że to jakiś żart. „Oj, głupia ty, chyba nie pomyślałaś, że naprawdę wolę się snuć po zakurzonej, starym muzeum, zamiast dowiedzieć się, jak się masz?” Albo że być może

spędzimy tu kilka minut, a potem, kiedy Athena zobaczy już, co chciała, przeniesiemy się w chłodny cień klimatyzowanego baru, gdzie będziemy sączyć owocowe drinki i gadać o, no wiecie, życiu i branży wydawniczej. Dość szybko stało się jednak jasne, że Athena planowała spędzić tam całe popołudnie. Przed każdą czarno-białą, wyciętą z tektury, rzeczywistej wielkości sylwetką zatrzymywała się na przynajmniej dziesięć minut i bezgłośnie poruszając ustami, odczytywała z tabliczki dzieje życia upamiętnionego w ten sposób żołnierza. Następnie przytykała palce do ust, wzdychała i kręciła głową. W pewnej chwili przyuważyłam nawet, że ociera łzę.

– Pomyśl tylko – powtarzała szeptem. – Tyle śmierci. Tyle cierpienia w imię sprawy, w którą nawet sami nie do końca wierzyli. Tylko dlatego, że rząd uznał, iż teoria domina jest słuszna. Mój Boże.

A potem, kiedy stanęliśmy przed kolejną kartonową postacią, wszystko się powtórzyło. Tutaj mogliśmy przeczytać ostatni zachowany list napisany przez dziewiętnastoletniego poborowego Ricky'ego Barnes'a, który nad rzeką Jalu, po tym jak zachorował na dyfteryt, prosił przyjaciela, by zawiózł jego nieśmiertelnik matce.

Athena nie przestawała mówić. Początkowo pomyślałam, że może jest niebywale wrażliwa, że słuchając o cudzym cierpieniu, mimowolnie przeżywa je jak własne. Że jest, kurwa, świętą.

W miarę jednak, jak brnęliśmy przez wystawę, spostrzegłam, że co chwila notuje coś w swoim moleskinie. Cała wizyta miała na celu zebranie materiałów do jakiegoś literackiego projektu.

– Koszmar – szeptała. – Wdowa po nim miała ledwie siedemnaście lat, taka młodziotka. A już była w ciąży z jego córką, która nigdy nie zobaczyła twarzy ojca. – I tak dalej, i wciąż.

Posuwałyśmy się w ślimaczym tempie, Athena studiowała z uwagą każde zdjęcie i tabliczkę, po czym tłumaczyła mi, z jakiego powodu ta konkretna historia jest niezwykle tragiczna.

Ostatecznie nie mogłam już tego słuchać, więc przeniosłam się w część wystawy, gdzie prezentowano mundury. Po wyjściu nie mogłam znaleźć Atheny i przez chwilę myślałam, że mnie wystawiła, lecz w końcu wypatrzyłam ją na ławce, obok jakiegoś staruszka na wózku inwalidzkim. Notowała zaciekle, a on przemawiał prosto do jej cycków.

– A pamięta pan, jakie towarzyszyły temu emocje? – spytała. – Potrafi pan je opisać? Wszystko, co tylko sobie pan przypomniał.

Jezu Chryste, przemknęło mi przez myśl, ona jest wampirem.

Athena miała oko wyczulone na cierpienie. Wypatrywała go jak sroka błyskotki. Ten talent stanowi wspólne podłoże jej najlepiej ocenianych książek. Potrafiła przedrzeć się przez błoto faktów i szczegółów do krwawego rdzenia każdej historii. Kolekcjonowała autentyczne relacje niczym muszelki, szlifowała je i przedstawiała błyszczące przerażonym i zahipnotyzowanym czytelnikom.

Tamta wizyta na wystawie wytrąciła mnie z równowagi, lecz wcale nie zaskoczyła.

Już wcześniej wiedziałam, że Athena jest złodziejką.

Sama zapewne nawet nie uważała tego za kradzież. Kiedy ten proces opisywała, okazywał się nie żerowaniem na cudzej przeszłości, lecz czynnością głęboką i mityczną.

– Staram się nadawać sens chaosowi – powiedziała kiedyś „New Yorkerowi”. – Moim zdaniem w szkołach poznajemy szalenie wyjałowioną wersję historii, a przez to wszystko, co spotykało ludzi w przeszłości, zdaje się bardzo odległe. Myślimy, że nie ma mowy, by przydarzyło się też nam. Że nigdy nie będziemy musieli dokonywać wyborów, przed jakimi stawali bohaterowie z podręcznika. Dlatego chcę wyciągnąć te krwawe historie na pierwszy plan. Chcę, by czytelnicy zrozumieli, że wszystkie te opowieści wciąż są bliskie naszym czasom.

Elegancko sformułowane. A nawet szlachetnie. Kiedy ubierze się rzecz w takie słowa, nie ma tu wyzysku, a jedynie rodzaj służby.

Ale powiedzcie sami, czy Athena miała większe prawo opowiadać tamte historie niż ktokolwiek inny? W Chinach spędziła w najlepszym razie kilka miesięcy. Nigdy nie znalazła się w strefie działań wojennych. Dorastała, uczęszczając do angielskich szkół prywatnych, za które płacili rodzice. Wakacje spędzała w Nantucket i Martha's Vineyard, a dorosłość pomiędzy New Haven, Nowym Jorkiem i Waszyngtonem. Nie mówiła płynnie po chińsku – niejednokrotnie przyznawała w wywiadach, że „w domu mówiła wyłącznie po angielsku, żeby się łatwiej zasymilować”.

Athena logowała się na Twittera i opowiadała o doniosłości sprawy amerykańskich Azjatów. O tym, że mit „modelowej

mniejści” jest fałszywy, ponieważ istnieje wyraźna nadreprezentacja Azjatów na obu krańcach skali dochodów, o tym, że Azjatki wciąż podlegają fetyszyzacji i padają ofiarami zbrodni nienawiści, o tym, że cierpienie Azjatów pozostaje nieme, ponieważ amerykańscy politycy nie uważają ich za ważne źródło głosów.

A potem wracała spokojnie do domu, do wygodnego mieszkania przy Dupont Circle, siadała i zaczynała spokojnie stukać na swojej antycznej maszynie do pisania za tysiąc dolców, popijając drogiego rieslinga, którego wydawca podesłał jej wraz z gratulacjami za znakomite wyniki sprzedaży.

Athena nigdy nie zaznała cierpienia na własnej skórze. Jedyne się dzięki niemu bogaciła. Na podstawie informacji zebranych na tej wystawie, na którą mnie zaciągnęła, napisała wielokrotnie nagradzane opowiadanie pod tytułem „Szepty nad Jalu”. A przecież nie była Koreanką.

4 BDS (Boycott, pestiment and Sanctions) – Bojkot, Wycofanie Inwestycji i Sankcje, kierowany przez Palestyńczyków ruch propagujący hasła objęcia państwa Izrael międzynarodowymi sankcjami polityczno-gospodarczymi (przyp. tłum.).

5 AOC – Alexandria Ocasio-Cortez, amerykańska polityczka, działaczka Partii Demokratycznej, najmłodsza kobieta, jaka zasiadła w amerykańskim parlamencie. Zwolenniczka wielu reform społecznych, likwidacji urzędu imigracyjnego, wprowadzenia bezpłatnego szkolnictwa, zmiany przepisów dotyczących posiadania broni palnej i poszerzenia zakresu darmowej opieki zdrowotnej (przyp. tłum.).

Dziewięć

S potkanie w Cambridge stało się zaczynem umiarkowanie płomiennej debaty na Twitterze, w której udział biorą ci sami co zwykle. Pojawia się sporo wątków opisujących moją postawę ze zróżnicowanym stopniem świętego oburzenia. Mnóstwo osób korzysta z szansy, by podzielić się ze światem własnymi opiniami. Większość traktuje to jako znakomitą okazję, by przypodobać się szerokim kołom Internetu i popisać się swymi, jakże przecież głębokimi przemyśleniami, luźno jedynie związanymi z tematem. Paru użytkowników bierze stronę dziewczyny o fioletowych włosach – dowiaduję się mimochodem, że studiuje na drugim roku na MIT, nazywa się Lily Wu i że napisała na temat naszej dyskusji sążnisty post, w którym określa mnie, między innymi, mianem „zaślepionej białej kobiety, która nie posiada żadnych prawdziwych związków ze wspólnotą i jest w rzeczywistości nieszczerą, fałszywą sojuszniczką, działającą jedynie w imię osobistego sukcesu”. Większość jednak popiera mnie, nie ją. Odpowiedzi na wpis Lily pełne są uwag typu „coś mi tu śmierdzi odwróconym rasizmem...” tudzież „ach, tak bardzo podoba ci się cenzura? Sugeruję uprzejmie, żebyś wróciła do komunistycznych Chin”. I tak dalej. Ja nie komentuję. Od dawna wiem, że najlepszą metodą radzenia sobie z podobnymi hecami jest zaszyć się w domu, by w milczeniu i spokoju przeczekać, aż emocje opadną i burza ucichnie. Tym bardziej że tego rodzaju twitterowe spory nigdy do niczego nie prowadzą – są po prostu sceną, na której ideologiczni podżegacze mogą pomachać sztandarami, ogłosić publicznie, po której stronie stoją, i pokazać innym, jak wysokie mają IQ. A po paru dniach i tak wszyscy się nudzą i zajmują czym innym.

Tydzień później trafia do mnie mail następującej treści:

Dzień dobry,

nazywam się Susan Lee i odpowiadam za organizację imprez z ramienia Klubu Towarzyskiego Amerykanów Chińskiego Pochodzenia z Rockville. Niedawno wpadła mi w ręce Pani powieść „Ostatni front”, która wywarła na mnie naprawdę spore wrażenie, jako że wydobywa na światło dzienne zapomniany aspekt historii Chin. Członkowie naszego klubu z zainteresowaniem wysłuchaliby Pani pogadanki. Byłoby wspaniale móc Panią ugościć na jednym z naszych spotkań. Kiedy odwiedzają nas goście specjalni, zazwyczaj organizujemy sesję pytań i odpowiedzi, po której następuje kolacja w formie bufetu (dla Pani naturalnie darmowa). Proszę dać znać, czy byłaby Pani zainteresowana.

*Dziękuję
Susan*

Mało brakowało, a wykasowałabym tę wiadomość. Ostatnio kasuję już wszystkie zaproszenia, w których nie pada propozycja honorarium, o ile nie są wybitnie prestiżowe. Susan Lee pisze bardzo oficjalnym tonem, co budzi we mnie nieufność, aczkolwiek nie do końca potrafię określić, co mnie właściwie niepokoi. (Przelotny lęk odczuwam przed przyjęciem każdego zaproszenia; boję się, że organizatorzy szykują pułapkę i tak naprawdę chcą mnie porwać i zażądać okupu bądź wręcz zamordować). Co więcej, Rockville leży gdzieś daleko w Maryland i niełatwo się tam dostać, jeśli człowiek nie chce wybulić stu dolców na Ubera ani spędzić męczącej godziny w czerwonej linii metra. No i nie płacą.

Powinam odmówić. Oszczędzę sobie upokorzenia. Niemniej w głowie wciąż kołacze mi się echo słów Lily Wu: „nieszczera, fałszywa sojuszniczka”, „zaślepiąca biała kobieta, która nie posiada prawdziwych związków ze wspólnotą”. Nie licząc Stowarzyszenia Amerykańskich Pisarzy Pochodzenia Azjatyckiego, które wspieram finansowo i które z tego powodu nie może się mnie wyprzeć, klub Susan jest pierwszą po aferze w Cambridge organizacją azjatyckiej mniejszości, która wystosowała do mnie zaproszenie. Być może powinam to potraktować jak szansę. Wybierając się na to

spotkanie, dowiodłabym twitterowym zwolennikom wszelkiej maści teorii spiskowych, że moje poparcie dla społeczności amerykańskich Azjatów nie jest jedynie sztuczną pozą. Że „Ostatni front” powstał dlatego, że poznałam opisaną w nim historię i zależy mi na pomyślności ich wspólnoty. Kto wie? Może nawet nawiążę nowe przyjaźnie? Wyobrażam sobie, jakie wrażenie wywołałyby na Instagramie fotki, na których wcinam chińskie jedzenie w otoczeniu pełnych podziwu chińskich fanów.

Wpisuję hasło „Klub Towarzyski Amerykanów Chińskiego Pochodzenia z Rockville” do wyszukiwarki. Ich strona internetowa okazuje się przedpotopowym potworkiem. Bijące po oczach czerwone tło i czcionka Comic Sans. Przewijam gigantycznych rozmiarów nagłówki i znajduję poniżej kilka marnej jakości zdjęć z klubowych spotkań – kolacja (w formie bufetu) z lokalnym przedsiębiorcą, noworoczny bankiet, na którym wszyscy ubrani są na czerwono, rozświetlony kiczowatymi lampami wieczór z karaoke. Wygląda na to, że członkowie klubu to w większości ludzie starsi bądź w średnim wieku. Chyba nieszkodliwi. W zasadzie nawet dość uroczy.

A, co mi szkodzi. Żeby nie wyjść na desperatkę, odczekuję kilka godzin, po czym odpisuję:

*Cześć, Susan,
z przyjemnością pojawię się na spotkaniu waszego klubu.
Kwiecień mam stosunkowo luźny. Jakie dni pasowałyby wam
najbardziej?*

*

Susan Lee wita mnie na parkingu przed stacją Shady Grove. Nie przywykłam jeszcze do swojej świeżo nabytej zamożności na tyle, by beztrudno szastać kasą na Ubera, więc dojechałam metrem aż na pętlę czerwonej linii, a Susan uprzejmie zaproponowała, że dalej podwiezie mnie osobiście. Jest niską, drobną kobietą i ma na sobie elegancko odprasowany kostium. Ledwie ją zobaczyłam, natychmiast przypomniała mi się ta władczą propagandzistka, siostra Kim Dzong Una. Tylko dlatego, że widziałam jej zdjęcia

w bardzo podobnym stroju i okularach przeciwsłonecznych. Oczywiście nie mogę o tym wspomnieć na głos.

– Cześć, Juniper. – Susan zdecydowanie ściska moją dłoń. – Znośnie się jechało?

– Tak, w porządku. – Ruszam za nią do niebieskiego sedana. Przyglądam się, jak robi mi miejsce, przerzucając na tylne siedzenia kilka książek i koców. W samochodzie unosi się słodki, ziołowy aromat.

– Przepraszam za bałagan. Proszę, siadaj z przodu.

Swobodny styl bycia Susan wydaje mi się mocno nieprofesjonalny. To trochę irytujące, że zachowuje się, jakby odbierała ze szkoły córeczkę, a nie wiozła na spotkanie z dawnym wyczekiwaniem gościa. Ale nie, nie. To tylko moje uprzedzenia, napominam się w duchu. Przecież nie przyjechałam na spotkanie w modnej księgarni. Susan działa w niewielkim klubie, który nie posiada dużego budżetu, a zapraszając mnie, wyświadczyła mi przecież przysługę.

– Mówisz po chińsku? – pyta mnie Susan, kiedy wjeżdżamy na autostradę.

– Co? A, nie, nie. Przepraszam, nie.

– Mama cię nie nauczyła? Albo tata?

– Ach... Oj, przykro mi. – Żołądek w jednej chwili skręca mi się ze strachu. – Musiało dojść do jakiegoś nieporozumienia. Moi rodzice nie są Chińczykami.

– Co? – Usta wstrząśniętej Susan układają się w idealnie okrągłe „o”. Gdyby sytuacja nie była tak krępująca, zapewne bym się zaśmiała. – Przecież masz na nazwisko Song... Myśleliśmy więc... Czyli jesteś Koreanką? Znam kilkoro koreańskich Songów.

– Nie, przykro mi. Song to moje drugie imię. Na nazwisko mam Hayward. Moi rodzice w ogóle nie są, no, Azjatami. Ani mama, ani tata. – Chcę umrzeć. Mam ochotę otworzyć drzwiczki, wyskoczyć na asfalt i dać się rozjechać na miazgę pędzącym autostradą samochodem.

– Ach... – Susan na chwilę milknie. Zerkam na nią ukradkiem, co robię dokładnie w chwili, w której ona zerka ukradkiem na mnie. – Ach, rozumiem.

Z powodu tej pomyłki czuję się do dupy, ale zarazem narasta we mnie reakcja obronna. Nigdy przecież nie udawałam Chinki. Zauważyłam, że ludzie w kontaktach ze mną często pozostają w szarej strefie. Myślą, że być może jestem Chinką, ale nie chcą niczego zakładać, a wprost nie pytają. Nikogo z premedytacją nie oszukuję. Zgoda, nie chodzę z przyklejoną do czoła kartką z napisem „BIAŁA!”, ale czy przypadkiem to nie tak, że inni nie powinni wyciągać pochopnych wniosków? Czy uznawanie mojego nazwiska za rozstrzygający wskaźnik pochodzenia nie jest w pewnym sensie przejawem rasizmu?

Przez resztę drogi nie zamieniamy z Susan jednego słowa. Zastanawiam się, o czym myśli. Ma ściągniętą twarz, lecz niewykluczone, że po prostu tak wygląda; być może tak wyglądają wszystkie Azjatki w średnim wieku. Kiedy zatrzymujemy się pod kościołem, bowiem Klub Towarzyski Amerykanów Chińskiego Pochodzenia z Rockville urządza wtorkowe spotkania właśnie w prezbiteriańskiej świątyni, Susan pyta, czy lubię chińską kuchnię.

– No pewnie – odpowiadam. – Uwielbiam.

– To dobrze. – Wyłącza silnik. – Takie jedzenie zamówiliśmy.

Wewnątrz zastaję kilka rzędów składanych, metalowych krzesełek, ustawionych przed mównicą, z której zapewne najczęściej korzysta miejscowy pastor. Przyciągnęłam liczniejszy tłumek, niż oczekiwałam; zebrało się czterdzieści, może pięćdziesiąt osób. Sądziłam, że spotkam się tylko z członkami klubu, a nie z całą parafią. Wielu obecnych przyniosło sygnowane egzemplarze mojej książki. Kiedy wchodzę do środka, niektórzy witają mnie entuzjastycznym machaniem, przez co natychmiast przeszywa mnie ukłucie wyrzutów sumienia.

– Tędy proszę. – Susan przywołuje mnie gestem i prowadzi do mównicy.

Dostosowuje mikrofon do swojego wzrostu, a ja, skrępowana jak jasna cholera, sterczę za jej plecami, zaskoczona tak nagłym rozpoczęciem spotkania. Nikt nie zaproponował mi nawet szklanki wody.

– Witam wszystkich – rozpoczyna Susan. Z głośników rozlega się drażniący wizg sprzężenia, który na moment uniemożliwia jej kontynuację. – Gościmy dzisiaj wyjątkową osobę. Porozmawiamy

z autorką pięknej powieści opowiadającej o losach pracowników Chińskiego Korpusu Pracy. Wiem, że wielu z was już tę książkę czytało. Proponuję, byśmy najpierw wysłuchali fragmentu powieści w interpretacji autorki, a potem porozmawiamy o jej pisarskim życiu. Proszę, powitajmy wszyscy panią Juniper Song.

Susan uprzejmie klaszcze, sala idzie za jej przykładem. Gospodyni odchodzi sprzed mównicy i daje znak dłonią, bym zaczęła. Na ustach wciąż ma ten spięty, nerwowy uśmiech.

– No cóż, dobry wieczór państwu. – Odchrząkuję. Co ty wyprawiasz? Nie denerwuj się. Nic się przecież nie dzieje. Mam za sobą już kilkanaście podobnych wieczorków w księgarniach. Poradzę sobie w małym klubiku. – Tak, chyba najlepiej będzie, jeśli zacznę od lektury.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu wszystko przebiega w jak najlepszym porządku. Słuchacze są cisi i potulni, uśmiechają się i kiwają głowami w odpowiednich momentach. Jednak kiedy zaczynam czytać, na twarzach niektórych osób odciska się konsternacja. Mrużą oczy i pochylają głowy na bok. Nie jestem pewna, czy to kwestia problemów ze słuchem, czy niezbyt dobrze znają angielski. Na wszelki wypadek zwalnim i czytam bardzo głośno. W efekcie przebrnięcie przez wybrany ustęp zajmuje mi więcej czasu, niż planowałam, i na pytania z sali zostaje zaledwie dwadzieścia minut. Prawdę mówiąc, dla mnie to ulga. Chcę mieć to jak najszybciej za sobą.

Niemniej pytania również okazują się całkowicie niegroźne. Większość można nawet uznać za słodkie; dotyczą spraw, które mogłyby zainteresować na przykład koleżanki mojej mamy. Jak to się stało, że w tak młodym wieku osiągnęłam tak duży sukces? W jaki sposób zdołałam pogodzić studia z karierą literacką? Czy w czasie zbierania materiałów natrafiłam na jakieś inne ciekawostki dotyczące chińskich robotników? Pewien mężczyzna w okularach zadaje bardzo bezpośrednie pytanie o wysokość zaliczki i tantiem („Podliczyłem sobie co nieco i chciałbym się z panią podzielić kilkoma wnioskami dotyczącymi obecnego modelu rynku wydawniczego” – powiada). W tym punkcie wykonuję unik, tłumacząc, że tego rodzaju prywatne informacje wolę zachowywać dla siebie. Ktoś inny pyta łamaną angielszczyzną, co moim zdaniem

powinni Amerykanie chińskiego pochodzenia zrobić, by zdobyć szerszą reprezentację w krajowym życiu politycznym. Nie mam pojęcia, jak na to odpowiedzieć, więc mamrocę coś o zwiększaniu widoczności w mediach społecznościowych, nawiązywaniu koalicji z innymi marginalizowanymi grupami oraz rozczarowaniu centrystowską postawą Andrew Yanga. Przez cały czas mam nadzieję, że mój anglojęzyczny słowotok przyprawi pytającego o taką konsternację, iż uzna, że wypowiadałam się z sensem.

Kobieta, która przedstawiła się jako Grace Zhou, informuje, że ma córkę w dziewiątej klasie, i prosi o porady dotyczące procesu rekrutacji na uczelnie wyższe.

– Córka kocha pisać – mówi. – W szkole ma jednak kłopot z dostosowaniem się do reszty, zwłaszcza że amerykańskich Chińczyków jest u niej właściwie niewiele, wie pani, i tak sobie pomyślałam, że może pani podpowie coś, żeby córka nauczyła się swobodniej wyrażać siebie.

Zerkam z ukosa na Susan, której usta są w tej chwili zaciśnięte tak mocno, że wyglądają jak narysowana ołówkiem kreska.

– Proszę jej powiedzieć, by była po prostu sobą – rzucam bez przekonania. – Mnie w szkole średniej również było trudno, ale... hmm... przetrwałam, ponieważ w pełni oddałam się temu, co kocham. Moim azylem okazały się książki. Kiedy świat zaczynał mi doskwierać, po prostu czytałam i myślę, że właśnie dzięki temu stałam się pisarką. Dość wcześnie poznałam magię słów. Może w przypadku Christiny będzie podobnie.

Tyle dobrego, że nie skłamałam. Nie umiem wyczuć, czy Grace czuje się usatysfakcjonowana odpowiedzią, ale przekazuje mikrofon kolejnemu z chętnych.

Ostatecznie wyznaczona na spotkanie godzina dobiega końca. Dziękuję uprzejmie słuchaczom i ruszam do drzwi w nadziei, iż zdołam się wymknąć, nim ktoś zmusi mnie do rozmowy w cztery oczy. Ledwie jednak odchodzę od mównicy, przy moim boku wyrasta jak spod ziemi Susan.

– Miałam nadzieję... – zaczynam, lecz gospodyni niemal przemocą prowadzi mnie ku rozstawionym pod tylną ścianą sali plastikowym stołom.

– Proszę coś zjeść. Zaraz wystygnie – rzuca.

Wolontariusze rozłożyli na stolikach tace z chińskimi potrawami, które zalane fluorescencyjnym światłem wydają się tak tłuste, że zbiera mi się na mdłości. Wydawało mi się, że Chińczycy niezbyt przychylnie patrzą na te wszystkie orientalne dania na wynos. Choć może to była osobista cecha Atheny, która nieznośnie często deklarowała, że nigdy w życiu nie tknie nawet kęsa jedzenia dostarczonego z miejsca o nazwie typu Kuchnia Nr 1 czy Ekspres Wielki Mur („Od razu wiadomo, że to nie są autentyczne dania” – tłumaczyła mi. „Wciskają to gównem przede wszystkim białym, którzy nie mają o prawdziwej chińszczyźnie pojęcia”).

Sięgam po plastikowe szczypcy i wybieram wegetariańską sajgonkę, gdyż to jedyna rzecz, której nie pokrywa lśniącą warstwa oleju. Zaraz potem jednak stojąca obok maleńka babcia nalega, bym skosztowała kurczaka kung pao i makaronu sezamowego. Walcząc z mdłościami, pozwalam jej nałożyć sobie po porcji jednego i drugiego.

Susan prowadzi mnie do stolika w rogu i wskazuje miejsce obok starego mężczyzny, którego przedstawia jako pana Jamesa Lee.

– Pan Lee wprost nie mógł się doczekać dzisiejszego spotkania – tłumaczy. – Przyniósł nawet książkę do podpisania. Wszyscy tutaj chcieli usiąść przy twoim stoliku. Wiem, że Grace miała jeszcze wielką ochotę podręczyć cię w sprawie studiów córki, ale odmówiłam.

Pan Lee wpatruje się we mnie z promiennym uśmiechem. Cerę ma tak ciemną i pomarszczoną, że przypomina skorupę orzecha włoskiego, lecz oczy tchną jasnym, sympatycznym blaskiem. Wydobywa z torby egzemplarz „Ostatniego frontu” w twardej oprawie i podsuwa mi oburącz.

– Autograf, tak?

O Boże, myślę. Jaki słodki.

– Czy napisać coś specjalnie dla pana? Coś osobistego? – pytam łagodnie.

Staruszek kiwa głową. Nie umiem stwierdzić, czy rozumie, co mówię, więc rzucam okiem na Susan, która potwierdza skinieniem.

„Panu Lee” – piszę. „Poznać pana było dla mnie zaszczytem. Wszystkiego dobrego. Juniper Song”.

– Wuj pana Lee należał do Chińskiego Korpusu Pracy – oświadcza nagle Susan.

– Och! – Mrugam, zaskoczona. – Naprawdę?

– Później osiedlił się w Kanadzie – dopowiada pan Lee. Zatem rozumie, co mówimy. Po angielsku mówi wolno i z przerwami, lecz zdania buduje z zachowaniem wszelkich reguł gramatyki. – W szkole opowiadałem wszystkim dzieciom, że mój wuj walczył w pierwszej wojnie światowej. Myślałem, że to takie fajne! Wuj, bohater wojenny! Ale nikt mi nie wierzył. Tłumaczyli, że Chińczycy nie brali w tej wojnie udziału. – Pan Lee niespodziewanie ujmuję mnie za rękę. Gest zaskakuje mnie tak bardzo, że nawet nie oponuję. – Ty wiesz, jak było naprawdę. Dziękuję – mówi z wilgotnymi, lśniącościami oczyma. – Dziękuję, że opowiedziałaś tę historię.

Kręci mnie w nosie. Mam ochotę się rozbeczeć. Susan gawędzi akurat z kimś przy innym stole i jedynie dlatego zdobywam się na odwagę, by odpowiedzieć.

– Nie wiem – szepczę. – Szczerze mówiąc, panie Lee, nie jestem pewna, czy to ja powinnam była tę historię opowiedzieć.

Staruszek jeszcze mocniej ściska moje dłonie. Jego twarz tchnie taką dobrocią, że czuję się podle.

– Ty jesteś odpowiednią osobą – mówi. – Potrzebujemy was. Mój angielski nie jest zbyt dobry. Wasze pokolenie mówi po angielsku bardzo dobrze. Możecie im opowiedzieć nasze dzieje. Dopilnować, żeby nas zapamiętano – dodaje i kiwa z determinacją głową. – Tak, dopilnujcie, żeby o nas pamiętali. – Raz jeszcze ściska moje dłonie i dodaje kilka słów po chińsku, lecz oczywiście nic z tego nie rozumiem.

Po raz pierwszy odkąd złożyłam rękopis w wydawnictwie, zalewa mnie głęboka fala wstydu. To nie moja historia, nie moje dziedzictwo. Nie moja wspólnota. Jestem kimś z zewnątrz, obcym człowiekiem za sprawą oszustwa pławiącym się w ich uwielbieniu. To Athena powinna tutaj siedzieć, ona powinna uśmiechać się do wszystkich tych ludzi, rozdawać im autografy i słuchać opowieści seniorów.

– Jedz, jedz! – Pan Lee zachęcająco wskazuje mój talerz. – Wy młodzi za ciężko pracujecie. Za dużo pracy, za mało jedzenia.

Mam ochotę zwymiotować. Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej. Muszę się uwolnić od ich uśmiechów, od tej całej uprzejmości.

– Najmocniej przepraszam, panie Lee. – Podnoszę się i przechodzę przez salę. – Muszę wracać. – Znajduję Susan. – Muszę... no, zapomniałam, że miałam odebrać mamę z lotniska.

Niemal od razu dociera do mnie, jak kiepskiej jakości jest ta wymówka. Przecież Susan wie, że nie mam samochodu, właśnie z tego powodu odbierała mnie z metra. Niemniej chyba mnie rozumie.

– Oczywiście. Nie wolno kazać matce czekać. Poczekaj, wezmę tylko torebkę i zawiozę cię na stację.

– Nie, proszę. Nie chcę się narzucać. Zamówię Ubera...

– Wykluczone! Rosslyn jest strasznie daleko stąd!

– Naprawdę nie chcę zawracać ci głowy – wyrzucam z siebie.

– Nawet jeszcze nie zjadłaś. Świetnie się bawiłam i bardzo się cieszę, że mogłam was wszystkich poznać, ale... serio powinnam już iść.

Nie czekając na jej reakcję, wychodzę przed kościół. Susan nie rusza w pościg, lecz gdyby ruszyła, pobiegłabym przed siebie i gnała, dopóki nie zostawiłabym jej daleko w tyle. Zachowałam się okropnie niegrzecznie i podle, ale ledwie zamykają się za mną drzwi, czuję jedynie chłodny wiatr na twarzy i głęboką ulgę.

Dziesięć

Po tym wydarzeniu proszę Emily, by odwołała większość moich zaplanowanych wcześniej spotkań. Sprzedaż książki wciąż utrzymuje się na wysokim poziomie i osobiste kontakty z czytelnikami niewiele w tej kwestii zmieniają, więc nie muszę się narażać na ryzyko kolejnych kontrowersji. Od tej pory pokazuję się wyłącznie na ceremoniach rozdania nagród literackich, ponieważ choć nie mam ochoty wystawiać się na widok publiczny, to nie potrafię sobie odmówić towarzyszącego tego rodzaju uroczystościom poczucia gratyfikacji.

Nagrody w tej branży są głupie i rozdawane w sposób bardzo arbitralny. Stanowią nie tyle wskaźnik prestiżu bądź literackiego poziomu autora, co świadectwo zwycięstwa w konkursie popularności, w którym prawo głosu ma bardzo mała grupka bardzo zmanierowanych osób. Nagrody nie mają znaczenia – tak w każdym razie słyszę od ludzi, którzy otrzymują je regularnie. Athena rok w rok tłumaczyła na Twitterze, zawsze kiedy akurat otrzymała nominację do jakiegoś szalenie ważnego wyróżnienia: „Och, naturalnie, że to wielki zaszczyt, ale pamiętajcie, nawet jeśli wasza książka nie dostała się do finału, to wcale nie znaczy, że jest nieważna! Każda opowieść jest wyjątkowa na swój własny, niepowtarzalny sposób”.

Ja również głęboko wierzę, że nagrody to zwykła bujda na resorach, lecz nie zmienia to faktu, iż bardzo przyjemnie byłoby jakąś odebrać.

A „Ostatni front”, mówiąc bez ogródek, w zasadzie jest skazany na nagrody. Po pierwsze – książka jest genialnie napisana. Po drugie – przyciąga zarówno czytelników literatury popularnej, jak i „wykształciuchów”. Najważniejsze jednak wydaje się coś innego: ta powieść jest o czymś; porusza będącą na czasie, drażliwą

kwestię, dzięki czemu każda komisja i kapituła może bez lęku powiedzieć: „Patrzcie, przejmujemy się tym, co się dzieje na świecie, a ponieważ literatura zawsze stanowi zwierciadło rzeczywistości, w której przyszło nam żyć, uznaliśmy, iż należy wyróżnić właśnie tę opowieść”.

Denerwuję się tylko, że „Ostatni front” okazał się aż zbyt dużym komercyjnym przebojem, by ktokolwiek zechciał go nagrodzić. Decydenci lubią podobno uchodzić za ludzi o smaku bardziej wyrafinowanym niż gust szarego proletariusza i dlatego co roku jakiś potężny bestseller nie otrzymuje tytułu wyróżnień, ile powinien, a w każdej kategorii pojawia się kilkoro finalistów, o których nikt wcześniej nie słyszał. Koniec końców wychodzi jednak na to, że martwiłam się niepotrzebnie. Nominacje spływają jedna po drugiej: a to do nagrody Goodreads, a to do nagrody Indies Choice. Niektórzy przez moment przebakują też o Nagrodzie Bookera i Najlepszej Autorce Roku, lecz to raczej marzenia ściętej głowy, a kiedy moje nazwisko ostatecznie nie pojawia się na liście, nie przejmuję się tym za bardzo. Nominowano mnie do tak wielu nagród regionalnych, że i tak jestem otoczona powszechną uwagą.

„Adele Sparks-Sato wydrapuje sobie właśnie oczy” – pisze Marnie, kiedy dzielę się z dziewczynami wiadomością o nominacji do Goodreads.

„Super! Gratulacje! Sukces jest najlepszą zemstą. Dumna jestem, że poradziłaś sobie ze wszystkim z taką klasą. #Wdzięk_i_klasa!” – odpisuje Jen.

Mail z informacją o nominacji czytam po kilka razy dziennie, rozkoszując się brzmieniem każdego słowa: „Droga pani Song, z ogromną przyjemnością informujemy, że...”. Następnie tańczę po całym mieszkaniu, ćwicząc w wyobraźni mowę, jaką wygłoszę na ceremonii, starając się uzyskać taki sam koktajl wdzięku i młodzieńczej ekscytacji, z jakim zawsze odbierała wyróżnienia Athena: „Och mój Boże, naprawdę trudno uwierzyć... Nie, naprawdę, nie sądziłam, że osiągnę coś tak wspaniałego...”.

Nominacje pociągają za sobą dobrą prasę. Moje nazwisko i książka pojawiają się na wielu listach na BuzzFeed. Obszerny artykuł o mnie publikuje „Yale Daily News”. A ponadto szansa na zdobycie nagrody Goodreads powoduje skokowy wzrost sprzedaży

i na dwa kolejne tygodnie wracam na listę bestsellerów „New York Timesa”. Cały ten szum zwrócił także uwagę kogoś w Hollywood, ponieważ któregoś dnia Brett dzwoni do mnie z informacją, że mój agent filmowy chce zorganizować spotkanie z jakimiś ludźmi z Greenhouse Productions.

– Co to za firma? – pytam. – Jakaś porządna?

– Produkują filmy. Biznesowy standardzik. Kilka razy już z nimi pracowaliśmy.

– W życiu nie słyszałam.

Wklepuję nazwę do Google’a. Oż, ty! Greenhouse robi całkiem dobre wrażenie. Mają u siebie aż trójkę producentów, którzy pracowali przy znanych mi filmach, a przede wszystkim jest tam też niejaka Jasmine Zhang, producentka i reżyserka w jednym, której film o życiu chińskich imigrantów w San Francisco zdobył w zeszłym roku nominację do Oscara. Przychodzi mi do głowy, że być może to ona zwróciła na mnie uwagę.

– Kurczę, czyli to poważni gracze?

– Nazwy większości niezależnych firm producenckich są szerzej nieznanne – tłumaczy Brett. – Działają głównie za kulisami. Ich zadaniem jest odpowiednia prezentacja książki, wyszukanie scenarzysty, zainteresowanie tematem kilku głośnych nazwisk, itede, itepe, a potem sprzedają całość wytwórni. Największe pieniądze wykładają właśnie wytwórnie, ale firmy producenckie płacą z góry za tak zwaną opcję. A oferta Greenhouse jest najlepszą, jaka się nam dotąd trafiła. Nie zaszkodzi pogadać, prawda? Co powiesz na przyszły czwartek?

Tak się składa, że ludzie z Greenhouse Productions odwiedzają w weekend Waszyngton, gdzie odbywa się akurat jakiś festiwal filmowy. Umawiamy się na spotkanie w jednej z kafejek w Georgetown. Na miejscu pojawiają się stosunkowo wcześniej – nie cierpię pospiesznego wymieniania się uściskami dłoni, zastanawiania, co zamówić, a potem skrępowanego wygrzebywania karty kredytowej przy kasie – oni jednak zajęli już kanapę w głębi sali i czekają. Jest ich dwóch – Justin, jeden z założycieli Greenhouse, i Harvey, jego asystent. Obaj blondwłosi, opaleni, świetnie zbudowani i obdarzeni olśniewająco białymi uśmiechami. Są do siebie bardzo podobni, mogliby być braćmi, no może kuzynami,

aczkolwiek pewnie dlatego, że mają identyczne modne fryzury i noszą podobnego kroju koszule od Henleya, z podwiniętymi do łokci rękawami. Jasmine Zhang nie widzę.

– Cześć, Juniper! – Justin podrywa się z miejsca i lekko mnie obejmuje. – Bardzo miło cię poznać. Dzięki, że znalazłaś dla nas choć chwilę.

– Żaden problem – rzucam, widząc, że i Harvey unosi się do uścisku. Sytuacja jest trochę niezręczna, nachyla się ku mnie ponad blatem, więc pochylam się i ja, byśmy mogli spotkać się w połowie drogi. Pachnie czystością. – Do Georgetown mam dosłownie rzut beretem.

– Często bywasz w tej okolicy? – pyta Justin.

Prawdę mówiąc, nie, ponieważ wszystko w Georgetown jest kurewsko wręcz drogie, a studenci, którzy jakiś czas temu dokonali skutecznej inwazji na tę dzielnicę, są głośni, irytujący i stanowczo zbyt bogaci. Byłam tu w sumie tylko dwa razy, z Atheną, która miała obsesję na punkcie pewnej knajpki przy Wisconsin Avenue, gdzie serwują świetne margarity. Wybrałam jednak Georgetown, gdyż miałam nadzieję, że zrobię na nich wrażenie, więc muszę zgrywać obytą:

– No, tak, pewnie. Właściwie bez przerwy. Polecam El Centro. Z kolei na nabrzeżu jest sporo fajnych miejsc z owocami morza. A gdybyście mieli potem wolne pięć minut, koniecznie odwiedźcie taki superlokal z makaronikami na M Street.

– O! Trzeba będzie zajrzeć. – Justin uśmiecha się tak szeroko, jakby od urodzenia żywił się niemal wyłącznie makaronikami.

– Zdecydowanie – dodaje Harvey. – Zaraz potem.

Wiem, że zachowują się jak dwa urocze szczeniaki z premedytacją; chcą, bym poczuła się swobodnie, lecz reaguję odwrotnie i dosłownie sztywnieję. Przypominam sobie, że Athena narzekała kiedyś na ludzi z Hollywood. „Nigdy nie mówią tego, co myślą” – powiedziała. „Z pozoru są tacy mili i pełni entuzjazmu, wmawiają ci, że jesteś najbardziej wyjątkowym płatkiem śniegu, jaki kiedykolwiek widzieli, a potem zabierają dupę w troki i milkną na całe tygodnie”. Teraz rozumiem, o co jej chodziło. Nie mam pojęcia, jaką metodą oszacować poziom szczerości duetu Justin i Harvey, nie wiem też, jak w ich ocenie wypadają moje odpowiedzi, a te ich

oślepiająco radosne, nieprzeniknione maski sprawiają, że moje nerwy wskazują na wyższe obroty.

Podchodzi kelnerka i pyta, czy już wybrałam. Jestem zbyt roztrzęsiona, by przejrzeć menu, więc zamawiam ten sam napój, który popija Justin. Okazuje się, że to wietnamska kawa z lodem, występująca tu pod nazwą „Miss Sajgon”.

– Świetny wybór – chwali Justin. – Smaczna jest. Bardzo mocna i słodka. Wydaje mi się, że dodają do niej mleko skondensowane.

– Ach, no, tak, tak... – Oddaję kelnerce menu. – Moja ulubiona.

– No dobra! „Ostatni front”. – Justin składa obie dłonie na blacie z takim impetem, że aż się wzdrygam. – Co za książka! Aż dziwne, że nikt jeszcze nie zgarnął praw!

Kompletnie nie mam pojęcia, jak zareagować. Czy to znaczy, że cieszy się z naszego spotkania, czy próbuje zwąchać powód, dla którego prawa nie cieszą się większym zainteresowaniem? Czy powinnam udać, że książką interesowali się już inni filmowcy?

– Domyślam się, że Hollywood postrzega kręcenie filmów o Azjatach jako ryzykowne przedsięwzięcie. – Uwaga jest dość protekcyjna, ale naprawdę tak uważam, a poza tym wiele razy słyszałam, jak uskarżała się na to zjawisko Athena. – Z przyjemnością zobaczyłabym swoją historię na wielkim ekranie, ale musiałby się tym zająć prawdziwy sojusznik. Ktoś, kto naprawdę rozumie, o czym piszę.

– Widzisz, nam twoja powieść naprawdę się podobała – rzuca Justin. – Jest bardzo oryginalna. I pełna różnorodności, a mamy czasy, w których rozpaczliwie potrzebujemy różnorodności.

– Mnie przypadł do gustu mozaikowy sposób prowadzenia narracji – podejmuje Harvey. – Kojarzył mi się z „Dunkierką”.

– O, dokładnie. „Dunkierka”, tak jest. Jeden z moich ulubionych filmów. Nolan świetnie utrzymuje widza w niepewności. Nie mogłem się doczekać, kiedy i jak te poszczególne wątki wreszcie się zbiegną. – Justin zerka z ukosa na Harveya. – W sumie wiecie co? Chris byłby niezłym kandydatem na reżysera, nie?

– O Jezu! – Harvey energicznie kiwa głową. – Tak! Wymarzony facet.

– A co powiecie o Jasmine Zhang? – wtrącam. To dość zaskakujące, że ani razu jeszcze nie wymienili jej nazwiska. Mnie osobiście wydawała się naturalną kandydatką do roli reżysera.

– Och, nie wiem, czy ma odpowiednie moce przerobowe – odpowiada Justin, bawiąc się słómką. – Jest w tej chwili zavalona robotą.

– Skutki uboczne Oscara – dodaje Harvey. – Ma kalendarz wypełniony na całą najbliższą dekadę.

– No właśnie. Ale nie łam się, Juniper. Mamy na oku kogoś naprawdę wyjątkowo utalentowanego. Jest taki chłopak, tuż po filmówce, Danny Baker. Niedawno wszystkim szczęki opadły, kiedy pokazał swój krótki metraż o zbrodniach wojennych w Kambodży. A jeśli zależy ci na tym, by całością kierowała Azjatka, znamy też taką dziewczynę. Studiuje w Nowym Jorku na Tisch, w zeszłym roku zrobiła dokument o kwestii dostępu do chińskich archiwów historycznych.

Kelnerka stawia przede mną Miss Sajgon. Upijam łyżeczek i krzywię się. Aż takiej słodczy się nie spodziewałam.

– Skoro tak, to fajnie – rzucam nieco skołowana. Obaj mówią, jakby zdecydowali się już kupić opcję na moją powieść. Czy to znaczy, że dobrze mi idzie? Co jeszcze powinnam powiedzieć, by ich przekonać? – Więc w czym mogę wam pomóc?

– Ach, chcemy po prostu wysłuchać ciebie. Po to się spotykamy. – Justin składa palce w piramidkę i nachyla się nad blatem. – W Greenhouse bardzo dbamy o dochowanie wierności wizji autora. Nie planujemy wykoślawić twojego przekazu, nie zamierzamy „Ostatniego frontu” wybielić ani robić z niego hollywoodzkiego gniota. Zależy nam na szczerej wymowie opowieści, dlatego chętnie wysłuchamy cię na każdym etapie pracy.

– Potraktuj tę rozmowę jak tworzenie tablicy z pomysłami. – Harvey sięga po długopis, notatnik i siada w pełnej gotowości do pisania. – Które elementy „Ostatniego frontu” powinny się według ciebie znaleźć w ekranizacji koniecznie?

– Hmm, chyba nie zdążyłam tego przemyśleć. – Właśnie przypomniałam sobie, dlaczego na tego rodzaju roboczych spotkaniach nigdy nie zamawiam kawy. Kofeina trafia prosto do

pęcherza i czuję, że muszę się natychmiast wysikać. – Nigdy nie zajmowałam się pisaniem scenariuszy, więc sama nie wiem...

– W takim razie zacznijmy może od, na przykład, twojej wymarzonej obsady? – proponuje Justin. – Czy pisząc, miałaś może na myśli jakieś znane gwiazdy?

– Ja... No nie, serio. Nie myślałam o tym. – Moje policzki stoją w ogniu. Czuję się, jakbym oblewała egzamin, do którego nie chciało mi się przygotować, mimo że z perspektywy czasu wydaje się dość oczywiste, że wybierając się na spotkanie z producentami filmowymi, powinnam była przynajmniej chwilę poświęcić na obmyślenie i sprecyzowanie własnych oczekiwań dotyczących kształtu ekranizacji. – Nie wyobrażałam sobie konkretnych aktorów...

– No więc weźmy postać pułkownika Charlesa Robertsona – sugeruje Harvey. – Brytyjskiego attaché. Tutaj moglibyśmy zainwestować w naprawdę duże nazwisko. Może Benedict Cumberbatch albo Tom Hiddleston...?

– Ale – potrząsam głową – przecież to nie jest pierwszoplanowy bohater. – Pułkownikowi Charlesowi Robertsonowi poświęcona jest właściwie jedna, dość pobieżna uwaga w pierwszym rozdziale.

– Zgadza się – mówi Justin. – Choć może dałoby się jakoś poszerzyć jego rolę, przydać jego obecności nieco dramatyzmu...

– Znaczy... Ten... Nie jestem pewna. – Marszczę czoło. – Nie jestem pewna, czy to dobra myśl. Moglibyśmy zniszczyć cały tok pierwszego aktu... Natomiast zawsze można pomyśleć...

– Widzisz, Juniper, z wielkimi epejami wojennymi jest tak, że potrzebują charyzmatycznej postaci – tłumaczy Justin. – Gdybyśmy ten film reklamowali wyłącznie jako fantastyczny materiał historyczny, nie trafimy do szerszej grupy widzów. Ale jeśli wrzucimy jakiegoś brytyjskiego łamacza serc, prawdziwego amanta, zainteresujemy produkcją kobiety, od mamusiek w średnim wieku po nastolatki... W „Dunkierce” zastosowali identyczną zasadę. Bo co to w ogóle ta cała Dunkierka? Diabeł jeden wie. Ludzie chodzili do kina na Toma Hardy’ego.

– I Harry’ego Stylesa – dopowiada Harvey.

– Jasne! Właśnie. Więc naszym zdaniem twój film też potrzebuje takiego Harry’ego Stylesa.

– Co myślicie o tym dzieciaku ze „Spider-Mana”? – zastanawia się Harvey. – Jak mu tam?

– Tom Holland? – ożywia się Justin.

– O tak. Z przyjemnością zobaczyłbym go w obrazie wojennym. Dla niego byłby to logiczny krok w karierze. – Harvey zwraca się do mnie, jakby nagle przypomniał sobie o moim istnieniu. – No to co sądzisz, June? Lubisz Toma Hollanda?

– No... Tak, lubię Toma Hollanda. – Mój pęcherz rozdyma się z każdą upływającą chwilą. Wiercę się na krześle, usiłuję znaleźć w miarę wygodną pozycję. – Pewnie by się sprawdził. To znaczy nie jestem pewna, kogo miałby zagrać, ale...

– A do roli A Genga... myśleliśmy o jakimś chińskim talencie. Może jakaś tamtejsza gwiazda pop? – rozważa na głos Justin. – Dzięki temu ściągnęlibyśmy do kin Chińczyków, a to ogromny rynek.

– Problem z azjatyckimi gwiazdami pop jest taki, że do dupy mówią po angielsku – zwraca uwagę Harvey.

– Harvey! – Justin parska śmiechem. – Takich rzeczy się nie mówi.

– Ups! Wpadłem. Nie mów Jasmine.

– Ale przecież to nie byłyby kłopot – odzywam się. – Ci robotnicy właściwie powinni mówić fatalną angielszczyzną.

Wygłosiłam ten komentarz chyba bardziej zirytowanym tonem, niż planowałam, bo Justin pospiesznie prostuje:

– Zapewniam, że nie dokonamy w tej opowieści żadnej zmiany, która nie przypadnie ci do gustu. Nie na tym nam zależy. Chcemy w pełni uszanować twój projekt...

– Nie, nie. – Kręcę głową. – Nie poczułam się zlekceważona ani nic...

– Rzucamy po prostu luźne pomysły na uatrakcyjnienie całości i, no wiesz, poszerzenie widowni...

– Słuchajcie – prostuję się w krześle i unoszę ręce w geście kapitulacji – to wy tu jesteście ekspertami z Hollywood. Ja jestem tylko powieściopisarką. Wszystko, co mówicie, brzmi całkiem rozsądnie. Macie moje błogosławieństwo, uatrakcyjnijcie tę historię, jak tylko uznacie za stosowne.

Mówię to z przekonaniem i szczerze. Nie mam zamiaru kontrolować procesu powstawania ekranizacji. Nie znam się na pisaniu scenariuszy, a poza tym w mediach społecznościowych co chwila można przeczytać o tym czy innym autorze, który właśnie poróżnił się z reżyserem. Ja nie będę gwiazdorzyć. Poza tym może oni faktycznie mają rację. Bo kto chce iść do kina, żeby przez dwie godziny oglądać bandę Chińczyków mówiących w niezrozumiałym języku? Wiecie, o co chodzi, już chyba lepiej byłoby obejrzeć po prostu chiński film. A tu planujemy przebój amerykańskiego kina, przeznaczony dla amerykańskiego odbiorcy. Taki obraz musi być przystępny.

– Dzięki za zrozumienie. – Justin uśmiecha się od ucha do ucha. – Czasami rozmawiamy z autorami, którzy... No wiesz...

– Bywają grymaśni – dopowiada Harvey. – Chcą, żeby każda scena filmu odpowiadała książce, słowo w słowo.

– Nie rozumieją, że film to całkowicie odmienne medium i wymaga innego sposobu opowiadania – tłumaczy Justin. – Tak naprawdę mamy tu do czynienia z odmianą przekładu. A przekład pomiędzy różnymi mediami zawsze jest w pewnym stopniu niewierny. Roland Barthes. Akt przekładu to akt zdrady.

– *Belles infidèles* – wtrąca Harvey. – Piękne i niewierne.

– Ale ty to łapiesz – chwali Justin. – Co jest absolutnie fantastyczne.

I na tym dyskusja się kończy. To super. Ja jestem super. Wszyscy jesteśmy tak bardzo podekscytowani projektem, tak bardzo chcemy, żeby wypalił. Czekam, aż wystąpią z jakimiś bardziej konkretnymi szczegółami. O jakich kwotach mówimy? Jak widzą harmonogram prac? Czy planują odezwać się do tego całego Danny'ego Bakera niedługo? Może nawet jutro? (Z wypowiedzi Harveya wynikało, że napisze do niego jeszcze ze spotkania). Słyszę jednak same ogólne i odnoszę wrażenie, że być może dzisiejsze spotkanie nie jest odpowiednim momentem, by ich naciskać. Siedzę więc spokojnie i pozwalam postawić sobie kawałek astronomicznie drogiego strudla (figurującego w menu pod nazwą „Strudel bękartów wojny”), po czym gawędzimy swobodnie o urokach dzielnicy. Kiedy przychodzi pora płacenia, rachunek uiszcza Justin.

Zaraz potem obaj żegnają się ze mną uściskami i rozchodzimy się w przeciwnych kierunkach.

Przez kilka chwil idę spacerowym krokiem, lecz kiedy moi nowi znajomi znikają za zakrętem, zawracam i gnam z powrotem do knajpki, gdzie sikam przez całą minutę.

*

Tak więc w sumie całkiem nieźle. Wracając piechotą przez most do Rosslyn, przesyłam Brettowi mailem podsumowanie spotkania:

Mam wrażenie, że mnie polubili, ale wygląda na to, że zanim wyłożą na stół kasę, chcą wybadać jeszcze kilka tematów. Ponadto wszystko wskazuje, że w pracach nad ekranizacją nie weźmie udziału Jasmine Zhang, co moim zdaniem jest raczej dziwne, prawda?

Brett odpisuje:

Spokojnie, tak właśnie wygląda typowe spotkanie z ludźmi z Hollywood. Na początku obwąchują człowieka, starają się wyczuć, kim naprawdę jest. Jasno sprecyzowane propozycje i liczby pojawiają się dopiero później. Nie jestem pewien, co to za akcja z Jasmine, ale prawdopodobnie głównym zainteresowanym jest Justin. Jeżeli dowiem się czegoś nowego, natychmiast dam ci znać.

Niecierpliwie się. Chciałabym wiedzieć więcej już teraz, ale co zrobić? Młyny branży wydawniczej miały powoli. Strażnicy miesiącami kiszą rękopisy w swoich laptopach, a spotkania odbywają się za zamkniętymi drzwiami, podczas gdy biedny, niewtajemniczony autor umiera z napięcia. W tym biznesie można nie usłyszeć od współpracowników ani słowa przez całe tygodnie, aż pewnego dnia – zazwyczaj stoję wtedy w kolejce do kasy w Starbucksie bądź czekam na autobus – rozlega się sygnał komórki, zwiastujący nadejście maila mogącego postawić całe dotychczasowe życie na głowie.

Dlatego w miarę spokojnie zjeżdżam na stację metra, marzenia o hollywoodzkim splendorze odkładam tymczasem na bok i czekam, by Brett poinformował mnie, że już za chwileczkę, już za momentem zostanę milionerką.

Staram się trzymać oczekiwania w ryzach. Ostatecznie większość tego rodzaju umów pozostaje niezrealizowana. Wykupienie opcji oznacza jedynie, że producenci otrzymują prawo do nadania danej historii kształtu, jaki mógłby zainteresować studio filmowe. Lwia część projektów na wieki utyka w piekle preprodukcji i tylko nieliczne otrzymują od hollywoodzkich szych zielone światło. Wszystkiego tego dowiaduję się w ciągu kilku następnych godzin, które poświęcam na przeczytanie w Internecie wszelkich możliwych artykułów dotyczących procesu powstawania ekranizacji. Zaznajamiam się z fachową terminologią i staram się ustalić, jaki stopień ekscytacji byłby w tej sytuacji najbardziej rozsądny.

Mało prawdopodobne, by ekranizację mojej książki nakręciło Warner Bros. Milionerką raczej nie zostanę. Medialny szum jednak i tak może mi wyjść na dobre. Opcja z podpisaniem umowy z Greenhouse Productions może mi przynieść kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Kiedy wiadomość o współpracy z nimi rozejdzie się na dobre, sprzedam zapewne parę tysięcy egzemplarzy „Ostatniego frontu” ekstra.

No i zawsze pozostaje to ulotne, kuszące „a nuż?”. A nuż projektem zainteresuje się Netflix, HBO, Hulu? A nuż ekranizacja okaże się wielkim przebojem, a wydawnictwo wypuści na rynek dodruk „Ostatniego frontu” z filmową okładką, a ja wybiorę się na uroczystą premierę, ubrana w suknię szytą na miarę u znanego krawca, ramię w ramię z jakimś przystojnym azjatyckim aktorem obsadzonym w roli A Genga? Annie Waters zagra Elle Fanning, z którą strzelimy sobie urocze selfie, zupełnie takie jak to, które Athena zrobiła sobie z Anne Hathaway.

Dlaczego miałabym odmawiać sobie marzeń? Wspinając się po szczeblach kariery, osiągając kolejne cele, zauważyłam, że moje ambicje stopniowo rosną. Otrzymałam zawstydzająco wysoką zaliczkę. Moja powieść zdobyła status bestsellera. Znane czasopisma opublikowały na mój temat długie artykuły, obsypano mnie nominacjami do nagród i zaszczytami. A teraz, kiedy wciąż czuję na

języku obrzydliwie słodki posmak kawy Miss Sajgon, wszystkie dotychczasowe osiągnięcia wydają mi się śmiesznie marne w porównaniu z tym, co może przynieść pozycja prawdziwej gwiazdy literatury. Chcę być jak Stephen King, chcę być jak Neil Gaiman. Dlaczego miałabym nie myśleć o głośnej ekranizacji? Dlaczego nie o Hollywood? Dlaczego nie o multimedialnym imperium? Dlaczego nie o całym świecie?

Jedenaście

O fensywa rozpoczyna się na Twitterze. Sygnał do ataku daje konto o nazwie @DuchAthenyLiu, stworzone dosłownie kilka dni wcześniej. Żadnego zdjęcia profilowego, zero opisu.

Juniper Song, alias June Hayward, nie jest autorką „Ostatniego frontu”. To ja napisałam tę książkę. Ona jedynie skradła moją powieść, ukradła mój głos i słowa. #RatujmyAthenę

Następnie, po kilku godzinach, w tym samym wątku pojawiają się kolejne obrzydliwe wpisy:

June Hayward nawiązała ze mną znajomość przed kilkoma laty. Zrobiła to, by poznać mój proces twórczy. Często odwiedzała mnie w mieszkaniu, gdzie ukradkiem przeglądała moje notatki. Przyłapałam ją na tym nie raz. Dowód został wydrukowany czarno na białym. Przeczytajcie moje wcześniejsze powieści. Porównajcie je z językiem „Ostatniego frontu”. Następnie przejrzyjcie debiutancką książkę June i zadajcie sobie pytanie: Czy taką książkę jak „Ostatni front” mogła napisać biała kobieta?

Bo postawmy tę sprawę jasno: Juniper Song Hayward jest biała.

Pseudonimem Juniper Song posługuje się, by udawać Amerykankę chińskiego pochodzenia. W tym samym celu zrobiła sobie nowe zdjęcia do portfolio, na których jej cera sprawia wrażenie ciemniejszej i bardziej azjatyckiej. June

Hayward, jesteś złodziejką i kłamczuchą. Skradłaś moją spuściznę, a teraz plujesz na mój grób.

Hańba, June. Hańba, Eden Press. Daniella Woodhouse musi natychmiast wycofać z księgarń cały aktualny nakład książki i zwrócić prawa matce Atheny, Patricii Liu. Na wszystkich przyszłych wydaniach powinno figurować wyłącznie nazwisko Atheny.

Nie gódźmy się na niesprawiedliwość. #RatujmyAthenę

W przedostatnim tweecie, wypełnionym błaganiami o podanie dalej dla zasięgów, oznaczonych zostało kilkanaście bardzo wpływowych kont.

W ostatnim oznaczona zostałam ja.

Kiedy kończę czytać, ciemnieje mi w oczach. Biorę głęboki wdech i nagle cała sypialnia zaczyna się kołysać. Nie mogę wstać. Nie mogę się nawet poruszyć. Mój umysł nagle gdzieś wyparował. Nie potrafię sformułować jednej spójnej myśli. Jestem w stanie jedynie maniakalnie odświeżać stronę i czytając te wpisy raz za razem, obserwować rosnącą z wolna popularność konta @DuchAthenyLiu.

Przez kilka pierwszych godzin nie pojawia się ani jedno polubienie, co sprawia, że ogarnia mnie obłąkańcza nadzieja, że i ta sprawa, podobnie jak wiele innych teorii spiskowych, przycichnie i odpłynie w niebyt. Oznaczanie jednak ewidentnie spełniło swoje zadanie, ponieważ po mniej więcej kwadransie ukazują się pierwsze odpowiedzi. Pierwszego tweeta podaje dalej bloger, którego śledzi sześć tysięcy czytelników. Wkrótce potem jakiś początkujący pisarz, znany przede wszystkim z wiralowych literackich „gorących reakcji na” (sprowadzających się głównie do tekstów w rodzaju „polecam kurs pisania” lub „nie każdy czarny charakter jest problematyczny”), robi to samo, tyle że z dopiskiem: „O Boże, jeśli to prawda, to po prostu podłość”.

Zaraz potem pękają tamy. Sypią się komentarze:

Ty tak, kurwa, na poważnie?

Gdzie dowody?

Ta Song zawsze wydawała mi się podejrzana. Hmm.

Kolejne „cudowne dziecko” z Yale okazuje się zwykłą oszustką!

JPRDL! Pójdzie siedzieć!

Nie umiem odkleić się od laptopa. Nawet kiedy ostatecznie wstaję, żeby się wysikać, wzrok mam utkwiony w ekranie komórki. Rozsądek podpowiada, że najzdrowiej byłoby wyłączyć natychmiast całą elektronikę, ale tego też nie potrafię. Po prostu muszę obserwować postępy tego kataklizmu w czasie rzeczywistym, muszę dokładnie wiedzieć, kto przekazuje oskarżycielskie tweety dalej i kto je komentuje.

Wreszcie zaczynają nadchodzić także wiadomości prywatne. Wszystkie bez wyjątku przysyłają nieznajomi. Nie mam pojęcia, dlaczego je czytam, lecz wrodzona ciekawość bądź też masochizm nie pozwalają mi ich po prostu kasować.

Zdychaj, suko!

June, widziałaś te tweety? Czy to prawda? Jeśli nie, musisz się bronić.

Za to, co zrobiłaś, powinnaś zjarać się w piekle. Rasistowska kurwa, złodziejka.

Powinnaś przelać Pani Liu całą zawartość swojego konta!!!

Byłem fanem „Ostatniego frontu”. To wielkie rozczarowanie. Jesteś winna całej współnocie, jaka powstała wokół tej książki, publiczne przeprosiny. Natychmiast!!!!111!

Przyjadę do Waszyngtonu i spuszczę ci łomot, rasistowska dziwko.

Dopiero po tym ostatnim nareszcie odrzucam telefon na drugą stronę łóżka. Kurde. Serce łomocze mi w uszach tak głośno, że wstaję, przechadzam się po mieszkaniu, podpieram klamkę drzwi wejściowych krzesłem (nie, na poziomie racjonalnym nie sędzę, że

ktos naprawde sie tu wedrze i mnie zamorduje, ale dokladnie tak sie czuje), po czym rzucam sie na poslanie, siadam z kolanami pod broda i zaczynam sie miarowo kołysac w przod i w tyl.

O Boze.

O Boze.

To koniec. Dowiedzieli sie. Wkrótce dowie sie caly swiat. Dowie sie Daniella, Eden wywali mnie na zbity pysk. Strace wszystkie pieniadze. Pani Liu wytoczy mi proces i dojedzie mnie w sadzie. Brett wypowie mi umowe, moja kariera legnie w gruzach, a do historii literatury przejde jako skonczona szmata, ktora ukradla ksiazke Atheny Liu. Napisza o mnie artykul w Wikipedii. Beda na moj temat powstawac niezliczone eseje. Kazda wzmianka o mnie w towarzystwie grubych ryb z branzy wywoła porozumiewawcze spojrzenia i skrepowany chichot. Stanę sie memem. I nikt juz nigdy, przenigdy, nie wydrukuje ani jednego mojego slowa.

Na Boga, po co ja ten „Ostatni front” w ogóle wydawałam? Mam wielką ochotę skopać dupę sobie z przeszłości. Jak mogłam być tak głupia? Wydawało mi się, że robię coś dobrego. Coś szlachetnego – że pokazuję światu dzieło Atheny w taki sposób, na jaki ta powieść zasługuje. Co mnie podkusiło? Dlaczego uwierzyłam, iż taka akcja ujdzie mi na sucho?

Aż do tej pory czułam się dobrze, stabilnie. Tak świetnie mi szło tłumienie lęków. Grzecznie skupiałam się na wszystkim, co działo się wokół mnie zamiast na obawach i niepewności; umiałam trzymać pod kluczem grozę prawdy o tym, gdzie i w jakich okolicznościach weszłam w posiadanie rękopisu. Żyłam po prostu do przodu.

Nagle przeszłość wraca do mnie powodziową falą – znowu widzę podrywające się do szyi dłonie Atheny, jej spazmatycznie bębniące o podłogę pięty.

O Boże, co ja zrobiłam?

Komórka leży na koldrze ekranem do góry. Raz po raz rozbłyskuje błękitem nowych powiadomień. Migoce zupełnie jak światła karetki lub radiowozu.

Wybucham płaczem. Szlocham głośno i paskudnie, drę się niczym niemowlę. W końcu sama zaczynam się bać tego hałasu; nie chcę, by usłyszeli mnie sąsiedzi. Wciskam więc twarz w poduszkę

i w takiej pozycji zastygam, uciszona, rozhisteryzowana, na wiele godzin.

*

Zachodzi słońce. W pokoju robi się ciemno. W pewnym momencie poziom adrenaliny spada, tętno zwalnia, a gardło zaczyna boleć od płaczu. Nie płaczę już zresztą, gdyż zabrakło mi łez. Atak paniki ustępuje, prawdopodobnie dlatego, że przebiegłam w myślach wszystkie najgorsze scenariusze tak wiele razy, że przestały być straszne. Moja zbliżająca się nieuchronnie towarzyska i zawodowa implozja stała się koncepcją bliską i swojską, co paradoksalnie sprawia, że odzyskuję zdolność myślenia.

Sięgam po telefon i kiedy scrolluję Twittera, dociera do mnie, że może sytuacja wcale nie jest tak zła, jak się w pierwszej chwili wydawało. Niemożliwe, by osoba stojąca za kontem @DuchAthenyLiu wiedziała, co zrobiłam. Prawdziwa jest jedynie jej główna teza, lecz nie pozostałe szczegóły. W mieszkaniu Atheny byłam tylko tamtej nocy, pierwszy i ostatni raz w życiu. Poznałyśmy się na studiach, nie w Waszyngtonie. A już na pewno nie zaprzyjaźniłam się z nią po to, by wykraść „Ostatni front”. Do dnia jej śmierci nie miałam przecież pojęcia, że ta powieść istnieje.

Kimkolwiek autor tych tweetów jest, miał po prostu cholerne szczęście i odgadł prawdę. Całą resztę po prostu zmyślił. A z tego wynika, że nie dysponuje żadnymi konkretnymi dowodami.

Może więc, jeżeli druga strona ma jedynie podejrzenia, zdołam w jakiś sposób oczyścić swoje imię. Może istnieje egzorcyzm, który tego ducha przepędzi.

Mimowolnie zastanawiam się nad tym, czy nazwa konta, „Duch Atheny Liu”, może mieć związek ze wspomnieniem z księgarni Politics and Prose, w której zobaczyłam twarz Atheny, jej błyszczące oczy i wykrzywione w protekcyjnym uśmiechu usta. Odsuwam te myśli od siebie. To prosta droga do obłądu. Athena, do kurwy nędzy, nie żyje. Widziałam, jak umiera. A obecnym problemem muszą zająć się żywi.

Nie chcę, żeby Brett dowiedział się o aferze z Twittera, więc piszę do niego krótkiego maila o treści: „Dzieje się coś dziwnego. Masz chwilę, żeby porozmawiać?”.

Zapewne czytał już te wpisy, ponieważ dzwoni za niecałe pięć minut, mimo że dochodzi dwudziesta pierwsza.

– Cześć, Brett – odbieram roztrzęsiona.

– Cześć, June – rzuca dziwnie oschle, aczkolwiek być może to tylko moja wyobraźnia. – O co chodzi?

– Domyślam się, że widziałeś te tweety? – Przełykam ślinę.

– Może gdybyś sprecyzowała...

– No wpisy, których autor twierdzi, że ukradłam „Ostatni front” Athenie Liu.

– Cóż... – Przeciągå chwila milczenia. – No tak. Ale to przecież nieprawda?

– Nie! – odpowiadam tonem wyższym o rejestr. – Oczywiście, że nie! Nie wiem, kto za tym stoi. Nie mam pojęcia, jak się zaczęło...

– Wiesz, skoro to nieprawda, to nie ma co robić z tego wielkiego halo. – Brett nie wydaje się nawet w przybliżeniu tak zdenerwowany, jak powinien. Przypuszczałam, że się wścieknie, tymczasem sprawia wrażenie lekko tylko zirytowanego. – To zwykły troll. Przewali się, ucichnie.

– Nie, nie ucichnie – naciskam. – Przecież przeczyta to masa ludzi. Będą pisać, wydawać opinie...

– No to niech sobie wydają. Eden nie wycofa książki z rynku na podstawie internetowych plotek. A większość czytelników i tak nie siedzi z nosem w Twitterze. Wierz mi, jeśli nawet ktoś w branży się tym przejmie, to jedynie margines.

Wydaję z siebie paskudne kwilenie.

– Ale moja reputacja jest ważna. Także to, co myśli o mnie ten margines.

– Twoja reputacja pozostaje nieskalana – zapewnia pogodnie Brett. – To przecież zwykłe pomówienia, tak? Całkowicie bezpodstawne. Nie reaguj, nie odpowiadaj. Nie pozwól się wplątać. Skoro tamci nic na ciebie nie mają, to nie mają i niedługo wszyscy się przekonają, że to jedynie grubymi nićmi szyta próba zniszczenia

znanej pisarki. – W jego głosie słyhać tyle pewności. W ogóle się nie przejął, dzięki czemu i mnie ogarnia nieśmiała ulga. Może Brett faktycznie ma rację. Może publiczność uzna to za nieuzasadnioną napaść, a użytkownicy Twittera bardzo takich akcji nie lubią. Może nawet, ostatecznie, mój wizerunek ulegnie poprawie.

Brett trajkoce jeszcze przez chwilę, przytacza przykłady innych znanych autorów, którzy padli ofiarą internetowego hejtu.

– Coś takiego nigdy nie szkodzi sprzedaży, Junie. Nigdy. Niech sobie trolle gadają, co chcą. Wszystko będzie dobrze.

Kiwam głową i gryzę się w język. Nie mówię tego, co chciałam. Brett ma rację – nie ma sensu eskalować sytuacji. Każda moja reakcja jedynie uprawdopodobniłaby zarzuty.

– Okej.

– Okej? No to dobrze. – Brett mówi takim tonem, jakby chciał kończyć rozmowę. – Nie przejmuj się tak bardzo, zgoda?

– Hej, Brett, zaczekaj... – Ta myśl przysłała mi do głowy dosłownie przed chwilą. – Odzywali się może do ciebie faceci z Greenhouse?

– Co? A, nie. Ale minął dopiero tydzień. Podejrzewam, że odpoczywają jeszcze po podróży. Daj im trochę czasu.

Po tych słowach ogarnia mnie dziwny niepokój, ale tłumaczę sobie, że jestem po prostu głupia. Przecież te sprawy nie mają ze sobą żadnego związku. Justin i Harvey raczej nie siedzą non stop na Twitterze i nie śledzą najnowszych plotek z branży wydawniczej. Mają wiele lepszych zajęć.

– Dobra.

– Wyluzuj, June. Każdy ma swoich hejterów. Ten świat po prostu tak ma. Jeżeli to wszystko nieprawda, to nie masz się czym przejmować. – Po tych słowach Brett zawiesza na moment głos. – Bo to nieprawda, tak?

– Nie! Boże, jasne, że nieprawda.

– Więc zablokuj ich i wycziluj – rzuca Brett w słuchawkę. – Albo, jeszcze lepiej, w ogóle zablokuj sobie Twittera. Zawsze powtarzam, że wy, pisarze, za dużo siedzicie w sieci. Aferka ucichnie. Zawsze tak jest.

Brett nie ma racji. Aferka nie ucichnie. Twitterowe skandale przypominają śnieżne kule. Im więcej ludzi te wpisy czyta, tym liczniejsza grupa uznaje, że koniecznie musi podzielić się ze światem własnym zdaniem, przez co dochodzi do prawdziwej eksplozji dyskusji, rozrastającej się koncentrycznie wokół pierwotnego wątku. A kiedy przekroczona zostaje pewna masa krytyczna, zaczyna o sprawie mówić cała branża. @DuchAthenyLiu, kimkolwiek jest, ma w tej chwili niemal tysiąc obserwujących. To właśnie jest ta masa krytyczna.

„Skandal Athena-June” (taką nazwę zyskuje sobie afera) wleciał w gorące. Sytuacja jest diametralnie odmienna od kontrowersji po spotkaniu z Lily Wu. Wtedy w dyskusji brało udział najwyżej kilkanaście osób. Tym razem rekiny zwałowały krew. Nikt nie może milczeć. Każdy musi opowiedzieć się po jednej ze stron, gdyż w przeciwnym wypadku zostanie oskarżony o współudział. („SMH na tych wszystkich jej sojuszników, którzy teraz, jak ich psiapsia została zdemaskowana, milczą jak zakłęci” – tweetują anonimowe konta, radośnie dolewając oliwy do ognia). Wielu znanych pisarzy stara się zająć stanowisko pośrednie, usiłując chronić własne dupska, a jednocześnie wykazać się lojalnością.

„Plagiatstwo jest straszne” – pisze pewien autor. „Jeżeli Hayward faktycznie popełniła plagiat, a wciąż jeszcze nie wiemy, czy tak się stało, powinna zwrócić tantiemy rodzinie Atheny Liu”. „Jeśli to prawda, to mamy tu koszmar” – pisze ktoś inny. „Dopóki jednak nie pojawią się rozstrzygające dowody, nie będę brać udziału w linczu”.

Zaraz potem wybucha gorąca debata wokół kwestii, czy wolno posługiwać się słowem „linczu” w odniesieniu do białej kobiety. Ostatecznie dziesiątki użytkowników wyzywają cytowanego powyżej pisarza od rasistów. Konto owego literata zostaje zablokowane już po kilku godzinach.

Najbardziej zapiekłe są wpisy postaci mało znaczących w życiu publicznym, osób, które wbijając we mnie szpony, nie ryzykują niczego, za to bardzo wiele mogą zyskać.

„Dawniej pisała jako June Hayward” – tweetuje użytkownik reyl089. „Ale książkę o Chinach wypuściła już jako June Song. Popieprzone, nie?”

„Dosłowna definicja yellowface” – pojawia się w jednej z odpowiedzi. Autor raczej nie do końca rozumie słowo „dosłowny”.

„Żałosne” – krzyczy ktoś inny.

Pojawia się też jak zawsze niezawodne: „Kiedy biali przestaną wreszcie wybielać?”.

Ktoś wrzuca tweeta ze zdjęciem z mojego Instagrama. Jest sparowane z fotką Scarlett Johansson i opatrzone podpisem: „Zarząd prosi, żebyście znaleźli jakąś różnicę LMAO”.

W komentarzach padają wszystkie możliwe do wyobrażenia złośliwe uwagi odnośnie do mojego wyglądu:

Na Boga, dlaczego wszystkie białe kobiety wyglądają tak samo?

OK, różnica jest taka, że ScarJo była w stanie kogoś zaliczyć LOLL

Ona tak się mruży, bo odwykła od słońca czy udaje Azjatkę?

Powinnam była przestać czytać już po pierwszym wejrzeniu w tę bezdenną otchłań internetowego skretynienia. Okazuje się jednak, że śledzenie dyskusji na własny temat przypomina trącanie językiem bolącego zęba. Po prostu muszę nurkować coraz głębiej, po to tylko, by sprawdzić, jak daleko sięgnęła choroba.

Co godzina przeczesuję Twittera, Reddita, YouTube’a (już trójka blogerów książkowych zamieściła filmiki z tytułami stanowiącymi wariacje na temat „Ujawniamy całą prawdę o Juniper Song”), GoogleNews, a nawet TikToka (tak, afera zaangażowała nawet tiktokową dzieciarnię). Wszystko to działa na mnie wyjątkowo destrukcyjnie. Nie potrafię się skupić na niczym innym. Nie jestem nawet w stanie wyjść z mieszkania; mogę tylko leżeć skulona na łóżku i przeglądać to, co wyświetla mi komórka lub laptop. Raz po raz czytam te same wpisy na tych samych pięciu serwisach.

Ludzie zaczynają wymyślać na mój temat absurdalne plotki. Ktoś twierdzi, że recenzje, jakie zamieszczałam dawniej na Goodreads, są rasistowskie. (Jeśli dobrze pamiętam, napisałam tylko, że nie potrafię się wczuć w pewien romans hinduskiej autorki,

ponieważ wszystkie postacie są antypatyczne i w niewiarygodnym stopniu ogarnięte obsesją wypełniania obowiązku wobec rodziny). Ktoś pisze, że regularnie nękam i zastraszam osoby krytykujące mój dorobek. (Zamieściłam złośliwego subtweeta, sztuk jeden, z komentarzem do wybitnie durnej recenzji „Ponad jaworem”. Trzy lata temu!) Jakaś panna oświadcza, że na jednym ze zlotów literackich usiłowałam ją poderwać za pomocą „rasistowskich docinków na temat barwy jej skóry”. (Powiedziałam tylko, że czerwień sukienki znakomicie podkreśla żółte nuty w odcieniu jej cery. Jezu, człowiek chciał być miły. Swoją drogą, sukienka wcale nie była taka ładna). Twitterowa brać uznaje to za dowód, że mam fetysz Azjatów, na potwierdzenie przytaczają moje niedawne retweety wpisów BTS i fakt, że kiedyś grałam w jakieś japońskie gry i pisałam o tym, że pojawiające się w nich postacie bardzo mnie kręcą. Naturalnie teraz oznacza to, że cierpię na perwersyjną obsesję na punkcie zniewieściałych i uległych Azjatów. (Za BTS w sumie nie przepadam, a postacie z gry miały europejskie rysy, więc nie czaję...)

„Wszystko można znaleźć w samym tekście” – pisze anonimowy użytkownik Tumblra we wpisie, który znalazłam, przeszukując „źródła” jednego z redditowych exposé. „Zajrzyjcie na stronę 317 i ten jej opis gładkiej skóry i skośnych oczu A Genga. Skośne oczy? Serio? Białe kobiety od dziesięcioleci fantazjują o Azjatach”. (To nie ja napisałam ten fragment! To Athena!)

Ktoś, kto porównał język „Ostatniego frontu” z innymi dziełami Atheny za pomocą sztucznej inteligencji, oświadcza, że „między oboma zestawami tekstów zachodzi zdumiewająca powtarzalność statystyczna słów kluczowych”. Z tym że za przykład owych słów podaje między innymi „powiedział”, „walczyli”, „on”, „ona” i „oni”. Idąc tym tropem, można zapewne stwierdzić, że spłagiatowałam też Hemingwaya, prawda?

Niechętni mi internauci analizują wszystkie moje publiczne wypowiedzi na temat „Ostatniego frontu” i dopatrują się w nich dalszych świadectw mojej miałkości.

Okazuje się, że niestosownie jest określać historie o Chińczykach mianem „romantycznych”, „egzotycznych” czy „fascynujących”. Dowiaduję się również, że nazywając tę książkę

„tragedią”, podminowałam jej potencjał jako krytyki rasowego kapitalizmu.

„Sprzeciwiam się nazywaniu tych robotników pracownikami przymusowymi” – powiedziałam kiedyś. „Rząd Chin sam zgłosił chęć posłania ich na front pierwszej wojny światowej, starając się w ten sposób zaskarbić sobie przychylność Zachodu. Ci ludzie pojechali do Europy dobrowolnie”. (Ten punkt widzenia, jak czytam, „nie bierze pod uwagę presji wywieranej przez zachodnie hegemonie, a także wskazuje na totalne niezrozumienie przymusu, jakiemu poddał Chiny globalny kapitał”).

„Ci ludzie byli w znacznej mierze analfabetami” – pisze Adele Sparks-Sato. „Zgoda, zwerbowano ich obietnicą wyższego zarobku, lecz wielu nie miało pojęcia, co ich w Europie czeka. Fakt, że Hayward/Song opisuje ich pracę jako dobrowolną i wolną od przymusu, jasno demonstruje, w najlepszym wypadku, akademicką głupotę, a w najgorszym złośliwą obojętność na warunki życia klasy robotniczej globalnego południa”.

„Ostatni front” nazywają „historią o białych zbawcach”. Nie podoba im się, że pokazałam waleczność i męstwo białych żołnierzy i misjonarzy, uznają to za dowód na umieszczanie w centrum doświadczenia białych. (A przecież ci ludzie naprawdę istnieli. Pewien misjonarz, niejaki Robert Haden, utonął, próbując uratować Chińczyka, kiedy parowiec „Athos” został storpedowany przez niemiecki okręt podwodny. Czy jego śmierć przestała być ważna?)

Nazywają mnie też rasistką za to, że powiedziałam, iż robotników rekrutowano wyłącznie z północnych prowincji, ponieważ Brytyjczycy uważali mieszkańców cieplejszego południa za niezdolnych do ciężkiej pracy fizycznej. Z tym że to nie mój pogląd, tylko opinia brytyjskich oficerów. Naprawdę tak trudno zrozumieć różnicę? Czy nikt już nie uczy czytania ze zrozumieniem?

Poza tym czy naprawdę jest rasistowskim stwierdzenie, że ludzie z północy są lepiej przystosowani do życia w chłodnym klimacie, skoro to prawda?

Mam ochotę wystosować odpowiedź, w której odeprę po kolei każdy z zarzutów. Podjęłam takie decyzje artystyczne, jakie podjęłam, ponieważ chciałam poszerzyć spektrum opisywanych w książce perspektyw, a nie trzymać się kurczowo utartych

stereotypów, czy to dobrych, czy złych. Na podobnej zasadzie umieściłam w tekście opisy zachowań rasistowskich. Nie dlatego, że je popieram, lecz ponieważ usiłowałam zachować wierność wobec historii.

Wiem jednak, że cokolwiek napiszę, nie będzie miało znaczenia. Tamci już zdecydowali, wiedzą, co o mnie myśleć. W tej chwili zbierają jedynie „fakty” na poparcie z góry założonej tezy. Nie znają mnie. Nie mogą mnie znać, bo nigdy się nie spotkaliśmy. Zebrali rozsiane po całym Internecie strzępki informacji i sklecieli z nich wizerunek wyobrażonego przez siebie czarnego charakteru, który jednak nijak nie odnosi się do rzeczywistości.

Nie fetyszyzuję Azjatów. Nie jestem jednym z tych śliskich ludzi, którzy piszą wyłącznie o japońskim folklorze, ubierają się w kimona i wymawiają każde słowo zapożyczone z jakiegoś azjatyckiego języka z wyraźnym obcym akcentem. Matcha. Otaku. Nie próbuję obsesyjnie skrać Azjatom ich kultury. Przed „Ostatnim frontem” nowożytna historia Chin obchodziła mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Najgorsze jednak jest, że wszystkie te trolle sprawiają, iż momentami zaczynam wątpić sama w siebie. Bywa, że zastanawiam się, czy to nie moja wizja rzeczywistości jest wypaczona, czy nie jestem jednak socjopatką. Chwilami sama już nie wiem, czy Athena nie bała się mnie przez cały okres naszej znajomości.

Zawsze jednak duszę te podstępne obawy w zarodku. Słucham się porad doktor Gaily i nie pozwalam spirali myśli wymknąć się spod kontroli. To Internet jest zdrowo jebnięty, nie ja. To oni, cały ten kontyngent bojowników o sprawiedliwość społeczną, ci wszyscy biali „sojusznicy” i zlaknieni uwagi Azjaci, stoją po złej stronie. Nie ja. Nie jestem czarnym charakterem. Jestem ofiarą.

*

Na szczęście jest garstka osób, które występują w mojej obronie. Przyznaję, w większości są to biali, ale z tego nie wynika przecież, że nie mamy racji.

Brett, oby żył wiecznie, wydaje następujące oświadczenie:

Oskarżenia wysunięte niedawno wobec mojej klientki Juniper Song są całkowicie bezpodstawne i wynikają z chęci zaszkodzenia jej. Powtarzające się w Internecie ataki mają charakter próby publicznej dyskredytacji autorki.

Następnie sładzi trochę, pisząc o moim czystej wody talencie literackim, o tym, jak ciężko pracowałam nad doskonaleniem warsztatu przez całą naszą czteroletnią współpracę, a na zakończenie stwierdza:

Zarówno ja osobiście, jak cała Agencja Literacka Lambert murem stoimy za Juniper Song.

Mój zespół z Eden nie wypowiada się wcale, co nieco mnie irytuje. Biorąc jednak pod uwagę liczbę kont, z których otrzymują żądania natychmiastowego zerwania umowy ze mną, milczenie wydawnictwa samo w sobie stanowi głos poparcia. Tuż po wypłynięciu oskarżeń Daniella wystosowała do nas zatroskanego maila, lecz kiedy Brett zapewnił ją, że zarzuty nie mają podstaw, odpisała, byśmy siedzieli cicho i się nie wychylali.

„Nie chcemy uprawdopodobniać oskarżeń żadnymi dementi. Już w przeszłości nauczyliśmy się, że wchodzenie w dyskurs z trollami jedynie ich ośmiela. Przykro mi, że coś takiego spotkało June, lecz wszyscy tu uważamy, iż najlepiej będzie zachować milczenie. To szaleństwo wysuwać tak poważne oskarżenia bez konkretnego dowodu” – pisze na Twitterze internetowa sława, znana głównie z wyważonych, rozsądnych opinii na temat nierozsądnych wydarzeń. „W grę wchodzi przecież ludzkie życie i przyszłość. Niepokoi mnie łatwość, z jaką tutejsza społeczność czerpie przyjemność z cudzego cierpienia. Myślę, że wszyscy powinniśmy głęboko przemyśleć swoje zachowanie”.

Zajmujący się popkulturą bloger o konserwatywnych sympatiach, dysponujący siedemdziesięcioma tysiącami obserwujących, rozpoczyna kampanię hejtu wymierzoną przeciwko Adele Sparks-Sato. „ASS to wariatka pałająca żądzą zemsty na bardziej utalentowanych od siebie” – pisze. „Adele, muszę ci coś powiedzieć. Złość piękności szkodzi!” (Zabawnie jest to obserwować, lecz od razu wyjaśnię, że nie pochwalam podobnych działań. Fajnie,

że ktoś wypowiada się w mojej obronie, lecz wolałabym, by nie był to akurat facet, którego często zapraszają do Fox News).

Aniołki z Edenu, oby żyły wiecznie, trzymają ze mną od samego początku.

Jen pisze: „Normalnie nie zgadzam się z faszystami, ale co do ASS to ma rację. LOL”.

Marnie: „To straszne. Tak bardzo, bardzo mi przykro, że coś takiego cię spotkało. Daj znać, jeśli możemy jakoś pomóc. Jesteś bardzo dzielna!”.

Jen: „To tak zwany syndrom wysokiego maku. Po prostu nie mogą znieść myśli o tym, że młoda kobieta mogła odnieść tak wielki sukces. I tyle. Faceci na stanowiskach zachowują się wobec mnie w ten sposób bez przerwy. Oni nas po prostu nienawidzą”.

Marnie: „Rzucają się na ciebie, żeby podbić sobie ego, są spragnieni uwagi. W tej aferze wcale nie chodzi o ciebie, tylko o nich”.

Jen: „Nie babraj się w tym błocie i koniec tematu. Poblukuj to, Junie. Ignoruj hejterstwo. BĄDŹ PONAD!!!”.

Niestety. Nie potrafię odkleić się od komórki i laptopa. Nawet kiedy zamykam oczy, wciąż widzę przed sobą niebieski ekran. Nadal wyobrażam sobie rosnącą liczbę lajków pod kolejnym nienawistnym wpisem na mój temat.

Mimo wszystko próbuję dokonać cyfrowego samooczyszczenia. Wszyscy wokół mnie do tego namawiają, jakby udawanie, że Twitter nie istnieje, mogło rozwiązać wszystkie moje problemy. „Trolle karmią się twoją uwagą” – tłumaczy mi bez przerwy Jen. „Internetowe wypociny ci nie zaszkodzą, jeśli nie będziesz ich czytać”. Wcale nie czuję się jednak oczyszczona. Mam wrażenie, że po prostu chowam głowę w piasek, podczas gdy wokół rozpada się świat. Nie mogę ignorować szkód, jakie mi wyrządzają. Muszę pieczołowicie śledzić trasę, którą zmierza ten huragan, ponieważ wiedząc, gdzie i kiedy uderzy w następnej kolejności, nie będę tak bardzo cierpieć. Tak przynajmniej twierdzi mój mózg.

Wychodzę na spacer, próbuję zatracić się w błahostkach w rodzaju ptasich treli, płam słonecznego światła i schnących na cemencie kałuż. Świat zewnętrzny wydaje mi się jednak tak nieistotny i mało konkretny, jak nie do końca wczytana

rzeczywistość gry komputerowej. Momentami udaje mi się na chwilę o wszystkim zapomnieć, lecz zaraz potem przez nieuwagę znów zaczynam myśleć o leżącym na łóżku telefonie, co chwila informującym brzęczeniem o nowych wpisach. Wreszcie zaczynam płytko oddychać, dostaję zawrotów głowy i wiem, że zbliża się kolejny atak paniki. Wycofuję się więc z powrotem do mieszkania, zwijam na pościeli i przez kolejną ponurą godzinę scrolluję nowe wiadomości, ponieważ paradoksalnie tylko w ten sposób umiem się uspokoić.

Nie mogę jeść. A chcę – właściwie bez przerwy dręczy mnie głód i ciągle zamawiam wielkie, gorące i tłuste posiłki. Pizzę, makarony. Ledwie jednak biorę pierwszy kęs, moje myśli znów zaczynają krążyć wokół zbliżającej się nieuchronnie katastrofy i nie mogę już przełknąć nawet kawałka.

Nie mogę spać. Noc w noc leżę bezsennie aż do wschodu słońca, gorączkowo odświeżając rozmaite wątki i strony, by sprawdzić, kto co napisał, kto i co skomentował. Układam sobie w głowie treść nieistniejących odpowiedzi, a potem wyobrażam sobie odpowiedzi na krytykę odpowiedzi wcześniejszych.

Żałuję, że nie znam sposobu, w jaki mogłabym tę sprawę zakończyć. Chciałabym wystosować magiczne przeprosiny, podać rozstrzygający argument, który sprawiłby, że skandal skończy się raz na zawsze. Wiem jednak, że nie ma sensu wdawać się w pyskówki. Cokolwiek napiszę, zostanie potraktowane jako kolejny dowód przeciwko mnie. Poza tym na czym właściwie moje zwycięstwo miałyby polegać? Czasu przecież nie cofnę, nie sprawię, by Internet o mnie zapomniał. Zostałam naznaczona na zawsze. Zawsze już, kiedy ktoś wygoogluje moje nazwisko bądź wspomni o mnie na branżowej konferencji, pojawi się skojarzenie z tą aferą, ciągnące za mną niczym uporczywy smród po pierdnięciu. Znam pisarzy, którzy potrafią żyć od skandalu do skandalu, zachowując przy tym nieskazitelną reputację. To w większości biali. I przeważnie mężczyźni. Isaac Asimov był notorycznym drapieżnikiem seksualnym. Podobnie jak Harlan Ellison. David Foster Wallace krzywdził i wykorzystywał Mary Karr. A wciąż uważani są za geniuszy.

Czasami myślę ze smutkiem, że może po prostu trzeba to przetrwać. Może internetowy spacer po rozpalonych węglach jest rytuałem przejścia, z jakim musi się zmierzyć każdy znaczący pisarz. W zeszłym roku pewna autorka książek dla młodzieży została przegnana z mediów społecznościowych za to, że zachęcała fanów do oceniania debiutanckiej książki koleżanki jednogwiazdkowymi recenzjami (po wszystkim wyszło na jaw, że debiutantka odbiła przegnanej narzeczonego). Jakkolwiek by było, obie panie dopiero co podpisały nowe, sześciocyfrowe umowy na kolejne trylogie. A Marnie Kimball, ulubiona pisarka Danielli, znalazła się pod ostrzałem przynajmniej tuzin razy, zawsze po jakimś zadziornym, niemożliwym do obrony wpisie na Twitterze. Na przykład: „Klasyczna literatura jest po prostu lepsza, a jeśli ktoś jej nie rozumie, to znaczy, że nie umie czytać i kropka”. I co? I sprzedaje książki w najlepsze. Może Daniella ma rację. Może naprawdę najlepszą odpowiedzią jest milczenie.

Nawet Athena przeszła okres sieciowego batożenia, choć naprawdę nie zrobiła nic złego. Przed dwoma laty zamieściła na Twitterze zupełnie niekontrowersyjny, wzruszający post o wzbierającej fali przestępstw z nienawiści wymierzonych przeciwko amerykańskim Azjatam. „Nigdy dotąd nie czułam się we własnej skórze tak źle. Nigdy nie odczuwałam tak wyraźnie, że to nie jest mój kraj” – stwierdziła. Brzmiało to może nieco kiczowato i narcystycznie, ale co tam, sprawa była przecież bliska jej sercu, a trudno mieć pretensje do człowieka, który boi się po prostu, że dostanie w łeb na środku ulicy.

Potem jednak otrzymała pytanie z jakiegoś anonimowego konta, w którego opisie było jedynie emoji chińskiej flagi: „Skoro los Azjatów jest dla ciebie tak ważny, dlaczego kręcisz z białymi facetami?”.

Nie mam pojęcia, z jakiego powodu Athena odpisała. Rasistowskich trolli nie da się przekonać siłą argumentów. Albo mimo wszystko poczuła się wywołana do odpowiedzi, albo była akurat w bardziej bojowym nastroju, ponieważ zatweetowała: „To, z kim się spotykam, nie ma nic wspólnego z moimi wartościami i polityką. Poza tym hejt na mieszane pary? Cofnęliśmy się do 2018?”.

I wtedy ruszyła lawina. Pełne hejtu wpisy dosłownie ją zalały. Część z nich nawet mi pokazała, kiedy spotkałyśmy się w tamtym tygodniu na kawę. Były naprawdę nieprzyjemne.

Zamknij pysk i idź ciągnąć białasom.

Mieszane pary są wbrew naturze. To przez nie rodzą się tacy jak Elliot Rodger. Mam cię zastrzelić? On by cię zastrzelił.

Żaden białas nigdy cię nie pokocha LOL odpuść sobie kochana.

Nie waż się wypowiadać w imieniu Azjatów. Straciłaś do tego prawo, kiedy pozwoliłaś pierwszemu białemu skolonizować swoją cipę.

Zanim zastrzegła swoje konto jako prywatne, BOPAF-y (tak ich nazywała, Bojownicy o Prawa Azjatyckich Facetów) zdążyli znaleźć jej konto autorskie oraz ustalić adres mailowy. Grożono jej śmiercią. Na Reddicie zaczęły krążyć zrzuty ekranu z pierwotnej dyskusji i wątek ten błyskawicznie rozrósł się do ponad tysiąca wpisów, w których bardzo często pojawiały się ściągnięte z Instagrama fotki Atheny i Geoffa, jej ówczesnego chłopaka, opatrzone podpisami typu: „Zdrada rasy!” lub „Niektóre Azjatki nie wiedzą, czym jest lojalność rasowa. Zależy im jedynie na białych fiutach, białej kasie i białych bachorach. Pewnego dnia jednak ockną się i stwierdzą, że białasy ich nie ocalą. Módlmy się, by ta dziewczyna zdążyła się opamiętać, zanim będzie za późno”.

Ktoś zhakował jej stronę internetową w taki sposób, że pojawiał się na niej rysunek przedstawiający Azjatkę z wąskimi szparkami zamiast oczu, leżącą z rozkraczonymi nogami przed kolejką śliniących się białych mężczyzn.

„W razie czego pamiętaj, że masz mnie” – napisałam jej wtedy, ponieważ uznałam, że tak trzeba. „Ludzie potrafią być straszni”.

„Dzięki” – odpisała, a potem dodała: „Poradzę sobie z tym. Chyba. Po prostu kurewsko się boję. Wiesz, nie czuję się bezpieczna nawet we własnym domu”.

Pomyślałam wtedy, że przesadza. Athena była dobra w te klocki. Zawsze umiejętnie rozgrywała swój strach po to, by zyskać współczucie. Na bardzo podobnej zasadzie w czasie barconów udawała bezbronną i wrażliwą, by znaleźć się w centrum uwagi. No bo co? Przecież Internet to tylko Internet. Przecież żaden gnojek mieszkający w piwnicy swojej mamusi nie przejedzie setek mil do Waszyngtonu po to, by rzucić się na nią pod klatką. Pamiętam, że pomyślałam wtedy coś paskudnego. Że mogłaby na parę dni zrezygnować z sieci i skupić się na fakcie, że jest bogata, ładna i odnosi sukces za sukcesem.

Dzisiaj jednak doskonale rozumiem, co Athena wtedy czuła. Nie sposób się odciąć. Człowiek traci poczucie bezpieczeństwa bez reszty, ponieważ przez cały czas – kiedy śpisz, kiedy nie śpisz, kiedy na moment odkładasz komórkę, żeby wziąć prysznic – gdzieś tam dziesiątki, a może setki lub tysiące nieznanym grzebią w poszukiwaniu twoich danych, starają się wnikać w twoje życie prywatne, chcąc cię upokorzyć, wyśmiać lub, co gorsza, zrobić ci krzywdę.

A wtedy zaczyna się żałować wszystkiego – każdej wrzuconej do sieci fotki, każdego mema, każdego komentarza pod idiotycznym filmikiem na YouTube, wszystkich bzdurnych tweetów. Ponieważ trolle je znajdują. Naturalnie wykasowałam swoje cyfrowe ślady tak starannie jak mogłam, i to w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin, lecz od czego jest serwis Wayback Machine? Ktoś wykpiwa entuzjastyczną recenzję „Wonder Woman”, którą napisałam w 2018: „Jasne, kurwa, że Hayward uwielbia filmy o białych zbawczyniach. O ile się założycie, że jest też fanką izraelskiej armii?”. Ktoś wynajduje moje zdjęcie z balu maturalnego: „Obczajcie tę kieckę, to prawdziwa historia Juniper Song”. Ktoś wrzuca informacje o szkole, w której przygotowywałam dzieciaki do egzaminów: „Rodzice, jeśli korzystacie z tej firmy, STRZEŻCIE SIĘ Juniper Song!”. Dobrze, że odeszłam z Veritas zawczasu. Jestem przekonana, że przez hejterów wyleciałabym z roboty.

„Wszyscy powinniście wyjść z domów” – napisał kiedyś na Twitterze ceniony autor. „Odetchnijcie świeżym powietrzem. Twitter to nie jest prawdziwe życie”.

Nieprawda. Twitter jest prawdziwym życiem. Jest życiem jeszcze prawdziwszym od prawdziwego, dlatego że właśnie w jego dziedzinie rozgrywa się społeczna ekonomia branży książkowej; dlatego że dla Twittera nie ma alternatywy. Poza siecią pisarze są pozbawionymi twarzy, anonimowymi, czysto hipotetycznymi istotami stukającymi w odosobnieniu w klawiatury. Poza siecią nie można nikomu zerknąć przez ramię. Nie można stwierdzić, czy rzeczywiście radzi sobie tak świetnie, jak twierdzi. Internet natomiast pozwala śledzić wszystkie najnowsze i najważniejsze plotki i umożliwia to nawet ludziom, którzy nie są dość ważni, by uczestniczyć w opisywanych wydarzeniach osobiście. W sieci można zbluzgać Stephena Kinga. W sieci można odkryć, że najjaśniejsza aktualnie gwiazda na literackim firmamencie ma osobowość tak problematyczną, że cała jej spuścizna powinna zostać na wieki wymazana z istnienia. W sieci literaci, wydawcy i czytelnicy, wszyscy bezustannie budują reputację wielu ludzi i bezustannie ją niszczą.

Wyobrażam sobie tłum, gniewne głosy i oskarżycielsko wyciągnięte palce. Tłum osaczający mnie, pragnący obdrzeć moje kości z mięsa tak, jak menady rozszarpały Orfeusza, by zostało po mnie tylko szeptane z niezdrową fascynacją pytanie: „Słyszeliście o Juniper Song?” oraz strzępki plotek, coraz mroczniejsze i bardziej wypaczone. Rozkładające się, krwawe ochłapy, szczątki mojej wirtualnej tożsamości, po których zgniciu nastąpi jedynie stwierdzenie – uzasadnione lub nie – Juniper Song została scancelowana.

Dwanaście

Całą możliwą do wyobrażenia przyszłość najchętniej spędziłabym, hibernując w mieszkaniu. Jednak mam w tym miesiącu dwa zobowiązania – spotkanie z uczniami w jednej z waszyngtońskich bibliotek oraz panelową dyskusję w ramach festiwalu literackiego w Wirginii na temat powieści inspirowanych kulturą Azji Wschodniej. Przez pewien czas prowadziłam też mailową korespondencję z jakąś kobietą z ambasady francuskiej, dotyczącą mojej ewentualnej wizyty na cmentarzu Chińczyków z Korpusu Pracy w Noyelles-sur-mer, która zbiegłaby się z premierą francuskojęzycznego wydania „Ostatniego frontu”. Kobieta jednak zamilkła prawie dokładnie wtedy, kiedy rozpętało przeciwko mnie kampanię oszczerstw. I dobrze. Zupełnie nie mam ochoty siedzieć przez bite siedem godzin w samolocie tylko po to, by zaraz po lądowaniu nasłuchać się wyzwisk od jakichś nadętych Francuzów. Niemniej ani biblioteka, ani organizatorzy festiwalu nie odezwali się jeszcze słowem, co uznaję za znak, że nadal spodziewają się mojej obecności. Odwołując, automatycznie przyznałabym się do winy.

Wizyta w bibliotece przebiega bez większych kłopotów. Uczniowie okazują się nie licealistami, jak podejrzewałam, a trzecioklasistami z podstawówki. Całe lata miną, zanim te dzieci dorosną do książek takich jak „Ostatni front”, bo problematyka chińskich robotników na frontach pierwszej wojny światowej nie interesuje ich w ogóle. Na szczęście dla mnie oznacza to, że nie interesują ich też rozgrywane się na Twitterze dramaty. Witają mnie w holu Biblioteki Martina Luthera Kinga, nie okazują może specjalnego entuzjazmu, lecz nie dostrzegam również odrazy. Siedzą, wiercą się, ale nie gadają i czekają, żebym skończyła czytać dwudziestominutowy fragment książki, a potem zadają urocze, zwariowane pytania na temat życia pisarza („Widziała pani fabryki,

w których produkują książki?”, „Zapłacili pani miliony dolarów?”). Karmię dzieciaki pusto brzmiącymi truizmami o tym, że literatura jest sztuką tak doniosłą, ponieważ stanowi wrota do innych światów, i o tym, że może oni również zapragną kiedyś opowiedzieć swoje historie. Zaraz potem ich wychowawczynie dziękują mi, ustawiamy się jeszcze do pamiątkowego zdjęcia i rozchodzimy. Lekko, łatwo i w miarę przyjemnie.

Natomiast dyskusja na festiwalu kończy się katastrofą.

Na początku od razu wkurzam wszystkich zainteresowanych swoim spóźnieniem. Źle spojrzalam na program festiwalu – panel ma się odbyć w Sali Dębowej, nie w Sali Cedrowej, z czego wynika, że muszę w te pędy przemierzyć cały ośrodek konferencyjny. Kiedy docieram na miejsce, sala pęka w szwach. Pozostałe panelistki siedzą zbite w ciasną grupkę po drugiej stronie stołu i rozmawiają między sobą, przesłaniając mikrofony dłońmi. Na mój widok milkną jak zakłete.

– Najmocniej przepraszam – rzucam zdyszana, gdy udaje mi się odszukać wyznaczone miejsce. Spóźniłam się prawie dziesięć minut. – Tutejsze korytarze to istny labirynt, prawda?

Nikt nie reaguje. Dwie dziewczyny zerkają na mnie, po czym wymieniają spojrzenia. Trzecia gapi się w swój telefon. Powietrze jest aż gęste od wrogości.

– No dobrze! – zagaja wesołym tonem Annie Brosch, nasza moderatorka. – Skoro jesteśmy już w pełnym składzie, możemy zaczynać. Czy rozpoczniemy od prezentacji nazwisk dyskusantek i waszych najnowszych publikacji?

Przedstawiamy się kolejno, od lewej do prawej. Jest Diana Qiu, poetka i artystka wizualna; Noor Rishi, autorka powieści dla młodzieży i zarazem prawniczka specjalizująca się w problematyce praw obywatelskich, oraz Ailin Zhou, chwalona przez krytyków autorka historycznych romansów umiejscowionych w „rasowo wypaczonej” (jej własne sformułowanie) wiktoriańskiej Anglii. Oczywiście jestem też ja.

– Tak, dzień dobry. – Nachylam się do mikrofonu. – Nazywam się June Hayward, choć pisuję także jako Juniper Song. Jestem autorką „Ostatniego frontu”.

Puste spojrzenia, choć żadnych gwizdów. W obecnej sytuacji na lepsze przyjęcie liczyć nie mogę.

– Chciałabym, żebyśmy porozmawiały o stojących za waszymi książkami źródłach inspiracji – podejmuje Annie. – Juniper, może na początek ty?

Zasycha mi w ustach, głos odmawia posłuszeństwa i muszę odchrząknąć.

– Mnie, podobnie jak Ailin, inspiruje głównie historia. Po raz pierwszy usłyszałam o Chińskim Korpusie Pracy...

– Moje imię wymawia się „Ai-lin” – wchodzi mi w słowo Ailin.

– Och, przepraszam – rzucam, czując ukłucie irytacji. Wymówiłam to słowo dokładnie tak samo jak Annie, a jej Ailin nie przerwała.

– Uważam po prostu, że prawidłowa wymowa imion i nazwisk to absolutnie kluczowa sprawa – dodaje Ailin, za co nagradzają ją skromne brawa. – Dawniej bałam się zwracać uwagę ludziom, którzy niewłaściwie wymawiali moje imię, lecz teraz jest to nieodzowna część mojej *praxis*. Stawianie oporu supremacji białych jest rzeczą doniosłą. Należy to robić codziennie, wszędzie gdzie się da. Musimy domagać się szacunku.

Kolejne brawa. Czerwona na twarzy odsuwam się od mikrofonu. *Praxis? Serio?*

– Naturalnie – rzuca niezrażona Annie. – Przepraszam cię, Ailin. Powinnaś była uprzednio skonsultować wymowę z wami wszystkimi.

– Ai-lin – sylabizuję powoli i dokładnie, ponieważ czuję się zobowiązana powiedzieć cokolwiek. – Jakby Ailin, tylko w ustach Teksańczyka. – Staram się zażartować, lecz to również okazuje się niezręcznością, ponieważ słuchacze wyraźnie się spinają.

Ailin milczy. Na długą, krępującą chwilę zapada w sali głucha cisza. Jako pierwsza odzywa się znowu Annie:

– A ty, Noor? Ciekawa jestem, gdzie ty szukasz natchnienia?

I tak to przez pewien czas trwa. Pozytywem całej sytuacji jest obecność Annie, która okazuje się zdolną moderatorką i potrafi popychać rozmowę naprzód. Pytania kieruje do nas kolejno, nie pozwala dyskutantom narzucać tematów, dzięki czemu mogę spokojnie robić swoje i przez całą godzinę nie zwracam się

bezpośrednio do Ailin. Pozostałe uczestniczki nawiązują wzajemnie do swoich wypowiedzi, rozmawiają ze sobą, lecz żadna nie reaguje na to, co mówię ja. Słuchaczy również chyba nie obchodzi. Czuję się tak, jakbym gadała do ściany. Ale nic to. Wystarczy, że jakoś przeżyję tę jedną godzinę.

Annie musiała zauważyć, że odpowiadam dość lakonicznie. W pewnym momencie spogląda na mnie i pyta:

– Juniper, zechcesz proszę nieco szerzej powiedzieć, co według ciebie może uczynić literatura piękna dla grup, które jak dotąd nie miały okazji wypowiadać się w głównym nurcie?

– Hm, tak. – Znowu chrząkam. – Oczywiście. Tak więc, kiedy zastanawiam się, dlaczego właściwie napisałam „Ostatni front”, zawsze przychodzi mi do głowy anegdota. Na początku dwudziestego wieku w Kanadzie panowała powszechna niechęć wobec imigrantów z Chin. Do tego stopnia, że każdy wjeżdżający do tego kraju Chińczyk musiał uiścić specjalną opłatę w wysokości pięciuset dolarów. Kiedy do Kanady sprowadzono robotników z Korpusu Pracy, zostali oni z tego obowiązku zwolnieni, ponieważ mieli wesprzeć wysiłek wojenny. Oznaczało to jednak zarazem, że w czasie podróży nie wolno im było opuszczać pociągów, a przez cały pobyt w Kanadzie pozostawali pod ścisłym dozorem.

Zazwyczaj kiedy o tym opowiadam, słuchacze wlepiają we mnie zafascynowane spojrzenia. Być może jednak ta konkretna publiczność doszła już do wniosku, że mnie nie lubi, może jest im gorąco i są zmęczeni, a może nudzi ich moje moralizatorstwo, ponieważ wszyscy się wiercą, rozglądają lub spoglądają ukradkiem na komórki. Ani jedna osoba nie patrzy na mnie.

Nie pozostaje mi nic innego, jak mężnie przeć naprzód.

– Siedzieli w tych wagonach całymi dniami w potężnym skwarze. Nie mieli dostępu do pomocy medycznej, nawet ci, którzy mdleli z odwodnienia. Nie mogli zamienić słowa z nikim z zewnątrz, ponieważ kanadyjski rząd zakazał prasie drukowania wszelkich informacji o obecności chińskich robotników w kraju. Moim zdaniem to niezła metafora głównej tezy mojej książki, która brzmi, że Chińczycy zostali wykorzystani, a następnie ukryci i zdyskredytowani, jakby sam ich udział, ich praca była czymś wstydliwym.

– Ach tak? – odzywa się niespodziewanie Diana Qiu. – Czyli masz jakiś problem z nieuszanowaną i zapoznaną prawdą o trudzie Azjatów?

Jestem tak zaskoczona i zbita z tropu, że przez chwilę po prostu patrzę na nią bez słowa. Diana Qiu jest smukłą dziewczyną w typie artystki. Ciemne oczy, starannie wyskubane brwi i szminka w tak śmiałym odcieniu szkarłatu, że jej usta wyglądają jak świeża rana. Ta odważna stylówka kojarzy mi się nieco z Atheną, przez co przebiega mnie dreszcz.

Kątem oka widzę błysk. Ktoś zrobił zdjęcie. Kilkoro słuchaczy unosi komórki. Zaczynają nagrywać.

– Co to za pytanie? – Wiem, że nie powinnam eskalować, ale oburzenie nie pozwoliło mi ugryźć się w język. – Przecież sposób, w jaki ich traktowano, był w oczywisty sposób niesłuszny. O tym właśnie mówię.

– Podobnie jak niesłuszna jest kradzież pracy zmarłej kobiety – rzuca Diana.

Na sali rozlegają się stłumione okrzyki.

– Ograniczmy dyskusję do przygotowanych pytań – sugeruje daremnie Annie. – Noor, co sądzisz o...

– Nie, ktoś musi to wreszcie powiedzieć. – Diana podnosi głos. – Istnieją przekonujące dowody wskazujące, że June Hayward nie napisała „Ostatniego frontu”. Wszyscy widzieliśmy zarzuty. Nie udawajmy. I przykro mi, nie mogę dłużej siedzieć przy tym stole, udając, że to moja koleżanka, ktoś, kto zasługuje na szacunek. Tu chodzi o dziedzictwo Atheny...

– Bardzo proszę. – Tym razem Annie odzywa się bardziej donośnie. – To nie jest stosowne miejsce na tę dyskusję i musimy uszanować wszystkie uczestniczki panelu...

Diana robi taką minę, jakby chciała coś dodać, lecz Noor lekko trąca ją w rękę. Diana siada, odchyła się jak najdalej od mikrofonu i zaplata ręce na piersi.

Milczę. Nie wiem, co mogłabym powiedzieć. Diana oraz słuchacze wydali już wyrok i w ich oczach nic nie oczyści mnie z winy. Mogę jedynie siedzieć i z rozkołatanim sercem nurzać się w falach upokorzenia.

– Zgoda? – dopytuje Annie. – Proszę. Czy możemy kontynuować?

– Zgoda – rzuca zwięźle Diana.

Annie z wyraźną ulgą na twarzy pyta Ailin o refleksje na temat „Bridgertonów”.

Za późno. Tego panelu nie da się uratować. Rozmowa trwa jeszcze do końca wyznaczonej godziny, lecz przygotowane przez Annie pytania nie obchodzą już nikogo. Ci słuchacze, którzy nie wyszli, piszą wściekle na telefonach, bez wątpienia relacjonują zajście na Twitterze. Noor i Ailin mężnie odpowiadają Annie, jakby ktokolwiek jeszcze chciał słuchać o prehistorycznych systemach chińskiego pisma tudzież islamskim mistycyzmie. Diana i ja przez resztę czasu milczymy. Siedzę nieruchomo z rozpalonymi policzkami, roztrzęsimym podbródkiem i całą siłą woli walczę ze wzbierającymi łzami. Jestem pewna, że już w tej chwili powstają memy wykorzystujące moje zdjęcia z tej sali.

Kiedy nareszcie możemy już iść, zbieram swoje rzeczy i wychodzę tak szybko, jak tylko mogę, nie puszczając się biegiem. Annie coś za mną woła, być może chce przeprosić, ale zatrzymuję się dopiero za zakrętem. W tej chwili mam ochotę po prostu zniknąć.

*

Marnie: „O JA, ALE ZDZIRA”.

Jen: „Czy ona jest chora? W sensie na głowę?”.

Marnie: „Wiesz, w sumie nieważne, co się jej tam roi. Taki bezpośredni atak to akcja zupełnie bez klasy. Widać było, że nie szuka rozwiązania, tylko chce zwrócić na siebie uwagę”.

Jen: „Właśnie. Otóż to. Takie publiczne demonstrowanie świętego oburzenia jest obrzydliwe i sztuczne. Jej chodzi wyłącznie o siebie. Pewnie liczy, że dzięki temu więcej sprzeda tej swojej sztuki czy coś...”.

Marnie: „Jeśli to w ogóle można nazwać sztuką...”.

Chichocę. Kulę się na łóżku z kołdrą podciągniętą pod samą brodę. Bogu niech będą dzięki za Aniołki z Edenu, myślę sobie. Gdzieś tam w odmętach Internetu wściekły występ Diany krąży

wśród roześmianych zastępów hejterów Juniper Song, lecz teraz z przyjemnością obserwuję, jak Jen pospołu z Marnie mieszają z błotem artystyczne portfolio Diany.

Marnie: „Może ja po prostu nie ogarniam sztuki performatywnej”.

Marnie: „Ale na tym filmie laska po prostu obcina sobie włosy”.

Marnie: „Ta nowa fryzura jest do niczego”.

Marnie: „Poza tym kolczyk w nosie wygląda obrzydliwie”.

Jen: „Jak to się stało, że ataki psychozy zaczęliśmy nazywać sztuką wizualną? LOL Panna powinna udać się do specjalisty”.

Marnie: „OMG Nie można tak mówić”.

Marnie: „LOL”.

Parskam pod nosem. Przerzucam się na stronę internetową Diany Qiu, gdzie znajduję prezentację jej najnowszej wystawy, zatytułowanej „Mukbang”. Można na niej oglądać autorkę z kamienną miną przeżuwigającą przez bite trzynaście minut gotowane na twardo jajka, na których narysowane są twarze o azjatyckich rysach.

Aniołki z Edenu mają rację. Kiedy tak patrzę na Dianę – na jej bezbarwne, gniewne spojrzenie, na okruchy żółtka odrywające się od wąskich warg – nie jestem w stanie uwierzyć, że pozwoliłam się załatwić tej małej, żalosalnej osóbcie, tworzącej tak nadętą i żenującą sztukę. Zazdrosna jest. Oni wszyscy są po prostu żalosalni, to właśnie prawdziwe źródło całego tego jadu. Okej, oberwało mi się, ale nie dopuszczę, by popaprane, zawistne pożał się Boże internetowe celebrytki pokroju Diany zniszczyły moją karierę.

Trzynaście

W weekend wsiałam do metra i jadę do Alexandrii. Siostra z mężem zaprosili mnie na grilla.

Rory i ja nie jesteśmy ze sobą zbyt blisko, lecz łączy nas swobodna zażyłość bliskich krewnych, którym nie mieści się w głowie, dlaczego ta druga wybrała takie życie, jakie wybrała, lecz które dawno już przestały próbować się wzajemnie nawracać. Rory ma mnie za pięknoducha, uważa, że jestem kompletnie nieprzygotowana na przyszłość, że trwonię zdobyte na świetnej uczelni wykształcenie i że jestem już odrobinę za stara, by realizować mgliste marzenia o literackiej karierze. Powinnam za to znaleźć stabilną robotę z pensją, mnóstwem bonusów i gwarancją emerytury. Ja z kolei postrzegam Rory, która studiowała księgowość na uniwerku w Austin i dokładnie księgowością się obecnie zajmuje, jako laskę, która wie, że życie nudne, sztamkowe i obleśnie mieszczańskie. Wolałabym wydrapać sobie oczy, niż żyć jak ona.

Rory wyszła za niejakiego Toma, swojego chłopaka jeszcze z czasów studenckich. Tom jest informatykiem i moim zdaniem posiada osobowość i wygląd mokrej kluchy. O literaturze nie mają oczywiście zielonego pojęcia. Jak to mawia Rory, nie są „książkowi”. Czasami w lotniskowych księgarniach zdarzy im się wyszperać najnowszego Grishama, a kiedy wyjeżdżają na wakacje, Rory wypożyczają z biblioteki jakąś Jodie Picoult, lecz poza tym nie łączą ich z moim światem nic. Nic o nim nie wiedzą i wcale nie mają ochoty się dowiadywać. Wydaje mi się, że Rory nie ma nawet konta na Twitterze.

Dzisiejszego wieczora uznaję to za szczególne błogosławieństwo.

Rory z Tomem zamieszkali na odległym od centrum przedmieściu, dzięki czemu stać ich było na dom z przestronnym

ogrodem, w którym raz na miesiąc, w każdą ostatnią sobotę, urządzają rodzinne spotkania przy grillu. Tym razem pogoda sprzyja nam wyjątkowo: jest co prawda gorąco i wilgotno, ale wiatr wieje na tyle mocno, że to nie kłopot. Rory piecze chleb kukurydziany, który pachnie tak zabójczo, że zaczynam myśleć, iż będzie to pierwszy od tygodnia posiłek, którego natychmiast nie zwrócę z nerwów.

Kiedy docieram na miejsce, siostra z mężem spierają się o coś na patio. Klótnia dotyczy tego, czy HR miało rację, udzielając pracującej z Rory dziewczynie nagany za skomplementowanie włosów koleżanki.

– Moim zdaniem po prostu nie powinno się dotykać innych ludzi bez ich zgody – mówi Tom. – To po prostu kwestia etykiety. Rasa nie ma tu nic do rzeczy.

– Oj, przestań. Przecież jej nie uderzyła ani nic – burzy się Rory. – To był zwykły komplement. Poza tym nazywanie Chelsea rasistką to jakieś wariactwo. Przecież ona jest demokratką, głosowała na Obamę i... O, cześć, kochana – rzuca Rory, kiedy podchodzę, i mocno mnie obejmuje.

Jej siostrzane, afektowane gesty zazwyczaj mnie krępują, a poza tym od dawna uważam, że stanowią nieco sztuczną próbę wynagrodzenia oziębłości, z jaką traktowała mnie w dzieciństwie. Dzisiaj jednak wtulam się w nią chętnie.

– Poczęstuj się browarkiem. Ja muszę zajrzeć do piekarnika.

– Jak tam życie? – Szwagier zaprasza mnie gestem do piknikowego stołu. Siadam naprzeciwko niego. Od pewnego czasu zapuszcza brodę. W tym momencie zarost ma już jakieś pięć centymetrów i podkreśla bijącą od Toma aurę konkretnego, pozbawionego większych zmartwień drwała. Za każdym razem, kiedy się spotykamy, nurtuje mnie pytanie: jakie to uczucie iść przez życie ze swobodnym samozadowoleniem kamienia?

– Powolutku – odpowiadam, przyjmując od niego butelkę corony light. – Wiadomo, zawsze może być lepiej.

– Rory wspominała, że wydałaś ostatnio nową książkę, prawda? Gratulacje!

– No... tak. – Krzywię się. Mam nadzieję, że mnie nie googlowali. – Dziękuję.

– O czym jest?

– A wiesz... o pierwszej wojnie światowej. To takie opowieści o pracujących na froncie robotnikach. – Jak zwykle czuję się niezręcznie, opowiadając o Chińskim Korpusie Pracy ludziom, którzy nic o mojej powieści nie wiedzą. Zawsze potem następuje nieuniknione: „Nie miałem pojęcia, że Chińczycy walczyli w pierwszej wojnie” lub też: „Co? Dlaczego akurat o Chińczykach?”. – Napisałam to trochę jak mozaikę, jak w „Dunkierce”, jeśli widziałeś. Szerszy temat ukazuję poprzez wiele pomniejszych historii.

– Bardzo fajnie. – Tom kiwa głową. – Świetny temat na powieść. Tym bardziej że wszystkie książki i filmy koncentrują się na drugiej wojnie. To normalnie obsesja. Wiesz, o czym mówię, nie? Na przykład „Kapitan Ameryka” albo te wszystkie filmy o Holokauście. Świat potrzebuje więcej historii z pierwszej wojny.

– „Wonder Woman” jest o pierwszej wojnie – woła z kuchni Rory. – W sensie film.

– No jasne. Ale to tylko „Wonder Woman”. Żadna tam poważna literatura. Zgadza się? – Tom szuka u mnie wsparcia spojrzaniem.

Chryste miłosierny, przemyka mi przez myśl, właśnie dlatego nie lubię gadać z rodziną o książkach.

– Jak tam Allie? – pytam.

Allie to moja ośmioletnia siostrzenica. W całym ogrodzie walają się plastikowe zwierzaki, lecz nigdzie w pobliżu nie widzę tego maleńkiego huraganu w ciele dziewczynki. Uznaję więc, że nie będę musiała dziś zgrywać dobrej ciotuni. Teoretycznie nie mam nic przeciwko dzieciom, ale coś mi mówi, że bardziej lubiłabym Allie, gdyby była nieśmiałym mołem książkowym, skłonny buszować ze mną po niezależnych księgarniach. Tymczasem młoda rośnie na typową bezmózgą zdziwę. Już teraz jest uzależniona od iPhone’a i TikToka.

– O, świetnie. Dzisiaj nocuje u przyjaciółki. Ostatnio czytali w szkole „Pajęczynę Charlotty”, przez co nie bierze w tym miesiącu mięsa do ust. Wciąża same wegeburgery.

– Już widzę, jak jej to zostanie.

– Ha. Weź nawet nie mów.

Na tym wyczerpaliśmy cały zakres rutynowych tematów, więc ograniczamy się do popijania piwka. Odnoszę często wrażenie, że

spotkania z Rory i Tomem są jak konwersacje ze stworzonym w oparciu o sondaże statystycznym Amerykaninem lub wypełnianie profilu na Facebooku. Jakie lubisz filmy? A jaką muzykę? Czasami usiłuję pytać Toma o pracę, ale wygląda na to, że o informatyce nie można opowiedzieć w żaden ciekawy sposób. Choć może? Nagle coś przychodzi mi do głowy.

– Ej, Tom, słuchaj. Czy potrafiłbyś wysledzić adres IP twitterowego konta?

– A po co ci to? – Szwagier marszczy brwi.

– No bo jest na Twitterze ktoś, kto mnie od pewnego czasu nęka – urywam. Nie jestem pewna, jak wiele powinnam powiedzieć. Nie wiem nawet, czy dam radę wyjaśnić sytuację w sposób zrozumiały dla ludzi spoza branży. – Wiesz, wypisuje na mój temat kłamstwa i różne takie... pierdy.

– Nie możesz tego po prostu zgłosić?

– Już to zrobiłam. – Brett od dłuższego czasu zachęca wszystkich do zgłaszania i blokowania szkalujących mnie kont, ale Twitter jest w kwestii realizacji polityki antyhejterskiej notorycznie nieskuteczny. Jak dotąd nie zaobserwowałam najmniejszej nawet zmiany. – Przypuszczam, że nic z tym nie zrobią.

– Aha. Łapię. Ale wiesz? Obawiam się, że mając samą tylko nazwę konta, nikogo nie znajdziesz.

– Myślałam, że serwisy przechowują adresy IP odwiedzających?

– No tak, ale dane Twittera są chronione. Wszystkie poważne serwisy społecznościowe chronią swoje dane. Takie jest prawo.

– A nie mógłbyś się jakoś... no wiesz, włamać? Przecież jesteś chyba hakerem?

– Nie takim – chichoce Tom. – Poza tym kradzież danych skończyłaby się wielką aferą. To poważne naruszenie prywatności. Za to można iść do pierdła, Junie.

– Ale gdybym prowadziła własną stronę, znalazłbym chyba adresy IP wszystkich, którzy na nią wchodzi?

Szwagier zastanawia się przez chwilę, po czym wzrusza ramionami.

– Zgadza się, to możliwe. Są do tych rzeczy odpowiednie pluginy. Coś takiego idzie zrobić nawet na WordPressie. Problem w tym,

że samo IP niewiele ci da. Dowiesz się, z jakiego miasta pisze ten ktoś. Być może nawet, z jakiej dzielnicy. Ale to nie działa jak w serialach, gdzie magicznie da się każdego znaleźć, jakby miał wszczepiony GPS. Poza tym inaczej to wygląda, jeśli ktoś korzysta z Internetu w telefonie, inaczej jeśli przez swój domowy router...

– Ale mniej więcej gdzie ktoś się znajduje, potrafiłbyś powiedzieć, tak? – upewniam się. – To znaczy gdybyś dostał ten adres?

– Junie, ty nie robisz nic nielegalnego, prawda? – Tom zaczyna się wahać.

– Jasne, że nie. Jezu, przecież nie wrzucę mu do sypialni koktajlu Mołotowa.

Staram się żartować, lecz wizja okazuje się zbyt wyrazista i nieco go płoszy.

– A możesz dokładniej powiedzieć, czego ci trzeba? – pyta, gładząc palcem szyjkę butelki. – Bo jeżeli ktoś naprawdę cię nęka, to może nie być bezpieczne...

– Chcę się po prostu dowiedzieć, co to za jeden – rzucam. – Albo tak ogólnie, skąd jest, czy blisko mieszka... Wiesz, wiedziałabym, czy może mi zagrozić też w realu. Czy może za mną łączyć, śledzić mnie...

– Ktoś cię śledzi? Co się dzieje? – Rory wraca z blachą chleba kukurydzianego w jednej ręce i miską wypełnioną kawałkami arbuza w drugiej. Stawia poczęstunek na blacie, siada obok mnie na ławce i raz jeszcze mnie obejmuje. – Wszystko u ciebie w porządku, Junie?

– Tak, tak. To tylko taka pierdoła. Prosiłam Toma, żeby pomógł mi znaleźć osobę, która mnie dręczy na Twitterze.

– Dręczy cię? – Rory ściąga brwi.

Wiem, o czym myśli. W liceum, w okresie, kiedy w naszym domu nie działało się najlepiej, często byłam dręczona. Uciekałam wtedy w literaturę i cały czas spędzałam w wymyślonych światach, przez co sprawiałam wrażenie aspołecznej niemowy. Przychodziłam do szkoły objuczona opasłymi tomami „Władcy pierścieni” lub „Kronik Spiderwick” i ślęczałam z nosem w tych książkach bez przerwy, zobojeźniała na wszystko dokoła. Innym dzieciakom się to nie podobało. Niektórzy koledzy zabawiali się,

robiąc za moimi plecami głupie miny i zakładając się, czy cokolwiek zauważę. Po szkole krążyły plotki, że naprawdę nie potrafię mówić. Nazywali mnie Szurniętą June.

– Nie, to nie tak. To tylko tacy... internetowi kretyni – tłumaczę. Nie sądzę, by Rory wiedziała, kim są trolle. – Wiesz, myślę, że skoro jestem teraz znaną pisarką, to mogą wygadywać na mój temat, co im ślina na język przyniesie. Grożą mi śmiercią i w ogóle. No i dlatego poprosiłam Toma, żeby pomógł ustalić, kto za tym stoi albo przynajmniej, gdzie mniej więcej mieszka.

– Przecież umiesz coś takiego zrobić, prawda? – Siostra spogląda na męża. – To wygląda na poważną sprawę.

– Już tłumaczyłem – wzdycha Tom z miną męczennika. – Nie mogę wyciągnąć adresów IP z Twittera...

– Sama ci ten adres załatwię – obiecuję. – Ty musiałbyś go tylko sprawdzić.

Okazuje się, że moja błagalna mina i wyczekujące, groźne spojrzenie Rory nie zostawiają mu wyboru.

– Dobra – rzuca, sięgając po kolejne piwo. – Z przyjemnością pomogę.

O nic więcej nie pyta. Tom, oby żył wiecznie, traktuje życie dosłownie i w niczym nie dopatruje się drugiego dna. Podobnie zresztą jak moja siostra. Ogarnia mnie fala czułości. W tej rodzinie nie bawimy się w podstępny; jest tylko szczerłość, miłość i zaufanie. Oraz najlepsze chili z jarmuzem i chlebem kukurydzianym, jakie w życiu jadłam.

*

Po powrocie do domu, jeszcze tej samej nocy, siadam przy biurku i zaczynam uczyć się podstaw tworzenia stron. Nic trudnego. Na studiach zaliczyłam miesięczny kurs HTML-a. Ubzdurałam sobie wtedy, że jeśli nie uda mi się zostać pisarką, to może będę zarabiać jako programistka. Dopiero potem dotarło do mnie, że rynek zawodów informatycznych jest tak nasycony, że biorą jedynie najbardziej utalentowanych. Tak więc pracy nie zdobyłam, ale nadal

potrafię tyle, że udaje mi się sklecić w miarę przyzwoitą stronę, która nie wygląda na podpuchę ruskich hakerów.

Wygląd nie jest aż tak istotny – ta strona ma sprawiać wrażenie amatorskiego bloga. Mniej więcej kwadrans poświęcam na kopiowanie, wklejanie i formatowanie części bardziej rzucających się w oczy „dowodów” mojego rzekomego plagiatu. Upewniam się też, że moja strona nie trafia do wyszukiwarek. Nie chcę tu przypadkowych gości.

Na koniec zakładałam fejkowe konto na Twitterze. Żadnego opisu, żadnej fotki. Tylko nazwa @AthenaŁazarz – to powinno zwrócić uwagę.

Kiedy wszystko jest już przygotowane, wysyłam prywatną wiadomość właścicielowi konta @DuchAthenyLiu:

Hej,

nie znam cię, ale chcę podziękować za to, co robisz, by świat poznał prawdę o June Hayward. Jeśli to cię interesuje, mam kilka dodatkowych dowodów jej winy.

W tym miejscu wklejam odnośnik do swojej strony-pułapki.

@DuchAthenyLiu nie odpowiada natychmiast.

Mniej więcej dziesięć najbliższych minut spędzam, leżąc w łóżku i maniakalnie odświeżając Twittera, lecz wygląda na to, że @DuchAthenyLiu jest akurat offline. Tymczasem na moim prawdziwym koncie pojawiają się trzy kolejne wiadomości od obcych ludzi, żądających, bym czym prędzej się zabiła. Na jakiś czas rezygnuję z czytania nowych komentarzy.

Nie potrafię się jednak oprzeć i w końcu przeglądam resztę wątku. Burza oskarżeń przycichła, choć niektórzy wpływowi blogerzy nadal domagają się mojej głowy. („Dlaczego @EdenPress nadal nie odniósł się do tych zarzutów?” – grzmi Adele Sparks-Sato. „Milczenie źle wpływa na wizerunek wydawnictwa @DaniellaWoodhouse. A także dobitnie świadczy o tym, jak »ważny« jest dla was głos mniejszości”).

Dyskusja zbacza na zaskakujące tory. Otóż od pewnego czasu krążą w sieci również niezbyt pochlebne opinie na temat Atheny. Jak udaje mi się ustalić, zaczęło się prawdopodobnie od długiego wpisu

na anonimowym, świeżo założonym koncie
@BezBohaterówBezBogów.

Jego pierwszy tweet głosi:

Postępek June Hayward, jeśli to wszystko prawda, rzeczywiście jest obrzydliwy. Nie powinniśmy jednak udawać, że Athena Liu była ideałem amerykańskiego Azjaty. [1/?]

Kolejne:

My, członkowie wspólnoty amerykańskich Chińczyków, od dawna nie byliśmy w stanie przejść do porządku dziennego nad sposobem, w jaki pisała o kwestiach rasy i chińskiej historii. [2/?]

Jej podejście do, dajmy na to, Kuomintangu, stanowiło poruszający przykład skutków zachodniego imperialistycznego prania mózgu. Według Liu ruch nacjonalistyczny był oczywistym wyborem na drodze do demokratyzacji Chin. Nie potrafiła jednak dostrzec zbrodni dokonywanych przez Kuomintang po przenosinach na Tajwan. Ciekawe, co na temat jej poglądów powiedzieliby rdzenni mieszkańcy tej wyspy? [3/?]

Ponadto w opowiadaniu „Ucieczka ojca” Athena określa dysydentów z placu Tian’anmen mianem bohaterów. Zauważmy jednak, jak wielu ludzi z tej grupy po ucieczce na Zachód stało się zagorzałymi zwolennikami Trumpa. [4/?]

Czy popieranie demokracji polega według Atheny Liu wyłącznie na krytyce ChRL? Warto również zauważyć, że liczne twierdzenia Atheny na temat losów jej ojca są ze sobą wewnątrznie sprzeczne. Podobne niespójności znaleźć można w całej przedstawianej przez nią historii rodziny. [5/?]

I tak dalej, i dalej. W sumie szesnaście tweetów, których kulminację stanowi wrzucony na Google Docs plik zawierający kolejne dowody występku Atheny. Athena, podsumowuje @BezBohaterówBezBogów, żyła i tworzyła w oderwaniu od

najbardziej radykalnych elementów azjatyckiej diaspory. Athena nie była prawdziwą marksistką, w najlepszym wypadku była marksistką kawiorową. Athena kłamała, opowiadając o doświadczeniach swojej rodziny, i robiła to, by jej przeszłość wydawała się bardziej tragiczna, niż była w rzeczywistości – bo tak było wygodniej, bo dzięki temu zdawała się bardziej autentyczna, bo skupiała na sobie większe zainteresowanie. Athena, podążając śladem Maxine Hong Kingston, opowiadała wyłącznie o najgorszych momentach chińskiej historii i kultury, by tym skuteczniej wygrywać współczucie białej publiczności. Athena zdradziła swoją rasę.

Twitterowa publiczność nie ma o tych sprawach bladego pojęcia, ponieważ nikt tu nie zna dostatecznie głęboko dziejów Chin ani tamtejszej sceny politycznej, nikt nie przeczytał też książek Atheny na tyle dokładnie, by pewne rzeczy przeniknąć. W ludzkich głowach pozostaje jednak hasło: „Athena Liu = problem”.

Tak więc gównoburza wybucha ponownie. Tym razem w jej centrum znajduje się postać Atheny. Większości uczestniczących w debacie użytkowników w oczywisty sposób nie zależy na prawdzie. Dla nich to czysta rozrywka. Są przeszczęśliwi, mając cel, który można bezkarnie atakować. Są gotowi rozszarpać na strzępy wszystko i każdego.

Ale szmata!!!

Zawsze wiedziałem, że jej mętna pisanina to jedna wielka ściema.

Cieszę się, że prawda o tej dziwce wyszła wreszcie na jaw. Miałam co do niej wątpliwości już od paru lat.

Na TikToku wiralem staje się filmik pokazujący kogoś, kto drze książki Atheny i ciska je w ogień. (Wideo prowokuje kolejną dyskusję, dotyczącą tym razem faszystów i palenia książek, lecz w te zakątki Internetu nie będę was ciągnąć). Kimberly Deng, youtuberka z uniwersytetu w LA, zamieszcza godzinny materiał, w którym dokonuje analizy najbardziej „problematycznych” fragmentów książek Atheny. (Athena napisała kiedyś o „skośnych oczach” kochanki, co stanowi jakoby dobitny wyraz podporządkowania

zachodnim standardom piękna i podtrzymuje uprzedmiotowienie Azjatek).

W zaciekłości, z jaką się na nią rzucili, daje się wyczuć niepokojącą radość i spełnienie. Można pomyśleć, że od dawna czekali jedynie na właściwy moment; że kamienie, którymi ją obrzucają, mieli w pogotowiu od lat. Prawdę mówiąc, nie jestem specjalnie zdziwiona. Athena stanowi przecież wymarzoną ofiarę. Zbyt ładna, osiągnęła zbyt wielki sukces, a jej ręce były podejrzanie zbyt czyste. To jasne, że musiała mieć coś na sumieniu. Tego rodzaju afera była nieunikniona i jestem przekonana, że spotkałoby ją to wcześniej lub później, nawet gdyby nie zadławiła się na śmierć pandanowym naleśnikiem.

Marnie: „Dziewczyny, czytałyście, co wypisują o Athenie Liu?”.

Jen: „Tak, kurde... Nie do końca tylko wiem, kim są »zwolennicy supremacji Han«?”.

Marnie: „Chyba chodzi o to samo, co w wypadku supremacji białych, tylko w odniesieniu do jakiejś grupy etnicznej z Chin. Mają jej za złe, że nie opisywała w książkach rozmaitych chińskich mniejszości, co MÓWI SAMO ZA SIEBIE”.

Jen: „Wow. Nie miałam pojęcia, że ją czytałaś”.

Marnie: „HAHA, zajrzałam tylko do jednej książki. Nie przebrnęłam przez pierwszą stronę. Pretensjonalne, wysilone i wydziwione”.

Marnie: „Niektóre tweety trochę tę pisaninę objaśniają”.

Ktoś opisuje historię niesamowicie zbliżoną do mojego wspomnienia ze wspólnej z Atheną wizyty w muzeum:

Byłam z nią na spotkaniu, na którym prowadziła wywiady z weteranami wojny koreańskiej i wszystkie ich wypowiedzi nagrywała na dyktafon. Sześć miesięcy później opublikowała opowiadanie „Spadochrony nad Choson”. Tekst ten okrzyknięto jednym z najwierniejszych opisów przeżyć jeńców wojennych w Korei, lecz we mnie zawsze budził niesmak. Zupełnie jakby Athena wydusiła każde słowo z ust tych starych żołnierzy, przelała je na papier i wydała pod własnym nazwiskiem. Bez podziękowań, bez wzmianki o źródłach. Z pozoru wydawało się, że wymyśliła wszystko

zupelnie sama. Bardzo dlugo nikomu o tym nie mowilem, nie chcialem atakowac kolezanki po fachu, w dodatku rowniez Azjatki. Ale skoro prowadzimy dyskusje o jej spuściznie, to moim zdaniem mamy tutaj istotny obrazek.

Przyznaję bez bicia, że czytam podobne wpisy z niejaką satysfakcją. Miło jest wiedzieć, że nie jestem jedyną osobą świadomą, że Athena była złodziejką.

Aczkolwiek prawda nie ma znaczenia. Żadna z osób rozpowszechniających te plotki nie próbuje nawet sprawdzać faktów, nikt nie zastanawia się, czy nie przesadza. Posługują się wytrychami typu „nie zapominajmy, że...”, „właśnie się dowiedziałem, że...” lub „myślę, że moi obserwujący powinni mieć świadomość, że...”, a w głębi ducha wszyscy są kurewsko rozanieleni, mogą paść się tymi „gorącymi rewelacjami”. Ogarnięci ekstazą korzystają z szansy, by obalić posąg Atheny Liu. Więc jednak była zwykłą śmiertelniczką, myślą sobie, taką samą jak my. Niszcząc jej wizerunek, tworzymy własną publiczność, grupę, wobec której to my stajemy się moralnymi autorytetami.

Mnie szum wokół Atheny jest w pewien przewrotny sposób bardzo na rękę. Im grubsza warstwa błota pokrywa jej pamięć, tym mniej oczywista staje się cała afera oraz racje moich krytyków. Jasne, że suma dwóch błędów nie daje słuszności, ale w sieci niewielu ludzi ma tego świadomość. Teraz gdy pojawiły się komplikacje, nie jest już tak łatwo i przyjemnie batożyć mnie za rabunek dokonany na ślicznym, niewinnym dziewczęciu. Obecnie Athena stała się pretensjonalną snobką, prawdopodobnie rasistką (choć w tej akurat kwestii nikt nie potrafi zająć jednoznacznego stanowiska), zdecydowaną zwolenniczką supremacji Han oraz złodziejką winną kradzieży opisywanych w książkach postaci Koreańczyków i Wietnamczyków. Athena jest kłamczuchą i hipokrytką. Athena Liu została pośmiertnie scancelowana.

Nie rozmawiam o tym z Brettem ani Daniellą. Nie muszę. Wszyscy wiemy, czym się takie afery kończą. Obserwowałam kiedyś identyczny proces. Dwudziestoletnia, początkująca pisarka oskarżyła znacznie starszego, uznanego literata o osaczenie jej i próby wykorzystania. Skończyło się tym, że inni oskarżyli dziewczynę o dokładnie te same praktyki w stosunku do jeszcze młodszych osób.

Prawdy nie zna nikt do dzisiaj, lecz bohaterka afery od lat nie opublikowała nawet zdania. Taka już jest natura twitterowych skandali. Zarzuty śmigają w powietrzu na wszystkie strony, każdy obsmarowuje każdego, a kiedy opada pył, wszystko zostaje po staremu.

*

Wyczekiwana od dawna wiadomość przychodzi do mnie wieczorem:

„Dzięki – pisze @DuchAthenyLiu – ale większość tych materiałów jest już w sieci. Jeśli znajdziesz nowe dowody, daj znać proszę. Athenie należy się sprawiedliwość”.

W te pędy rzucam się do stojącego na biurku laptopa i odpalam WordPressa. Udało się! Moją stronę odwiedził pierwszy i jedyny jak dotąd gość. Kopiuję dziewięciocyfrowy adres IP i przesyłam go Tomowi:

„Masz, szwagier, zgodnie z umową. Będę wdzięczna za każdą informację”.

Co do tożsamości @DuchaAthenyLiu mam kilka hipotez. Może nim być Adele Sparks-Sato. Rozważam też kandydatury Lily Wu i Kimberly Deng. Przychodzi mi również na myśl Diana Qiu, obłąkana artystka wizualna. Niestety, nie jestem pewna, co będzie, gdyby rzeczywiście chodziło o jedną z nich – Adele i Diana mieszkają w Nowym Jorku, a Lily w Bostonie. Adres IP z tych miast byłby w najlepszym razie słabiutką poszlaką.

Tom odpisuje mi już po kilku godzinach.

Masz farta. Sprawdziłem ten adres w kilku różnych serwisach lokalizacyjnych i wszystkie wskazały to samo miasto. Nie znasz przypadkiem nikogo z Fairfax?

Bardzo mi przykro, bo to dość blisko ciebie i pewnie poczujesz się teraz jeszcze mniej fajnie. Jeśli obawiasz się, że ten ktoś może zrobić coś poważnego, powinnaś chyba pójść na policję, co?

I jeszcze raz przepraszam, ale nie mam możliwości ustalić nic bardziej konkretnego. Normalnie można określić lokalizację z przybliżeniem do dwóch mil, ale ustalenie konkretnego adresu wymaga już megahakerstwa.

Konkretny adres nie jest mi wcale potrzebny. Wiem, kto to.

W Fairfax mieszka tylko jedna osoba, która znała zarówno Athenę, jak i mnie. I ten człowiek jest w pełni zdolny do odwalenia takiej akcji.

Z łomocącym sercem wchodzę na Twittera i wklepuję do wyszukiwarki nazwisko Geoffrey Carlino. Czas sprawdzić, co słychać u byłego faceta Atheny.

Czternaście

Ach, Geoff.
W jego przypadku trudno powiedzieć, od czego powinno się zacząć.

Kiedy się ze sobą spiknęli, nie byliśmy z Atheną blisko. Ja wciąż mieszkałam w Nowym Jorku, gdzie harowałam, odrabiając mało rozwijającą, słabo opłacaną pańszczyznę dla Teach for America. Równie dobrze jak wszyscy znam jednak historię ich rozstania – paskudnej katastrofy, rozgrywającej się na oczach całego świata za pośrednictwem Twittera i Instagrama.

Jeśli dobrze kojarzę, Geoff i Athena poznali się w Oregonie, na jakimś literackim stypendium, kiedy byli młodymi, znakomicie się zapowiadającymi pisarzami. Ją dzieliło kilka miesięcy od wydania debiutanckiej powieści, on dopiero co podpisał pierwszą w życiu umowę, z niewielkim, lecz prestiżowym wydawnictwem. Ich związek był przesądzony z góry, oboje seksowni, oboje w zasadzie hetero, oboje szykujący się do podboju literackiego światka. Myślę, że dodatkowym atutem Geoffa był fakt, że przez rok studiował w Pekinie (aczkolwiek kiedy już się rozstali, Athena poskarżyła mi się, że „po chińsku imię Geoffa brzmi Jie Fu i chciał, żebym na osobności tak go nazywała. Popieprzone, nie? Przecież nazywa się, kurwa, Geoff!”).

Po zakończeniu wspomnianego stypendium Athena przeprowadziła się do Fairfax, gdzie zamieszkała w drugim domu rodziców Geoffa. Wiem o tym, ponieważ przez następne pół roku instagramowe konta obojga puchły od obrzydliwie słodkich wspólnych fotek zakochanych: zbliżenia promiennych uśmiechów, wtulonych w siebie policzków, gładkiej cery, roześmianych piegów; czarno-białe ujęcia z kawiarni uzupełniane hasłami w rodzaju „uwaga, pisarz przy pracy” bądź zdjęcia przedstawiające szczęśliwą

parę wędrującą z plecakami po bezdrożach Wschodniego Wybrzeża. Wysokie, smukłe, ociekające potem sylwetki. Na pewnym etapie wydawało się, że dołączą do grona słynnych literackich par, że będą jak Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir, jak Anaïs Nin i Henry Miller, jak Francis Scott i Zelda Fitzgeraldowie (naturalnie gdyby Zelda więcej publikowała).

Tylko że Geoff... Jak by to ująć łagodnie? Geoff, po prostu, nie był aż tak utalentowany. W zasadzie można porównać jego pisarską historię do mojej. Zaczął z przytupem, od drukowania w rozmaitych czasopismach dziesiątków nagradzanych opowiadań. Niemniej pierwsza powieść Geoffa, będąca wedle własnych słów autora „przełamującym gatunkowe bariery thrillerem” o „zmiennorasowych” androidach żyjących w społeczeństwie niezbyt odległej przyszłości, nie spotkała się ze spodziewanym uznaniem. Recenzent „Locusa” nazwał ją „zagmatwaną i w znacznej mierze chybioną, niewykluczone, że napisaną ze złymi intencjami, wizją epoki postrasowej i rasowej płynności”. Mój debiut również nie sprzedał się oszałamiająco dobrze, ale przynajmniej żaden krytyk nie napisał, że powinnam „zachować swoje nieprzemyślane i płytkie pseudofilozoficzne rozważania na spotkania przy kielichu z kolegami i nie wyskakiwać z nimi tam, gdzie mogą je usłyszeć dorośli”.

Geoff poczuł się tą oceną głęboko dotknięty i zamieścił na blogu sążnisty, żenujący wpis, traktujący o tym, że padł jako artysta ofiarą niezrozumienia, a recenzentowi „Locusa” zabrakło „intelektualnej wrażliwości” pozwalającej docenić złożoność i radykalny impet przeprowadzonej w książce śmiałej krytyki zbudowanych na rasowych podziałach społeczeństw. Twitter, co było do przewidzenia, wyśmiał go totalnie.

Athena zerwała z Geoffem niedługo potem (my, prości plebejusze wywnioskowaliśmy to z faktu, iż wszystkie jej fotki opatrzone hasłem „dzisiaj praca w domu” zaczęły nagle ukazywać zupełnie inne niż dotąd wnętrza).

Wprawdzie rozstanie odbyło się zaskakująco nagle, lecz wtedy wszyscy zwiastowali rozpad ich związku już od dłuższego czasu. Warto w tym miejscu wspomnieć, że jeszcze przed klapą debiutu Geoff wydał serię opowiadań o androidce nazwiskiem Xiao

Li, która znosi liczne upokorzenia ze strony lubieżnych, w pełni ludzkich klientów, po czym dokonuje widowiskowej autodestrukcji, w wyniku której zniszczeniu ulega pół Nowego Pekinu.

Opowiadania te – jak twierdził Geoff – zawierały w sobie jednocześnie dogłębną krytykę kolonialnego mizoginizmu, analizę kwestii praw sztucznej inteligencji oraz tradycyjnie chińskiego patriarchy. Ktoś na Twitterze zapytał go, skąd zaczerpnął tak licznie występujące w tekstach chińskojęzyczne zwroty. Geoff odpowiedział beztrąsko, że „chodzi z długowłosym słownikiem”. (Cytat ów krążył po Twitterze przez wiele dni).

Pojawiły się również oskarżenia o pijackie obmacywanki w barach, a na jednym ze znanych portali porno ktoś dotarł do konta z profilowym podejrzenie przypominającym Geoffa oraz wpisem w bio: „Żółte jest piękne!”. Lecz nikt nie był na tyle nieuprzejmy, by wspominać o tym w towarzystwie.

Tak więc książka Geoffa okazała się klapą. Athena zrobiła to, czego wszyscy się spodziewali, i po prostu się zdystansowała, a najbardziej atrakcyjna para literackiego świata przeobraziła się w najbardziej atrakcyjną pisarkę oraz białego chłopaka, którego kariera dobiegła końca, zanim się na dobre rozkręciła.

Geoff powinien był wtedy wylizać się z ran i spróbować raz jeszcze. Wciąż miał dobrego agenta, podpisaną umowę na drugą powieść i szansę na odkupienie. Wówczas jednak jego twitterowa działalność diametralnie zmieniła charakter. Zaczął zamieszczać rozwlekłe elaboraty, w których żalił się, że niesłusznie zrobiono z niego negatywnego bohatera, że do opublikowania pamiętnej reakcji na recenzję „Locusa” namówiła go sama Athena, a potem nie powiedziała w jego obronie nawet słowa.

Obserwując to wszystko, poczułam się w jej imieniu mocno zażenowana.

Athena postąpiła mądrze, to znaczy zablokowała Twittera i konsekwentnie milczała, dopóki internetowa społeczność nie znalazła innego pretekstu do maskowania niezdrowej fascynacji pozorem troski i świętego oburzenia. Geoff bezsensownie odpowiadał na każdy zjadliwy wpis, aż wreszcie liczba jego obserwujących spadła do dwucyfrowej i wtedy on również zablokował swoje konto. Agent zerwał z nim współpracę

„z powodów osobistych”. Jego umowa na kontynuację debiutu pozostaje w mocy, lecz nie jest jasne, czy książka kiedykolwiek ujrzy światło dzienne. Nie wiadomo nawet, czy Geoff w ogóle ją pisze.

Kto wie jak było naprawdę? Twitter uczynił z nas wszystkich sędziów niekompetentnych, lecz skorych do orzekania. W zależności od tego, kogo spytać, Geoff jest bądź skłonnym do manipulacji zbrodnicem i pozbawionym pewności siebie lubieżnikiem, bądź ofiarą. Athena w znacznej mierze ocaliła reputację, lecz głównie dlatego, że nikt nie potrafił uwierzyć, że związek z piękną i utalentowaną Atheną Liu mógł być tak okropny, jak twierdził Geoff, a także dlatego, że zawsze łatwiej jest przywalić cispłciowemu białemu kolesiowi.

O ile mi wiadomo, Athena i Geoff nie rozmawiali ze sobą od wielu miesięcy.

Dlaczego więc, do jasnej cholery, typ tak się na mnie wziął?

Po przeprowadzeniu dalszych czynności śledczych nabieram niezbitą pewności, że to on stoi za całą aferą. Konto Geoffa wiernie podaje dalej każdy wpis @DuchaAthenyLiu. Czasami uzupełnia je własnymi uwagami:

Nie do wiary, że nikt o tym nie mówi. Eden i Juniper Song powinni się wstydzić.

Jego ostatni tweet sprzed wybuchu skandalu pojawił się ponad miesiąc wcześniej:

Czy na was też dziwnie patrzę w hinduskich restauracjach, kiedy prosicie o „coś naprawdę ostrego, nie lajcik dla białych”?

(Dostał trzy polubienia i komentarz od niejakiego RichardaBurnsa08: „Znam to. Żyję ze swoją tajską żoną już trzeci rok, a oni nadal myślą, że gaijin nie poradzi sobie z ostrością. Uwielbiam pokazywać, kto ma rację!”).

Zbieżność dat mówi sama za siebie.

Muszę działać szybko. Geoff jest idiotą, ale to idiota z tych bardziej nieprzewidywalnych. Najlepiej zdusić sprawę w zarodku. Podejrzewam, że dam sobie z nim radę, ale chciałabym się

przekonać, czy nie ukrywa w rękawie jakiegoś asa. Wciąż mam jego numer. Dostałam go, kiedy Athena zaprosiła nas i kilka innych osób na literacki wyjazd do ośrodka pracy twórczej nad Potomakiem. Wypad nie doszedł do skutku; przeszkodziły nam kłótnie o koszt wynajmu domków; o to, czy naleganie na zachowanie podziału na kwatery męskie i damskie jest zachowaniem wstecznym i karygodnie heteronormatywnym, oraz o to, czy ludzie samotni będą musieli nocować z obcymi. W efekcie wszyscy dość szybko stwierdzili, że jednak nie mają w tym terminie czasu, i impreza została w ostatniej chwili odwołana. Dane kontaktowe niedoszłych uczestników skrzętnie jednak zachowałam. Milej mieć w telefonie więcej numerów niż mniej.

Wysłałam Geoffowi zrzut ekranu z pierwszym tweetem z konta @DuchAthenyLiu i dopisuję: „Wiem”.

Koleś okazuje się jednym z dupków, którzy nie wyłączają powiadomień o przeczytaniu. Wiadomość zobaczył natychmiast. Nie odpowiedział.

Serce wali mi tak mocno, że czuję je w cyckach. „Jutro” – wstukuję. „W Coco’s Cafe. 15.30. Jedyna szansa. Przyjdź albo wszyscy się dowiedzą, co zrobiłeś”.

Błyskawicznie wyłączam komórkę, odrzucam ją w kąt łóżka i zacznym wrzeszczeć.

*

W Coco’s pojawia się wcześniej. Zamawiam latte z lodem, ale pozwalam sobie jedynie na mikroskopijne łyeczki. Nie chcę, żeby w trakcie tego spotkania zachciało mi się sikać. Dzień jest absurdalnie gorący, więc przenoszę się z kawą do ogródka. Wybieram dwuosobowy stolik w rogu, dzięki czemu mam doskonały widok na całe patio oraz dogodną trasę ucieczki we wszystkich kierunkach. Nie mam pojęcia, dlaczego zastanawiam się nad ewentualną ewakuacją, jakbym była co najmniej agentką KGB na wrażym terytorium. Jednak w sumie to całkiem niezły opis sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy: dwoje ludzi obrzucających się w Internecie

kłamstwami, starających się znaleźć sposób na zniszczenie reputacji drugiej strony.

Kiedy pojawia się Geoff, doznaję szoku. Dostrzegam go już z daleka. Idzie ze spuszczoną głową, jakby bał się, że ktoś go rozpozna. Założył baseballową czapkę i wielkie okulary przeciwsłoneczne. Wygląda komicznie.

– Cześć, Junie. – Odsuwa sobie krzesło, siada i ściąga okulary. – Miło cię znowu widzieć.

Rozumiem, dlaczego Athena tak się w nim durzyła. Na pierwszy rzut oka Geoff jest bardzo przystojny. Pamiętam jeszcze jego autorskie zdjęcia. Ostro zarysowana szczęka, intensywnie zielone oczy. Kiedy widzę go teraz na żywo, wymienione wyżej cechy okazują się tak wyraziste, że niemal przytłaczają. Kolesz wygląda jak amant z mrocznej, pełnej rozbuchanych namiętności powieści dla nastolatków: niesforne czarne włosy i trzydniowy zarost.

Szkopuł w tym, że czytałam jego tweety i wiem, że jest nie tyle seksowny, co żaloszny.

Upijam jeszcze jeden łyżeczek latte. Postanowiłam, że nie pozwolę mu przejąć sterów rozmowy – nie chcę, by choć przez chwilę poczuł, że ma przewagę. Rozpaczam więc najbardziej agresywnym zagranem, na jakie mnie stać:

– No dobra, co to za bzdury o kradzieży rękopisu Atheny?

– Myślę, że oboje dobrze wiemy, o co mi chodzi. – Geoff odchyła się i krzyżuje ramiona na wydatnym torsie (uświadamiam sobie nagle, co mają na myśli autorzy, pisząc o „wydatnym torsie”).

– Nie. Ja nie wiem – rzucam gniewnie. Nietrudno mi wykrzesać z siebie oburzenie. Ta jego swobodna poza, przekonanie o własnej wyższości sprawiają, że mam ochotę mu przywalić. – Przecież to czystej wody absurd.

– Więc po co się ze mną umówiłaś?

– Umówiłam się, bo to, co robisz, jest ohydne – syczę. – Nikczemne i obrzydliwe. Nie tylko wobec mnie, ale również wobec Atheny. Gdyby chodziło o kogoś innego, powiedziałabym ci po prostu, żebyś się walił na ryj, ale biorąc pod uwagę przeszłość, twoją znajomość z moją najlepszą przyjaciółką, uznałam, że powinniśmy pogadać twarzą w twarz.

– Serio, Junie? – Geoff przewraca oczyma. – Będziemy przed sobą udawać?

Trzaskam otwartą dłonią o metalowy stolik. Gest dość dramatyczny, ale podoba mi się, bo facet podskoczył.

– Jedynym, który tu cokolwiek udaje, jesteś ty. I uwierz, dam ci tylko jedną szansę, żebyś się wytłumaczył. Jeśli tego nie zrobisz, pozwę cię o zniesławienie.

Przez krótką chwilę w jego spojrzeniu majaczy niepewność. Udało się? Przestraszyłam go?

– Rozmawialiśmy o tym rękopisie – rzuca Geoff. – Rozmawiałem o nim z Atheną.

Mój żołądek zamienia się w ciasny węzeł.

– Opowiadała mi o tym pomysłe, kiedy się jeszcze spotykaliśmy. Na własne oczy widziałem, jak zbiera materiały. O chińskich robotnikach, o zapomnianych głosach z frontu. Wiem, jakie artykuły przeglądała na Wikipedii. – Geoff nachyla się nad blatem i przeszywa mnie spojrzeniem spod przymrużonych powiek. – I wydaje mi się bardzo dziwnym zbiegiem okoliczności, że prawie od razu po jej śmierci wydałaś powieść poruszającą dokładnie ten temat.

– O pierwszej wojnie może pisać każdy – przypominam oschle. – Zdajesz sobie sprawę, Geoffrey, że prawa autorskie nie chronią historii powszechnej, prawda?

– Nie pieprz mi tu.

– Czyli co? Rozumiem, że teraz wyciągniesz wszystkie skoroszyty pełne materiału dowodowego, tak? – To naturalnie element strategii. Chcę, żeby już na wstępie odsłonił wszystkie swoje karty. Jeżeli rzeczywiście ma jakiś dowód, jestem skończona tak czy inaczej i przynajmniej dowiem się o tym wcześniej niż reszta świata. A jeśli nie, zyskam pewną swobodę manewru.

– Wiem, co zrobiłaś. – Geoff ściąga usta. – Wszyscy wiemy. Nie wyłgasz się. Kłamstwa cię nie uratują.

Czyżbym miała rację? Czy to możliwe, że naprawdę nie ma na mnie żadnych konkretów? Postanawiam przycisnąć jeszcze mocniej, chcę zobaczyć, jak zareaguje.

– Widzę, że nadal cierpisz na manię prześladowczą.

– Ja cierpię? – obrusza się Geoff. – Ja przynajmniej nie biegam po mieście, obnosząc się z przyjaźnią, która nigdy nie miała miejsca. Wiem, że nie byliście ze sobą blisko. Najlepsza przyjaciółka ze studiów? Weź przestań... Kiedy ze sobą byliśmy, Athena nie wspomniała o tobie ani razu. Wiesz? Kiedyś zobaczyłem cię na jakimś zjeździe i znalazłem notkę o tobie w programie. Była tam informacja o studiach, więc zapytałem Athenę, czy cię zna. Zgadnij, co usłyszałem?

Nie chcę tego wiedzieć. Zupełnie nie rozumiem dlaczego, lecz te słowa bardzo mnie dotknęły. Geoff musiał moją reakcję wychwycić, ponieważ uśmiecha się szeroko, szczerzy zęby niczym myśliwski ogar, który wyczuł świeżą krew.

– Nazwała cię „taką frajerką z uczelni”. Dodała też, że nie ma pojęcia, dlaczego tak uparcie brniesz w literaturę. Powiedziała, że twój debiut był do bólu banalny i że lepiej by dla ciebie było, gdybyś po prostu dała sobie spokój, zanim branża cię przemielą i wypluje. – Milknie na moment i chichoce. – Kojarzysz chwile, kiedy Athena starała się przekonać świat, że wie, czym są ludzkie emocje, i nieporadnie udawała współczucie? „W sumie biedactwo z niej. Chodźmy lepiej, zanim nas zauważą”.

– Od razu widać, że nie znałeś jej tak dobrze, jak ci się wydawało. – W moich oczach ni stąd, ni zowąd pojawia się wilgoć. Poirytowana gwałtownie mrugam.

– Kochanie, znałem ją tak dobrze, że widywałem plamy na jej stringach. Czytałem z niej jak z książki. Podobnie jak teraz czytam z ciebie.

Kusi mnie, żeby zawinąć się i wyjść. Drugą opcją jest pochylić się nad stołem i trzasnąć go w ten uśmiechnięty, okrutny pysk. Tyle że w ten sposób nie osiągnę niczego.

Skup się, przykazuję sobie. Jesteś tak blisko mety. Wystarczy, że sprawisz, iż to wszystko się skończy.

– Założmy... – Stukam paznokciami o blat i dla zwiększenia efektu trzepocę rzesami. – Założmy, że rzeczywiście wzięłam ten rękopis.

– No kurwa, wiedziałem. – Geoff otwiera szeroko oczy. – Ty zakłamana...

– Okej, dobra, wystarczy. Przestań, proszę – udaję przerażenie. Unoszę dłonie, jakby po to, by zobaczyć, że nie mam ostrych pazurów. Pozwalam, by w moje słowa wkradło się drżenie. – Więc, Geoff, czego chcesz?

– Czyli naprawdę wierzyłaś, że ta akcja ujdzie ci na sucho. – Na jego twarzy ponownie pojawia się pewny siebie uśmiezek. Zaczyna chojrakować. Wie, że teraz on panuje nad sytuacją.

– Nie moglibyśmy po prostu tej sprawy zakończyć? – podejmuję błagalnym tonem. Łatwo mi udawać wystraszoną. Wystarczy, że wyobrażę sobie, iż wracam nocą do domu, spotykam po drodze Geoffa i żadne społeczne normy nie są w stanie powstrzymać jego pięści. On jest wielki i przypakowany; mógłby mnie dosłownie zmiażdżyć. Mrugam gwałtownie, by mu o tym przypomnieć. Chcę, żeby nabrał przekonania, iż zapędził mnie w kozi róg. – Proszę, jeśli to nagłośnisz... stracę wszystko. Wszystko...

– Nie musisz tracić wszystkiego. – Geoff nachyla się ku mnie, składa dłonie na stoliku. – Być może uda nam się zawrzeć pewnego rodzaju porozumienie.

– To... – Z wysiłkiem utrzymuję twarz w ryzach. – To znaczy... co właściwie?

– „Ostatni front” musiał ci przynieść kupę kasy, nie? – Geoff rozgląda się nerwowo dokoła, sprawdza, czy nikt nas nie podsłuchuje. – Tylko nie kłam. Czytałem, jaką dostałaś zaliczkę. Sześciocyfrowa sumka, prawda? I wiem też, że zarobiłaś już więcej.

– To... – Przełykam ślinę. – To ma być szantaż?

– Nazwijmy to może układem, na którym skorzystamy oboje – tłumaczy Geoff. – Ty będziesz dalej sprzedawać książki. A ja będę trzymać język za zębami. Dla każdego coś miłego, tak? Czy przejdziemy do omówienia mojej stawki?

Jezu Chryste. Jak można być takim kretynek? Czy on w ogóle słyszy, co wygaduje? Wyobrażam sobie, że wrzucam nagranie tego fragmentu rozmowy na Twittera; wyobrażam sobie burzę, jaka by się natychmiast rozpętała. Geoff już nigdy nie zarobiłby na pisaniu złamanego centa. Musiałby żyć w ukryciu. Już nigdy nie zaistniałby publicznie pod własnym nazwiskiem.

Rzecz w tym, że taka katastrofa przypominałaby niekontrolowany wybuch, a ja prawdopodobnie znalazłabym się

w zasięgu rażenia. Więc nie, muszę sprawę zakończyć po cichu.

– Hmm... Nie. – Teatralnym gestem postukuję paznokciem w dolną wargę, po czym wydymam usta. – Nie. Na to raczej nie pójdę.

– Nie sądzę, byś miała wielki wybór. – Oczy Geoffa zmieniają się w szparki.

– Nie?

– Nie. Jak myślisz, co będzie, kiedy wszyscy poznają prawdę?

– Nic nie będzie. – Wzruszam ramionami. – Dlatego że to nieprawda. Wszystko, co mówisz, Geoff, to pieprzenie i oboje dobrze o tym wiemy.

– Przecież wiem, że ukradłaś tę książkę...

– Nie, nie wiesz. Nie masz skrawka dowodu. Zmyślasz po prostu, żeby zdobyć popularność. – Postukuję w zapinaną na suwak kieszeń, w której spoczywa bezpiecznie ukryty iPhone, nagrywający rozmowę od początku. – Ja natomiast mam zapis podjętej przez ciebie próby szantażu. Rozmowy, w trakcie której chciałeś wymusić ode mnie działkę dochodów ze sprzedaży książki, według ciebie skradzionej. Nie robisz tego dla Atheny. Chcesz po prostu na jej spuściznie zarobić. Myślisz, Geoff, że kiedy to wyjdzie na jaw, uda ci się wydać choć jeszcze jeden tekścik?

Typ robi taką minę, jakby chciał mnie udusić gołymi rękoma. W życiu nie widziałam tak mocno wybałuszonych oczu. Odruchowo rozchyła wargi, ukazując kły. Zaczynam się bać, że przedobrzyłam, że przyduśliłam go zbyt mocno. Przypominam sobie wszystkie filmy o sympatycznych białych młodzieńcach, którym nagle odpierdziela na dobre. Chris Evans w „Na noże”. Gwałciciel z „Obiecującej. Młodej. Kobiety”. Może Geoff rzuci się przez stół i dźgnie mnie w ramię. Albo zdusi wściekłość, odprowadzi mnie lodowatym spojrzeniem, a potem, kiedy będę pod domem, potrąci mnie samochodem.

Ale nie, to nie jest film, tylko życie, a Geoffrey Carlino nie jest rozjuszonym, niepowstrzymanym samcem alfa. To żałosny, niepewny siebie chłopczyk, który poza butnymi słowami nie ma nic, żadnego atutu. Brak mu determinacji. Furia wypala się i przeradza w kapitulację. Widzę, jak opadają mu ramiona, jakby uszło z niego powietrze.

- Jesteś okropnym człowiekiem – syczy.
- Jestem genialną pisarką i dobrą przyjaciółką – odpowiadam.
- Ty natomiast jesteś facetem, który dał się nagrać, jak próbuje wycisnąć kasę z rzekomo skradzionego dzieła nieżyjącej eks.
- Idź do diabła, suko.
- Oj, sam się pieprz. – Wstaję z krzesła.

Widziałam kiedyś film przedstawiający myśliwego, który strzelił prosto między oczy skaczącemu na niego lwu. Ciekawe, czy ten łowca czuł się wtedy jak ja teraz: zaparty dech, rozkosz zwycięstwa, poczucie, że mały włos, a byłoby po wszystkim. Ciekawe, czy on także patrzył na swoją ofiarę i myślał o jej zmarnowanym potencjale i sile.

- Nigdy więcej się ze mną nie kontaktuj.

*

Teraz kiedy wiem, że Geoff nie ma na mnie żadnego haka, bez problemu udaje mi się obmyślić sensowną reakcję. Pierwsze szkice prezentuję Jen i Marnie i po wprowadzeniu kilku poprawek zamieszczam na swojej stronie oficjalne stanowisko. (Rozważałam, czy nie wrzucić do sieci zrzutu ekranu komórki z oświadczeniem napisanym w apce Notes, ale przeprosiny z Notes stały się ostatnio samodzielnym gatunkiem, i to wcale nie najwyższych lotów).

Cześć wszystkim,

co oczywiście, jestem świadoma krążących w sieci pomówień dotyczących autorstwa „Ostatniego frontu”. Przepraszam, że nie odpowiedziałam wcześniej. Zrozumcie proszę, iż był to dla mnie trudny okres, między innymi dlatego, że nadal nie doszłam w pełni do siebie po tragicznej śmierci bliskiej przyjaciółki.

Mówiąc w skrócie, oskarżenia te są całkowicie wyssane z palca. „Ostatni front” jest moim oryginalnym dziełem. Niemniej to Athena natchnęła mnie do bliższego przyjrzenia

się temu zapomnianemu rozdziałowi historii naszego świata, nic więc dziwnego, że jej głos słycać także w mojej prozie.

Zdaję sobie sprawę, że cała sytuacja ma również swój aspekt rasowy. Z zalem czytam argumenty, w myśl których jedynie Athena mogła napisać „Ostatni front”, gdyż całość jej pisarstwa zmagala się z problemami azjatyckiej mniejszości. Tego typu podejście karygodnie szufladkuje nas obie i spłaszczala naszą artystyczną tożsamość.

Nie wiem, jakimi motywami kierowali się autorzy tej plotki, lecz mogę ich działania uznać jedynie za bolesny, dokonany ze złą wolą atak na mój bliski związek z osobą, której bardzo mi teraz brakuje i której śmierć była dla mnie jednym z najbardziej traumatycznych doświadczeń w życiu.

Mój agent i redaktorka przeprowadzili w tej sprawie niezależne dochodzenia i nie stwierdzili żadnych nieprawidłowości. To moja ostatnia wypowiedź w tej sprawie.

*Dziękuję
Juniper*

Pierwszą reakcją Twittera jest, naturalnie, wściekłość:

Kłamiesz, dziwko!

Czyli tak nagle napisałaś książkę, nad którą pracowała twoja zmarła przyjaciółka? Przypadek? Nie sądzę.

LOL. Nawet przeprosin napisać nie umie.

Ach, czyli June Song naskrobała wreszcie jakieś nie-przeprosiny. Założę się, że wszyscy biali staną teraz murem w jej obronie. Nienawidzę tej branży.

Nie wierzcie w ani jedno jej słowo! Rasistowska suka!

Jeśli to prawda, to czemu tak długo siedziałaś cicho?

Kiedy jednak początkowy strumień bluzgów wysycha, staje się jasne, że moje oświadczenie zostało przyjęte całkiem nieźle. Widać wręcz, że wahadło sympatii opinii publicznej w ciągu jednej nocy z pozycji sceptycznych przesunęło się ku współczuciu.

„To była jedna z najbardziej zacieklej i pełnych nienawiści kampanii, jakie widziałem” – pisze na Twitterze wpływowy blogger, osoba jak dotąd w mojej sprawie neutralna. „Powinniście się wstydzić wszystkiego, co zrobiliście zarówno Juniper Song, jak pamięci Atheny Liu”.

„Jednym słowem Twitter w pigułce. Właśnie dlatego nie możemy żyć w przyjaźni” – twierdzi autorka kanału na YouTube, legitymująca się pięćdziesięcioma tysiącami subskrypcji. „Kiedy wreszcie nauczymy się nie wydawać bezmyślnie opinii w sprawach, o których nie mamy pojęcia?”

Pojawia się też ocena Xiao Chen, którą, szczerze mówiąc, przyjmuję z dobrodziejstwem inwentarza: „Ta książka jest tak rasistowska, że od początku było jasne, że mogła ją napisać tylko biała osoba”.

Następnego ranka konto @DuchAthenyLiu znika bez śladu. A wraz z nim znika pierwotne oskarżenie. Cytujące je linki przestają działać, tweety odnoszą się już tylko do pustki. Są jeszcze ludzie, którzy wciąż sięją ferment, twierdzą na przykład, że branża wydawnicza przedkłada głos białych kobiet nad pozostałe. Poza tymi wyjątkami jednak wygląda na to, iż wszyscy postanowili uznać rzecz za niebyłą. Jestem pewna, że wciąż istnieją moi wrogowie, którzy wierzą, że popełniłam plagiat, lecz brak choć okrucza dowodu – nikt nie ma pretekstu, by z poziomu plotek przenieść skandal na poziom sądowy. Poza tym jedyną osobą mogącą działać w imieniu Atheny jest pani Liu, a ona afery jak dotąd nie skomentowała i nie próbowała się nawet ze mną kontaktować. Straszdyło okazało się utkane z dymu; było jedynie ulotnym majakiem mnóstwa wściekłych ludzi.

W następnym poniedziałek dostaję od Brett'a zastrzyk dobrych wiadomości:

Greenhouse Productions proponuje piętnaście tysięcy za opcję. Osiemnaście miesięcy z możliwością odnowienia i dodatkowych pieniędzy. Spróbuję wycisnąć z nich osiemnaście i mam wrażenie, że to się uda. Nasz agent filmowy przejrzy jeszcze umowę i sprawdzi, czy wszystko gra, a potem podeślemy ci do podpisu papiery. Zadowolona?

Biorąc pod uwagę szum wokół „Ostatniego frontu”, piętnaście tysięcy wydaje się sumą dość niską, lecz fakt, że Greenhouse w ogóle złożyło ofertę, stanowi dowód ich wiary we mnie.

„Tak nagle się ożywili?” – odpisuję. „Skąd ta zwłoka?”

„Wiesz, Hollywood działa powoli” – tłumaczy w odpowiedzi Brett. „Zaufaj mi. Jak na nich, to i tak szybko. Dokumenty dostaniesz pod koniec tygodnia”.

Świat wraca do normy. W „Deadline” ukazuje się sympatyczny artykuł o moim kontrakcie i otrzymuję w sieci liczne gratulacje (wszyscy są przekonani, że ekranizację reżyserować będzie Jasmine Zhang, ale nawet nie próbuję tego prostować).

Cykl trwa. Autorzy branżowych wiadomości zajmują się już następnym soczystym skandalem, czyli historią tworzącej dla młodzieży pisarki, która przez wiele miesięcy wysyłała rywalce anonimowe groźby pozbawienia życia, po czym popełniła koszmarny błąd i jeden z listów wysłała z własnego konta. (Obecnie utrzymuje, że był to zwykły żart, lecz nikt jej nie wierzy, a bombardowana anonimami autorka rozpoczęła na GoFundMe kampanię, mającą na celu zebranie funduszy na wytoczenie procesu o szkody emocjonalne).

Strumień groźb pod moim adresem stopniowo wysycha. Wkrótce dostaję dziennie już tylko jedną lub dwie, po czym ustają na dobre. Otwierając prywatne wiadomości, znów czuję się bezpiecznie. Po tygodniu powiadomienia dotyczą jedynie najzupełniej normalnych spraw w rodzaju postów z gratulacjami, recenzji tudzież zdarzających się od czasu do czasu listów od świrów, którzy pytają, czy nie zechciałabym osobiście przeczytać i ocenić ich pięćsetstronicowego rękopisu. Skierowane przeciwko mnie wrogie, hejterskie wpisy nikną w czarnej dziurze twitterowej pamięci. Znów

jestem w stanie przespać całą noc. Mogę jeść, nie krztusząc się przy każdym kęsie.

Trybunał opinii publicznej oczyścił mnie z zarzutów. A duch Atheny, przynajmniej na razie, został skutecznie egzorcyzmowany.

Piętnaście

I w tym momencie powinnam była odpuścić.

Afera, zgodnie z obietnicą Brett, przetoczyła się i ucichła. Nie muszę już blokować powiadomień w obawie, że ich natłok zawiesi mi telefon. Nie jestem już główną bohaterką twitterowych dyskusji. Lecz właśnie na tym polega problem – w tej chwili dryfuję powoli ku zapomnieniu.

Tak wygląda cykl życiowy wszystkich książek, które nie osiągnęły statusu klasyki. „Ostatni front” istnieje na rynku już ponad rok. Po czterech miesiącach na dobre spadł z list bestsellerów. Nie zdobyłam żadnej z nagród, do których zostałam nominowana, w znacznej mierze za sprawą skandalu rozpętanego przez @DuchaAthenyLiu. Korespondencja od czytelników, maile pochwalne i wręcz przeciwnie zaczynają przychodzić coraz rzadziej. Nie zapraszają mnie już żadne szkoły ani biblioteki. Od momentu podpisania umowy milczy także Greenhouse Productions. To podobno normalka – większość opcji leżakuje na półkach do momentu wygaśnięcia kontraktu. Urwały się prośby o napisanie eseju czy felietonu. Doszło do tego, że kiedy wrzucam jakiegoś zabawnego tweeta, zbieram najwyżej pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lajków.

Byłam już kiedyś internetowym nikiem, zerem żerującym na wyrzutach serotoniny zapewnianych przez jedną czy dwie twitterowe wzmianki w tygodniu. Jednak nie zdawałam sobie sprawy, że nawet kiedy człowiek zdoła zagarnąć dla siebie cały literacki świat, nadal może zostać zapomnianym w okamgnieniu. Precz ze wszystkim, co stare, dawajcie atrakcyjną nowość – o ile się orientuję, ową nowością stała się niedawno ślicznitka, zgrabna dwudziestoparoletnia debiutantka nazwiskiem Kimmy Kai, która spędziła dzieciństwo jako małaletnia akrobatka w objazdowym

cyrku na Hawajach, a teraz wydała właśnie pamiętnik, w którym opisuje dzieciństwo spędzone w charakterze małoletniej akrobatki objazdowego cyrku na Hawajach.

Śmierć głodowa mi nie grozi. Podliczyłam co trzeba. Żyjąc skromnie – „skromnie” definiuję w tym wypadku jako pozostanie w obecnym mieszkaniu i zamawianie jedzenia na dowóz co drugi dzień zamiast codziennie – mogłabym dzięki zyskom z samego tylko „Ostatniego frontu” przetrwać najbliższe dziesięć, może nawet piętnaście lat. Wydanie w twardej oprawie doczekało się jedenastego dodruku. Ostatnio ukazała się też wersja w miękkiej okładce, co przyniosło bardzo miły dla oka wzrost sprzedaży – to książki tańsze, więc ludzie kupują je nieco chętniej. Tak więc pieniędzy nie potrzebuję. Mogłabym to wszystko zostawić, zając się czymś innym i wieść przyjemne życie.

Ale, na Boga, chcę znowu znaleźć się w centrum uwagi.

Kiedy nowa książka okazuje się wielkim sukcesem, autora zalewa przepyszny wodospad zainteresowania. Człowiek czuje, że cała sfera kultury rozmawia o nim i praktycznie tylko o nim. Jest się bohaterem chwili. Wszyscy proszą o wywiad. Każdy pisarz chce mieć na okładce twoją recenzję lub ujrzeć cię w roli konferansjera prowadzącego bankiet z okazji premiery książki. Wszystko, co mówisz, jest ważne. Każda uwaga na temat procesu twórczego, cudzych powieści, a nawet refleksje dotyczące życia jako takiego traktowane są jak ewangelia. Jeżeli polecisz w sieci jakąś książkę, ludzie całkiem dosłownie wsiadają w samochody i jadą ją kupić. Lecz bohaterem nie zostaje się na zawsze, chwila nie trwa wiecznie. Widywałam ludzi, którzy niecałe sześć lat temu opublikowali potężne bestsellery, a teraz siedzą samotni i zapomniani przy stolikach, gotowi podpisać choć jeden egzemplarz nowej powieści, podczas gdy kolejka do ich młodszych, bardziej atrakcyjnych kolegów zakręca aż za róg. Trudno jest wspiąć się na tak wysoki szczyt literackiego świata, by twoje nazwisko nie uległo zatarciu w ludzkiej pamięci przez lata bądź dekady. Takiej sztuki dokonują jedynie nieliczni laureaci Literackiej Nagrody Nobla. Wszyscy pozostali muszą niczym chomiki bez wytchnienia zasuwać w obrotowym kole branżowej istotności.

Dopiero co dowiedziałam się z Twittera, że moja podopieczna, Emmy Cho, podpisała umowę z Jaredem, byłym agentem Atheny, rekinem znanym z załatwiania swoim autorom sześć- lub wręcz siedmiocyfrowych zaliczek. Jako jej mentorka bardzo się cieszę, lecz za każdym razem, kiedy dziewczyna dzieli się kolejną pomyślną wiadomością, odczuwam też ukłucie niepokoju. Boję się, że Emmy niedługo mnie dogoni, że jej nadciągający nieuchronnie kontrakt wydawniczy będzie opiewać na kwotę wyższą niż mój, że opyli prawa do ekranizacji producentom, którzy naprawdę sprzedadzą scenariusz jednej z wielkich wytwórni, że jej sława przewyższy moją i kiedy następnym razem spotkamy się na branżowym spędzie, powita mnie najwyżej chłodnym, pełnym wyższości skinieniem.

Jedyną alternatywą, jedyną drogą naprzód jest oczywiście olśnić świat nowym bestsellerem.

Rzecz w tym, że nie mam nawet cienia pomysłu.

*

Pewnego ranka dzwoni do mnie Brett, z pozoru po to, by dowiedzieć się, co u mnie. Przez chwilę wymieniamy tradycyjne uprzejmości, po czym słyszę pytanie:

– A jak tam na niwie pracy twórczej?

Doskonale wiem, czego to pytanie dotyczy. Wszyscy domagają się ode mnie nowej książki i wcale nie tylko dlatego, że pamięć mieszkańców tego świata jest bardzo krótka. Brett myśli sobie, podobnie zresztą jak Daniella, że gdybym niebawem wydała następcę „Ostatniego frontu”, utwór bezsprzecznie własny, niesplagiatowany i niezwiązany tak intymnie z postacią Atheny, za to cechujący się specyficzną iskrą geniuszu Juniper Song, moglibyśmy rozwiązać widma podejrzeń na dobre.

– Szczerze mówiąc, zupełnie nic nie mam – przyznaję z westchnieniem. – Posucha, jeśli chodzi o pomysły. Mam niby kilka koncepcji, ale z nich też raczej nic nie wyjdzie.

– Jasne, nic nie szkodzi. – Nie potrafię stwierdzić, czy Brett jest zły, czy nie.

Odbywamy tę samą rozmowę już po raz trzeci i zdaję sobie sprawę, że kończy mi się czas. Nie mam sztywno wyznaczonego terminu, umowę z Eden Press podpisałam tylko na jedną książkę, lecz jeden z paragrafów mówi, że Daniella ma prawo jako pierwsza zapoznać się z moim następnym utworem. Brett chciałby pokazać jej coś już niedługo, dopóki pozostajemy w jej łaskach. W przeciwnym wypadku kto wie czy jakiś wydawca zdecyduje się mną zainteresować?

– Weny nie wolno popędzać. Wiadomka. Chodzi po prostu o to, że teraz masz pewien kapitał społeczny, a najlepiej kuć żelazo póki gorące...

– Wiem, wiem... – Masuję skronie palcami. – Po prostu nie przychodzi mi do głowy nic, co by mnie poniosło. Bo wiesz, żebym mogła coś napisać, temat musi naprawdę mnie ruszyć. Trzeba, żeby miał odpowiednią wagę, doniosłość...

– Junie, nie oczekuję od ciebie arcydzieła. Nie bijemy się tu o Pulitzerza. Nikt nie spodziewa się nawet powtórki z „Ostatniego frontu”. – Brett na moment zawiesza głos. – Wystarczy, że coś w ogóle wydasz. Cokolwiek.

– Okej, Brett.

– Ale łapiesz, co mam na myśli, prawda?

– Jaśniej się wyrazić nie mogłeś. – Wznoszę oczy do nieba.

Kończymy rozmowę i Brett się rozłącza. Z jękiem wracam do laptopa, do tych samych pustych dokumentów, które oskarżycielsko gapią się na mnie od wielu tygodni.

*

Mój kłopot nie polega na braku pomysłów. Pomysłów mam całe zatrzęsienie, a czasu na przekształcenie ich w szkice mam jeszcze więcej. Teraz kiedy nie muszę już promować „Ostatniego frontu”, straciłam ostatnią wymówkę. Powinnam pracować. Brett ma pełne prawo się niecierpliwić – ponad rok zbywam go niejasnymi obietnicami, z których żadna się jeszcze nie zmaterializowała.

Problem w tym, że za każdym razem, kiedy siadam do pisania, słyszę jedynie głos Atheny.

„Ostatni front” miał być jednorazową współpracą. Dokumentacja i pomysły Atheny, moja proza i doszlifowanie całości. Wtedy przez kilka gorączkowych tygodni czułam cudowną, tajemniczą alchemię. Wyczarowywałam jej pisarski głos zza grobu i harmonizowałam ze swoim własnym. Nie byłam od niej uzależniona – nigdy nie potrzebowałam Atheny, by pisać – lecz mając ją przy sobie, czułam tak bardzo mi potrzebną pewność siebie. Świadomość, że piszę, prowadząc pióro wytyczonym przez nią szlakiem, dodała mi odwagi.

A teraz kiedy próbuję stanąć na własnych nogach i zostawić tamten okres za sobą, Athena nie daje mi spokoju. Większość autorów przyznaje, że słyszą w głowach uwagi „wewnętrznego redaktora”, głos wiecznie wytykający błędy, czepiający się najdrobniejszych szczegółów, utrudniający stworzenie pierwszej wersji nowej książki. Mój wewnętrzny krytyk przybrał postać Atheny. Atheny, która wyniośle przegląda i odrzuca każdy mój pomysł. „Zbyt wyświechtane”. „Okropna sztampa”. „Co? Kolejna historia o białych?” A jeśli chodzi o technikę, jest jeszcze bardziej surowa. „Gubisz rytm”. „Nie, te porównania nie działają”. „Znowu te myślniki?”

Próbowałam ją wyblokować i robić swoje, pisać wbrew i na przekór niej. W takich chwilach jednak jej śmiech staje się jeszcze głośniejszy, a kpiny bardziej dotkliwe. Co oczywiście dodatkowo potęguje moje zwątpienie. Kim jestem, żeby sądzić, że bez niej uda mi się osiągnąć cokolwiek?

Przy ludziach nie dają po sobie niczego poznać, ale wygłupy Geoffa wstrząsnęły mną naprawdę mocno. Duch Atheny Liu. Wybierając tak makabryczną nazwę, bez wątpienia chciał mnie zaskoczyć i sprowokować, lecz był bliżej prawdy, niż się spodziewałam. Duch Atheny zakorzenił się we mnie na dobre. Bez przerwy zagląda mi przez ramię i szeptem do ucha.

Zwariować można. Ostatnio zaczęłam się bać samej czynności pisania, ponieważ nie potrafię pisać, nie myśląc jednocześnie o niej. A wtedy, co dość jasne, moje myśli ulatują od tekstu ku wspomnieniom: ku tamtej ostatniej nocy, naleśnikom, bulgotaniu, jakie dobywało się z jej krtani, gdy szamotała się na podłodze.

Sądziłam, że już się z tą śmiercią uporałam. Pod względem psychicznym szło mi naprawdę dobrze. Udało mi się odzyskać równowagę. Dobrze się czułam.

Lecz w końcu powróciła.

Ale taka właśnie jest natura duchów, czyż nie? Wyją, jęczą, starają się zachowywać jak najbardziej widowiskowo. Na tym polega bycie zjawą, prawda? Robią wszystko, byle tylko przypomnieć, że nie odeszły na dobre. Byle nie pozwolić żywym o nich zapomnieć.

*

Muszę się do czegoś przyznać: zgrzeszyłam podwójnie.

Tamtej nocy zabrałam z mieszkania Atheny nie tylko „Ostatni front”. Zwędziłam również papiery z biurka. Kartki zapisane na maszynie, notatki sporządzone jej zawiliwym, niemal niemożliwym do odczytania odręcznym pismem, opatrzone abstrakcyjnymi rysunkami, których sensu do dziś nie zdołałam przeniknąć.

Przysięgam, że zrobiłam to wyłącznie z ciekawości. Athena nigdy otwarcie nie opowiadała o swoim pisaniu. A z tego, co mówiła w wywiadach, wynikało, iż to sami bogowie wrzucają jej do głowy godne wszystkich nagród świata, w pełni ukształtowane historie. Chciałam więc po prostu zerknąć w głąb jej umysłu, sprawdzić, czy pierwsze etapy jej procesu twórczego przypominają moje.

Okazuje się, że tworzyła bardzo podobnie do mnie. Zaczynała od losowych słów bądź zdań. Niektóre wymyślała sama, inne czerpała z tekstów piosenek bądź przerabiała mniej znane tropy literackie: „Kiedy pojawiłam się na miejscu, Rook już nie żył”; „Chłopak znikąd”; „Była to ciemna, a przy tym świetlista noc”, „Czy jeśli cię uderzę, pomyślisz, że to pocałunek?”.

Rozkładałam te notatki przed sobą, wpatruję się w nie, poszukując skrawka natchnienia.

Nie umiem głosu Atheny przepędzić, lecz być może nauczę się razem z nim pracować.

Może zdołam ponownie zaprząć jej ducha do pracy i wskreszę bluźnierczą chemię, która ożywiła „Ostatni front”.

Znajduję tylko kilka kompletnych zdań i jeden ukończony akapit. Napisany odręcznie, zaczyna się tak:

W koszmarach widzę, jak wchodzi do mrocznego, nieskończonego korytarza i choć wołam co sił w płucach, nigdy się nie odwraca. Jej sukienka zostawia na dywanie mokre ślady. Błede ramiona pokryte ma krwią i świeżymi zadrapaniami. Wiem, że zabiła niedźwiedzia. Wiem, że uciekła z lasu. Porusza się teraz z identyczną determinacją jak wtedy, porzuca przeszłość niczym Orfeusz na opak. Jakby wiedziała, że jeśli nie obejrzy się przez ramię, przeszłość przestanie istnieć. Zapomina, że tkwię tu w pułapce, nie mogę się ruszyć, nie mogę sprawić, by mnie zobaczyła. Zapomina o mnie na dobre.

Nie wiem, jak wytłumaczyć to, co dzieje się potem. Zupełnie jakby ta opowieść czekała już w moim sercu, a głos Atheny okazał się zaklęciem, które nadało jej brzmienie. Problem niedostatku weny znika bez śladu, wrota mojej wyobraźni otwierają się szeroko, zapraszająco.

Widzę pełen kształt tej historii: frapujący wstęp, podskórne motywy, szokujące, choć nieuniknione zakończenie. Nasza bohaterka jest bosonogą dziewczyną, młodą wiedźmą ścigającą poprzez wieczność nieśmiertelną matkę, odkrywającą kolejne jej tajemnice, z których rodzą się coraz to kolejne pytania na temat niej samej i jej pochodzenia. W sumie jest to niezbyt wysublimowana wiwisekcja moich własnych uczuć wobec matki: opowiadam o gwałtownej przemianie, jaką przeszła po śmierci mojego taty, o tym, że młoda, uwielbiająca przygody dziewczyna, jaką była kiedyś, wcale nie tak bardzo różna ode mnie, została gdzieś zamknięta, uwięziona. To opowieść o pragnieniu poznania własnych rodziców. O tym, że potrzebujemy od nich tego, czego nigdy nam nie dają.

Kiedy człowiek wpada w twórczy trans, szkicowanie powieści wcale nie jest tak mozolnym wyzwaniem. Doznanie podobne jest przypominaniu sobie, zapisywaniu czegoś, co nosiło się w środku od bardzo dawna. Historia wylewa się ze mnie akapit za akapitem, aż

wreszcie podnoszę wzrok i dociera do mnie, że zaraz nastanie świt, a ja w maniakalnym pędzie napisałam niemal dziesięć tysięcy słów.

Duch Atheny nie próbował mi przeszkodzić. Ani razu. Nareszcie wpadłam na pomysł, w którym nawet ona nie dopatrzyła się wad.

Zapisuję plan dalszego ciągu i obmyślam harmonogram prac. W tempie dwóch tysięcy słów dziennie, biorąc pod uwagę poprawki i kosmetyczne zmiany redakcyjne, mogę tę książkę skończyć w niecały miesiąc. A potem, tuż przed zapadnięciem w głęboki sen, wstukuję na początku dokumentu tytuł.

„Matka wiedźma”.

Tego nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwie kradzieżą. Właśnie to jest w całej historii najbardziej popieprzone. „Matka wiedźma” jest moim własnym dziełem. Athena dodała od siebie dosłownie parę zdań, no może jeszcze kilka obrazów. Stanowiła katalizator, nic więcej. Kto wie jaki kształt by tej opowieści nadała? Nie mam pojęcia, lecz głowę dam, że nie taki, w jakim ją ostatecznie wydałam.

Tymczasem to właśnie ta książka na dobre przypieczętowała mój los.

*

Jednak przede wszystkim pozwólcie, że opowiem wam, co takiego Athena ukradła mnie.

Zaprzyjaźniłyśmy się na początku pierwszego roku. Trafiliśmy na to samo piętro akademika, więc w naturalny sposób znalazłyśmy się w jednym kręgu towarzyskim. Razem jadałyśmy, razem robiłyśmy zakupy, razem jeździłyśmy do Trader Joe’s po ser Pepper Jack i krem ciasteczkowy, razem do późna przesiadywałyśmy w świetlicy. W piątkowe noce razem krążyłyśmy po uliczkach New Haven w krótkich spódniczkach i obcisłych bluzkach, niczym sępy wypatrując zwiastujących imprezę światła i hałasów, z nadzieją, że ktoś znajomy zaprosi nas do środka.

Połączyła nas miłość do tej samej książki. Kochałyśmy „Idiotkę” autorstwa Elif Batuman.

– Ideał opowieści o studenckim życiu – zauważyła Athena, jasno artykułując wszystkie wrażenia, jakie wyniosłam z lektury. – Świetnie opisuje rozdzźwięk pomiędzy pragnieniem, by inni poznali nas jak najgłębiej, a przerażeniem na myśl, że mogą nas zrozumieć zbyt dobrze. A wszystko to osadzone w epoce, w której nie mamy pewności, kim sami jesteśmy. Tu problemem nie jest wyłącznie przekład z rosyjskiego na angielski i odwrotnie, tu chodzi o przekład nieuformowanej tożsamości. Uwielbiam tę książkę.

Razem chadzałyśmy do księgarskich kafejek na wieczory otwartego mikrofonu i na imprezy starszych kolegów, poznawanych na seminariach z literatury. Gdzieś między sierpniem a końcem września wyobraziłam sobie, że jestem taką osobą, z jaką ta niewiarygodnie zajebista bogini naprawdę może chcieć się przyjaźnić.

W pierwszym tygodniu października poszłam na randkę z przystojnym drugorocznikiem imieniem Andrew. Wypatrzyłam go już na ćwiczeniach z historii powszechnej, lecz odwagę, żeby zagadać, znalazłam w sobie dopiero, kiedy nasze ścieżki spotkały się na imprezie u kogoś z Delta Phi. Oboje byliśmy zalani w trupa i szukaliśmy ciała, do którego można by się przykleić. Nie zamieniliśmy nawet dwóch słów, od razu zaczęliśmy się macać. Nie pamiętam, czy było przyjemnie, czy nie, pamiętam jedynie lekkość i wrażenie, że robimy to, co powinniśmy, i samo w sobie stanowiło to pewne osiągnięcie.

Zanim znajomi odstawili mnie do domu, zdążyłam wpisać mu do telefonu swój numer. I stał się cud, następnego dnia Andrew napisał i zaprosił mnie na najbliższy piątek do swojego pokoju. Jego współlokator miał akurat późnowieczorny trening ultimate frisbee, a na ten właśnie dzień wypadła premiera nowego odcinka „Sherlocka”.

Wszystko, co stało się potem, jest tak banalne, że właściwie nie wiem, czy warto o tym pisać. Nowy znajomy był w posiadaniu flaszki wódki Burnett o smaku cynamonu. Rozemocjonowana, wypłam za dużo i za szybko. Serialu nawet nie włączyliśmy. Następnego ranka ocknęłam się z majtkami wokół kostek i intensywnymi, czarno-fioletowymi malinkami na szyi. Wagina, szczerze mówiąc, była w porządku. W poszukiwaniu krwi bądź otarć

obadałam ją i obejrzałam na wszelkie możliwe sposoby, ale wszystko wyglądało jak zawsze. Doskwierała mi tylko suchość w ustach, koszmary i mdłości tak silne, że targana torsjami raz po raz wychylałam się z łóżka. Świat widziałam jak przez mgłę; zasnęłam w soczewkach, przez co oczy wyschły mi tak bardzo, iż ledwie byłam w stanie patrzeć. Leżący obok Andrew spał mocno, wciąż w pełni ubrany. Kiedy przegramoliłam się przez niego, żeby zwlec się z łóżka, nie poruszył nawet powieką, z czego bardzo się ucieszyłam. Znalazłam szpilki, założyłam je i krok za krokiem doczłapałam z powrotem do swojego akademika.

Przez cały weekend czułam się w porządku. Nigdzie się nie wybrałam, mimo że połowa znajomych dziewczyn robiła się na bóstwo z uwagi na zapowiadaną od dawna imprezę. Postawiłam na popcorn i film w towarzystwie kilku koleżanek z piętra, a poza tym próbowałam się trochę uczyć. Ponieważ robiło się coraz chłodniej, ślady na szyi maskowałam golfami i szalikami. W pokoju, gdzie nie mogłam chodzić ubrana bez przerwy, powiedziałam współlokatorce Michelle, że mam za sobą szaloną noc, i więcej do tematu nie wracałyśmy.

Andrew milczał. Odkąd od niego wyszłam, nie przysłał nawet jednej wiadomości, czym jednak nie przejęłam się za bardzo. Właściwie całą sprawę traktowałam dość obojętnie i byłam z tej nieco zblazowanej postawy ogromnie dumna. Czułam się dorosła, kobieca, spełniona. Zaliczyłam kolesia z drugiego roku. W dodatku całkiem przystojnego kolesia. Doniosłość tego faktu wydawała mi się zachwycająca. Przekroczyłam most wiodący ku dorosłemu życiu, „wyrwałam gościa”, jak powiadają niektóre. I było mi z tym dobrze.

Po niecałym tygodniu zaczęły mnie nachodzić natrętne wspomnienia. W środku wykładu ukazywała mi się nagle twarz Andrew: bardzo wyraźna, widziana z bardzo bliska. Widziałam jego drapiący podbródek i czułam kwaśny od cytrynowej wódki zapach. Zatykało mnie, nie mogłam oddychać, przy każdym kroku natychmiast dostawałam zawrotów głowy i mdłości. Rozbudzona wyobraźnia wymknęła się spod kontroli i podsuwała najgorsze scenariusze. Może zaszłam w ciążę? A jeśli złapałam AIDS? HPV? Opryszczkę? Czy teraz zgnije mi macica? Może powinnam zgłosić się do lekarza? Czy gdybym odwiedziła uniwersytecką przychodnię,

musiałabym wydać setki dolarów, których nie mam? Czy mama opłaciła mi ubezpieczenie? Za cholerę nie potrafiłam sobie przypomnieć. Czy umrę z powodu idiotycznej pomyłki, kretyńskiego błędu, którego nawet nie pamiętam, bo wszystko przespałam?

Ostatecznie Andrew odezwał się dopiero w następną sobotę. „Hej” – napisał o drugiej w nocy. „Masz ochotę?” Zobaczyłam wiadomość, kiedy wstałam na siku, i natychmiast ją wykasowałam z nadzieją, że kiedy obudzę się rano, nie będę o tym koleśiu pamiętać. Nie potrafiłam jednak pozbyć się wspomnień jego twarzy, woni, dotyku. Zaczęłam brać niesamowicie długie prysznicze, trzy lub cztery dziennie. Nocami nachodziły mnie koszmary, w których tkwiłam w pułapce pod jego ciałem, w potrzasku kaleczących zarostem policzków, niezdolna się ruszyć ani wrzasnąć. Michelle budziła mnie, łagodnie potrząsając za ramię, z dyplomatycznym pytaniem, czy nie mogłabym jej pożyczyć jakichś zatyczek do uszu, bo ona ma od rana ćwiczenia, a ja zakłócam jej fazę REM. Popołudniami znieckała wybuchalam płaczem, przytłoczona pogardą wobec siebie samej.

Rozwazałam nawet, czy nie udać się na spotkanie studenckiego kółka biblijnego, mimo że do kościoła przestałam chodzić po śmierci taty, kiedy pastor oświadczył, że ojciec, jako osoba nieochrzczona, trafił do piekła. Niemniej potrzebowałam, by ktoś pomógł mi zrozumieć, skąd wzięło się we mnie nieodparte, wsteczne, lecz bardzo silne przekonanie, iż stałam się nieodwracalnie zbrukana, zużyta i brudna.

– Hej, Juniper?

Pewnego popołudnia, kiedy wracałam ze stołówki, zatrzymała mnie po drodze Athena. W tamtym okresie nikt poza nią nie zwracał się do mnie pełnym imieniem. Był to nawyk, z którym nie rozstała się do końca życia. Każda Tasha była dla niej Natashą, a wszyscy Billowie Williamami. Można było odnieść wrażenie, że stara się tymi oficjalnymi, poważnymi formami podnieść wagę rozmów (i to działało).

– Wszystko w porządku? – Delikatnie ujęła mnie za rękę. Pamiętam, że miała gładkie, chłodne palce.

I może dlatego, że tłumilałam wszystko w sobie już bardzo długo, a może ponieważ Athena była pierwszą w całym Yale osobą,

która zauważyła, że coś jest ze mną nie halo, natychmiast się rozbeczałam. Płakałam głośno i brzydko.

– No już, już dobrze – szepnęła łagodnie, kreśląc dłonią kółka na moich plecach. – Chodź, pójdziemy do mnie.

Athena trzymała mnie za rękę, a ja, zalewając się łzami, opowiedziałam dokładnie całą historię. Potem omówiła ze mną wszystkie możliwe drogi postępowania i pomogła podjąć decyzję, czy chcę poszukać pomocy terapeuty (tak), czy może pójść na policję, opowiedzieć o Andrew i spróbować wytoczyć mu sprawę (nie). Poszła też ze mną na pierwszą wizytę u doktor Gaily, która zdiagnozowała u mnie stany lękowe, pomogła rozpakować cały ten popieprzony bagaż, który taszczyłam ze sobą od śmierci ojca, i nauczyła pewnych technik radzenia sobie z własną psychiką, które z powodzeniem stosuję do dzisiaj. Athena także, kiedy nie pojawiałam się w stołówce w porze obiadu, zostawiała pod drzwiami mojego pokoju pudełka z jedzeniem. A późną nocą przysyłała mi zdjęcia ślicznych szczeniaczków z dopiskiem: „Mam nadzieję, że dzisiaj będziesz śnić o nich”.

Przez całe dwa tygodnie Athena Liu była dla mnie aniołem stróżem. A ja nabrałam przekonania, że jest najlepszym człowiekiem na świecie. I że pozostaniemy przyjaciółkami na zawsze.

Ale przyjaźnie z pierwszego roku nie trwają wiecznie. Już w czasie drugiego semestru obie żyłyśmy we własnych, odrębnych kręgach towarzyskich. Nadal pozdrawiałyśmy się uśmiechami i machaniem, kiedy mijaliśmy się w stołówce. Wciąż lajkowałyśmy swoje wpisy na fejsie. Lecz nie spędzałyśmy już ze sobą długich godzin, siedząc na podłodze i gadając, nie rozmawiałyśmy o autorach, których chciałybyśmy poznać, nie plotkowałyśmy o rozgrzewających Twitter literackich skandalach. A na zajęciach nie zabijałyśmy czasu, pisząc do siebie wiadomości. Myślałam sobie, że może to skala ciężaru, jakim się z nią podzieliłam, zabiła naszą przyjaźń w zarodku. Każdy poziom zażyłości rządzi się przeciw własnymi regułami przyzwoitości. Przed trzecim miesiącem znajomości nie wolno wyrywać się z tekstami w rodzaju: „Słuchaj, wydaje mi się, że zostałam zgwałcona, choć w sumie nie mam pewności”.

Obie żyłyśmy własnym życiem. O Andrew zapomniałam lub przynajmniej pogrzebałam go w tak głębokim zakątku umysłu, że wydostał się na powierzchnię dopiero w trakcie jednej z sesji terapeutycznych, wiele lat później. Mózgi studentek pierwszego roku wykazują zdumiewający talent do wybiórczej amnezji. Przypuszczam, że to jedna ze strategii przetrwania. Pojawiły się przy mnie nowe, bliższe przyjaciółki, które nie miały pojęcia o tym, co zaszło. Ślady na szyi zbladły i zniknęły. Nauczyłam się Yale, przestałam bywać na imprezach, na których robiłam z siebie idiotkę, i rzuciłam się w wir nauki.

Jednak wtedy w jednym z uczelnianych czasopism literackich, szmatławcu pod pretensjonalną nazwą „Uroboros”, ukazało się pierwsze opowiadanie Atheny. Wydarzenie miało spory ciężar gatunkowy – periodyk ten nigdy wcześniej nie opublikował tekstu studenta pierwszego roku, tak w każdym razie słyszałam. W ramach solidarności i wsparcia wszyscy kupiliśmy po egzemplarzu. Pamiętam, że swój zabrałam do pokoju. Czułam w duchu szaleńcze kąsanie zawiści – kilka miesięcy wcześniej wysłałam im jedno ze swoich opowiadań, lecz zostało jednoznacznie odrzucone w ciągu doby – ale chciałam okazać się fajną kumpelą, więc uznałam, że przeczytam kawałek, wybiorę kilka celnych zdań i zacytuję je przy najbliższym spotkaniu z autorką.

Otworzyłam pismo i przeszłam na dwunastą stronę, gdzie znajdowało się opowiadanie Atheny. Z kartki patrzyły na mnie moje własne słowa.

Choć nie do końca były moimi. Były to moje uczucia, moje poplątane i zawikłane myśli, wyrażone stylem czystym, oszczędnym, a zarazem w niedościgły dla mnie sposób wyrafinowanym.

„Najgorsze było, że nie wiedziałam” – opowiadała bohaterka. „Naprawdę nie wiedziałam, czy zostałam zgwałcona, czy tego chciałam, nie wiedziałam, czy w ogóle cokolwiek się stało. Nie miałam pojęcia, czy cieszę się, że nic się nie stało, czy może chciałam, by coś się stało, po to tylko, by zrobić z tego sprawę większą, niż w rzeczywistości była. Tam, pomiędzy moimi udami zieleje teraz luka. Nie ma tam pamięci, wstydu czy bólu. Wszystko zniknęło. I nie wiem, co z tą pustką począć”.

Czytałam to opowiadanie od początku do końca, raz za razem i przy każdym podejściu wychwytywałam kolejne podobieństwa, zauważałam osobiste szczegóły przerobione niedbale, z zaskakującym lenistwem bądź obojętnością. Koleś miał na imię Anthony. Ona nazywała się Jilian. Pili truskawkowo-cytrynową wódkę Svedka. Chodzili na te same zajęcia z filozofii starożytnej. Zaprosił ją pod pretekstem wspólnego oglądania „Hobbita”.

– Podobało mi się twoje opowiadanie – powiedziała Athenie przy kolacji, patrząc jej w oczy, czekając, czy spróbuje zaprzeczyć. Wiem, co zrobiłaś, mówiłam spojrzeniem.

– Dziękuję, Juniper. – Nie odwróciła wzroku, obdarzyła mnie uprzejmym, nijakim uśmiechem, dokładnie takim samym, z jakim w późniejszych czasach spoglądała na fanów, którym podpisywała książki. – Miło, że tak mówisz.

Nigdy więcej nie rozmawialiśmy o tym tekście ani o zajściu z Andrew.

Możliwe, że to kwestia przypadku. Byłyśmy drobnymi, kruchymi studentkami pierwszego roku na uniwersytecie, gdzie jak wiadomo, takie rzeczy czasami się zdarzają. Moja historia nie jest wyjątkowa. Przeciwnie, jest bardzo schematyczna. Nie każda dziewczyna może opowiedzieć o gwałcie. Niemal wszystkie jednak mamy w zanadrzu opowieść pod tytułem: „Nie jestem pewna, nie podobało mi się, ale nie mogę tego nazwać stuprocentowym gwałtem”.

Jednak trudno mi było przejść do porządku dziennego nad podobieństwem zdań, jakimi opisywałam swój ból, do zdań, które Athena zamieściła w opowiadaniu. Nie potrafiłam oderwać jej prozy od wspomnienia tych niewinnych jak u łani, orzechowych oczu, mrugających ze współczuciem, kiedy dławiąc się szlochem, opowiadałam o wszystkich brudach, jakie tylko nosiłam w sercu.

Ukradła moją historię. Byłam tego pewna. Wykradła mi słowa prosto z ust. A potem przez całą karierę postępowała tak ze wszystkimi ludźmi, których spotykała, i szczerze mówiąc, jeśli ktoś uważa, że powinnam z powodu swojej zemsty czuć jakiegokolwiek wyrzuty sumienia, to niech się wali.

„Matka wiedźma” spotyka się z umiarkowanie ciepłym przyjęciem – sporo pełnych uznania recenzji, lecz dość skromna sprzedaż. Mniej więcej tego się spodziewaliśmy. To raczej nowela, nie pełnowymiarowa powieść – nie znalazłam sposobu, by rozbudować fabułę na więcej niż czterdzieści tysięcy słów – a rynek traktuje takie książki znacznie chłodniej. Z czytelnikami spotykam się w księgarniach trzech miast – Waszyngtonu, Bostonu i Nowego Jorku – w których najłatwiej jest zebrać entuzjastów literatury w dowolny piątek roku. I rzeczywiście frekwencja jest niezła. Nikt nie zadaje podchwytliwych pytań na temat mojego pochodzenia ani poglądów w kwestiach rasowych. Nikt nie wspomina o podejrzeniach o plagiat.

Krytycy chwalamy moją książkę, z pewną zresztą nutą zaskoczenia. „Kirkus” pisze: „Spokojna, chwytająca za serce opowieść o zdradzie i utraconej niewinności”. „Library Journal”: „Juniper Song dowodzi, że sprawnie radzi sobie również z tematyką dojrzałą, szalenie daleką od kontekstu pierwszej wojny światowej”. A naszym największym osiągnięciem jest tekst z „New York Timesa”, o który – wiem o tym na pewno – Daniella musiała specjalnie zabiegać: „Jeśli kiedykolwiek można było podejrzewać, że Juniper Song nie jest autorką swych książek, to »Matka wiedźma« stanowi dowód ostateczny. Ta dziewczyna naprawdę potrafi pisać”.

Cały ten spokój jest nietypowy. Wszystko toczy się zbyt cicho, do tego stopnia, że robi się duszno, jak w powietrzu przed burzą. Ja jednak pławię się w poczuciu ulgi, ochoczo wierzę, że zostawiłam pasmo kłopotów za sobą. Zaczynam się zastanawiać nad podpisaniem kolejnej umowy, myślę o ewentualnych opcjach na ekranizację. „Matka wiedźma” nie jest zapewne materiałem na wielki kinowy przebój, ale podejrzewam, że można z niej zrobić bardzo porządny, prestiżowy serial. Coś w rodzaju „Wielkich kłamstewek” czy „Małych ognisk”. Może ktoś namówi Reese Witherspoon, by zajęła się produkcją. Może ktoś zwerbuje Amy Adams do roli matki. Mnie mogłaby zagrać Anna Kendrick.

Odprężam się. Moją głowę wypełniają marzenia. A kiedy zasiadam do pisania, w mojej głowie nie rozlega się głos Ateny. Nareszcie.

Powinłam była wiedzieć, że to nie może przecież wiecznie trwać.

Szesnaście

Dwa tygodnie po premierze „Matki wiedźmy” Adele Sparks-Sato zamieszcza na blogu wpis zatytułowany: „»Matka wiedźma« również jest plagiatem. June Hayward, mam cię, kurwa, dosyć”.

Powiadomienie Google’a zauważam w drodze pod prysznic. Siadam na łóżku i przyciskając ręcznik do piersi, klikam w odnośnik i czytam:

Podobnie jak wielu z was, kiedy Eden Press ogłosiło, że June Hayward, posługująca się pseudonimem Juniper Song, wyda nowelę, poczułam się zaintrygowana. Wskutek otaczających „Ostatni front” oskarżeń wątpiałam, czy autorka będzie w stanie napisać równie dobry tekst, zwłaszcza teraz, kiedy nie może ukraść Athenie kolejnego dzieła. Tak również zapewne myślało wiele osób.

Szok przeżyłam już na pierwszej stronie.

„Matka wiedźma” rozpoczyna się akapitem żywcem przeniesionym z opowiadania, które Athena napisała w 2018 roku, w trakcie letniego obozu pracy twórczej Stowarzyszenia Amerykańskich Pisarzy Pochodzenia Azjatyckiego. Podobieństwo nie może być przypadkowe. Oto dowód.

W tym miejscu Adele zamieszcza zrzuty ekranu z Google Docs, oraz zdjęcia przedstawiające wstępne wersje opowiadania z odręcznymi notatkami. Dodatkowych dat i relacji jest takie multum, że ich prawdziwości nie da się zakwestionować.

Na wypadek gdyby ktoś uznał, iż jest to z mojej strony wyrafinowany podstęp bądź próba oszustwa, skontaktowałam się z ósmiorgiem uczestników tamtych warsztatów. Nie wszyscy posiadali fizyczne materiały, lecz wszyscy zgodnie przyznają, iż pamiętają utwór Atheny, co gotowi są poświadczyć własnymi nazwiskami. Jeśli więc ktoś nie wierzy mnie, proszę wziąć pod uwagę, że wspólnie twierdzimy to samo.

Dyskusja na temat autorstwa „Ostatniego frontu” była przykra dla wielu członków azjatyckiej mniejszości. Wielu z nas, w tym i ja, nie chciało uwierzyć, że ktokolwiek mógł się dopuścić czynu tak egoistycznego i podłego. Równie liczni spośród nas byli skłonni dać wiarę tłumaczeniom June Hayward.

Teraz kiedy mamy w ręku ten dowód, rzeczywiste intencje Hayward nie budzą już żadnych wątpliwości. Hayward, jej agent Brett Adams oraz pracownicy wydawnictwa Eden Press mają dzisiaj szansę zachować się odpowiedzialnie, transparentnie i w duchu uczciwości, o której tak wiele mówili w przeszłości.

Czekamy i patrzymy.

Opuszczam telefon. Woda leci już pewnie z dziesięć minut, lecz brak mi siły woli, by wstać i zakręcić kran. Jestem w stanie jedynie siedzieć na skraju łóżka i oddychając miarowo, obserwować świat, który gwałtownie się wokół mnie kurczy.

Po przeczytaniu pierwszych tweetów @DuchaAthenyLiu dostałam kilkugodzinnego ataku paniki. Tym razem moja reakcja jest dziwnie stonowana. Mam wrażenie, że znalazłam się pod wodą. Wszystkie dźwięki i emocje są wypaczone, zniekształcone. Czuję się jednocześnie bardziej spokojna i bardziej przerażona niż przedtem. Może dlatego, iż tym razem nie ma dyskusji. Wiem, co się stanie. Tym razem prawda jest niepodważalna i żadne moje wysiłki, żadne próby opanowania sytuacji niczego nie zmienią. Nie muszę się zastanawiać, co pomyślą o mnie koledzy i przyjaciele ani czy

uwierzą w moje dementi. Wszystko widać czarno na białym. Stanie się to, co musi się stać, bez względu na to, co zrobię lub powiem.

Przełączam telefon w tryb „nie przeszkadzać”, a iPada wrzucam do szuflady. Zamykam laptopa i sięgam po stojącą na lodówce butelkę whisky WhistlePig, prezent od Danielli za trzy miesiące obecności na liście bestsellerów „New York Timesa”. Siadam na kanapie przed telewizorem i waląc prosto z butelki, oglądam stare odcinki „Przyjaciół”. Potem, w pewnym momencie, odpływam.

Niech Internet zrobi swoje pod moją nieobecność. Tym razem wolę zmierzyć się ze wszystkimi konsekwencjami naraz.

*

Rano po obudzeniu stwierdzam, że w ciągu nocy ubyło mi tysiąc obserwujących. Liczba ciągle maleje, dziewiątki na moich oczach stają się ósemkami. Tym razem nie muszę wyszukiwać swojego nazwiska, by śledzić przebieg afery. Wszystko rzuca się w oczy od razu po odpaleniu aplikacji.

Znów Juniper Song. No kurwa, wiedziałem!

June Hayward, reaktywacja!

Czy ta dziwka naprawdę nie zna umiaru?

Wydawcy, obudźcie się! Biała Wiedźma wróciła!

Poprzednio zdecydowałam się nie uciekać z mediów społecznościowych – częściowo po to, by mieć podgląd na to, co się o mnie mówi, a po części ze strachu, że usunięcie kont uznane zostanie automatycznie za przyznanie się do winy. Tym razem moja wina nie ulega wątpliwości – mogę jedynie mieć nadzieję, że zdołam ograniczyć szkody, przez co mam na myśli zabezpieczenie osobistego bezpieczeństwa. Kasuję więc Twittera, konto na Instagramie przełączam w tryb prywatny. Wyłączam powiadomienia z oficjalnego konta mailowego. Groźby zabójstwa pojawią się na

pewno, lecz w ten sposób przynajmniej nie dowiem się o nich od razu.

Ktoś przerabia poświęcony mi artykuł w Wikipedii: „Juniper Song Hayward jest rzekomą powieściopisarką, seryjną plagiatorką i zacieklą rasistką”. To konkretne zdanie znika już po godzinie – wikipedyści zachowują jeszcze minimalne standardy kultury – lecz akapit zatytułowany „Plagiaty” wciąż wygląda następująco:

W marcu 2020 krytyczka literacka Adele Sparks-Sato opublikowała tekst, w którym zasugerowała, że początkowy ustęp powieści Hayward „Matka wiedźma” został dosłownie zaczerpnięty z niewydanego opowiadania zmarłej pisarki Atheny Liu, noszącego tytuł „Ona”.

Zarzut ten dokłada się do wcześniej wysuwanych wobec Hayward podejrzeń, iż skradła Liu również powieść „Ostatni front”, aczkolwiek te oskarżenia nie zostały potwierdzone rozstrzygającymi dowodami. Współpracująca z Hayward redaktorka Daniella Woodhouse wydała krótkie oświadczenie, w którym stwierdziła, że wydawnictwo Eden Press jest świadome sprawy i wszczęło w niej własne postępowanie.

Tego dnia dzwonek mojego telefonu rozlega się sześć razy – za każdym razem dzwoni Brett. Nie odbieram. Porozmawiam z nim później, wtedy kiedy będę mogła sobie zaufać, że nie rozryczę się, słysząc, że to koniec naszej współpracy. Tymczasem czerpię perwersyjną rozkosz z obserwacji rozpadającego się na kawałki świata.

W ciągu tygodnia zerwaniu ulegają wszystkie moje więzi z branżową społecznością. Zostaję poproszona o opuszczenie dwóch zamkniętych grup na Facebooku i trzech Slacków, do których dołączyłam w zeszłym roku. Moi tak zwani przyjaciele pisarze ignorują mnie bez słowa wyjaśnienia, nawet ci, którzy jeszcze kilka miesięcy temu wyznawali, że w konflikcie z tłuszcza zdecydowanie opowiadają się po mojej stronie. W efekcie zwrócić się mogę już tylko do Aniołków z Edenu.

„O Boże” – piszę w wysłanej do wszystkich wiadomości. „W kółko to samo”.

Nie odpowiada żadna z dziewczyn – co nietypowe, gdyż Jen jest uzależniona od komórki. Po paru godzinach dopisuję więc: „Słuchajcie, jest mi w tej chwili bardzo ciężko. Możemy pogadać?”.

Ignorują mnie przez trzy kolejne dni. Potem, wreszcie, odzywa się Marnie:

„Cześć, Junie. Sorka, jestem ostatnio bardzo zajęta. Przeprowadzka, rozumiesz”.

Jen nie reaguje wcale. Ani słowa.

W piątek wypada termin mojej comiesięcznej mentorskiej rozmowy z Emmy Cho. W czwartkowe popołudnie przychodzi mail od koordynatora programu:

Cześć, Juniper,

Emmy uważa, że nie powinna kontynuować z Tobą współpracy, i prosiła, byśmy Ci tę wiadomość przekazali. Dziękuję za wszystko, co zrobiłaś dla Emmy i dla „Dobrego ducha”.

Dziwka. Mogła przynajmniej zdobyć się na odwagę i powiedzieć mi to prosto w oczy. Nie jest to prawdopodobnie najmądrzejsza decyzja mego życia, ale odpisuję koordynatorowi.

Dzięki za informację. Czy Emmy wyraziła może jakąkolwiek opinię na temat mojego mentoringu? Chciałabym ją poznać, by wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Tak naprawdę staram się dowiedzieć, czy Emmy chodzi właśnie po mnie i mnie obgaduje. Nie spodziewam się odpowiedzi, lecz wieczorem w mojej skrzynce ląduje kolejny mail:

Emmy odniosła po prostu wrażenie, że mocno się różnicie w sposobie postrzegania branży wydawniczej.

Prosiła również, byś nie próbowała się z nią więcej kontaktować, czy to osobiście, czy za pośrednictwem osób trzecich.

W piątek zwlekam się z łóżka i doprowadzam do porządku. Czeka mnie zdalna rozmowa z zespołem z wydawnictwa. Poprzedniego wieczora ostatecznie odebrałam telefon od Brett'a,

ponieważ Rory spytała SMS-em, czy w ogóle żyję: „Właśnie napisał do mnie twój agent. Podobno nie odbierasz telefonów i zaczął się martwić. Co się dzieje? Czy wszystko w porządku?”.

– Daniella chce z tobą pogadać. Jak najszybciej – powiedział Brett, kiedy oddzwoniłam. W jego głosie słychać przede wszystkim zmęczenie. Nie zapytał nawet, czy oskarżenia są prawdziwe. – Ustaliliśmy, że porozmawiamy na Zoomie. Jutro o czternastej.

Tak więc spotykamy się online. Na ekranie widzę ekipę z Eden Press, siedzą przy jednym stole: Daniella, Jessica, Emily i jeszcze jakiś rudowłosy facet, którego nie znam. Nikt się nie uśmiecha. Kiedy dołączam do rozmowy, nikt nie wita mnie machaniem.

– Dzień dobry, June – odzywa się Daniella chłodnym, cichym tonem, z czego wnioskuję, że jest wkurzona. – Jestem tu z Jessicą, Emily i Toddem Byrne’em z działu prawnego.

– Ja też jestem – wtrąca Brett niezbyt potrzebnie.

– Cześć, Todd – rzucam słabym głosem. Nikt mnie nie uprzedził, że załatwił mi prawnika.

Todd pozdrawia mnie milczącym skinieniem. Nagle dociera do mnie, że nie pojawił się tu, by pomóc mi. Będzie pomagać im.

– A gdzie Candice? – pytam, starając się gadką szmatką zyskać trochę czasu na ochłonięcie.

– Candice? – odpowiada Daniella. – Ach, ty nic nie wiesz. Odeszła jakiś czas temu.

– Och...

Czekam, lecz Daniella niczego nie tłumaczy, nie wyjaśnia. Staram się nie wyciągać z tego faktu przesadnie złowieszczych wniosków. Asystentki przychodzą i odchodzą z wydawnictw właściwie na porządku dziennym. Ostatecznie są zbyt nisko opłacanymi, szeregowymi pracownicami w najdroższym mieście świata – źle traktowane, niedoceniane, przepracowane. Praktycznie bez realnych możliwości awansu. Kariera w branży wydawniczej wymaga nadludzkiej motywacji i determinacji. Candice najprawdopodobniej po prostu wymiękła.

– Szkoda.

– Przejdźmy może od razu do rzeczy, dobrze? – Daniella chrząka. – June, jeżeli masz nam coś do powiedzenia, powinnaś to zrobić w tej chwili.

Nagle zaczyna mnie swędzieć nos. Ku swemu przerażeniu uświadamiam sobie, że już w tej chwili niewiele brakuje, bym się poryczała.

– Nie zrobiłam tego – mówię. – Przysięgam na Boga. Ta książka nie jest plagiatem, napisałam ją sama. To moje własne dzieło, akurat „Matka wiedźma” w całej rozciągłości.

– Akurat w całej rozciągłości? – wychwytuje Todd. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Miałam na myśli – tłumaczę pospiesznie – że „Ostatni front” stanowił owoc moich rozmów z Atheną. Ale ona już przecież od dawna nie żyje. Styl „Matki wiedźmy” jest zupełnie odmienny od jej prozy.

– Tylko że nie to zarzuca Sparks-Sato. – Jessica wymawia nazwisko w taki sposób, jakby odczytywała z listy zakupów nazwę wielce egzotycznej przyprawy. – Mam wrażenie, że przedstawiła całkiem jednoznaczny dowód...

– Adele pieprzy jak potłuczona... – wrywa mi się. – Nie, przepraszam. Oczywiście rozumiem, dlaczego tak bardzo troszczy się o dobre imię i spuściznę Atheny. No i tak, zainspirował mnie taki fragmencik... Athena pokazała mi kiedyś swoje notatki i zapamiętałam. Ale sama historia jest całkowicie oryginalna. Opowieść oparłam na własnych relacjach z matką. Jeśli chcecie, możecie nawet do niej zadzwonić...

– Nie sądzę, by istniała taka potrzeba – ucina Daniella. – A jak w takim razie wygląda sprawa z „Ostatnim frontem”? Czy ta powieść również jest całkowicie oryginalna?

– Słuchajcie... – podejmuję łamiącym się głosem. – Przecież... przecież mnie znacie.

– Nam możesz powiedzieć – zachęca Daniella. – Gramy w twojej drużynie. Jeżeli doszło do jakiegokolwiek... współpracy. Jeśli zaszło cokolwiek, co sprawia, że nie jesteś jedyną autorką, musimy się o tym dowiedzieć. Wciąż mamy szansę się z tego wykręcić. Moglibyśmy ze spadkobiercami Atheny podzielić się zyskami i wydać oświadczenie, w którym przyznasz się do wspólnej z nią pracy i wyjaśnisz, że czułaś, że powinnaś oddać sprawiedliwość dziełu przyjaciółki, ale nie miałaś zamiaru nikogo oszukiwać. Potem ewentualnie pomyślimy o jakiejś fundacji imienia Atheny i...

Wszystko to brzmi, jakby była mojej winy pewna.

– Chwileczkę – wchodzi Danielli w słowo. – Nie, posłuchajcie. To moja książka. Od początku do końca cały projekt był mój. Osobiście wstukałam każdą literę. – I to prawda. Całkowita prawda. To ja stworzyłam „Ostatni front”. Wersja Atheny nie nadawała się do druku. Ta powieść zaistniała wyłącznie dzięki mnie.

– Czy mogłabyś to w jakiś sposób udowodnić? – pyta Todd. – Może masz jakieś wczesne szkice, maile z datami, które moglibyśmy zweryfikować?

– Nie. Między innymi dlatego, że nie mam zwyczaju pisać maili sama do siebie.

– A czy istnieje jakikolwiek dowód, że doszło do plagiatu? – odzywa się Brett. – Nie kažmy Junie dowodzić, że nie jest wielbłądem. Przecież to absurd. Zdaje się, że dopiero co wydaliście książkę o reformie systemu karnego?

– Nikt tu nie wytacza Junie procesu – odpowiada Daniella. – Staramy się ją po prostu ochronić, dla dobra jej własnego imienia i reputacji Eden Press...

– Czyli ktoś chce iść z nami do sądu? – Brett nie rezygnuje. – Czy prawnicy spadkobierców Atheny przysłali jakiegokolwiek pismo? Czy może to wszystko tylko dmuchanie na zimne?

– Owszem, dmuchamy na zimne – przyznaje Todd. – W obecnej sytuacji kwestia praw autorskich nie stanowi większego problemu. Najbliższa krewna Atheny, w tym wypadku jest to jej matka, Patricia Liu, jasno stwierdziła, że nie będzie domagać się odszkodowania, o ile tylko wykreślimy bądź zmienimy brzmienie pierwszego akapitu „Matki więdźmy”. Z resztą książki nie ma kłopotu...

Dostrzegam w słowach prawnika promyk nadziei. Nie miałam pojęcia, że pani Liu zdecydowała się nie wytaczać procesu. Byłam niemal pewna, że będę musiała wypłacić jej odszkodowanie, grube tysiące.

– Czyli wszystko w porządku, dobrze rozumiem? – pytam.

– Cóż. – Daniella raz jeszcze wymownie chrząka. – Zawsze pozostaje kwestia opinii publicznej. Musimy mieć jasno sprecyzowaną wersję wydarzeń. Właśnie po to się spotykamy. Trzeba ustalić fakty i uzgodnić strategię. Gdyby więc June mogła, dla

pewności, powtórzyć, w jaki sposób napisała „Ostatni front” i „Matkę wiedźmę”...

– „Ostatni front” napisałam osobiście, czerpiąc inspirację z rozmów z Atheną. – Tym razem w moim głosie nie słyhać drżenia. Nadal jestem przerażona, lecz mam wrażenie, że stanęłam na twardszym gruncie. Wydawca nie grozi mi rozstaniem. Chcą mi pomóc. Wystarczy, że podsunę stosowne wyjaśnienie, i wszystko się ułoży. – „Matkę wiedźmę” rozpoczyna akapit, który zaczerpnęłam z niepublikowanego szkicu Atheny, lecz poza tym jednym wyjątkiem to również moje autorskie dzieło. Uwierzcie mi, naprawdę sama piszę swoje książki.

Przez moment milczą wszyscy. Daniella zerka na Todda, jej lewa brew wspina się wysoko na czoło.

– Skoro tak, dobrze – rzuca prawnik. – Naturalnie to oświadczenie będzie potrzebne także na piśmie, ale jeżeli rzeczywiście nie zrobiłaś nic więcej, to... to sprawę da się załagodzić.

– I będziemy mogli o tym zamieszkaniu nareszcie zapomnieć? – pyta Brett.

– To raczej pytanie do marketingu... – zauważa Todd niepewnie.

– Może wydam też oświadczenie dla mediów? – sugeruję. – Albo... jakiś wywiad? Oczyszczę się. Cała afera to wielkie nieporozumienie i myślę, że gdybym...

– Moim zdaniem najlepiej będzie, jeśli skupisz się w tej chwili na następnej książce – rzuca szorstko Daniella. – Oświadczenie w twoim imieniu wystosuje Eden. Dzisiaj po południu prześlemy ci treść do akceptacji.

– A tymczasem – wtrąca Emily – wszyscy jesteśmy zdania, że powinnaś na pewien czas powstrzymać się od korzystania z mediów społecznościowych. Oczywiście gdybyś zechciała ogłosić nowy projekt, opowiedzieć czytelnikom, nad czym obecnie pracujesz... – zawieszają głos.

Przekaz jest jasny. Siedź cicho, nie pchaj się na afisz i udowodnij wreszcie, że potrafisz napisać coś samodzielnie. Najlepiej książkę, która nie będzie w żaden sposób związana z Atheną Liu.

– A właśnie, co teraz piszesz? – Daniella przejmując pałeczkę. – Brett, wiem, że nie mamy umowy na nic więcej, ale mamy prawo pierwszego wglądu, więc jeśli możecie się czymś z nami podzielić...

– Dopiero się zastanawiam – rzucam ochryple. – Jak sama rozumiesz, cała ta sprawa mocno mnie poruszyła i nie miałam głowy...

– Ale niedługo z pewnością pojawi się coś nowego – wchodzi mi w słowo Brett. – A wtedy natychmiast się do was odezwę. Więc jak? Wszyscy zadowoleni? June przerobi ten pierwszy akapit tak szybko, jak to możliwe. Skontaktujemy się w przyszłym tygodniu.

Todd wzrusza ramionami; jego rola dobiegła już końca. Daniella kiwa głową. Wymieniamy jeszcze kilka uwag o tym, że to dobrze, że mogliśmy wyjaśnić wszystko w cztery oczy, po czym Daniella kończy spotkanie i ekran Zooma gaśnie.

Zaraz potem dzwoni do mnie Brett.

– Czy oni mnie wszyscy nienawidzą? – pytam płacząco. – Czy Daniella ma mnie dosyć?

– Nie, nie – rzuca Brett, po czym na moment milknie. – Szczerze mówiąc, jest lepiej, niż się wydaje. Każda kontrowersja to w sumie darmowa reklama. Spodziewamy się, że w najbliższym okresie rozliczeniowym otrzymasz wyższe tantiemy niż dotąd.

– Co? Poważnie?

– Widzisz, nie chcieliśmy mówić ci tego na Zoomie, ale rzecz zwróciła uwagę wielu... hmm... prawicowych komentatorów. Domyślam się, że nie są to ludzie z twojej bajki, ale dzięki nim twoja sprawa stała się elementem wojny kulturowej, a to zawsze zwraca uwagę czytelników, więc sprzedaż... wzrosła. A zwiększona sprzedaż cieszy w każdych warunkach.

Nie wierzę. To pierwsza dobra wiadomość, jaką słyszę od początku tygodnia.

– Wzrosła? Jak bardzo?

– Tyle, że dostaniesz bonus.

To dość dziwna pora na świętowanie i zapewne niezbyt stosowna, ale natychmiast w duchu postanawiam zamówić z IKEI tę kanapę, na którą od dawna mam chrapkę. Będzie się świetnie prezentować obok regałów z książkami.

– No masz, a byłam przekonana, że Daniella chce mnie zamordować. – Z gardła wyrzywa mi się histeryczny chichot. – Miała tak wściekłą minę...

– Oj tam. Tak naprawdę nic jej ta sprawa nie obchodzi – zapewnia Brett. – Musi po prostu robić, co do niej należy, rozumiesz. Koniec końców jednak liczy się to, czy kasa płynie, czy nie. Eden opowie się po twojej stronie. Zbyt wiele dzięki tobie zarabiają, by się teraz wycofać. I jak? Lepiej ci?

– Nie masz nawet pojęcia. – Oddycham z ulgą. – Kurczę, no. Spoko.

– A powiedz, zaczniesz teraz pisać coś nowego?

– Raczej, kurwa, powinnam, nie?

– Tak, byłoby miło – śmieje się Brett. – Napisz kilka szkiców, żebym miał co w przyszłym tygodniu pokazać Danielli. Nie musisz pokazywać gotowego projektu. Wystarczą zarysy, pomysły, żeby wiedziała, że nadal masz iskrę. Natomiast może niech to nie będzie opowieść o małej Chince, dobra?

– Ha, ha – rzucam i rozłączam się.

*

Wieczorem komórka odzywa się raz jeszcze, niedługo po tym, jak zamawiam pizzę na kolację. Muskam zielony przycisk, pewna, że to dostawca.

– Halo?

– June? – Chwila ciszy. – Tu Patricia Liu. Mama Atheny.

Jezu Chryste. Korci mnie, by się rozłączyć i odrzucić telefon jak najdalej. Tym sposobem jednak wszystko bym pogorszyła. Patricia zrozumiałaby, że boję się z nią rozmawiać, zaczęłaby się zastanawiać dlaczego, a ja spędziłabym nieprzespaną noc, rozważając, co takiego chciała mi powiedzieć. Tak więc lepiej mieć tę rozmowę z głowy. Zwłaszcza że jeżeli zmieniła zdanie w sprawie odszkodowania, Brett i Eden powinni się o tym dowiedzieć.

– Dobry wieczór, pani Liu – odpowiadam łamiącym się głosem.

– Dobry wieczór – mówi dziwnie nosowo, cicho. Przychodzi mi do głowy, że mogła płakać. – Dzwonię do ciebie, bo... Cóż, tego nie można powiedzieć delikatnie.

– Pani Liu, ja chyba wiem...

– Dziś rano odezwała się do mnie niejaka Adele Sparks-Sato. Pytała, czy mam jeszcze jakieś notesy po Athenie i czy mogłaby rzucić na nie okiem.

Milknie i nie rozwija, zmuszając mnie do pytania:

– Tak?

– No i... zasugerowała, że ukradłaś Athenie „Ostatni front”. Chciała przejrzeć te zapiski, żeby poszukać w nich dowodu.

Przyciskam dłoń do czoła. To koniec. Już po mnie. Myślałam, że będziemy rozmawiać o „Matce wiedźmie”, a tymczasem jest znacznie gorzej.

– Pani Liu, zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

– Oczywiście odmówiłam – słyszę, na co moje serce na moment zamiera. – Nie przepadam za nieznanymi – ciągnie pani Liu. – Powiedziałam, że muszę się zastanowić. I uznałam, że najpierw pomówię z tobą.

Znowu zawiesza głos. Wiem, o co chce zapytać; po prostu brakuje jej śmiałości. Oczyma duszy widzę, jak stoi w kuchni, jak wbija paznokcie w dłoń, próbując powiedzieć na głos, że ostatnia osoba, która widziała jej córkę przy życiu, mogła również skraść największe dzieło jej życia.

– June... – ponownie urywa. Wyraźnie słyszę, jak pociąga nosem. – Jak wiesz, June, bardzo nie chciałabym przeglądać tych notesów... – Najważniejsze pozostaje niewypowiedziane. Pytanie: „Czy mam powód?”

Wierzcie mi, w tej chwili mam ochotę się przyznać.

To byłby najlepszy moment, najwłaściwszy czas na to wyznanie. Cofam się myślami do naszej ostatniej rozmowy sprzed dwóch lat, kiedy odwiedziłam ją w domu.

– Tak bardzo żałuję, że nie mogłam przeczytać jej ostatniej powieści – powiedziała wówczas pani Liu, kiedy wstałam od stołu. – Athena tak rzadko się przede mną otwierała. Czytanie jej książek było dla mnie jak zagłębienie w jej myśli, lecz bardzo rzadko mi na to pozwalała.

Odebrałam jej to, wydarłam. Nie pozwoliłam matce wysłuchać ostatnich słów córki. Jeżeli powiem prawdę w tej chwili, będzie je mogła odzyskać. Dowie się, czemu Athena poświęciła ostatnie dni życia.

Ale nie mogę się poddać, nie mogę pęknąć.

Tylko dzięki temu udało mi się w ostatnim okresie nie oszaleć: trwać przy swoim, obstawać przy własnej niewinności. Wbrew wszystkiemu nie poddałam się, nie pękłam ani razu. Nigdy, nikomu nie przyznałam się do kradzieży. Na obecnym etapie właściwie sama w to kłamstwo wierzę – że to mój wysiłek sprawił, iż „Ostatni front” stał się bestsellerem, że koniec końców to naprawdę moja książka. Nagięłam prawdę do tego stopnia, że mogę z nią spokojnie żyć. Gdybym powiedziała pani Liu cokolwiek innego, cała ta konstrukcja z miejsca by się posypała. Wbiłabym gwóźdź we własną trumnę. I choć świat rozpada się wokół mnie, tak czy inaczej, nie mogę się poddać, dopóki istnieje choć okruch nadziei, że zdołam go ocalić.

– Pani Liu – zaczynam i biorę głęboki wdech – nad „Ostatnim frontem” pracowałam bardzo, bardzo ciężko. Przełałam w tę książkę swój pot i krew.

– Rozumiem.

– Pani córka była wyjątkową pisarką. Ja jestem równie wyjątkowa. Moim zdaniem nieoddawanie sprawiedliwości którejkolwiek z nas jest szkodliwe zarówno dla jej pamięci, jak i mojej przyszłości.

Radzę sobie ze słowami. Umiem kłamać, nie kłamię. Wiem też, że na jakimś poziomie pani Liu świetnie rozumie, co naprawdę jej w tej chwili tłumaczę. Jestem pewna, że wie, co odkryją w notatkach Atheny, jeśli ulegnie namowom Adele Sparks-Sato.

Ta kobieta jednak jest przerażona zawartością tych starych moleskine'ów. W tej chwili jest to dla mnie bardziej ewidentne niż kiedykolwiek przedtem. Rozmawiam z matką, która w ostatecznym rozrachunku woli uniknąć konfrontacji z nieznanym mrokiem, jaki skrywała w duszy jej córka. Żadna matka nie chce poznać swego dziecka aż tak dogłębnie. Tak więc przedstawiają się warunki naszego układu – ona dotrzyma mojej tajemnicy, by nie musieć mierzyć się z sekretami Atheny.

– Rozumiem – rzuca pani Liu. – Dziękuję, June.

– Jeszcze jedno – wypalam, nie pozwalając, by zakończyła rozmowę. – Jeśli chodzi o „Matkę wiedźmę”... – urywam. Nie jestem pewna, co chcę powiedzieć. Nie wiem, czy roztropnie będzie mówić cokolwiek. Todd powiedział, że pani Liu nie domaga się odszkodowania, lecz nie podoba mi się, że ta groźba wciąż nade mną wisi. Chcę usłyszeć z ust pani Liu, że nie mam się czego obawiać. – Znaczący... Nie wiem, czy pani słyszała, ale napiszę ten początkowy fragment na nowo...

– Och, June. – W słuchawce rozlega się westchnienie. – Mnie to zupełnie nie interesuje.

– To naprawdę jej słowa – przyznaję. – Ja naprawdę... Zabrałam jej ten akapit... Nie mam pojęcia, jak to się stało. Przypuszczam, że wymieniałyśmy się kiedyś pomysłami i ten tekst trafił do jednego z moich notesów. To wszystko działo się tak dawno, że wyleciało mi z głowy... No, ale tak czy siak, cała reszta książki...

– Wiem – pani Liu wchodzi mi w słowo i tym razem w jej głosie rozlega się ostrzejsza nuta. – Wiem, June. Athena w życiu by czegoś takiego nie napisała.

Rozłącza się, nie dając mi szansy dopytać, co miała na myśli.

Siedemnaście

Pod koniec miesiąca kurz wreszcie opada i wszystkie zainteresowane strony trwają okopane na własnych pozycjach. Internet mnie nienawidzi, dla branży jestem powodem do wstydu, a moja przyszłość u obecnego wydawcy wisi na włosku.

Na szczęście nie jestem splukana. Powiem więcej, pod wieloma względami wciąż jestem kobietą sukcesu. Moje położenie jest bardzo specyficzne. Ułamek czytelników nadal wypisuje w sieci pod moim adresem nienawistne komentarze, lecz reszta kupującej książki Ameryki niczego podobnego nie czuje. Ludzie do dzisiaj kupują moje powieści stojące na regałach z wyprzedzami w Targecie czy Books-A-Million. Na przekór petycji Adele Sparks-Sato i Diany Qiu, której autorki domagały się, by Eden wycofał moje książki z księgarń do momentu przeprowadzenia niezależnego dochodzenia przez specjalistów spoza branży (to już naprawdę mania), sprzedaż „Ostatniego frontu” i „Matki wiedzy” nie spada.

Nie spada, a nawet rośnie. Brett miał rację, mówiąc, że skandale są w istocie darmową formą reklamy. „Dopóki nie będziemy mieć pełnych danych, to wiadomość nieoficjalna” – przeczytałam w jego najnowszym mailu. „W tym miesiącu sprzedałaś bez mała dwa razy więcej niż w zeszłym roku o tej samej porze”.

Wystarczy chwilę pomyszkować po bardziej szemranych zakątkach Internetu, by zrozumieć, o co chodzi. Alt-prawicowi zwolennicy wolności słowa uczynili mnie swoją bohaterką. Mnie i moją ładną, anglosaską twarz uznali za ofiarę propagowanej przez lewacko-faszystowskie hordy cancel culture. (Okazało się przy tym, że alt-prawicowcy bardzo dbają o zasadę domniemania niewinności, ale tylko wówczas, gdy oskarżenie dotyczy przestępstw w rodzaju

przemocy seksualnej lub rasowo motywowanego plagiatu). Popularny dziennikarz, gospodarz jednego z programów Fox News, zachęca miliony swych widzów, by wyrażali wobec mnie poparcie i nie dopuścili tym samym, by Eden zrezygnował z wydawania moich książek. W efekcie wytwarza się przedziwna sytuacja. Wyborcy Trumpa tysiącami kupują powieść opowiadającą o niedoli chińskich robotników. Z działu reklamy dostaję prośbę o wywiad z popularną młodą youtuberką. Odmawiam jednak, kiedy dowiaduję się, że większość jej wiralowych filmików nosi tytuły w rodzaju: „PATRZCIE, JAK PRZEMYCAM PISTOLET NA WYKŁAD Z EKONOMII LOL” tudzież „LEWACZKA ZMASAKROWANA FAKTAMI NA TEMAT ABORCJI”.

Okej, dobra, słabo to wygląda. Zdaję sobie sprawę. Podobnie jak Taylor Swift, nie miałam zamiaru stać się Barbie skrajnej białej prawicy. I nie jestem nawet trumpistką – głosowałam na Bidena! No, ale skoro ci goście sami wciskają mi do kieszeni swoje pieniądze, czy to źle, że je przyjmuję? Czy nie powinniśmy korzystać z każdej okazji, by oszukać tych rasistowskich wieśniaków na kasę?

Tak więc przedstawia się ogólny obraz. Straciłam dobre imię, lecz nie zostałam scancelowana, a w możliwej do przewidzenia przyszłości nie grozi mi utrata stałego dochodu. Mogło być gorzej. Prawdopodobnie spaliłam za sobą wszystkie mosty w świecie literackim, lecz z tego wcale przecież nie wynika, że moje życie dobiegło końca. Zaoszczędziłam więcej niż większość moich rówieśników. Może teraz, kiedy wciąż jest nieźle, nadeszła dobra pora, by powiedzieć dość.

Przez kilka ostatnich tygodni naprawdę często myślę o zarzuceniu pisania na dobre. Może matka miała rację od samego początku; może długa kariera literacka po prostu nie była mi pisana. Może powinnam uznać „Ostatni front” za trampolinę, która pozwoli mi ustawić się w innym zawodzie. Mam dość kasy, żeby opłacić dowolne studia, i wystarczająco dobre wyniki z dobrej uczelni, by dostać się na porządny staż. Może przysiądę fałdów, pouczę się i zdam na prawo? Może nawet zapiszę się na jakiś zdalny kurs finansów i poszukam zajęcia w konsultingu.

Kusi mnie perspektywa stabilnej pracy, w której miałabym jasno wyznaczone godziny i zarobki, gdzie biała skóra nie czyniłaby

mnie nudną i niepotrzebną, a raczej przeciętną i pożądaną. Skończyłabym z panicznym scrollowaniem Twittera, z durną rywalizacją, z czytaniem tego samego maila po tysiąc razy po to jedynie, by odgadnąć, czy jakaś panna z marketingu mnie lubi, czy jednak nie.

Jednak nie potrafię zrezygnować z jednej rzeczy, która nadaje sens całemu mojemu życiu. Pisanie jest dla nas najbliższym oryginału substytutem prawdziwej magii. Pisanie polega na tworzeniu czegoś z niczego, pozwala otwierać bramy do innych światów. Pisarz posiada moc kształtowania swej własnej rzeczywistości, kiedy ta prawdziwa okazuje się zbyt bolesna, by w niej pozostać. Przestając pisać, popełniłabym samobójstwo. Nigdy nie mogłabym wejść do księgarni i nie musnąć tęsknie barwnych grzbietów, zastanawiając się, jak długo te książki powstawały, nie wspomnieć dni, kiedy to ja tworzyłam. Przez resztę życia kiślałabym z zawiści za każdym razem, gdy ktoś w typie Emmy Cho podpisywałby lukratywną umowę, zawsze kiedy młoda gwiazdka literatury zaczynałaby żyć życiem, jakie powinno być moim udziałem.

Pisanie od dziecka stanowiło najgłębszy rdzeń mojej tożsamości. Po śmierci taty, kiedy mama zamknęła się w sobie, a Rory uznała, że zbuduje życie beze mnie, tylko książki pozwoliły mi przetrwać. I choć są również przyczyną wielu moich cierpień, będę się tej magii kurczowo trzymała do końca swych dni.

*

Szkopuł w tym, że nie mam nic, co mogłabym pokazać Danielli.

Nie nadaje się żaden z moich dawniejszych pomysłów. Wyrzebałam z metaforycznej szuflady kilka zapomnianych szkiców, lecz ich założenia wydają mi się teraz bez wyjątku nudne, wtórne lub po prostu głupie: romantyczna komedia dla młodzieży o dziewczynie zakochującej się w chłopaku nieżyjącym od stu lat (mam zero fabuły, jedynie luźne pomysły, bazujące w znacznej mierze na studenckim zadurzeniu w stojącym na kampusie Yale pomniku Nathana Hale'a). Para kochanków, którzy odradzając się co

stulecie, skazani są na odtwarzanie tragicznej historii swej miłości, dopóki nie znajdą sposobu na złamanie zaklęcia. (Całkiem znośne, aczkolwiek myśl o udokumentowaniu tak wielu epok historycznych mocno mnie onieśmiela. Poza tym czy w osiemnastym wieku było cokolwiek fajnego?) Zamordowana przez byłego chłopaka dziewczyna powraca jako duch i próbuje ocalić jego następne ofiary. Nie udaje się jej i ostatecznie zabite dziewczyny tworzą widmową bandę lasek, które wspólnym wysiłkiem wsadzają kolesia do pierdła. (Cóż, może i ciekawe, ale Netflix dopiero co wypuścił uwspółcześnioną wersję Sinobrodego, a naprawdę nie potrzebuję kolejnych oskarżeń o plagiat).

W poszukiwaniu samorodków, wątków, które mogłabym twórczo rozwinąć, przeglądam Wikipedię i Britannicę. Może napisać o zaginionych chińskich rozbitkach z „Titanica”? Albo o poszukiwaczach złota ze Złotej Góry? Albo o działającym w Nowym Jorku policyjnym Wydziale do spraw Gangów Orientalnych – nazywano ich Nefrytowym Wydziałem, co byłoby zajebistym tytułem. Albo o chińskiej mafii – Patrick Radden Keefe wydał znakomitą książkę o Chince, która przez całe lata działała w jednej z nowojorskich organizacji przestępczych. Co, gdybym wydała fikcyjną wersję opowieści o jej perypetiach?

Tylko skąd ta chińska obsesja? Dlaczego tak się ograniczam? Przecież równie dobrych tematów dostarczają imigranci z Rosji czy uchodźcy z Afryki. Nigdy nie miałam zamiaru zamykać się w literackiej szufladce Państwa Środka. To był zwykły przypadek. W dodatku wydaje mi się, że któryś z moich dziadków lub pradziadków był Żydem. Mogłabym zadzwonić do jednej z ciotek i wypytać, znaleźć jakiś pomost do żydowskiej historii lub mitologii. Wiem też ponad wszelką wątpliwość, że mama opowiadała o swoich przodkach z plemienia Czirokezów. Może ta sprawa jest warta zbadania – jakaś historia o zapomnianych korzeniach.

Jednak prawdę mówiąc, przytłacza mnie myśl o nawale pracy. A ponieważ mam za sobą gromadzenie materiałów do „Ostatniego frontu”, napisanie historii związanej z Chinami wydaje mi się nieco łatwiejsze. Niezłe poznałam historię tego kraju, obecne nurty polityczne. Terminologię mam w miarę ogarniętą. Wystarczy dobry pomysł.

Poznałam kiedyś poetkę. Nie wychodziła z domu bez małego notesu, w którym zapisywała przynajmniej jedno oryginalne spostrzeżenie dotyczące każdego człowieka, z jakim się danego dnia zetknęła. „Włosy baristki miały kolor rozpaczliwego fioletu”. „Kobieta przy stoliku obok przeciągnęła słowo »tak«, jakby chciała odwlec nieuchronne”. „Nazwisko pryncypała zabrzączało w ustach odźwiernego niczym garść pokrytych patyną miedzaków”.

– Nie tyle tworzę, co kolekcjonuję – tłumaczyła owa poetka. – Świat jest przecież dostatecznie bogaty. Ja jedynie wyciągam esencję z chaosu ludzkiego życia i serwuję ją w skoncentrowanej, pisanej formie.

Postanowiłam spróbować jej metody w czasie codziennego załatwiania spraw w mieście. Zapisuję kilka refleksji dotyczących pralni: „Tłoczna, wydajna, właściciel jest Grekiem albo Rosjaninem. Czy fakt, że nie potrafię rozpoznać, czyni ze mnie rasistkę?”. Piszę też w spożywczaku Trader Joe’s przy K Street: „Zawsze kiedy tu zaglądała, półki kusily organicznymi obietnicami, lecz nieuchronnie wychodziła z paczką imbirowych herbatników i makaronem do mikrofal”.

Notując w kolejce do kasy, czuję się wielce inteligentna i spostrzegawcza, lecz kiedy docieram z powrotem do domu, nie znajduję iskry w ani jednym zdaniu. Wszystko jest mdłe. Nikt nie zechce czytać o kulinarniej polityce stojącej za orientalną marką Trader Ming’s.

Muszę zanurkować jeszcze głębiej. Muszę napisać o czymś, czego biali ludzie na co dzień nie widzą.

Następnego popołudnia wsiadam do metra i jadę do Chinatown, gdzie – mimo że mieszkam w Waszyngtonie od niemal pięciu lat – nigdy jeszcze nie byłam. Mam niejakie obawy, ponieważ wyczytałam na Reddicie, że waszyngtońska chińska dzielnica ma najwyższe wskaźniki przestępczości w całym mieście, a kiedy wysiadam z pociągu, wszystko dookoła wydaje mi się złowroźnie zaniedbane. Idę z dłońmi wciśniętymi w kieszenie, palce zaciskam kurczowo na komórce i portmonetce. Żałuję, że nie wzięłam ze sobą gazu pieprzowego.

Przestań się zachowywać jak zestrachana białaska, karcę się w duchu. Przecież tutaj żyją prawdziwi ludzie; nie trafiłaś na front.

Zachowując się jak turystka, w życiu nie poznasz ich historii.

Mijam kościół baptyistów Calvary, strzelam fotkę Bramie Przyjaźni, zapraszającej do Chinatown wykwintnymi odcieniami złota i turkusowego błękitu. Cholera wie co oznaczają znaki na środkowej tablicy; trzeba będzie sprawdzić.

Z wyjątkiem bramy chińska dzielnica nie oferuje zbyt wielu doznań ze sfery kulturalnej. Przechodzę obok Starbucksa, Ruby Tuesday, Rita's i Bed Bath & Beyond. Wszystkie te sklepy zachęcają chińskojęzycznymi wersjami nazw, wypisanymi nad drzwiami dumnymi, złotymi bądź czerwonymi symbolami, lecz wewnątrz czekają na klientów te same towary co wszędzie indziej. O dziwo nie spotykam po drodze przesadnie wielu Chińczyków. Rzeczywiście jakiś czas temu czytałam artykuł, którego autor twierdził, że waszyngtońskie Chinatown uległo brutalnej gentryfikacji, lecz mimo wszystko nie spodziewałam się, iż trafię do dzielnicy, jakich wiele.

Dopada mnie głód, więc wchodzę do pierwszej knajpki – przybytku o nazwie Pierożki Pana Shena. Angielska nazwa niknie w gąszczu chińskich znaków i wydrukowanych recenzji z TripAdvisora, którymi oblepiona jest niemal cała witryna. Lokal sprawia wrażenie podupadłego. Odrapane stoliki, okna pokryte smugami rozmazanych plam tłuszczu. Ale czyż nie są to właśnie cechy autentycznie lokalsowej restauracyjki? Pamiętam, że czytałam o tym kiedyś na Twitterze. Jeżeli właściciele chińskiej knajpy nie ładują kasy w estetykę, to znaczy, że nie oszczędzą na jedzeniu. No, chyba że mają wszystko w dupie.

Jestem jedyną klientką. To również niekoniecznie zły objaw. Dochodzi szesnasta; za późno na lunch, za wcześnie na kolację. Kelnerka bez słowa stawia przede mną podejrzenie brudną szklanke z wodą, układa obok plastikowe menu i odchodzi.

Rozglądam się, jest mi okropnie głupio. Mam niemal pewność, że wparowałam tu akurat w chwili, gdy pracownicy chcieli odsapnąć między porami głównych posiłków, i czuję się niezręcznie, zajmując tak wiele miejsca. Nie serwują tu nic, na co miałabym ochotę. W karcie widnieją wyłącznie rozmaite odmiany pierożków z zupą. Nie wiem, czym właściwie są pierożki z zupą, ale nazwa brzmi wstrętne. Dolatujący z kuchni intensywny, kojarzący się ze śmietnikiem zapach stęchlizny pozbawia mnie resztek apetytu.

– Czy mogę już przyjąć zamówienie? – Kelnerka ponownie wyrasta u mojego boku, stoi w gotowości z długopisem i notesikiem.

– Co? Ach tak, przepraszam. – Milknę, po czym wskazuję pierwszą z brzegu pozycję menu. Wychodząc w tym momencie, zachowałabym się chyba niegrzecznie. – Poproszę może... o, te pierożki. Z porem i wieprzowiną.

– Sześć sztuk czy dwanaście?

– Sześć.

– Gotowane czy z patelni?

– Hmm... Gotowane?

– Jasne. – Dziewczyna zabiera mi kartę i nie mówiąc nic więcej, znika za drzwiami kuchni.

Ale suka, myślę, lecz zaraz przypominam sobie, że marna obsługa to według wspomnianego już tweeta kolejny wyznacznik porządnej chińskiej kuchni. Mam więc nadzieję, że pierożki z zupą okażą się nieziemsko smaczne.

Staram się koncentrować na plusach. Jeżeli wykażę się spostrzegawczością, mam szansę znaleźć tu zacytn dobrej historii. Może jakaś wzruszająca opowieść o upadającej knajpce z Chinatown? Córka właściciela rzuca bezduszną robotę w korpo i z pomocą lokalnej wspólnoty, mediów społecznościowych i magicznego gadającego smoka stawia rodzinny biznes na nogi? Może mogłabym dać tej zdzirowatej kelnerce poruszające tło i zmienić jej charakter? A może jednak nie. Im dłużej się zastanawiam, tym bardziej pomysł wydaje mi się pokraczną hybrydą „Ratatouille” i „Mulan”.

Przestań patrzeć oczyma białego człowieka, przestrzegam się. Nie mogę wymyślać o tych ludziach historii, zupełnie ich nie znając. Muszę porozmawiać z miejscowymi. Zaprzyjaźnić się z nimi, poznać ich punkt widzenia, nauczyć się dostrzegać drobnostki zrozumiałe jedynie dla amerykańskich Chińczyków.

Jedyną inną żywą duszą na sali jest mężczyzna w średnim wieku, pochłonięty akurat wycieraniem stolików. Cóż, równie dobry punkt wyjścia jak każdy inny.

Chrząkam i przywołuję go skinieniem.

– Jak się pan nazywa? – W moim głosie wyraźnie słychać sztuczną radość. Staram się przymusić mięśnie twarzy, by ułożyły się

w minę najlepiej obojętną, a przynajmniej mniej upiorną. Jeszcze w liceum chodziłam na warsztaty z dziennikarstwa śledczego i do dziś pamiętam kilka wskazówek: nawiązać przyjazną relację, uważnie słuchać i obserwować, utrzymywać bezpośredni kontakt wzrokowy. Zadawać proste i zrozumiałe, otwarte pytania. Szkoda, że zapomniałam włączyć nagrywanie w komórce. Powinnam też notować, ale nie chcę już w tej chwili wyciągać przyborów do pisania. Lepiej go nie płoszyć.

– Tak, słucham panią? – Mężczyzna odkłada ścierkę i podchodzi. – Czy wszystko w porządku?

– O tak, tak... Hmm. Chciałam po prostu... porozmawiać... jeśli ma pan chwilę. – Milknę i od razu się krzywię. Dlaczego tak się krępuję? Zupełnie jakbym robiła coś nieprzyzwoitego, jakbym bez pozwolenia zagadała do cudzego dziecka. Przecież to śmieszne. Co może być złego w sympatycznej pogawędce?

Kelner wciąż stoi bez słowa i przygląda mi się z wyczekiwaniem.

– Więc... – udaje mi się wydukać. – Przyjemnie się panu mieszka w Chinatown?

– Chinatown? Jakie Chinatown. W Waszyngtonie tak naprawdę nie ma chińskiej dzielnicy. – Wzrusza ramionami. – To w najlepszym razie symulakrum. A ja, mówiąc szczerze, mieszkam w Maryland.

Mówi po angielsku znacznie lepiej, niż się spodziewałam. Ma wyraźny obcy akcent, ale naprawdę niewielu świeżych użytkowników angielszczyzny posłużyłoby się słowem „symulakrum”. Przemyka mi przez myśl, że egzotyczny akcent może być ukłonem mężczyzny w stronę białej klienteli, swoistym świadectwem autentyczności lokalu. Zastanawiam się też, czy nie mam przypadkiem do czynienia z intelektualistą, jakimś uniwersyteckim profesorem, który wyemigrował do Stanów z powodów politycznych. Obie ewentualności dałoby się zręcznie wmontować w fabułę.

– A długo już pan tu pracuje?

– Hmm... – odpowiada po chwili namysłu. – Będzie już chyba... Ile? Dziewięć lat. Nie, dziesięć. Żona chciała się przenieść do

Kalifornii, ale wołałem zostać blisko córki. Może przeprowadzimy się, kiedy skończy studia.

– O, super – rzucam. – Córka studiuje na Georgetown?

– Na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona. Ekonomię. – Mój rozmówca sięga po ścierkę i odwraca się do sąsiedniego stolika.

Nie chcę go stracić, więc czym prędzej zadaję kolejne pytanie:

– A lubi pan pracę w restauracji? Może mógłby mi pan opowiedzieć jakąś... no... intrygującą historię, która się tu wydarzyła?

– Przepraszam bardzo, czy mogę w czymś pomóc? – Kelnerka wychodzi z kuchni energicznym krokiem.

Zerka to na mnie, to na mężczyznę, mruży oczy i mówi coś po chińsku, szybko, zwięźle. On odpowiada bezbarwnym, mdłym tonem – mógłby w ten sposób powiedzieć „spokojnie, nie przejmuj się” – lecz wtedy głos kobiety wchodzi na wyższy rejestr, staje się bardziej natarczywy. Ostatecznie on wzrusza tylko ramionami, ciska ścierkę na blat i wycofuje się do kuchni.

– Jeżeli pojawił się jakikolwiek problem – kobieta ponownie zwraca się do mnie – służę uprzejmie pomocą.

– Ach nie. Skąd, wszystko w porządku. Chciałam tylko porozmawiać. Przepraszam. Nie pomyślałam, a pan jest na pewno bardzo zajęty.

– Tak, wszyscy mamy sporo na głowie. Przykro mi, jeśli jest u nas dla pani za cicho, ale bardzo proszę nie odciągać pracowników od obowiązków.

Wznoszę oczy do nieba. Poza mną nie ma w tej knajpie ani jednego klienta; nie mogą być chyba zarobieni po uszy?

– Jasne – rzucam tak lekceważąco, jak tylko potrafię.

– Czy ma pani jeszcze jakieś pytania? – Kelnerka nie odchodzi. Dociera do mnie, że w jej głos wkradło się drżenie. Jest przestraszona. I nagle uświadamiam sobie, jak cała ta sytuacja wygląda z jej perspektywy. Musiała uznać, że jestem z policji lub urzędu imigracyjnego, że szukam haków.

– O Boże! – Macham przed sobą rękoma, żeby... chyba żeby udowodnić, że nie mam broni ani żadnej odznaki? Nie jestem pewna. – Nie, to nie tak...

– Więc jak? – Kobieta mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów i nagle pochyla głowę na bok. – Chwileczkę, nie jesteś przypadkiem tą pisarką?

Na moment zamiera mi serce. Jak dotąd bywałam rozpoznawana jedynie w miejscach takich jak biblioteka, czasami na brązowych konwentyklach czy kiedy wygłaszałam gdzieś gościnną prelekcję. Natychmiast robi mi się bardzo miło, jestem prawie pewna, że za moment usłyszę prośbę o autograf...

– No... Tak, to ja. Nazywam się Juniper...

– To ty ukradłaś książkę Athenie Liu! – Jej twarz tężeje. – Od razu poznałam. Widziałam twoje zdjęcie w sieci. Juniper Song, prawda? Czy tam Hayward, czy jakoś tak. Czego tu szukasz?

– Naprawdę chciałam tylko porozmawiać – tłumaczę słabym głosem. – Przysięgam, że nie szukam...

– Nieważne – ucina zwięźle kelnerka. – Nie mam pojęcia, po co przyszedłaś, ale nie będziemy brać w tym udziału. Co więcej, muszę poprosić, żebyś wyszła.

Prawdopodobnie nie ma prawa mnie wykopać. Nie zakłócam w żaden sposób porządku, nie zrobiłam nic nielegalnego. Zamieniłam tylko kilka zdawkowych słów z kelnerem. Zastanawiam się przez chwilę, czy nie domagać się swoich praw jako klientki, zapowiedzieć, że jeśli naprawdę chce mnie wyrzucić, musi wezwać w tym celu policję. Nie chcę jednak ponownie stać się bohaterką wiralowych filmików. Już widzę te tytuły: „Białaska w Chinatown upiera się, że nie jest z imigracyjnego”.

– Świetnie. – Podnoszę się z miejsca. – W takim razie ja podziękuję za pierożki.

– Na pewno? – dopytuje kobieta. – Nie uznajemy tutaj zwrotów. Poproszę osiem dziewięćdziesiąt pięć plus podatek.

Pałą mnie policzki. Gorączkowo szukam w myślach odpowiednio błyskotliwej riposty, lecz przychodzą mi do głowy wyłącznie teksty na żenująco niskim poziomie bądź jednoznacznie rasistowskie. Wygrzebuję więc z portfela dwadzieścia dolarów, zarzucam torebkę na ramię, wymijam kelnerkę i wychodzę wzburzonym krokiem, udając, że nie słyszę kpiącego prychnięcia.

Kiedy tułam się po wyzutej z natchnienia pustyni kreatywności już mniej więcej miesiąc, Brett zaczyna się niecierpliwić na dobre. Wiem, że jak dotąd próbował zapewnić mi przestrzeń – wszystkie jego maile były przez ten czas łagodnymi w wydźwięku, pełnymi taktu przypominajkami – lecz teraz jego wytrzymałość jest już wyraźnie na wyczerpaniu. „Chciałbym przedstawić ci nową, ciekawą propozycję” – czytam w jego ostatniej wiadomości. „Zadzwoń w wolnej chwili”.

Wydaję z siebie jęk bóleści i sięgam po telefon.

– June! – Brett odbiera już po pierwszym sygnale. – Jak miło, że się odzywasz. Co słycać?

– W porządku. Prawie nie dostaję już hejtu w mailach. A groźby zabójstwa ustały na dobre.

– O, no to świetnie. Widzisz? Mówiłem, że się przewali – przypomina i na moment zawiesza głos. – A słuchaj, pamiętam, że ostatnio w rozmowie ustalaliśmy...

– Lipa jest. – Myślę sobie, że najlepiej będzie wyrzucić to z siebie prosto z mostu. – Nie mam ani słowa, ani cienia pomysłu. Nie wpadłam nawet na żaden konkretny punkt zaczepienia. Przykro mi, wiem, że wolałbyś usłyszeć coś innego. – Czuję ukłucie wyrzutów sumienia. Brettowi nie chodzi o pieniądze. Jako mój agent, położył na szali swoją reputację. Nie chce spaprać sobie układów z Edenem, ściągając im na głowę najbardziej żenującą klientkę w dziejach wydawnictwa. Z drugiej strony jednak nie mogę podsycać w nim fałszywej nadziei. Szykuję się w duchu na jego rozczarowanie. Zamiast tego pada pytanie:

– A co powiesz na jakąś fuchę IP?

Tłumię w sobie pomruk oburzenia. Literatura IP – skrót od intellectual property – to zajęcie dla przeciętnie utalentowanych autorów, tak przynajmniej zawsze słycałam. Nisko opłacane zajęcie dla twórców, którzy mają problem ze spieniężeniem własnych pomysłów.

– A co mam powiedzieć?

– Wiesz, chcę tylko powiedzieć, że skoro nie idzie ci wymyślanie oryginalnych tematów, może napisałaś coś z gotowca?

– Miałabym pisać o przygodach superbohaterów? Nie, Brett, dzięki. Mam jeszcze pewne standardy...

– Rzecz w tym, że... June, minęło naprawdę sporo czasu. Niektórzy zaczynają wiercić mi dziurę w brzuchu.

– Donna Tartt wydaje książkę raz na dziesięć lat. – Pociągam nosem.

– No wiesz... – Brett nie wypowiada na głos oczywistego ciągu dalszego. Nie jestem Donną Tartt. – Działamy w innych okolicznościach.

– No dobrze – wzdycham. – O czym właściwie mówimy? Marvel? Disney?

Może faktycznie mogłabym napisać powieść z uniwersum Gwiezdných Wojen. Oczywiście zadanie byłoby bardzo trudne i musiałabym sięgnąć w swoją bardzo odległą, nastoletnią przeszłość, by wykrzesać choć odrobinę zainteresowania postacią, którą mi podsuną, ale coś tam zawsze przecież napiszę. Książeczkę na tyle zgrabną, by zyskać uznanie w oczach fanów tego świata.

– Otóż nie chodzi o żadną istniejącą już markę. Słyszałaś może o Snowglobe?

Nazwa coś mi mówi. Widywałam ją na Twitterze – być może mam ich w obserwujących – ale nie kojarzy mi się z niczym istotnym.

– Czy to nie jest jakaś niszowa oficyna?

– Poniekąd. Działają na wielu polach. Założyciele mają znajomości w dużych wydawnictwach i studiach filmowych. Pracując z doświadczonymi redaktorami, tworzą pomysły odpowiadające aktualnym trendom i popytowi. A potem realizują je we współpracy z pisarzami. Ten system usuwa z równania niepewność zapotrzebowania wielkich wydawców. Co więcej, miałabyś mnóstwo swobody twórczej, dzięki czemu z gotowego szablonu mogłabyś uczynić coś, no wiesz, swojego.

– Ale nie miałabym do tej książki praw autorskich, tak?

Nie znam się na tych kwestiach za bardzo, lecz z tego, co czytałam w necie, wynika, że dla twórców takie interesy są zwykle kiepskie. Zamiast tantiem autor otrzymuje jednorazową, z góry ustaloną sumę. Taka, dajmy na to, powieść rozgrywająca się w świecie znanej gry komputerowej może się sprzedać

w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, ale nawet jeśli stanie się szalonym bestsellerem, pisarz nie zobaczy więcej niż te swoje dziesięć tysięcy. A za sześć lub osiem miesięcy pracy nie jest to kwota zawrotna.

– Poza tym autorów takich książek nikt nie traktuje poważnie. Przecież to żadna literatura.

– Na tej zasadzie powstało wiele głośnych tytułów – zauważa Brett. – Po prostu niewielu ludzi zdaje sobie z tego sprawę. Zresztą nie mówimy tu o zmianie kierunku kariery na dobre, tylko o sposobie na przebrnięcie przez okres posuchy. Wydaje mi się, że poczujesz się lepiej, jeśli dostaniesz do ręki... gotowy szkielec.

To okropne, że ujął to w taki właśnie sposób. Jakby rzucił jakiś zrozumiałą tylko dla nas żarcik, jakby znał prawdę o „Ostatnim froncie”. Porozumiewawcze mrugnięcia, sugestie. „Widzisz, Junie, wiemy, że umiesz kolorować gotowe obrazki. Znajdziemy ci więc nową książeczkę z kolorowankami”.

Trzeba uczciwie przyznać, że sam w sobie nie jest to najgorszy pomysł na świecie. Jednak na myśl o takim rozwiązaniu buntuje się moja duma. Byłam przecież kandydatką do najważniejszych nagród literackich w kraju, nie umiem sobie wyobrazić siebie w roli literackiego najemnika.

– Domyślam się, że mówimy tu o jakichś żenujących stawkach.

– Cóż, miejsce na negocjacje jest zawsze. Tym bardziej że jesteś znaną pisarką. Ale owszem, to nie byłyby stawki tak wysokie, do jakich przywykłaś.

– Więc jaki w tym sens?

– No wiesz, wydałabyś kolejną książkę. Zyskałabyś nowy temat do rozmowy. Mogłabyś mówić wreszcie o czymś innym.

Celny strzał, Brett. Święta racja.

– A o czym miałabym pisać? – pytam trochę wbrew sobie.

Tego nie może mi wyjawić od razu. Musiałabym najpierw podpisać lojalność. Tak się jednak szczęśliwie składa, że odpowiedni dokument ma już przygotowany, co więcej, możemy tę formalność załatwić zdalnie. Kiedy Brett przygotowuje link, wyszukuję w sieci Snowglobe i przeglądam ich firmową stronę. Wspomnianymi założycielami okazują się młode, zgrabne białe kobiety. Gatunek

bardzo popularny na branżowych bankietach. Zwykle grasują z kieliszkiem chardonnay w dłoni. W sekcji „Aktualne projekty” pojawiają się nazwy typu Amazon, Hulu czy Netflix. I faktycznie słyszałam o kilku stworzonych przez nich tytułach – Brett miał rację. Naprawdę nie miałam pojęcia, jak wiele popularnych książek powstało w oparciu o cudze pomysły. Może to faktycznie żadna tragedia. Może będzie mi łatwiej, jeżeli ktoś inny wpadnie na zarys fabuły, która przypadnie do gustu rynkowi, a ja skupię się na tym, w czym jestem naprawdę dobra, czyli pisaniu pięknej prozy.

– No dobra. – Lojalka podpisana. Brett odzywa się w słuchawce. – Więc bardzo by chcieli wykorzystać twoją wiedzę z zakresu chińskiej problematyki społecznej.

– Okej... – rzucam, czując budzącą się w sercu grozę.

– Na pewno słyszałaś o polityce jednego dziecka, prawda?

– Chodzi o to, że zmuszali kobiety do usuwania ciąży?

– Nie, mam na myśli politykę kontroli populacji Chińskiej Republiki Ludowej, obowiązującą w latach tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt siedem do dwa tysiące piętnaście – czyta wprost z Wikipedii. Wiem, ponieważ mam właśnie przed sobą ten sam artykuł.

– Przecież o tym mówiłam. W ramach tej polityki zmuszali kobiety do aborcji. – Błyskawicznie wyszukuję w tekście słowo „aborcja”, by sprawdzić, czy mam rację. I w pewnym sensie mam. – Chcą wydać o tym powieść?

– Tak, aczkolwiek w takim nowoczesnym, antyutopijnym ujęciu. Widzisz, kłopot z polityką jednego dziecka jest taki, że teraz mają w Chinach nadmiar mężczyzn. Z powodu wybiórczego usuwania ciąży. Rodzice woleli mieć synów. Rozumiesz, patriarchalna kultura i tak dalej. Dlatego obecnie jest tam zbyt mało dziewcząt i kobiet, a mężczyźni mają problem ze znalezieniem żony i nie mają z kim płodzić dzieci. Nadążasz?

– Tak, jasne.

– Tu właśnie wchodzi motyw antyutopii. Wyobraź sobie świat podobny do tego z „Opowieści podręcznej”. Kobiety wychowuje się w ramach specjalnych instytucji, ich głównym zadaniem jest rodzenie dzieci. A państwo sprzedaje je mężom w charakterze domowych niewolnic. – Brett nerwowo chichoce. – Ostry komentarz

społeczny, nie? Gdybyś chciała, mogłabyś nawet to poszerzyć i włączyć w całość subtelną krytykę zachodniego patriarchy. Wszystko zależy od ciebie. Jak wspominałem, miałabyś bardzo szeroki zakres swobody w podejściu do tematu. I co myślisz?

Bardzo długo nie odpowiadam. Milczę. Wreszcie, ponieważ jedno z nas musi powiedzieć to na głos, rzucam:

– Brett, przecież to bezdennie głupie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zechce z takim pomysłem pracować.

(Okazuje się, że nie miałam racji. Dwa tygodnie po naszej rozmowie znajduję na Twitterze informację następującej treści:

Wydawnictwo Simon & Schuster oraz Snowglobe Inc. z przyjemnością informują o nawiązaniu współpracy ze znaną autorką Heidi Steel, w której ramach ukaże się „Ostatnia Chinka”, emocjonujący romans, osadzony w antyutopijnym świecie zainspirowanym polityką jednego dziecka!)

– Widzisz, ja naprawdę myślę, że to może chwycić – stwierdza Brett. – Pomysł jest fajny. Kupiłyby cię feministki. Myślę, że mamy tu też potencjał na ekranizację. Jestem pewien, że kiedy „Opowieść podręcznej” stanie się *passé*, wielkie sieci będą się rozglądać za następnym hitem.

– Ale ten pomysł... Przecież to pomieszanie tak wielu... Oni naprawdę traktują to poważnie? Polityka jednego dziecka i „Opowieść podręcznej” w jednym? Nikt się nie boi, że w ten sposób obrażą naraz całe Chiny?

– Ale, Junie, książka ukaże się przecież na Zachodzie. Więc co za różnica?

Oczywiście wyobraźni już widzę, jak Adele Sparks-Sato i Xiao Chen ostrzą sobie pazury. Nie jestem może na bieżąco z chińskim życiem politycznym, lecz nawet ja widzę, że ten projekt to jedno wielkie pole minowe. Jeżeli tę powieść napiszę, zostanę wypatroszona za szerzenie nienawiści wobec Chińskiej Republiki Ludowej, Chińczyków, mężczyzn bądź wszystkich naraz.

– Wykluczone – rzucam. – Nie i koniec. A może mają jakieś inne pomysły? Wiesz, nie mam nic przeciwko współpracy ze

Snowglobe jako takiej. Serio. Po prostu ten konkretny projekt bardzo mi się nie podoba.

– Mają inne pomysły, ale zazwyczaj dobierają projekty do autorów o odpowiednim... rodowodzie. W tym roku postawili na ostry zwrot w stronę różnorodności.

– W takim razie nie bardzo rozumiem, dlaczego wybrali mnie – pryham.

– Oj, daj spokój – przerywa mi Brett. – Przynajmniej rzuć na to okiem. Zastanów się. Właśnie wysłałem ci materiały. Poza tym masz już na koncie nowelę fantastyczną, więc nie musiałybyś nawet budować bazy fanów od zera...

Nie jestem pewna, czy mój agent rozumie, że wielbiciele realizmu magicznego to nie do końca ci sami ludzie, którzy czytają fantastycznonaukowe antyutopie.

– Dobra, ale sam przyznaj, że antyutopia rozgrywająca się w Pekinie to dla mnie zupełnie obca działka.

– Parę lat temu powiedziałbym, że czymś obcym jest dla ciebie projekt taki jak „Ostatni front”. Na poszerzanie horyzontów nigdy nie jest za późno. Przemysł sprawę, Junie. Ten ruch może ocalić twoją karierę.

– Nie, nie ocali. – Sama już nie wiem, czy chce mi się śmiać, czy płakać. – Nie, Brett. Jestem pewna, że dokładnie takie książki kończą ludziom kariery.

– June, przestań. Taka okazja może się nie powtórzyć.

– Zadzwoń, jeśli odezwie się Lucasfilm albo ktoś z tej półki – rzucam. – Ale to? Przykro mi, Brett. Nawet ja nie zniżę się tak bardzo.

Osiemnaście

W lipcu pakuję manatki i lecę na północ do Massachusetts, gdzie mam wykładać w ramach warsztatów dla młodych pisarzy pochodzenia azjatyckiego. To jedyna organizacja, która zaprosiła mnie w tym roku do współpracy, zapewne wyłącznie dlatego, że nadal funduję to głupie stypendium imienia Atheny (warsztaty sponsoruje Stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Pochodzenia Azjatyckiego, a ich koordynatorką jest Peggy Chan). Moje więzi z innymi tego rodzaju instytucjami uległy zerwaniu wskutek pamiętnego wpisu na blogu Adele Sparks-Sato. W zeszłym roku każdy letni weekend wypełniony miałam prelekcjami i gościnnymi wykładami; w tym roku od maja po sierpień mój kalendarz ziele pustką.

Bardzo głęboko rozważałam wycofanie swojego uczestnictwa, lecz ostatecznie doszłam do wniosku, że nie przetrwam aż tak monotonnego bezkresu lata. Wszystko jest lepsze od dni spędzanych na bezcelowym krążeniu po mieszkaniu i podejmowaniu daremnych prób sklecenia jednego sensownego zdania. Poza tym mam nadzieję, że te warsztaty dobrze mi zrobią. Uczenie to przecież niepodważalnie szlachetne zajęcie i nawet jeżeli nie wrócę dzięki temu do łask tuzów literackiego światka, to może uda mi się przynajmniej nawiązać nić porozumienia z grupą dzieciaków, które nie zdążyły mnie jeszcze uznać za wroga publicznego numer jeden. Kto wie? Może dzięki temu pisanie znów zacznie mi sprawiać przyjemność.

Według planu mam prowadzić codzienne czterogodzinne sesje krytycznego czytania ze specjalnie dobranymi uczniami: wyłącznie starsze roczniki licealistów. Podopiecznych wybrałam samodzielnie, kierując się jakością nadesłanych przez nich tekstów. Osobiste spotkanie z młodzieżą okazuje się fascynującym

przeżyciem. Natychmiast wyławiam w grupie wyróżniające się postacie: jest wśród nich Christina Yee, drobniutka gotka z mocno podmalowanymi czarnym tuszem oczyma, której opowiadanie roiło się od kłów oraz zdeformowanych, krwawiących ciał. Jest Johnson Chen, chłopak ze srogo naželowanymi włosami, noszący długie prochowce w stylu lat osiemdziesiątych, przez co przypomina gwiazdora K-popu. Tekst, który nadesłał, był tak skrajnie introspekcyjny, że automatycznie uznałam, iż Johnson jest kimś w rodzaju klasowego brzydkiego kaczątka, a tymczasem okazuje się, że przyciąga laski jak magnes. Jest też Skylar Zhao, wysoka, długonoga dziewczyna, która już na zapoznawczym spotkaniu oświadczyła, że zamierza zostać Atheną Liu swojego pokolenia.

Rozsiadają się przede mną swobodnie, w niedbałych pozach, jakby zupełnie nie przejmowali się tym, co myśli o nich cały świat, lecz już na pierwszy rzut oka widać, jak zawzięcie chcą mi zaimponować. Typowa mentalność młodego człowieka o rozkwitającym talencie – wiedzą, że są dobrzy, ewentualnie, że mogą się dobrzy stać, lecz łakną zewnętrznego potwierdzenia swojej wartości i umierają ze strachu na myśl o odrzuceniu. Świetnie pamiętam smak tego emocjonalnego koktajlu: niepohamowana ambicja, rosnąca duma z owoców własnej pracy, a do tego spora domieszka otumaniającej, nieuleczalnej niepewności. Wyrastające na takiej glebie osobowości są skrajnie irytujące, ale i tak mocno się z tymi dziećmiakami identyfikuję. Widzę w nich samą siebie sprzed dziesięciu lat. W tej chwili jedna celnie sformułowana krytyczna uwaga mogłaby nieodwracalnie zniszczyć ich przekonanie o własnych możliwościach. Z drugiej strony, umiejętnie zastosowana pochwała może pozwolić im poszybować pod samo niebo.

Postanowiłam, że w tym im właśnie pomogę. Wszystko inne odsunę na dalszy plan. Przestanę bez przerwy sprawdzać Twittera, zarzucę przeglądanie Reddita i nie będę bez końca rozpamiętywać toku własnej kariery. Skupię się na być może jedynej rzeczy, w której jestem naprawdę dobra.

Zapoznanie przebiega bezproblemowo. Lody przełamuję za pomocą rozmaitych sztuczek, które podłapałam, uczestnicząc w masie innych warsztatów literackich:

– Opowiedzcie może o swoich ulubionych książkach.

– „Głos i echo” – odpowiada Skylar Zhao, przywołując debiutancką powieść Atheny.

– „Lolita” – mówi Christina, unosząc wyzywająco podbródek.
– Chyba Nabokova.

Albo:

– Czy potraficie wymienić książkę, która stałaby się arcydziełem, gdybyście napisali jej inne zakończenie?

– „Anna Karenina” – mówi Johnson. – W mojej wersji Anna nie popełniłaby samobójstwa.

Następnie wspólnie tworzymy opowiadanie. Każdy uczestnik dokłada po jednym zdaniu i tak w kółko. Kiedy tekst jest gotowy, dokonujemy jego błyskawicznej analizy. Zabawiamy się, interpretując na różne sposoby jedno zdanie z dialogu: „Nie powiedziałem, że powinniśmy go zabić!”.

Kiedy pierwsza godzina zajęć ma się ku końcowi, śmiejemy się już wszyscy i żartujemy, znajdujemy wspólny język. Przystajemy się sobie bać. Spotkanie zamykam, pozwalając im wypytać mnie o wszystko, co wiem o branży wydawniczej – dzieciaki interesuje współpraca z agentami, poszukiwanie wydawcy, a także praca z redaktorem z prawdziwego zdarzenia. Ostatecznie zegar wybija czwartą. Zadaję im pracę domową – proszę, by przereklamowali fragment prozy Dickensa, nie posługując się żadnymi przymiotnikami ani przysłówkami – po czym w dobrych humorach chowają laptopy do plecaków i wstają z miejsc.

– Dzięki, Junie – żegnają się, wychodząc. – Jesteś super.

Każdego z osobna pozdrawiam uśmiechem i skinieniem. Czuję się jak przepełniona mądrością, życzliwa mentorka.

*

Wieczorem wchłaniam pospiesznie przyniesioną ze stołówki sałatkę i wybiegam do najbliższej kawiarni, gdzie zapisuję kilka pomysłów – opisy, eksperymentalne struktury, kluczowe fragmenty dialogów, słowem wszystko, co przychodzi mi na myśl. Piszę tak szybko, że zaczyna mnie boleć ręka. Energia aż we mnie buzuje. Moi uczniowie sprawili, że snucie historii wydaje mi się czynnością tak bogatą,

plastyczną, pełną nieskończonych możliwości. Może moja twórcza machineria nie zepsuła się na dobre. Może naprawdę wystarczy, jeśli przypomnę sobie, jak wielką radością jest tworzenie.

Po mniej więcej godzinnej pisaninie robię sobie przerwę i przyglądam się efektom dotychczasowej pracy. Przerzucam kartki, wypatrując na nich czegoś, co mogłabym rozwinąć w pełnowymiarowy szkic. Teraz jednak, kiedy czytam wszystko uważniej, pomysły nie sprawiają już wrażenia tak nowatorskich i błyskotliwych. Prawdę powiedziawszy, uświadamiam sobie, że to jedynie lekko przerobione koncepcje zaczerpnięte z pisarskich wprawek moich uczniów. Dziewczyna, która mimo świetnych wyników w nauce nie jest w stanie zyskać uznania matki. Chłopak nienawidzący wyniosłego, małomównego ojca dowiaduje się, że za jego emocjonalny chłód odpowiadają koszmarne przeżycia z czasów wojny. Rodzeństwo po raz pierwszy w życiu odwiedza Tajwan, gdzie odnajdują więzi z kulturą przodków, mimo że nie znają ani słowa po chińsku i nie smakuje im lokalna kuchnia.

Zniesmaczona zatraskuję notatnik. Czy naprawdę nie stać mnie na nic więcej? Czy muszę, kurwa, kraść pomysły dzieciakom?

Nic się nie stało, tłumaczę sobie w duchu. Uspokój się. Ważne jest, że napisałaś cokolwiek. To po prostu rozgrzewka, wracam do formy. Nareszcie poczułam w sobie ogień, który zgasł przecież tak dawno temu. Muszę podchodzić do siebie z wyrozumiałością, cierpliwie. Ten płomyk potrzebuje miejsca i czasu, by rozgorzeć na dobre.

Wracając do akademika, zauważam swoich uczniów. Siedzą za oknem Mimi's, jednej z wielu rozsianych w okolicach kampusu kafejek, oferujących bubble tea. Całą dwunastką obsiedli stolik przeznaczony dla sześciu osób, na blacie nie ma skrawka wolnego miejsca. Wygląda na to, że czują się we własnym towarzystwie bardzo swobodnie, pochylają głowy nad laptopami i notesami. Zajęci są pisaniem – być może odrabiają zadanie domowe. Pokazują sobie teksty, zaśmiewają się z co bardziej zabawnych fragmentów, kiwiają z uznaniem głowami, kiedy jedno z nich czyta kawałek na głos.

Boże, jak bardzo mi tego brakuje.

Pisanie już bardzo dawno temu przestałam uważać za aktywność wspólnotową. Wszyscy poważni autorzy, jakich znam,

otaczają swoją pracę wielką tajemnicą, chronią szczegóły twórczych nawyków, zaliczek, ilości sprzedanych egzemplarzy. Nie cierpią ujawniać żadnych detali dotyczących planów na przyszłość. Jeszcze pilniej strzegą informacji o aktualnych projektach, przeraża ich wizja, że ktoś zwędzi im pomysł i opublikuje go jako pierwszy. To świat drastycznie odmienny od tego, jaki pamiętam z czasów studenckich, kiedy razem z Atheną i przyjaciółmi z roku siadywaliśmy późnym wieczorem przy stole w bibliotece i dyskutowaliśmy o metaforach, rozwoju postaci i zwrotach akcji tak długo, że w końcu nie potrafiłam już stwierdzić, które z pomysłów są moje, a które wnieśli do puli przyjaciele.

Być może taką właśnie cenę należy zapłacić za sukces w tym zawodzie: może powodzenie skazuje na życie w izolacji od zawistnych kolegów po fachu. Być może kiedy pisanie staje się motorem osobistej kariery, nie sposób się nim dzielić.

Stoję na ulicy wpatrzona w okno Mimi's zapewne dłużej, niż powinnam. Ze smutkiem przyglądam się opowiadającym dowcipy uczniom. W pewnym momencie Skylar podnosi wzrok i niemal mnie zauważa. Odwracam się w ostatniej chwili i ruszam w kierunku akademika.

*

Następnego ranka przychodzę na zajęcia kilka minut spóźniona. Kolejka w Starbucksie posuwała się naprzód z szybkością średniej wielkości lodowca, a kiedy stanęłam wreszcie przy ladzie, obsługująca, dziewczyna z różowymi włosami i dwoma kolczykami w nosie, przez bite pięć minut zmagала się z systemem, by wprowadzić moje proste zamówienie.

Wszyscy uczniowie siedzą nad laptopem Skylar i chichocą. Nawet nie zauważają, że weszłam.

– Patrzcie – rzuca Skylar. – Tu jest nawet porównanie pierwszych akapitów obu tekstów. Zdanie po zdaniu.

– O ja cięęęęę! – Christina wściubia nos w ekran.

– Jest też analiza dokonana przez sztuczną inteligencję, zobaczcie, tutaj.

Nie muszę nawet pytać. Od razu wiem, że znaleźli blog Adele Sparks-Sato.

– Ich zdaniem „Ostatni front” też został skradziony w całości – zauważa Johnson. – A patrz tu niżej. Wypowiedź byłej pracownicy Eden Press, która twierdzi, że w tej sprawie coś jej śmierdziało od samego początku...

– Myślicie, że naprawdę zabrała tę książkę z domu Atheny? W noc jej śmierci?

– Mój Boże. – Skylar jest naraz zafascynowana i przerażona. – Ależ to diaboliczne.

– Ciekawe... Może ona ją zabiła?

– Boże, nawet mi nie...

– Dzień dobry – chrząkam znacząco.

Podrywają głowy. Wypisz wymaluj stadko wystraszonych królików. Skylar gwałtownie zatrzaskuje pokrywę laptopa. Wchodzę do sali różnym krokiem, staję na swoim miejscu przed nimi, robię wszystko, co mogę, by trzymająca kubek ze Starbucksa ręka nie zaczęła drżeć.

– Jak tam nastroje? – Nie mam pojęcia, po co udaję, że niczego nie zauważyłam.

Przecież oni doskonale wiedzą, że słyszałam rozmowę. Twarze mają jednolicie szkarłatne, nikt nie patrzy mi w oczy. Skylar przesłania usta dłonią, wymienia spanikowane spojrzenia z dziewczyną imieniem Celeste.

– Co? Aż tak źle? Jak tam, Johnson? – zwracam się do chłopaka. – Udało ci się odrobić pracę domową?

Duka w odpowiedzi coś o rozwlekłości stylu Dickensa, dzięki czemu zyskuję trochę czasu i mogę się zastanowić, jak sprawę rozegrać. Mam do dyspozycji podejście uczciwe – mogłabym wtajemniczyć ich w szczegóły całej afery, powiedzieć to samo, co powiedziałam w wydawnictwie, i pozwolić, by sami dokonali oceny. Byłaby to przedmiotowa lekcja ekonomii społecznej branży wydawniczej. Dowiedzieliby się, w jaki sposób media społecznościowe zniekształcają i zaogniają prawdę. Całkiem możliwe, że w efekcie poczuliby do mnie jeszcze większy szacunek.

Ale mogę też dać im nauczki.

– Skylar? – rzucam zdecydowanie ostrzej, niż planowałam. Dziewczyna drga jak trafiona kulą. – To twoje opowiadanie mieliśmy dzisiaj analizować, zgadza się?

– Że...? No... Tak.

– Więc gdzie masz wydruki?

– Znaczący... – Skylar mruga zdziwiona. – Przecież wysłałam wszystkim mailem.

W regulaminie warsztatów zawarłam punkt, w myśl którego autor omawianego na zajęciach tekstu zobowiązany jest przynosić ze sobą fizyczne kopie. Niemniej już w zeszłym roku pracowaliśmy wyłącznie na laptopach i zdaję sobie sprawę, że wyżywianie się na Skylar akurat za to jest nieuczciwe, lecz ten pomysł przyszedł mi do głowy jako pierwszy.

– Znasz regulamin, Skylar. Wyraziłam swoje życzenie bardzo precyzyjnie. Rozumiem, że myślisz, że zasady cię nie dotyczą, ale z takim podejściem w branży nie zajdziesz daleko. Autorzy, którzy mają się za wyjątkowych, zazwyczaj kończą, nagabując redaktorów w toaletach lub wsuwając im rękopisy pod drzwiami.

Nagradza mnie kilka stłumionych chichotów z sali. Twarz Skylar przypomina w tej chwili odcieniem arkusz białego papieru.

– Chciałabyś nagabywać redaktorów w toaletach, Skylar?

– Nie. – Dziewczyna wznosi oczy do nieba. Stara się zgrywać wyluzowaną, lecz w jej głos wkrada się drżenie. – Oczywiście, że nie.

– Świetnie. W takim razie następnym razem przynies wydruki. To samo dotyczy was wszystkich – dodaję i pociągam z kubka długi, satysfakcjonujący łyk herbatki Very Berry Hibiscus. Kolana wciąż mi się trzęsą, ale zwycięstwo w werbalnym starciu natchnęło mnie gorącą falą złośliwej pewności siebie. – No dobrze. Rexy, co myślisz o opowiadaniu Skylar?

– No więc... Ten... – Rexy głośno przełyka ślinę. – Podobało mi się.

– Co sprawiło, że ten tekst przypadł ci do gustu?

– Był... ciekawy.

– „Ciekawy” to przymiotnik, którego używamy zwykle wtedy, gdy nie mamy nic lepszego do powiedzenia. Konkretnie proszę, Rexy.

Ta krótka wymiana zdań decyduje o atmosferze, w jakiej upływa reszta poranka. Dawniej sądziłam, że wyzywający się na

uczniach pedagodzy stanowią odrębny gatunek, że takim potworem trzeba się urodzić. Tymczasem wychodzi na to, że okrucieństwo przychodzi całkiem naturalnie. A w dodatku sprawia mnóstwo frajdy. Nastolatki to przecież w zasadzie niewykształcone osobowości z nierozwiniętymi w pełni mózgami. Ludzie w tym wieku mogą sobie nawet być ponadprzeciętnie inteligentni, ale guzik wiedzą o świecie i bardzo łatwo każdego z nich zawstydzić, choćby wykazując słabość ich nieprzemyślanych uwag i komentarzy.

Najbardziej obrywa Skylar. Pod względem czysto warsztatowym jej opowiadanie – klasyczna historia kryminalna osadzona w chińskiej dzielnicy San Francisco, miejscu, gdzie świadkowie nie chcą współpracować z policją, gdyż każdy z nich skrywa własne tajemnice, a ponadto do milczenia zobowiązuje ich lokalny kodeks honorowy – nie jest wcale złe. Solidna, mocna proza, intrygujący pomysł, a także sprytny zwrot akcji pod sam koniec, zmuszający czytelnika do reinterpretacji wszystkich wcześniejszych wypowiedzi postaci. Jak na licealistkę, godne podziwu. Niemniej w tekście wyraźnie przejawia się brak doświadczenia autorki. Nieporadna momentami ekspozycja, akcja posuwana naprzód za pomocą sztucznie prokurowanych zbiegów okoliczności, niezręczne przejścia pomiędzy dialogami żartobliwymi a pełnymi napięcia. Mogłabym te niedociągnięcia naprostować łagodnie, zachęcając Skylar do samodzielnego wypracowania właściwych rozwiązań.

– A tu? O, proszę. Prawnik pojawia się na miejscu zbrodni zupełnie znikąd. – Stukam palcem w kartkę. – Skylar, czy według ciebie adwokaci rosną na drzewach? A może dysponują pajęczym zmysłem i po prostu wyczuwają małżeńskie scysje w powietrzu?

A potem:

– Czy Chloe i Christophera łączy jakiś pokrecony, kazirodczy związek, czy może to tylko ty uznałaś za stosowne w tak dziwny sposób ukazać relacje tego rodzeństwa?

I jeszcze:

– Czy naprawdę wszyscy Chińczycy z Chinatown znają się osobiście z imienia i nazwiska, czy po prostu doszłaś do wniosku, że takie rozwiązanie pomoże ci skleić fabułę?

Za chwilę:

– Tak się zastanawiam, czy nie można podkreślić napięcia seksualnego obrazem ciut lepszym niż scena rozgryzania truskawki?

I na dokładkę:

– „Wypuściła oddech, choć sama nie zdawała sobie sprawy, że go wstrzymuje”. Serio?

W trakcie tych zajęć udaje mi się przekonać większą część grupy, że opowiadanie Skylar jest do bani – i nie obchodzi mnie, czy naprawdę się ze mną zgadzają, czy po prostu drżą ze strachu na myśl o moim gniewie. Wspólnym wysiłkiem zmiażdżyliśmy jej styl i sposób prowadzenia akcji. Metaforyka okazuje się wtórna, dialogi drewniane (w pewnym momencie zmuszam nawet Johnsona i Celeste, by odegrali jedną scenę, tylko po to, by udowodnić, jak żenująco ta rozmowa brzmi na głos), zwroty akcji zapożyczone ze znanych tekstów popkultury, a co gorsza, dziewczyna nadużywa myślników i średników. Pod koniec sesji Skylar jest bliska łez. Przestała kiwać głową, nie marszczy brwi, w ogóle nie reaguje na kolejne krytyczne komentarze. Siedzi po prostu z rozedrganą dolną wargą, wpatrzona pustym wzrokiem w widok za oknem, nerwowo mnąc pierwszą kartkę swojego zeszytu.

Zwyciężyłam. I jasne, żalodne to zwycięstwo, lecz czuję się zdecydowanie lepiej, niż gdybym miała siedzieć bezradnie, gnębiona ich szyderczymi spojrzeniami.

Gorąca, zjadliwa satysfakcja towarzyszy mi przez resztę poranka. Ostatecznie kończę zajęcia, zadaję pracę domową i patrzę, jak dzieciaki w milczeniu czmychają z sali.

Reagując w ten sposób, dodatkowo pogorszyłam sytuację. Rozumiem to. Teraz będę musiała przez kolejne półtora tygodnia mierzyć się z ich nienawistnymi, pełnymi poczucia wyższości, oceniającymi spojrzeniami. Jestem pewna, że będą mnie bezlitośnie obgadywać aż do końca warsztatów. Bez wątplenia dołączą do internetowego chóru hejterów obsmarowujących Juniper Song. Zdołałam jednak przynajmniej uczynić z siebie monstrum, nie puentę głupiego dowcipu, a na obecnym etapie jestem w stanie z tym żyć.

Kiedy wszyscy już wyszli, sięgam po telefon i googluję: „Candice Lee Juniper Song Athena Liu”. Od rana towarzyszą mi uparcie słowa Johnsona: „Wypowiedź byłej pracownicy Eden Press,

która twierdzi, że w tej sprawie coś jej śmierdziało od samego początku...”.

Strach sprawia, że patrząc na ekran z wynikami wyszukiwania, oddycham coraz płycej. Co takiego ma na mnie Candice?

Jednak w artykule, o którym wspomniał chłopak – kolejnym przebojowym, do bólu przewidywalnym tekście Adele Sparks-Sato – nie znajduję żadnych nowości. Candice nie zdobyła rozstrzygających dowodów, nie wniosła do dyskusji ani jednej poszlaki, której Internet nie zdążyłby już wcześniej przeanalizować i rozebrać na czynniki pierwsze. To zwykły, niewiele znaczący cytat.

Zamykam stronę i dokonuję przeglądu mediów społecznościowych Candice. Konto na Instagramie ma prywatne; ostatnia aktywność na Twitterze datowana jest na marzec. Za to z LinkedIn dowiaduję się, że stosunkowo niedawno podjęła pracę jako asystentka w niewielkim wydawnictwie w Oregonie. Strach blednie i rozwiewa się jak mgła. Nie stało się nic nowego. Moja linia obrony, strategia ostrożnego zaprzeczania, wciąż się trzyma, a wypowiedź Candice nie jest niczym więcej jak pustym gestem, oskarżycielsko wyciągniętym palcem zazdrosnej koleżanki z branży.

Poza tym – Oregon? Nie potrafię się powstrzymać i wiedziona małostkowością googluję. Nowy pracodawca Candice wydaje najwyżej dziesięć tytułów rocznie. Nie słyszałam o żadnej z tych książek, ani jedna nie przebiła pułapu stu recenzji na Goodreads. Połowę z nich trudno w ogóle nazwać powieściami z prawdziwego zdarzenia. Nie sądzę, że są w stanie się z tego utrzymać. Równie dobrze mogłaby pracować w firmie umożliwiającej amatorom wydawanie książek własnym sumptem. W porównaniu z pracą w Edenie upadła bardzo nisko. Bardzo wątpliwe, że dostała tam pełny etat.

Cóż, to w sumie pocieszające, iż na świecie panuje mimo wszystko kosmiczna sprawiedliwość. Sukces jest może maleńki, lecz tylko on pozwala mi wyciszyć szalejącą w sercu furję.

Po południu dzwoni do mnie Peggy Chan.

– Kilkoro uczniów poskarżyło się na twoje zachowanie na dzisiejszych zajęciach – mówi. – June, biorąc pod uwagę, co od nich usłyszałam, zaczynam się martwić...

– Atmosfera rzeczywiście mocno się rozgrzała – odpowiadam.
– Skylar Zhao jest utalentowana, ale kompletnie nie radzi sobie z krytyką. Prawdę powiedziawszy, przypuszczam, że być może dzisiaj po raz pierwszy musiała zmierzyć się z faktem, że jej proza nie jest tak genialna, jak sądziła.

– Czyli nie powiedziałaś nikomu nic niestosownego?

– Nie przypominam sobie.

– June, kilka osób twierdzi, że znęcałaś się nad Skylar z premedytacją. Na tych warsztatach stosujemy bardzo ściśle zasady. Pewnych rzeczy, które możemy mówić dorosłym, nie wolno mówić licealistom. To delikatne i kruche...

– O tak, w ich kruchość nie śmiałybym wątpić.

– June, jeżeli masz chwilę, chciałabym porozmawiać u siebie w biurze...

– Prawdę mówiąc, Peggy... – urywam z westchnieniem. Przebiegam w myślach ewentualne usprawiedliwienia. Skylar jest nadwrażliwa, zmyśla, to ona mnie sprowokowała, nastawiła przeciwko mnie całą grupę. Zaraz potem jednak dokonuję bilansu sytuacji i dociera do mnie, że jest skrajnie żałosna. Nie muszę toczyć wojny z siedemnastolatką, nie będę się z nią spierać, kto co powiedział i kto zaczął. Jestem na to za duża i za poważna. – Obawiam się, że nie będę mogła doprowadzić tych zajęć do końca – wypalam. – Przepraszam, rozumiem, że to dość niespodziewane. Chodzi o moją matkę... Dowiedziałam się właśnie, że ma kłopoty zdrowotne...

– Och, June... Bardzo mi przykro.

– ...już od pewnego czasu wypytywała, czy nie mogłabym jej odwiedzić, ale odkładałam tę sprawę ze względu na pracę, a ostatnio pomyślałam sobie, że mama nie jest przecież wieczna i... – milknę w pół zdania, zdumiona własnym tupetem. Matka nie choruje. Jest zdrowa jak ryba. – Bardzo możliwe, że to właśnie ten stres wpłynął na moje zachowanie, za co serdecznie cię przepraszam...

– Rozumiem. – W głosie Peggy nie słyhać nawet cienia podejrzliwości. Odnoszę wręcz wrażenie, że gorąco moją decyzję popiera. Być może liczyła w duchu, że sama zrezygnuję.

– Przepraszam, że tak was zostawiam... – dodaję nieszczerze.

– Oj tam, jakoś sobie poradzimy. Znam kilku pisarzy z okolicy. Tylko trzeba będzie znaleźć jakieś zastępstwo na jutro. Może poproszę Rachel z biura... – milknie na moment. – Tak czy siak, damy radę. Twoim uczniom powiemy, że w dokończeniu warsztatów przeszkodziły ci ważne sprawy rodzinne. Na pewno będą rozczarowani, ale przecież rozumiem ją.

– Dziękuję, Peggy. Naprawdę jestem ci bardzo zobowiązana. I raz jeszcze przepraszam za kłopot.

– Trzymaj się, June. Życzę mamie wiele zdrowia.

Rozłączam się, po czym rzucam na łóżko z głębokim westchnieniem ulgi. Rozmowa nie należała do najprzyjemniejszych, ale na szczęście jestem już wolna. Czytałam kiedyś, że Azjaci są tak uprzejmi, ponieważ w myśl zasad ich kultury każdemu należy pozwolić zachować twarz. W głębi ducha mogą oceniać innego człowieka jak najgorzej, lecz swym zachowaniem nie uczynią nic, co mogłoby urazić jego dumę.

Dziewiętnaście

Ostatecznie i tak odwiedzam matkę. Mama mieszka na przedmieściach Filadelfii – na tyle blisko Bostonu, że mogę wskoczyć do pociągu i pojawić się u niej już następnego dnia około południa. Adres musiałam wygrzebać w czeluściach komórki – nie byłam u niej od lat. Widujemy się jedynie z okazji Bożego Narodzenia i Święta Dziękczynienia na rodzinnych zjazdach u Rory. Jestem pewna, że ta nagła i niespodziewana wizyta wynika z mojego poczucia bezbronności, strachu i dziecinnej regresji. Równie pewna jestem, że po wstępnej wymianie uścisków i czułych słówek bardzo szybko swojej decyzji pożałuję. Wiem, że kiedy przebrzmiał wszystkie „ależ się wyęskniłam!” i „świetnie wyglądasz!”, usłyszę te same trącące nadopiekuńczością, wygłaszane protekcjonalnym tonem teksty, które w przeszłości zwykle przeradzały się w karczemne awantury. I błyskawicznie znowu znajdę się w pociągu z biletem powrotnym do Waszyngtonu. Tymczasem jednak chcę po prostu pobyc w towarzystwie kogoś, kto nie czuje do mnie nienawiści tylko dlatego, że tak wypada.

Kiedy podjeżdżam taksówką, mama czeka już na ganku. Zadzwoniłam przed kilkoma godzinami i zapytałam, czy nie mogłabym do niej na pewien czas przyjechać. Zgodziła się, nie pytając nawet, co się dzieje. Ciekawe, jak wiele do niej dotarło, czy wie, że moje imię zostało w Internecie nieodwracalnie zmieszane z błotem.

– Cześć, Junie. – Mama zamyka mnie w objęciach i już sam jej dotyk sprawia, że czuję w oczach piekące łzy. Bardzo dawno nikt mnie nie przytulał. – Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście... Wiesz, prowadziłam takie warsztaty w Bostonie, a że właśnie się skończyły, pomyślałam, że przed

powrotem zjrzą na trochę do ciebie.

– Wiesz przecież, że zawsze możesz przyjechać. – Mama odwraca się i wchodzi za nią do środka.

Nie pyta, jak mi poszło na warsztatach. Kiedy byłam młodsza, jej rażący brak zainteresowania wszystkim, co choć trochę wiązało się z pisaniem, zawsze bardzo mnie bolał, dzisiaj jednak okazuje się kojący.

– Uważaj na próg... Przepraszam, mam straszny bałagan.

Droga do kuchni usłana jest wypełnionymi do połowy kartonami, na podłodze leżą koce, przewiązane sznurkiem pliki gazet i ręczniki.

– Co się tu właściwie dzieje?

– Pakuję część szpargałów, żeby wywieźć je z domu... Uważaj na te wazon! Człowiek z biura nieruchomości twierdzi, że mniej zapchane wnętrza lepiej się prezentują.

– Sprzedajesz dom? – pytam, okrążając stado białych, ceramicznych kotów.

– Zbierałam się do tego już jakiś czas – tłumaczy mama. – Chcę wrócić do Melbourne. Żeby być bliżej dziewczyn. Cheryl kupuje dla mnie w tym tygodniu mieszkanie. Będę mieć kilka pokoi gościnnych. Możesz wpadać, kiedy zechcesz. Rory ci nie wspominała?

Nie, nie wspominała. Wiedziałam, że po śmierci ojca mama myślała o powrocie na Florydę, zdawałam sobie sprawę, że Filadelfia stanowi dla niej kompromis, na który poszła, ponieważ w pobliżu mieszkali dziadkowie. Nigdy jednak nie traktowałam poważnie możliwości, że ten budynek naprawdę przestanie być naszym domem.

Z drugiej strony, Rory nigdy nie była do tego miejsca szczególnie przywiązana. To ja miałam obsesję na punkcie rosnących w ogrodzie jaworów, między których korzeniami ukrywałam się i wymyślałam najrozmaitsze historie na długo po tym, jak siostra uznała, że czas wrócić do prawdziwego świata.

– Spakowałaś już mój pokój?

– Dopiero zaczęłam – odpowiada mama. – Większość twoich gratów chciałam zamknąć w przechowalni, ale może zobacz, czy coś ci się nie przyda? A teraz daj mi chwilę. Chcę zabezpieczyć całą tę porcelanę. A potem spotkamy się na kolacji.

– Tak?... Och, pewnie. Dobra.

Przed wejściem na górę przystaję chwilę na schodach. Czekam, żeby zapytała mnie, co się dzieje; żeby matczyzna intuicja podszeptała jej, że spotkało mnie coś bardzo złego. Mama jednak zdążyła już skupić się na tych głupich, ceramicznych kotach.

*

Zeszyty czekają dokładnie tam, gdzie je zostawiłam: ułożone na regale z książkami w równiutkie stosiki po pięć sztuk. Na każdym widnieje moje nazwisko, rok, numer telefonu i informacja o znalezonym w wysokości dziesięciu dolarów, które wypłacę w razie zwrotu zguby. W kolekcji nie ma ani jednego moleskine’a – zawsze notowałam wszystko w akademickich zeszytach w linie, takich, jakie przed rozpoczęciem roku szkolnego kupuje się w Walmarcie po dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Moje wysnione światy.

Układałam je na podłodze. Dawniej stanowiły esencję mojego życia, to w nich egzystowałam naprawdę. Pełno w środku bazgrołów, rysunków, które kreśliłam na zajęciach, zamiast słuchać. Są też pełnoprawne szkice, którymi zabawiałam się po lekcjach; niedokończone sceny, pomysły na opowiadania, a nawet skrawki dialogów. Żaden z tych wysnionych światów nie przerodził się w gotowy, w pełni uformowany produkt – w tamtych latach brakowało mi dyscypliny i warsztatu, pozwalającego napisać rasową powieść. Zeszyty zawierają raczej coś w rodzaju szwedzkiego stołu zarysów i koncepcji, na poły ukształtowanych wrót do innych światów, w których nurzałam się całymi godzinami, kiedy nie chciałam żyć w świecie prawdziwym.

Z uśmiechem na ustach przerzucam kolejne stronicie. Moje pomysły z tamtych czasów, zwykle literatura fanowska, były tak uroczo wtórne. Szósta klasa: miałam wtedy zajawkę na sagę „Zmierzch” i ewidentnie kochałam się w Alice Cullen, ponieważ raz po raz opisywałam bohaterkę z identyczną, nieposłuszną prawu grawitacji fryzurą. Dziewiąta klasa: faza emo, czego świadectwem są teksty piosenek Evanescence i Linkin Park. Wtedy bawiłam się już w rysowanie i w zeszytach pojawiły się pejzaże gotyckich,

antyutopijnych metropolii, w których dzieciaki śmigają na latających deskorolkach, a wszyscy noszą przydługie, opadające na oczy, czarno-białe grzywki i sięgające za łokieć rękawiczki bez palców.

W dziesiątej klasie ważnym źródłem inspiracji musiała być dla mnie Ayn Rand, ponieważ zaczęłam pisać sążniste teksty, których bohaterem był niejaki Howard Sharp, mężczyzna niekłaniający się nikomu, obdarzony niezachwianym poczuciem dumy, będący „samotnym w zakłamanym świecie wyznawcą kultu prawdy”.

Przeglądałam te zeszyty przez resztę popołudnia. Poczucie czasu odzyskuję dopiero, kiedy od strony schodów dolatuje mnie wołanie mamy, która pyta, czy możemy na kolację zamówić coś na dowóz. To wtedy zauważam, że słońce zdążyło już zająć. Zatraciłam się w dawnych światach na dobre kilka godzin.

Odpowiadam, że możemy zamówić, po czym rozglądam się za kartonem na zeszyty. Zabiorę je do siebie i zmagazynuję w szafie, skąd być może będę je wyciągać w chwilach nostalgii. Obecnie nie przydadzą się na nic – żadnego z tych pomysłów nie przerobię na gotowy do sprzedaży tekst. Będą mi jednak przypominać, kiedy poczuję taką potrzebę, że pisanie nie zawsze prowadzi jedynie do przygnębienia.

Boże, jak tęsknię za czasami liceum. Wtedy, za każdym razem, gdy otwierałam zeszyt i spoglądałam na czystą kartkę, widziałam na niej potencjał, nie frustrację. Wtedy budowanie zdań ze słów, akapitów ze zdań i słuchanie ich brzmienia sprawiało mi prawdziwą radość. Wtedy pisanie było aktem działania czystej, nieskrępowanej wyobraźni, siły przenoszącej mnie zupełnie gdzie indziej, tworzącej światy istniejące wyłącznie dla mnie.

Tęsknię za pisaniem takim, jakim było, zanim poznałam Athene Liu.

Wystarczy przekroczyć próg profesjonalizmu, a pisanie nagle przeistacza się w dziedzinę zawodowej zazdrości, niejasnych budżetów reklamowych oraz zaliczek niższych od tych, jakie otrzymują piszący rówieśnicy. Pojawiają się redaktorzy, którzy brutalnie przerabiają słowa i wizję autora. Zaczyna się roić od fachowców od marketingu, nakłaniających do przemielenia setek stron wyważonych, zniuansowanych refleksji na urocze, skrócone i przykrojone do potrzeb Twittera haselka. Pojawiają się czytelnicy

i ich oczekiwania wpływające nie tylko na historie, lecz na poglądy polityczne i filozoficzne autora, na wyznawaną i stosowaną przez twórcę etykę. A wtedy to pisarz staje się produktem, nie jego dzieło – sprzedaje się wygląd, błyskotliwość, cięte komentarze i sojusze zawierane z tym czy innym internetowym plemieniem przy okazji dyskusji, które w prawdziwym świecie nie obchodzą zupełnie nikogo.

A kiedy człowiek zacznie pisać tak, by zaspokoić szeroko pojęty rynek, przestają być istotne te najważniejsze opowieści, te, które płoną żywym ogniem w jego sercu. Liczy się tylko to, co chce zobaczyć publiczność, której nie interesują wewnętrzne rozterki zwykłej, heteroseksualnej, białej dziewczyny z Filadelfii. Czytelniczki łakną tego, co nowe i egzotyczne, pragną różnorodności i jeżeli chcą utrzymać się na fali, taki właśnie towar muszą im dostarczyć.

*

Mama zamawia kolację z Wielkiego Muru, lokalnej chińskiej knajpki.

– Niedawno się otworzyli – opowiada, kiedy siadam przy stole. – Koszmarna obsługa, za żadne skarby już tam nie pójdę. Żeby przynieśli mi wodę, musiałam trzy razy prosić. Ale dostarczają szybko, a ich pomarańczowy kurczak jest smaczny. – Otwiera pudełko z ryżem i stawia je przede mną. – Lubisz chińszczyznę, prawda?

Nie mam serca tłumaczyć, że to Rory lubi chińską kuchnię, na myśl o której mój żołądek zawsze się burzy, zwłaszcza od dnia tego katastrofalnego spotkania w Rockville.

– Tak, pewnie.

– Zamówiłam ci Potrójnego Budę. Nadal jesteś wegetarianką?

– A, tylko czasami, ale nic nie szkodzi – odpowiadam, rozłamując pałeczki. – Dzięki.

Mama kiwa głową, nakłada sobie na talerz trochę smażonego ryżu z wieprzowiną i zaczyna jeść.

Nie mówimy zbyt wiele. Nasze wzajemne stosunki zawsze tak się układały – albo łagodne milczenie, albo zaciekle kłótnie. Żadnej pośredniej codzienności, brak wspólnych zainteresowań, o jakich mogłybyśmy swobodnie pogadać. Ostatnie resztki dzikości wyparowały z mamy jeszcze w latach osiemdziesiątych, kiedy paliła trawkę, jeździła po kraju za ulubionymi zespołami i nadawała córkom imiona w rodzaju Juniper Song oraz Aurora Whisper. Po śmierci taty wróciła do pracy i przekształciła się w uosobienie amerykańskiego ideału samotnej, pracującej mamy: stuprocentowa obecność w biurze; stuprocentowa frekwencja na zebraniach szkolnych, oszczędności pozwalające mnie i Rory ukończyć studia na porządnych uczelniach z minimalnym długiem studenckim, a jej życie spokojnie na emeryturze. Wygląda na to, że wymogi tego stylu życia nie pozostawiły miejsca na kreatywność. Stała się jedną z tych białych matek z przedmieścia, które przy kasie w spożywczym wrzucają do koszyka czasopisma o dekoracji wnętrz; które całymi skrzynkami piją wino kupowane za cztery dolce w markecie; które „Zmierzch” nazywają „tymi książkami o wampirach” i które od dziesiątek lat nie przeczytały nic poza gazetką promocyjną z Costco.

Mama zawsze znacznie lepiej dogadywała się z Rory. Ze mną natomiast przez całe życie nie bardzo wiedziała, co robić. To ojciec dotrzymywał mi kroku na drodze, którą wytyczała moja wyobraźnia. Ale o tacie nie rozmawiamy.

Przez jakiś czas siedzimy bez słowa, jemy sajgonki i kawałki smażonego kurczaka, który okazuje się słodki jak niejeden cukierek. Ostatecznie milczenie przerywa mama.

– A jak tam twoje, no, pisanie książek?

Odkąd pamiętam, potrafiła jednym obojętnym pytaniem zredukować wszystkie moje aspiracje do poziomu trywialnej obsesji.

– No wiesz, w porządku. – Odkładam pałeczki.

– O, to dobrze.

– Cóż, szczerze mówiąc, mam trochę... – Chcę jej powiedzieć, dlaczego przez kilka ostatnich miesięcy czułam się tak fatalnie, ale nie mam pojęcia, od czego zacząć. – Przechodzę trudny okres. Nie wiem, o czym pisać. Brakuje mi pomysłów.

– Znaczy brak ci weny?

– Można tak powiedzieć. Z tym że zazwyczaj, kiedy nie dopisuje mi inwencja, uciekam się do rozmaitych sztuczek. Są takie ćwiczenia pisarskie, słucham muzyki, dużo spaceruję i takie tam. Teraz nic z tego nie pomaga.

– No cóż. – Mama odsuwa na bok kilka kawałków mięsa i wylawia z talerza kandyzowany orzeszek. – Może to znak, że czas zająć się czymś innym.

– Mamo...

– Ja tylko mówię. Przyjaciółka Rory bez problemu może cię wciągnąć na te studia. Wystarczy, że wypełnisz papiery.

Mama przy każdym spotkaniu w ciągu czterech ubiegłych lat sugerowała, bym zrobiła magisterkę z podatków i księgowości na American University. Posunęła się do wydrukowania i wysłania mi pocztą kopii zgłoszenia. Zrobiła to wtedy, gdy mój debiut okazał się klapą i żeby się utrzymać, musiałam przygotowywać dzieci do egzaminów.

– Powtarzam ostatni raz. Nie chcę być księgową.

– A co w tym złego?

– Tłumaczyłam ci przecież. Nie chcę pracować w biurze, jak ty czy Rory...

Wiem, co usłyszę za moment. Przerzucamy się tymi samymi argumentami i kontrargumentami od lat.

– Że niby za dobra jesteś do biura? Junie, absolwentka wielkiego Yale, nie chce kłaść się ciężką pracą jak przeciętny śmiertelnik?

– Mamo, przestań.

– Rory ma za co utrzymać rodzinę. Rory ma konto emerytalne...

– Ja zarabiam więcej, niż potrzebuję – syczę. – Wynajmuję mieszkanie w Rosslyn. Mam ubezpieczenie. Kupiłam sobie nowy laptop. Podejrzewam, że mam więcej pieniędzy niż Rory, a nawet...

– Więc w czym problem? Dlaczego ta następna książka jest tak ważna?

– Nie mogę wiecznie odcinać kuponów od poprzednich książek – wyjaśniam z pełną świadomością, że ona i tak nie zrozumie. – Muszę znów napisać coś dobrego. A potem jeszcze raz. W przeciwnym wypadku ludzie przestaną mnie czytać, sprzedaż

spadnie i wszyscy o mnie zapomną. – Kiedy słyszę to wszystko wypowiedziane na głos, zbiera mi się na płacz. Nie miałam pojęcia, jak bardzo się tego boję: anonimowości, zapomnienia. – A potem, kiedy umrę – dodaję, pociągając nosem – okaże się, że nic po mnie nie zostało, że świat jest taki jak przedtem. Będzie tak, jakbym nigdy nie istniała.

Mama mierzy mnie przeciągłym spojrzeniem. Po długiej chwili kładzie mi rękę na ramieniu.

– Junie, świat nie kończy się na pisaniu. Istnieje masa zawodów, których nie przyplącałabyś bezustannym cierpieniem. Tylko to próbuję ci przypomnieć.

Nie, przecież właśnie nie ma świata poza pisaniem. Jak mam jej to wytłumaczyć? Nie mogę przestać. Muszę tworzyć. To jak fizyczna potrzeba, pragnienie, coś jak oddychanie, jak jedzenie; kiedy idzie dobrze, sprawia mi rozkosz większą niż seks. A kiedy idzie źle, nie cieszy mnie nic innego. Tata w wolnych chwilach grywał na gitarze, on rozumiał. Muzyk musi mieć słuchaczy, pisarz potrzebuje czytelników. Chcę poruszać ludzkie serca. Chcę, by moje książki trafiały na półki księgarń całego świata. Nie mogłabym być taka jak mama czy Rory, nie zniosłabym tego ich małego, ograniczonego życia, pozbawionego wielkich projektów i perspektyw pozwalających znajdować w sobie energię, by przechodzić z jednego rozdziału do następnego. Chcę, by świat z zapartym tchem czekał na moje słowa. Chcę, by to, co powiem, przetrwało na zawsze. Chcę stać się wieczna, trwała; chcę, by kiedy odejdę, pozostały po mnie całe góry stron, z których rozlegnie się wołanie: była tu Juniper Song, żyła wśród nas i opowiadała nam o sobie.

Tylko że sama już nie wiem, co chciałabym opowiedzieć. I nie jestem pewna, czy kiedykolwiek wiedziałam. Przeraża mnie, że jedynym, za co zostanę zapamiętana, jedyną metodą, pozwalającą mi napisać coś naprawdę dobrego, jest wcielenie się w cudzą skórę.

Nie chcę być zaledwie manekinem ożywianym przez ducha Atheny.

– Mogłabyś pójść do pracy u ciotki Cheryl – podpowiada mama, nieświadoma targających mną rozterek. – Ona nadal szuka asystentki. Mogłabyś wyprowadzić się z Waszyngtonu, to i tak za

drogie miasto do życia. Pojedź ze mną do Melbourne. Zarabiasz tyle, że spokojnie kupisz sobie dom w Suntree. Wiem, bo Rory mi pokazała...

– Oglądałyście moje papiery podatkowe? We dwie? – Opada mi szczęka.

– Po prostu planowałyśmy twoją przyszłość. – Mama, zupełnie nieskrępowana, wzrusza ramionami. – Odłożyłaś taką sumę, że mądrze byłoby zainwestować w nieruchomości. Cheryl wytypowała nawet kilka przyzwoitych domów...

– Jezu, przecież właśnie dlatego... – Biorę głęboki wdech, zmuszam się do zachowania spokoju. Mama jest taka sama, odkąd byłam dzieckiem. Zmienić ją mógłby teraz najwyżej przeszczep mózgu. – Nie chcę o tym dłużej rozmawiać.

– Junie, trzeba myśleć praktycznie. Jesteś młoda, masz środki. Musisz je wykorzystać...

– Dobra, przestań już, proszę – warczę. – Wiem, że nigdy nie popierałaś mojej kariery literackiej...

– Jak to? – Matka kręci głową. – Oczywiście, że popierałam.

– Nie, nieprawda. Od początku krzywo na to patrzyłaś. Odkąd pamiętam, uważałaś, że to głupi pomysł. Rozumiem...

– O nie, Junie. Ja po prostu wiem, jak wygląda świat artystów. Nie wszystkim się udaje... Nie każdy osiąga sukces. – Mama gładzi mnie po czubku głowy, tak samo jak kiedy byłam małą dziewczynką, ale dzisiaj nie pociesza mnie w ten sposób ani trochę. Taki gest między dwiema kobietami stanowi jedynie przejaw protekcjonalności. – A ja nie chcę patrzeć, jak cierpisz.

Dwadzieścia

Dwa dni później jestem już z powrotem w Waszyngtonie. Nie mam ani jednego pomysłu na książkę i kompletnie nie wiem, co robić.

Kiedy ma się jakiś konkretny projekt, możliwość pisania na pełny etat wydaje się darem prosto z niebios. Jednak gdy człowiek cierpi na niedostatek inwencji, upływające godziny duszą i oskarżają. Czas powinien nieubłaganie śmigać nade mną – pochyloną nad laptopem, wpatrzoną dzikim wzrokiem w ekran pisarką, opętaną przez muzę, pochłoniętą tworzeniem opus magnum. Zamiast tego sekunda wlecze się niemilosiernie za sekundą.

Nie mam nic do roboty. Nie mam o czym pisać, nie mam w co włożyć rąk. Najczęściej zabijam czas drobnymi pracami domowymi i odliczam godziny do kolejnego posiłku, będącego jedyną przyjemną przerwą w monotonii. Podleвам kwiaty. Ustawiam kubki w szafce. Rytuał konsumpcji odgrzanej w mikrofalówce lazanii udaje mi się rozciągnąć na pół godziny. Zazdroszczę baristom ze Starbucksa, sprzedawcom z księgarni Kramers – wszyscy oni przynajmniej mogą wypełniać swoje dni szanowaną, choć prostą pracą.

Raz po raz wchodzę na strony rozmaitych szkół i studiów podyplomowych. Nie ograniczam się do jednej działki – biorę pod uwagę wszystko: prawo, edukację, pracę socjalną, nawet księgowość. Każda z tych dziedzin staje się bramą do całkowicie innego życia, do którego wstępem ma być stosownie długi okres kształcenia, kiedy prowadzona za rączkę przez wykładowców nie musiałabym nawet samodzielnie myśleć.

Zastanawiam się nawet nad powrotem do Veritas College, po to jedynie, by mieć cokolwiek do roboty. Jednak za każdym razem, gdy sięgam po telefon, moja determinacja natychmiast gdzieś się

ulatnia. Powiedziałam szefowi, że odchodzę, by realizować marzenia. Nie zniosłabym, gdyby zapytał, dlaczego chcę wrócić.

Noce najczęściej spędzam skulona w łóżku, z nosem wlepionym w ekran telefonu, szukając w sieci wzmianek o sobie i swoich książkach, po to tylko, by poczuć echo emocji z czasów, gdy byłam ulubioną bohaterką literackiego świata. Czytam stare artykuły o sobie: ten z „Publishers Weekly”, gdzie nazwano mnie „wrażliwą i przenikliwą”, notkę z „New Yorkera”, której autor określił mnie „najlepiej zapowiadającym się pisarskim talentem”. Raz po raz wracam na Goodreads, do najbardziej entuzjastycznych recenzji „Ostatniego frontu” i „Matki wiedźmy”, i usiłuję przypomnieć sobie czasy, kiedy ludzie naprawdę chętnie mnie czytali.

A kiedy zaczyna mnie to nużyć – zazwyczaj gdy wskazówki zegara podkradają się w okolice północy – oddaję się lekturze wszystkich negatywnych opinii.

Dawniej, wchodząc na Goodreads, ustawiałam filtr tak, by pokazywał mi wyłącznie pięciogwiazdkowe recenzje, którymi karmiłam się zawsze, gdy potrzebowałam podbudować ego. Teraz jednak skaczę na główkę w odmęty jadu. Przypomina to trochę uciskanie krwawiącego wrzodu, testowanie własnej odporności na ból, ponieważ kiedy człowiek pozna swoje możliwości, zyskuje pewien rodzaj kontroli.

Jednogwiazdkowe recenzje nie zaskakują mnie niczym nowym.

Gdybym miał ukraść powieść, ukradłbym lepszą LOL.

Chcę tylko napisać, June Hayward, wal się na ryj!

Nie czytałam tej książki, ale zostawiam jedną gwiazdkę, ponieważ autorka jest plagiatorką, złodziejką i rasistką.

Trzy gwiazdki odejmuję za scenę z Annie Waters.

Leżę tak noc w noc, godzinami taplając się w błocie okrucieństwa, jakim obrzucił mnie Internet. Muszę przyznać, że przynosi mi to specyficzne, perwersyjne katharsis. Lubię koncentrować te negatywne emocje i chłonać je wszystkie

jednocześnie. Pocięszam się myśleć, że gorzej już nie będzie, całkiem zresztą dosłownie. Od czasu do czasu zdarza mi się snuć rozmaite wizje literackiego odkupienia. A gdybym tak zaczęła błagać hejterów o przebaczenie? Gdybym, zamiast iść w zaparte, do wszystkiego się przyznała i spróbowała naprawić winy?

W „Medium” znajduję artykuł Diany Qiu, zatytułowany: „June Hayward musi wszystko wynagrodzić i powiem wam jak”. Tekst zawiera dwunastopunktową listę. Oto jej fragmenty:

Przedstawić publicznie dowód, że wzięła udział w szkoleniu wrażliwości antyrasistowskiej.

Przekazać całość dochodów z „Ostatniego frontu” i „Matki więdźmy” na rzecz organizacji charytatywnej, wskazanej przez obiektywną komisję złożoną z autorów azjatyckiego pochodzenia.

Upublicznić zeznania podatkowe z ostatnich trzech lat, co pozwoli wszystkim stwierdzić, ile zarobiła dzięki pracy Atheny Liu.

Zeznania podatkowe? Ona tak, kurwa, na poważnie? Za kogo ta laska się uważa? Życie pariasa zniosę. Ale ugiąć się, pozbyć całych oszczędności, paść na twarz i płaszczyć się przed rechocącym z pogardą, zadowolonym z siebie twitterowym motłochem? Po moim trupie.

Pewnego wieczora trafiam na ukryty pośród całego tego gówna, zadziwiająco przemyślany drobiazg. Pochodząca sprzed dwóch miesięcy recenzja „Ostatniego frontu”, długa na tyle, że mogłaby się stać samodzielnym artykułem. W jej przedostatnim akapicie czytam:

Odsuwając na bok kwestię internetowej dramy, problem autorstwa „Ostatniego frontu” wydaje mi się niezwykle interesujący. O ile Hayward nie opublikuje szczegółowego i uczciwego oświadczenia, nigdy nie poznamy pełnej prawdy o kulisach powstania tej książki. Wnikliwa lektura prowadzi jednak do wniosku, że tekst ten istotnie nie ma jednego

autora. Sposób podejścia do głównych motywów powieści sprawia wrażenie schizofrenicznego. Moralizatorskie oburzenie faktem zatarcia prawdy o Chińskim Korpusie Pracy jest miejscami tak silne, że aż spływa z kartek. Gdzie indziej natomiast znajdujemy dokładnie tego rodzaju romantyczne banalizowanie, z jakiego krytyką mamy do czynienia w innych fragmentach. Jest to zatem albo niebywale przebiegła manipulacja czytelnikiem, albo to, co podejrzewamy – niedokończona powieść jednej pisarki, którą uzupełniła i wydała inna.

Zaintrygowana podnoszę się i siadam na posłaniu. Kto to mógł napisać? Wchodzę na profil autora recenzji, lecz nick nie zdradza za wiele: daisychain453. Zdjęcia brak. Żadnych przyjaciół ani obserwujących, których bym kojarzyła. Poprzednie recenzje – podobnie wyważone ujęcia powszechnie znienawidzonych książek w rodzaju „Służących” czy „Amerykańskiego brudu” – stanowią fascynującą lekturę, lecz nie znajduję w nich wskazówek co do tożsamości autora. Najbardziej przerażające jest dla mnie wrażenie, że zagadkowy recenzent doskonale mnie zna. Wcześniejsze fragmenty tekstu o „Ostatnim froncie” są napisane tak inteligentnie, tak przenikliwie rozpatrują zastosowane w tekście techniki, że zastanawiam się, czy ta osoba nie miała przypadkiem dostępu do maili mojej redaktorki. A może to ktoś, kto pracował w Eden Press?

Najbardziej jednak zapada mi w pamięć ostatni akapit:

Jak dotąd nikt z zabierających w sprawie głos nie dotknął problemu relacji, jaka łączyła Liu i Hayward. Wszelkie poszlaki wskazują, że rzeczywiście się przyjaźniły, choć kradzież od przyjaciela jest, przynajmniej, rzeczą straszną. Czyżby zatem chodziło o prymitywną zazdrość? Czy Hayward może być – och! – w jakikolwiek sposób odpowiedzialna za śmierć Liu? Czy próbowała w pewien spaczony sposób złożyć hołd znajomej rywalce? A może naprawdę jest całkowicie niewinna? Jakkolwiek wygląda prawda, chętnie kupiłbym i przeczytał powieść poświęconą wyłącznie tej sprawie.

Mam nowy projekt.

Kiedy się budzę, znajduję w głowie gotowy, w pełni ukształtowany pomysł, stworzony przez moją podświadomość w trakcie kilku godzin niespokojnego snu. Tak, znalazłam wyjście: widzę przed sobą drogę ku literackiemu odkupieniu, która zaprowadzi mnie zarazem ku kolejnemu wielkiemu sukcesowi. Rozwiązanie jest oczywiste i czekało na mnie od bardzo dawna. Trudno uwierzyć, że wpadłam na nie dopiero teraz.

Nie będę unikać kontrowersji. To właśnie takie nastawienie mnie hamowało – aż do dzisiaj żyłam w przeświadczeniu, że moje pisarskie zmartwychwstanie odbędzie się w oderwaniu od pamięci o Athenie Liu.

Nie mogę jednak po prostu zapomnieć i żyć dalej. Nikt nie pozwoli mi zapomnieć, z pewnością nie duch Atheny. Nie pozbędę się jej wpływu, nie wyciszę otaczających ją, nas, plotek. Przeciwnie, muszę się z nimi zmierzyć twarzą w twarz.

Napiszę o nas. No, nie do końca – stworzę fikcyjną wersję nas obu, napiszę pseudoautobiografię, w której wymieszam prawdę ze zmyśleniem. Noc jej śmierci opiszę ze wszystkimi rozdzierającymi serce, przejmującymi i drastycznymi szczegółami. Napiszę o tym, jak ukradłam i wydałam jej książkę. Opiszę każdy krok swojej wędrówki na literacki szczyt, a następnie opowiem o przerażającym upadku. Uczeni literaturoznawcy będą mieć używanie. Całe tomy powstaną o tym, jak przebiegle połączyłam kłamstwa z faktami, jak zręcznie wykorzystałam krążące na mój temat plotki, jak paskudne pomówienia dotyczące pięknej przyjaźni przekształciłam w opowieść zmuszającą czytelnika do konfrontacji z własnym chorym uwielbieniem dla skandalu i zniszczenia. Okrzykną tę książkę radykalną. Przełomową. Nikt przedtem – napiszą – nie wystąpił tak zdecydowanie przeciwko oczekiwaniom krytyki i publiczności.

Umiejętnie wplotę też elementy safickie. Czytelnicy będą wniebowzięci; historie miłosne spod znaku LGBT są teraz szalenie modne. Jeżeli doprawię całość kropelką dziewczęcego zadurzenia, TikTok posika się ze szczęścia. Może nakręcą o nas film. Mnie zagra Florence Pugh. W Athenę wcieli się ta dziewczyna z „Bajecznie bogatych Azjatów”. Ścieżka dźwiękowa będzie się składać wyłącznie z muzyki klasycznej. Zgarnę wszystkie możliwe nagrody.

A kiedy skandal ulegnie transformacji i zastygnie w formie powieści, kiedy wszystkie paskudne, niepotwierdzone plotki na mój temat zostaną przegnane i bezpiecznie zamknięte za bramą królestwa fikcji, wtedy nareszcie odzyskam wolność.

Jestem tak rozemocjonowana, że ledwie się powstrzymuję, by nie napisać do Danielli teraz, natychmiast. Ona jednak ma w tej chwili na głowie własną gównoburzę. Ktoś anonimowy udzielił „Publishers Weekly” wywiadu, w którym stwierdził, że Daniella na spotkaniach bardzo często okazuje się religijną dewotką. („Mamy już mużułmańskiego pisarza” – powiedziała podobno pewnego razu. „Jeżeli zdecydujemy się na kolejnych, okaże się, że jesteśmy w mniejszości”). Eden zareagował całkowitym milczeniem. Z kolei Daniella wysłała do wszystkich współpracujących z nią autorów mail:

Jestem całym sercem oddana ideom różnorodności, równości i inkluzji, które staram się wspierać na wszystkich polach zawodowej działalności. Zacytowane w wywiadzie wypowiedzi zostały wyrwane z kontekstu i przekazane prasie przez osobę, której główną motywacją jest, jak sądzę, skierowana przeciwko mnie osobista vendetta.

Słyszałam ostatnio, że przekazała pewną sumę działającej na Środkowym Zachodzie fundacji zbierającej środki na kaucje dla aresztowanych. Ciekawe, choć nie w pełni rozumiem, jakie ten gest ma przełożenie na problem zarzucanej jej islamofobii.

Nie jestem tym jakoś przesadnie zmartwiona. Ten skandal również w końcu przebrzmi. Ludzie z branży wydawniczej bez przerwy popełniają słowne gafy, ale przecież nikt nie usunie jedynej redaktorki z obsadzonego niemal wyłącznie mężczyznami wydawnictwa. No, ale tak czy inaczej, w tej sytuacji lepiej będzie, jeśli jeszcze przez jakiś czas nie będę zwracać jej głowy mailami.

Zamiast tego po raz pierwszy od wielu tygodni zaczynam pisać, naprawdę tworzę. Słowa spływają mi z palców zaskakująco gładko, może dlatego, że nie muszę niczego zmyślać, nie zastanawiam się i nie rozważam. Najprościej w świecie wyrzucam z siebie prawdę i tym razem posiadam pełną kontrolę nad narracją. Piszę po tysiąc słów dziennie. Ostatnio tak produktywna byłam,

zdaje się, jeszcze na studiach. Budząc się co rano, naprawdę i szczerze nie mogę się doczekać chwili, kiedy usiądę wreszcie przed laptopem. Ostatnie znaki wklepuję zwykle około północy.

Ogarnia mnie przeczcucie, że istnieje jakiś wyższego rzędu, karmiczny powód, dla którego natchnienie wróciło do mnie właśnie teraz. To naprawdę jak odkupienie. Nie – raczej jak rozgrzeszenie. Ponieważ jeżeli napiszę tę książkę w pełni samodzielnie, jeśli zdołam przeobrazić tę koszmarną aferę w piękną opowieść, to... cóż, naturalnie nie odczyni to niczego, co zrobiłam, ale przyda moim postępkom artystycznej wartości. Wyjawię prawdę, nie wypowiadając na głos ani słowa. A poza wszystkim będzie to książka frapująca i wciągająca. Zostanie w myślach czytelników na zawsze, podobna wpadającej w ucho, zaraźliwej melodii lub twarzy pięknej kobiety. Ta historia przetrwa całą wieczność. A Athena będzie jej częścią.

Czy pisarz może pragnąć czegoś więcej niż tego rodzaju nieśmiertelności? Czy duchy nie chcą po prostu, by ktoś o nich pamiętał?

*

Przez cały ten czas myślę o Athenie bez przerwy.

Wspomnienia o niej przestały mnie dręczyć niczym powracające zza grobu upiory. Kiedy się pojawiają, nawet te nieproszone, nie staram się ich za wszelką cenę przegnać. Zanurzam się. Myszkuje w nich, poszukując rozmaitych szczegółów, zagłębam się w emocjach, jakie we mnie budzą, wyobrażam sobie dziesiątki sposobów, w jakie mogę te chwile ukazać. Przesiaduję w towarzystwie jej ducha. Oddaję jej głos.

Terapeutka powiedziała mi kiedyś, że najlepszym sposobem na uporanie się z grożącymi atakiem paniki wspomnieniami jest wmówienie sobie, że to sceny z horroru. Kiedy na ekranie wyskakuje nagle potworna twarz zombie, boimy się, bo reżyser nas zaskoczył, bo nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Jednak gdy oglądamy ten sam film powtórnie, kiedy z góry już wiemy, że zaraz wybiegnie zza rogu opętana przez demona zakonnica, strach traci nad nami władzę.

Tak właśnie traktuję wszystkie okropne myśli, jakie kiedykolwiek przyszły mi do głowy w związku z Atheną. Badam odmęty osobistej grozy. Opisuję ze wszystkimi bolesnymi szczegółami wieczór spędzony w tamtym klubie w Rockville. Bez ogródek piszę o tym, jak paskudnie się poczułam, kiedy w Internecie pojawił się pierwszy wpis z konta @DuchAthenyLiu, i jak bardzo wszystko, co wydarzyło się potem, nadwerzężyło moje zdrowie psychiczne. Chwytam widmo Atheny i przelewam je na ekran laptopa, gdzie uwięzione pod postacią czarnych, nieruchomych liter na białym tle nie jest w stanie poważniej mi zagrozić. Może najwyżej zawołać: „Buuu!”.

Piszę o tym, jak marna i beznadziejna czułam się za sprawą Atheny po studiach, piszę o zaciętej, tłumionej w duchu zawiści, w jaką popadałam za każdym razem, kiedy Athena osiągała coś, czego ja nie zdołałam. Opisuję, co działo się w moim sercu, kiedy Geoff opowiedział mi o jej drwinach. Relacjonuję dokonaną przez nią kradzież mojej historii o kto-wie-czy-nie-gwałcie. I piszę też o tym, że wbrew temu wszystkiemu nie przestawałam jej kochać.

Prowadząc te wykopaliska na pustyni przeszłości, zatrzymuję się również przy miłych wspomnieniach. Okazuje się, że zachowałam ich zaskakująco wiele. Nie chciałam zbyt głęboko grzebać w czasach studenckich, lecz wystarczyło musnąć powierzchnię, a wszystko dosłownie wykipiowało. Wtorkowe wizyty w Starbucksie, zawsze po seminarium „Kobieta w literaturze wiktoriańskiej” – ja brałam mokrą z lodem, Athena piła Very Berry Hibiscus. Wieczory spędzane na poetyckich slamach, kiedy sączyliśmy piwo imbirowe i nabijałyśmy się z kolejnych pojawiających się na scenie uczestników, którzy nie byli prawdziwymi poetami i którzy bez wątpienia pewnego dnia wyrosli z podobnych głupot. Impreza w mieszkaniu studentki szkoły teatralnej, na której zdzieraliśmy sobie gardła, śpiewając piosenki z musicalowej adaptacji „Nędzników”.

Kiedy to wszystko spisuję, zaczynam się zastanawiać, czy nasza przyjaźń naprawdę była tak wymuszona i sztuczna, jak ją odbierałam. Czy zrodzone z zazdrości napięcie towarzyszyło nam od początku? Czy z miejsca zaczęłyśmy ze sobą rywalizować? A może to

ja, dręczona brakiem pewności siebie, nieświadomie przypisałam to wszystko Athenie?

Przypominam sobie dzień pod koniec studiów, gdy Athena otrzymała propozycję wydania debiutanckiej powieści. Agent zadzwonił do niej, kiedy jechała na zajęcia z baletu, i powiedział, że książka już niedługo zagości na księgarskich półkach. To do mnie zadzwoniła wtedy jako pierwszej. Do mnie. Zanim jeszcze pochwaliła się rodzicom.

– Boże – rzuciła z przejęciem. – June. Nie uwierzysz. Sama nie wierzę.

Opowiedziała mi, co jej zaproponowano. Aż się zachłysnęłam, a potem wrzeszczałyśmy do siebie przez dobre pół minuty.

– Kurczę, Athena – szepnęłam wreszcie. – Zaczęło się. Wszystko, o czym marzyłaś...

– Mam wrażenie, jakbym stała na wysokim urwisku i oglądała z niego całe swoje życie. – Niezwykle wyraźnie pamiętam jej naznaczony emocjami szept; była jednocześnie poruszona, pełna nadziei i bezbronna. – Czuję, że teraz wszystko się zmieni.

– Na pewno się zmieni – odparłam tonem obietnicy. – Athena, kurwa mać, przecież zostaniesz gwiazdą!

I znów zaczęłyśmy wydzierać się do telefonów, ciesząc się, że mamy siebie i że możemy ze sobą rozmawiać. Tak wspaniale było mieć kogoś, kto rozumie to konkretne marzenie, kto rozumie, że proste słowa mogą stać się zdaniem, a zdania mogą złożyć się w arcydzieło, które z kolei może z impetem rakiety kosmicznej wystrzelić człowieka ku totalnie obcemu światu, gdzie można mieć wszystko – światu, który pisarze tworzą sami dla siebie.

*

Ponownie zakochuję się w pisaniu. Na powrót zaczynam marzyć. Odkąd pojawiły się tweety @DuchaAthenyLiu, wszystko, co robiłam, wypływało ze strachu, instynktu samozachowawczego i niepewności. Teraz jednak znów jestem w stanie myśleć o cudownościach świata książek, o wszystkim, co ten świat może mi dać. Brett sprzeda tę książkę Danielli za znacznie niższą kwotę, niż

dostałam za „Ostatni front”, w mojej sytuacji to jasne. Niemniej powieść okaże się niespodziewanym bestsellerem. Jeszcze przed premierą trzeba będzie robić dodruk. A potem dojdzie do głosu prasa i wszyscy będą mówić już wyłącznie o śmiałości mojego kroku. Gorączkowe dyskusje nakręcą sprzedaż, książka zarobi na sobie w kilka krótkich tygodni, a do mnie zaczną spływać tantiemy. Dwukrotnie wyższe niż poprzednio.

Czuję się do tego stopnia dobrze, że po raz pierwszy od wielu tygodni loguję się na Instagrama i – ignorując masy hejtu, jakie zgromadziły się pod wszystkimi moimi wcześniejszymi postami – wrzucam swoją fotkę z dzisiejszej sesji pisania. Na zdjęciu siedzę w kawiarni przy drewnianym stole, tuż pod oknem, o złotej godzinie. Piegi płasają mi na twarzy, włosy opadają miękkimi falami na ramiona. Jedną dłonią podpieram głowę, koniuszkami palców drugiej w pełnej gotowości twórczej muskam klawiaturę laptopa. Piszę pod spodem:

Zatapiam się w rękopisie. Nie dopuszczam do siebie niczego, co negatywne, ponieważ dla pisarza liczy się jedynie opowieść, którą nosi w sercu. Stanowczo zbyt długo czekaliśmy na nowy rozdział. Tęsknię do chwili, kiedy będę się mogła nim podzielić z wami wszystkimi.

*

Wieczorem tego dnia uaktywnia się instagramowe konto Atheny.

Gdybym nie scrollowała powiadomień, wypatrując polubień, mogłabym to przeoczyć. Ktoś komplementuje moją gładką cerę i pyta, jakich kosmetyków używam. Ktoś pisze, że bardzo podoba mu się wystrój kawiarenki, w której się sfotografowałam. Ktoś inny pisze: „Nowa książka Juniper Song? Już ostrzę sobie zęby!”.

Jednak znajduję też inny wpis. Nagłówek w powiadomieniu jest bardzo zwięzły: „Myślałaś, że się mnie pozbędziesz?”. W pierwszej chwili jestem przekonana, że to kretyński dowcip, ale zdjęcie w miniaturce wygląda znajomo, a samo konto jest zweryfikowane niebieskim ptaszkiem. Klikam więc, żeby zobaczyć cały wpis.

Komórka prawie wypada mi z ręki.

To konto Atheny, pierwszy post od poprzedzającego jej śmierć poranka. Na zdjęciu siedzi przy swoim biurku ze słodkim uśmiechem na ustach, lecz wygląda przy tym dziwacznie – oczy ma nieco zbyt wytrzeszczone, odsłaniający zęby uśmiech jest tak szeroki, że sprawia wrażenie bolesnego, a cerę ma upiornie bladą mimo zagląającego przez okno słońca. Fotka przypomina mem z serii creepypasta: obrazek z pozoru zupełnie zwyczajny, lecz tak wykręcony, że człowieka przebiegają ciarki. Obok prawej dłoni Atheny leży otwarty egzemplarz „Ostatniego frontu” w miękkiej oprawie. Po lewej ma „Matkę wiedźmę”, w twardej.

Klikam, żeby przeczytać podpis.

Myślałaś, że się mnie pozbędziesz? Przykro mi, Junie. Wciąż tu jestem. Cieszę się, że dobrze ci się dzisiaj pisało. Mnie też pisało się dziś świetnie. Na zdjęciu przerzucam właśnie wcześniejsze książki, szukam inspiracji.

Słyszałam, że jesteś moją fanką :)

Kolacja podchodzi mi do gardła. W panice rzucam się biegiem do łazienki. Dopiero po półgodzinie głębokich oddechów i stosowania rozmaitych technik mentalnych uspokajam się na tyle, by ponownie zbliżyć się do telefonu.

Przeszukuję Twittera. Wpisuję: „Athena Liu Instagram”, „Athena Instagram”, „Athena Insta”, „Duch Atheny” i wszystkie inne hasła, jakie tylko przychodzą mi do głowy. Nikt jeszcze nie podjął tematu. Tajemniczy post nie był opatrzony żadnymi hasztagami, nie odwoływał się do innych kont. Co więcej, konto Atheny, które w przeszłości miało bez mała milion obserwujących, w tej chwili ma ich zero. Ktoś, kto za tym stoi, musiał ich zablokować. Zatem jedyną osobą, która ten wpis przeczytała, jestem ja. Ten ktoś nie chce sieciowego rozgłosu – zależy mu wyłącznie na mojej uwadze.

Tylko jak to w ogóle możliwe? Przecież firmy zarządzające mediami społecznościowymi zamykają chyba konta po śmierci właściciela?

To skończony idiotyzm, ale wklepuję w Google’a hasło „Athena Liu żyje”. Chcę się upewnić, że nie ominęła mnie informacja o jakimś jej zmartwychwstaniu za sprawą cudu nowoczesnej

medycyny. Nie znajduję jednak nic przydatnego; „najtrafniejszym” znaleziskiem okazuje się artykuł o zorganizowanej przez wydział anglistyki z Yale imprezie, mającej na celu podtrzymanie pamięci o Athenie.

Athena jest martwa, nie żyje, w proch się obróciła. Jediną osobą przekonaną, że wciąż krąży po tym padole, jestem ja.

Powinnam to konto po prostu zablokować i zapomnieć o sprawie. Prawdopodobnie to jakiś troll, hejter pragnący mi dopiec makabrycznymi wpisami. To właśnie usłyszałabym od Brett i Danielli. To samo powiedziałyby mi Rory, gdybym spróbowała jej wyjaśnić, co mną tak wstrząsnęło. Hipoteza trolla jest wytłumaczeniem oczywistym i racjonalnym. Powtarzam to sobie raz za razem, oddychając prosto w zaciśniętą pięść, ponieważ najbardziej irytującym objawem stanu lękowego jest niechęć do zawierzenia wszystkiemu, co oczywiste i racjonalne.

Nie karm tego, napominam się. Zostaw, nie myśl o tym.

Niestety, nie potrafię. Zupełnie jakbym nosiła w palcu drzazgę; jest niby maleńka, ale nie mogę zaznać spokoju, wiedząc, że tkwi tuż pod naskórkiem. Tej nocy nie udaje mi się zmrużyć oka. Leżę z telefonem przy twarzy, wpatrzona piekącymi oczyma w intensywny, złośliwy uśmieszek Atheny.

W pewnej chwili nachodzi mnie nieproszone wspomnienie, scena, którą miałam nadzieję zapomnieć: Athena w czarnych butach i zielonym szalu, siedząca w pierwszym rzędzie widowni w księgarni Politics and Prose, z wyczekującym, promiennym uśmiechem na pociągniętych jaskrawą szminką ustach. Athena żywa, choć to niewytłumaczalne i niemożliwe.

Jest późna piątkowa noc, więc z Brettem albo ekipą z marketingu będę mogła się spotkać online dopiero za dwa dni. Aczkolwiek w czym mieliby mi właściwie pomóc? Mój najnowszy problem nie leży w gestii fachowców od reklamy. Poza mną przecież nikt się tym wpisem nie przejmuje. W dodatku nie mogłabym przekonująco wyjaśnić, dlaczego istnienie tego konta tak strasznie mi doskwiera. „Tak, widzicie, rzecz w tym, że faktycznie ukradłam »Ostatni front« i zżerają mnie wyrzuty sumienia. Rozumiecie więc chyba, że te posty wpędzają mnie w skrajną panikę i bez przerwy chce mi się rzygać?”

Koniec końców, ponieważ coś zrobić po prostu muszę, biore do ręki telefon.

„To nie jest zabawne” – piszę do Geoffreya Carlino.

Nie odpowiada.

„Skończ z tym. Mówię poważnie” – dopisuję po pięciu minutach.

Wreszcie na dole ekranu pojawia się wielokropek. Geoff coś pisze.

„Nie mam pojęcia, o co ci chodzi”.

Przesyłam mu zrzut ekranu z instagramowego konta Atheny.

„Kojarzysz, prawda?”

Widzę, że pisze. Przestaje pisać. Wreszcie, po dłuższej chwili, pojawia się wiadomość: „To nie ja”.

„Gówna prawda” – wklepuję rozsierdzona. Zdaję sobie sprawę, że kieruję gniew pod złym adresem, lecz wysyłam wiadomość i tak. Chcę się na kimś wyładować, na kimkolwiek.

Wcale nie jestem pewna, że to sprawka Geoffa – cały mój materiał dowodowy stanowią ogólnikowe przeczucia oraz fakt, że ze wszystkich znanych mi ludzi to właśnie Geoff najprawdopodobniej mógł znać hasła Atheny. To jednak nie ma znaczenia.

Zresztą nie Geoff jest tu problemem. Muszę przejąć kontrolę nad sytuacją, zrobić coś, co da mi poczucie, że przesłałam do kontraktaku, nawet jeśli miałabym strzelać wyłącznie ślepakami.

„Jutro w Coco’s. Inaczej wrzucam nagranie do sieci”.

Dwadzieścia jeden

Cześć, June.

Geoff wsuwa się na siedzenie naprzeciwko. Pojawia się tak nagle, że przestraszona niemal rozlewam herbatę. Nie sądziłam, że w ogóle przyjdzie.

– O, cześć. – Prostuję się.

Wyznaję ze wstydem: zeszłej nocy dosłownie zbombardowałam go wiadomościami, zarzuciłam go szaleńczymi oskarżeniami, przypuszczeniami co do kierujących nim motywów, a także okrutnymi docinkami odnoszącymi się do dnia, kiedy rzuciła go Athena. Nie zareagował. Założyłam, że wykasuje wszystkie te wiadomości, a potem mnie zablokuje.

A jednak siedzi tuż przede mną, z mocno podkrążonymi, opuchniętymi oczyma. Wygląda, jakby miał za sobą nieprzespaną noc.

– Chyba mnie już nie podejrzewasz, co? – pyta.

– Nie – wzdycham. Z jednej strony miałam nadzieję, że okaże się choć trochę winny, ale wystarczy jedno spojrzenie, by zrozumieć brak jego udziału w tej całej sprawie. – Przepraszam. Po prostu... – urywam i macham telefonem nad stolikiem. – Cała ta historia mocno mną wstrząsnęła. No i przyszło mi do głowy, że ze wszystkich ludzi, którzy mogli mieć dostęp do jej konta...

– Mogę zobaczyć? – Geoff wyciąga rękę.

– To nie czytałeś?

– Zablokowała mnie. Lata temu.

– Ach... – Wstukuję swoje hasło, wchodzę na Instagrama Atheny i podaję mu komórkę. Geoff przez chwilę przewija w górę i w dół, przygląda się badawczo każdemu zdjęciu, przebiega wzrokiem podpisy. Nie wyobrażam sobie nawet, co dzieje się w tej

chwili w jego głowie. Tu chodzi o jego byłą dziewczynę. Kobieta, którą kochał.

– Nie, to nie ona. – Geoff podnosi spojrzenie znad telefonu.

– To znaczy?

– Zdjęcie jest stare. Ktoś pobawił się Photoshopem. – Oddaje mi komórkę. – Nie widzisz? Światło i cienie zupełnie do siebie nie pasują. Zwróć też uwagę, że sylwetka ma rozmyte brzegi.

– Co to za zdjęcie? – pytam. – Znam chyba wszystkie jej fotografie, jakie istnieją w sieci. Nie widziałam ani jednej, na której siedziałaby w takiej pozycji.

– Może je usunęła? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że pamiętam tę fotkę.

– Więc kto to zrobił? – naciskam. – Kto może znać jej hasło?

– A co za różnica? – Geoff wzrusza ramionami. – I tak masz przecież mrowie hejterów, nie? To może być dowolny z nich. Niewykluczone, że jej hasło było łatwe do odgadnięcia. Albo mamy do czynienia z uzdolnionym hakerem. Skąd mam wiedzieć? Zresztą to zwykły żart.

Nie, nie potrafię w to uwierzyć. Tu się dzieje coś innego. Wyglupem przypadkowego trolla nie da się wyjaśnić obecności Atheny na moim spotkaniu ani faktu, że jej widmo snuje się za mną krok w krok przez całą literacką karierę. Ktoś dyryguje tym wszystkim bardzo świadomie.

– Czy Athena miała może siostrę? – pytam. – Kuzynkę?

Pani Liu twierdziła, że Athena była jedynaczką. Ale kuzynki również mogą być do siebie podobne, prawda? Możliwe też, że pani Liu po prostu kłamała. Przez myśl przemykają mi najbardziej fantastyczne fabuły. Niesłusznie uznana za zmarłą siostra. Ukryta bliźniaczka, wychowana w komunistycznych Chinach, ucieka na łono wolnego świata i usiłuje przejąć tożsamość zmarłej siostry. To chyba całkiem niezły pomysł na powieść. Prawdopodobnie powinnam go zapisać i wrócić do tematu, kiedy uporam się już ze swoim pseudopamiętnikiem.

– Wiem, co ci chodzi po głowie. Ale to nie to, zapewniam. – Geoff kręci głową.

– Jesteś pewien?

– Rodzice Atheny stracili kontakt z większością krewnych zaraz po emigracji. Na pewno ci o tym wspominała. Mówię poważnie, ich rodzinna historia jest pełna popieprzonych akcji. Jedni ginęli zamordowani, innych rozstrzeliwano, ktoś tam zaginął na morzu. Kto wie? Mogła wszystko zmyślić, co byłoby raczej chore, ale raczej nie. Rozmawiałem o tym kiedyś z panią Liu. Cierpiała naprawdę, to było widać.

– A nie wierzysz, że to może być... – nie kończę pytania.

– Kto? Ona? – Geoff milknie. Jemu również ta myśl przyszła do głowy. Mnie nie oszuka. To zakrawa na szaleństwo, ale akurat Athenę byłoby na taki numer stać. Mogłaby sfignować własną śmierć, mogła zostawić rękopis w miejscu, w którym musiałam go znaleźć. Pogrzeb mógł być jedynie teatrykiem. Jej mama mogła być wtajemniczona od początku do końca. Kto wie? Może Athena przygląda się nam teraz z kulis, śmiejąc się w wysoko postawiony kołnierz prochowca.

Geoff jednak kręci głową.

– Nie. Nie, Athena była pokrecona, ale nie była wariatką. Była... była pisarką. Nie aktorką ani performerką. – Patrzy mi w oczy. – Poza tym przecież... byłaś chyba przy jej śmierci? Widziałaś to?

Owszem, byłam tam. Widziałam jej przerażone oczy, widziałam wściekłe konwulsje i szamotaninę, widziałam, jak próbuje odetkać gardło, widziałam wreszcie, jak jej twarz zsiniała, a rysy zastygły. Nie umiałyby tego odegrać. Takiej sceny nie zagrałaby najlepsza nawet aktorka świata.

– Więc kto mi to robi? – rzucam. – Czego ode mnie chce?

– To naprawdę ważne? – Geoff wzrusza ramionami. – Zignoruj to. Jak dotąd zawsze ci się udawało, prawda? Co z twoją grubą skórą? Czemu tak nagle zaczęłaś się przejmować?

– Dlatego... – milknę, przełykam ślinę. – Dlatego że to boli. To po prostu... boli.

– Ach... – Geoff nachyla się lekko nad blatem. – Czyli teraz powiesz mi prawdę?

Otwieram usta, lecz nie dobywa się z nich ani jeden dźwięk. Nie mogę. Trzymałam się przecież tak długo. Nie mogę skapitulować. Nawet jeśli w jakiś chory sposób mogłoby mnie to wyzwolić.

– Jasne, rozumiem – podejmuje Geoff. – Jeżeli powiesz to choć raz, nie będziesz już mogła się wycofać.

On wie. Widzę to w jego spojrzeniu. Nie usiłuję go przekonywać, że prawda wygląda inaczej, nie tłumaczę zawiłych uwarunkowań, nie przekonuję, że włożyłam w tę powieść mnóstwo pracy, że jest to tyleż dzieło Atheny co moje, że niemożliwe, by „Ostatni front” nabrał beze mnie obecnego kształtu. To wszystko nie ma znaczenia. Geoff już tę sprawę rozstrzygnął i ocenił. Świetnie. I tak nie jest w stanie skrzywdzić mnie bardziej, niż wcześniej skrzywdził mnie Internet.

Wbijam wściekle spojrzenie w stolik i mrugam kilka razy, starając się zebrać myśli. Nie przekonam go do swojej niewinności, ale muszę sprawić, by zrozumiał.

– Wiesz – odzywam się wreszcie – po prostu nie rozumiem tej powszechnej obsesji na punkcie spuścizny Atheny. Wszyscy mówią o niej jak o jakiejś świętej.

Geoff pochyla głowę na bok, rozsiada się na krześle wygodniej, splecione dłonie składa na kolanach. Wygląda na to, że nie zamierza się zbierać.

– A więc jednak chcesz o tym pogadać.

– Wiem, jak pisała, znam jej proces twórczy – wyrzucam z siebie. Nie mam pojęcia, po co o tym mówię i dlaczego opowiadam o tym akurat jemu. Po prostu nie potrafię dłużej tego w sobie tłamsić. Nie umiem dusić rozgoryczenia i niechęci. – Athena była złodziejką. Zabierała ludziom ich ból, a potem opisywała go tak, jak tylko zechciała, jakby należał do niej. Kradła tak samo jak ja. Mnie też okradła. Widzisz, jeszcze na studiach... – dławię się. Kręci mnie w nosie, zasłaniam usta dłonią. Nie opowiedziałam o tym nikomu poza nią. Jeżeli nie zamilknę, zaraz się poryczę.

– Mnie też okradła – przyznaje Geoff. – Bezustannie.

– Chcesz powiedzieć, że kradła twoje opowiadania...? – milknę oszołomiona.

– Nie, chcę powiedzieć... Wiesz, to wszystko jest bardzo skomplikowane. – Oczy Geoffa strzelają na boki, jakby bał się, że ktoś może nas podsłuchać. Po chwili bierze głęboki oddech. – Wyglądało to raczej jak... Czekał, podam ci przykład. Czasami się kłóciliśmy, tak? Wiesz, o pierdoły w rodzaju jej alergii na psy czy o wspólne konto.

Tak czy siak, wtedy te sprawy wydawały się ogromnie ważne. I zdarzało się, że wykrzyknąłem w trakcie takiej kłótni coś bardzo desperackiego, bardzo intymnego. A miesiąc później odnajdywałem dokładnie te słowa w jej opowiadaniu. Bywało, najczęściej właśnie kiedy się spieraliśmy, że mrużyła oczy i obrzucała mnie takim bardzo zimnym spojrzeniem. Kojarzyłem tę minę, bo identyczną miała, kiedy pisała wstępną wersję jakiejś sceny. I nigdy, przez cały związek, nie miałem pewności, czy jest przy mnie prawdziwa, czy robi to wszystko wyłącznie po to, by zanotować moje reakcje. Momentami odnosiłem wrażenie, że zaczynam wariować. – Uciska palcami grzbiet nosa. – Zdarzało się, że mówiła coś, co wytrącało mnie z równowagi, albo pytała o jakieś moje przeżycia, a ja z upływem czasu coraz częściej myślałem wyłącznie o tym, że traktuje mnie w takich chwilach jak kopalnię emocji, że jestem dla niej jedynie pożywką.

Niełatwo mi wykrzesać w sobie szczere współczucie. Ostatecznie rozmawiam z Geoffem, facetem, który swego czasu zagroził Athenie, że jeśli nie poprze go w sporze z recenzentem „Locusa”, wrzuci na Reddita jej nagie zdjęcia. Lecz widzę w jego oczach prawdę. Prawdę i ból. Athena uważała, że to, co robi, stanowi swoisty dar. Że jej talent pozwala destylować traumę i tworzyć z niej coś wiecznotrwałego. „Przeznaczcie mi swoje sińce i rany – mówiła nam wszystkim – a zwrócę wam je pod postacią diamentu”. Problem w tym, że nie obchodziło jej ani trochę, że kiedy dzieło już powstało, kiedy to, co osobiste, stało się widowiskiem, ból wcale nie zniknął.

Nagle podnoszę wzrok i spoglądam za okno. Zapiera mi dech w piersiach, gwałtownie zaciskam dłoń. Mózg dopiero po chwili orientuje się, co takiego przekazują mu oczy: Athena, pukle ciemnych włosów sięgające ramion, spowita w ten sam szmaragdowozielony szal, który założyła na spotkanie w księgarni. W jej oczach skrzą się iskry rozbawienia. Czerwone niczym truskawka wargi rozchylają się, tworząc w twarzy dziurę o wystrzępionych brzegach. Śmieje się, widzi mnie z Geoffem i zanosi się szyderczym śmiechem. Podnosi rękę, macha.

Mrugam i Athena znika.

– Dobrze się czujesz? – pyta Geoff, obracając się nieznacznie w stronę, w którą patrzę. – Na co...?

– Na nic – odpowiadam, roztrzęsiona. – Tak mi się tylko...
Przepraszam.

Biorę głęboki łyk powietrza. Za oknem nikogo nie ma. Nie mogę mu nic pokazać, nie widać tam nic, co dowiodłoby, że nie odchodzę od zmysłów. Ogarnia mnie przelotna ochota, by zerwać się z miejsca i wybiec na ulicę, pognać w ślad za zjawą... Co jednak, jeśli naprawdę nikogo nie było? Co, jeżeli faktycznie zaczyna mi odwalać?

Geoff rzuca mi pełne współczucia spojrzenie. Przez chwilę oboje milczymy, po czym on znów pochyla się nad blatem.

– Słuchaj, June. Domyślam się, że nie chcesz wysłuchiwać moich rad, ale ktoś musi to wreszcie powiedzieć. Zajmij się czymś innym, popracuj nad innym tematem. Przestań... Wiesz, nie możesz wiecznie żyć w jej cieniu, wyjdź z niego. Zostaw to wszystko za sobą.

To całkiem przyzwoita sugestia. Przypuszczam, że Geoff przez dwa ostatnie lata próbuje zrobić to samo. Zniknął z Twittera, więc niewiele wiem, co u niego słyszać, ale ktoś wspominał, że zarabia niezłe pieniądze, pisząc dla telewizji. Nie bywa już na literackich imprezach. Jego nazwisko straciło moc skandalizującego hasła, jest co najwyżej nużącym wspomnieniem. Wyzwolił się, wyrwał z pajęczej sieci Atheny.

Lecz mnie wyłącznie dzięki Athenie udało się posmakować sukcesu. Bez niej moja pisarska kariera po prostu nie istnieje. Bez Atheny... kim właściwie jestem?

– Staram się – przyznaję ledwie słyszalnym szeptem. – Tyle że... obawiam się, że ona mnie nie wypuści. Ani ona, ani ten troll, kimkolwiek jest...

– Zignoruj to, June. – Geoff wygląda na bardzo zmęczonego. – Zablokuj go i tyle.

– A nie myślisz, że... że powinienam odpowiedzieć? Spróbować się z tym kimś skontaktować?

– Co? – Geoff raptownie prostuje się na krześle. – Nie, oczywiście, że nie. Po co miałabyś...

– Żeby sprawdzić, o co mu chodzi. I czy zechce porozmawiać. Bo widzisz...

– Tu nie ma o czym rozmawiać. – W głosie Geoffa słysząc nieproporcjonalnie intensywne emocje. Wścieka się, przez co

zaczynam się bać. Zastanawiam się, co się dzieje w jego głowie, z jakimi widmami Atheny musi się zmagać sam. – Zrozum, Junie. Ta droga wiedzie donikąd. Nic w ten sposób nie osiągniesz. Na Boga, zostaw to wszystko poza sobą. Nie karm ego wariatów.

– Dobrze – mówię, wypuszczając powoli powietrze. – Masz rację.

Z braku innego zajęcia w milczeniu dopijam herbatę. Geoff nie zamawiał niczego. Nie pytając, płaci mój rachunek, po czym wychodzi ze mną przed kafejkę. Kiedy czekamy na mojego Ubera, wpatruje się we mnie przeciągle i nagle przychodzi mi do głowy, że za moment poprosi, bym pojechała do niego. Wyobrażam sobie, tak tylko przez chwilę, jak by to było – pójść do łóżka z Geoffreyem Carlino. Wizualizuję sobie całe to chaotyczne przedsięwzięcie, ściąganie ubrań, gorączkowe pobudzanie cielesnych organów. Wspólna trauma potrafi zbliżyć, czyż nie? Ostatecznie oboje padliśmy ofiarą tej samej narcystycznej dziwki. W dodatku facet jest przystojny, ale nie czuję w sobie najsłabszej nawet iskry pożądania. Gdybym przeleciała Geoffa, zrobiłabym to jedynie ze względu na zaskakującą, wstrząsającą wymowę tego aktu, po to, by wpleść w tę popieprzoną fabułę wywrotowy element. Poza tym, choć za nic nie potrafię tego przeczucia uzasadnić, wydaje mi się, że gdybym to zrobiła, zwycięsko z całej tej sytuacji wyszłaby jedynie Athena.

– No dobra, to do zobaczenia – rzucam. – Kiedyś. Może.

– Może... A, June? – Geoff zerka na mnie z ukosa.

– Tak?

– Wszystko będzie dobrze – mówi. – Kiedy człowieka spotyka coś takiego, wrażenie zawsze jest takie, jakby świat dobiegł właśnie końca. Ale to naprawdę nie koniec świata. Media społecznościowe to w rzeczywistości maleńka, odcięta od rzeczywistości przestrzeń. Ludzie odrywają wzrok od ekranu i sekundę później przestają się przejmować tym, co przed chwilą przeczytali. Dlatego ty też nie powinnaś, wiesz?

– Ale... Dobrze, rozumiem. Dzięki.

Geoff żegna się skinieniem i odchodzi w stronę przystanku autobusowego. Być może oceniałam go zbyt surowo. Możliwe, że Geoffrey Carlino nie jest aż takim dupkiem. Może najzwyczajniej w świecie był młody, niepewny siebie i wplątał się w związek, na jaki

nie był jeszcze gotów. Może Athena naprawdę wyrzuciła mu poważną krzywdę, a my wszyscy wydaliśmy na niego wyrok pochopnie, dlatego tylko że był białym, heteroseksualnym kolesiem, a Athena była sobą. Co więcej, Geoff jest jednym z niewielu ludzi na tej planecie, którzy podobnie jak ja rozumieją wyjątkowe cierpienie, z jakim wiążą się próby pokochania Atheny Liu. I szczególną daremność tych prób. Jak Echo zapatrzona w Narcyza. Jak Ikar wzbijający się ku słońcu, po to tylko, by poczuć na skórze jego ciepło.

Dwadzieścia dwa

Na instagramowym koncie Atheny nowe posty zaczynają się pojawiać codziennie. Zawsze są to – choć to przecież niemożliwe – zdjęcia Atheny, która najzupełniej żywa, cała i zdrowa pozuje w otoczeniu przedmiotów umożliwiających łatwe określenie daty. Papierowe wydania dzienników, najnowsze numery „New Yorkera”, książki, które ukazały się już po jej śmierci. Czasami puszcza porozumiewawczo oko, prowokuje mnie i drażni niefrasobliwością miny. Bywa, że się groteskowo krzywi: wybałusza oczy, wywała język. Albo trzyma się za gardło i zezuje, parodiując moment własnej śmierci. I zawsze mnie oznacza.

Jak się masz, @JuniperSong?

Tęsknisz troszeczkę, @JuniperSong?

Próbuję pójść za radą Geoffa. Blokuję jej konto oraz – ponieważ w wolnych od pisania chwilach obsesyjnie przeglądam ściągnięte wcześniej zdjęcia – kupuję sobie sejf z zamkiem czasowym, w którym zamykam komórkę na cały dzień. Azyłu poszukuję w pracy. Nie udaje mi się jednak zatracić w słowach tak, jak działało się dawniej. Wszystkie moje pozytywne wspomnienia z Atheną naznaczone są teraz dokuczliwym poczuciem winy, więc głębiej jestem w stanie oddać się jedynie tym kiepskim – sztucznym rozmowom, towarzyskim afrontom, bezustannej zazdrości, jaka skręcała mi kiszki. Przypominam sobie beztroski śmiech, z jakim Athena wypytywała o moją dogorywającą karierę. Przypominam sobie Athenę umierającą na podłodze własnej kuchni, kiedy ja stałam tuż obok i beczynnienie się przyglądałam.

Athena śni mi się noc w noc. Oglądam jej ostatnie chwile: przepełnione paniką, szeroko rozwarte oczy, drapiące skórę do krwi

paznokcie, bębniące o kafelki pięty. Bezsilna, bezradna, dosłownie pozbawiona głosu. Porusza wargami, rozpaczliwie stara się coś powiedzieć. Nie słyhać jednak ani słowa, jest jedynie okropny, zdławiony bulgot, aż w końcu oczy uciekają jej w tył głowy, a konwulsje słabną i przechodzą w nieznaczące drżenie.

To najłagodniejsze z moich snów. Znacznie gorsze są te, w których Athena ożywa. Powraca magicznie wskrzeszona, lecz jest inna niż przedtem. Jej tchnące siłą oczy pobłyskują szkarłatem, skoncentrowaną wściekłością zaświatów, a kiedy skacze, wyciągając ręce ku mojej szyi, na jej ślicznej twarzy maluje się słodka rozkosz zemsty.

*

Zdarza się, że moja wyobraźnia zaczyna szaleć także w biały dzień, i myślę wtedy o milionie wskazówek sugerujących, iż Athena wciąż może żyć. Trumna na pogrzebie była zamknięta, prawda? Dławiła się, ale mogła przecież udawać. Ratownicy mogli zostać przekupieni. Cała jej śmierć i wszystko potem może się okazać literacką mistyfikacją, obłąkańczą kampanią reklamową jej następnej książki. Niewykluczone, że Athena już za chwileczkę wyskoczy zza rogu i zawoła: „A kuku, Junie! Wkręciłam cię, co?”

Żywi ludzie są jednak obarczeni brzemieniem ciał. Rzucają cień, zostawiają po sobie odciski stóp. Wolałabym, by Athena żyła i dręczyła mnie jak każdy internetowy hejter. Byłyby ślady, poszlaki – ktoś zobaczyłby ją na ulicy, w snutej przez nią opowieści pojawiałyby się niespójności, okruszek za okruszkiem zbierałabym dowody. Żywy człowiek nie może pojawiać się i znikać w dowolnie wybranym momencie. Żywi nie potrafią nawiedzać upatrzonych ofiar bez przerwy i na każdym kroku. Duch Atheny tymczasem towarzyszy mi bez ustanku. Jedynie umarli mogą trwać przy nas aż tak niestrudzenie.

Któregoś dnia loguję się na Google Scholar, wstukuję frazę „chińskie duchy” i zatapiam się po uszy w znalezionych artykułach naukowych. Okazuje się, że Chińczycy stosują na określenie „ducha” całe zatrzesienie słów: gui, ling, yao, hunpo. Powszechną obsesją jest

w tej kulturze śmierć, która nie przynosi ukojenia i odpoczynku. Dowiaduję się, że najpopularniejsze słowo oznaczające ducha, gui, stanowi homofon innego gui – czasownika „powracać”. Dowiaduję się, że wracające zza grobu kobiety są w chińskiej literaturze częstym tematem, tropem pozwalającym analizować żal samotnych panien, które giną śmiercią brutalną i nienaturalną. Poznają motywy zwany „kochliwą zjawą”. Tego rodzaju kobiece duchy do odzyskania spokoju potrzebują jedynie porządnego rżnięcia. Czytam także o istocie zwanej jiangshi, która, jeśli dobrze rozumiem, przypomina nieco zombie. Jest trupem ożywionym za pomocą zapisanego na skrawku papieru zaklęcia.

Może więc ktoś ożywił Athenę. Może publikując jej powieść wbrew jej woli, sama taki czar napisałam.

Ponieważ literatura naukowa nie podsuwa żadnych sensownych porad dotyczących egzorcyzmowania tych cholernych duchów, zaczynam pożerać chińskie opowieści grozy.

Z czasów południowej dynastii Song: rabuś włamuje się do grobowca dziewczyny, która zmarła niedawno wskutek zawodu miłosegno, i uroda zwłok działa na niego tak mocno, że je gwałci. Zastrzyk męskiej energii przywraca dziewczynę do życia, lecz jako że nikt inny o zmartwychwstaniu nie wie, złodziej, nie budząc niczyich podejrzeń, więzi ją w charakterze niewolnicy seksualnej. Wskrzyszona ostatecznie ucieka i udaje się do domu dawnego kochanka, lecz ten, przerażony jej pojawieniem się, przekonany, iż dziewczyna jest zjawą, rzucą w nią ciężkim kociołkiem, trafia w głowę i zabija ją na miejscu.

Z okresu sześciu dynastii: żona pewnego mężczyzny umiera dziesięć lat po ślubie, nie dając mu upragnionego syna. Zrozpaczony wdowiec płacze nad ciałem. Jego cierpienie ożywia ciało zmarłej, która każe mężowi kochać się z nią w ciemności, codziennie, dopóki nie zajdzie w ciążę. Należy w tym miejscu zaznaczyć, że kobieta nie zmartwychwstaje na dobre – trzymają jej ciało w wydzielonym pokoju, gdzie leży w bezruchu całymi dniami, czekając, aż mąż przyjdzie i ją przeleci. Po dziesięciu miesiącach kobieta rodzi małego chłopczyka, po czym natychmiast ponownie umiera.

Jeszcze jedna perełka z okresu sześciu dynastii: mężczyzna po śmierci żony żeni się z jej kuzynką. Pewnego dnia lodowato zimna,

ożywiona pierwsza małżonka powraca i kładzie się obok niego w łóżku. On wyprasza ją z domu. Wzgardzona zjawa wypomina kuzynce ożenek z jej byłym mężem i niedługo potem mężczyzna wraz z kuzynką padają trupem.

Schemat kulturowy jest jasny i wyraźny: wiele chińskich duchów to zjawy głodnych, gniewnych, pozbawionych głosu kobiet. Odbierając Athenie spuściznę, dodałam do tego roju kolejne widmo.

Niestety, tradycyjnie stosowane metody przepędzania zjaw, te, które sprawdzają się we wszystkich podaniach, wydają mi się niedostateczne. Wątpię, by Athena zadowolila się ofiarą z pokarmu, kadzidła lub spalonego kawałka papieru. Co, rzecz jasna, nie znaczy, że tego nie próbuje. W głębi ducha zdaję sobie sprawę, że to głupie, lecz jestem na tyle zdesperowana, że przychodzi mi do głowy, iż taki rytuał może mnie przynajmniej trochę uspokoić. Zamawiam na Amazonie kadzidelka, kurczaka kung pao dowożą z Kuchni Nr 1. Wszystkie te dary składam przed oprawioną w ramkę fotografią Atheny, lecz jedynym skutkiem owych zabiegów jest wypełniający mieszkanie swąd. Wycinam z pism zdjęcia przedmiotów, które jak sądzę, mogą się przydać Athenie w zaświatach – pliki banknotów, luksusowe mieszkanie, zawartość całego katalogu IKEI – i podpalam je zapałką. Tym razem efektem jest wycie alarmu przeciwpożarowego, wkurzenie sąsiadów i słona grzywna.

Nie czuję się ani trochę lepiej. Mam wrażenie, że stałam się memem głupiej, nieogarniętej białaski.

Najbardziej niesamowite w tym wszystkim jest, że nawet teraz nie potrafię przestać tworzyć. Usiłuję swój koszmar skanalizować i przekształcić w coś cudownego. Moja nieobyčajna powieść z kluczem stanie się powieścią grozy. Mój strach stanie się strachem czytelników. Potraktuję swą obłąkańczą panikę jak kompost, który stanie się podglebkiem twórczego natchnienia – przecież wszystkie najlepsze książki wyrastają z pewnej dozy szaleństwa, którego źródłem z kolei jest prawda.

Może jeżeli zdołam uchwycić wszystkie swoje lęki i zamknąć je bezpiecznie na papierze, pozbawię je w ten sposób mocy. Czyż starożytne mity nie uczyły, że gdy człowiek nadaje czemuś nazwę, zyskuje nad tym władzę? Doktor Gaily kazała mi kiedyś odręcznie spisać na kartce wspomnienia ze spotkania z Andrew, a następnie je

spalić. Przyjemnie było przełożyć mgławicowe, budzące mdłości emocje na konkretne słowa. Przyjemnie było patrzeć, jak się kurczą, zmieniają w popiół, w nicość. Być może nie uda mi się przegnać Atheny na dobre, lecz może dam radę uwięzić ją między okładkami.

Kłopot w tym, że tracę panowanie nad opowieścią. Myśli wybiegają poza to, co mogę na tych stronach zawrzeć. Mroczna historia o literackim dojrzwaniu staje się niejasną, chaotyczną opowieścią o duchu. Starannie zaprojektowany szkielet rozpada się pod ciężarem fabuły, jaką chce ujrzeć Athena. Zarzucam pierwotny plan. Maniakalnie spisuję wszystko, co przychodzi mi do głowy, a to oscyluje w przestrzeni pomiędzy prawdą prawdziwą a moją prawdą.

Zapędziłam się w literacki kozi róg. Pierwsze dwie trzecie książki nie sprawiły mi żadnego problemu, lecz co zrobić z zakończeniem? W jakim miejscu pozostawić bohaterkę, skoro teraz w całą historię wplątał się jeszcze wygłodniały duch, a jasnego rozwiązania nie widać?

Godzinami siedzę wpatrzona w ekran, zmagam się z różnymi wersjami zakończenia, z nadzieją, iż znajdę takie, które zadowoli Athenę. Jej duch pożera mnie w całości. Rozszarpuje mnie na strzępy, wyrwa mi po kolei ręce i nogi i kąpie się w mojej krwi. Wnika w moje ciało i zamieszkując w nim w ramach rekompensaty, odbiera mi resztę ziemskiego życia. Duch nakłania mnie do samobójstwa i dołączam do niej w zaświatach: dwie zniękane dusze, które nie doczekały się sprawiedliwości.

Żadne z tych zakończeń nie przynosi jednak niezbędnego katharsis. Athena nie jest zadowolona.

Sfrustrowana rzucam się na łóżko i – jak zawsze – sięgam po telefon.

Na koncie Atheny pojawił się kolejny wpis.

Na zdjęciu stoi przed lustrem. Do czoła ma przyklejony długi, biały pas papieru, z wydrukowanym u góry napisem: „Ostatni front. Juniper Hayward”. To nie jest jedyna fotografia. Przewijam palcem w prawo.

Athena leży wyciągnięta na podłodze, chwytając się rękoma za szyję. Przewijam.

Athena z moją książką na piersi, z otwartymi oczyma. Przewijam.

Athena wskrzeszona, stojąca. Przewijam.

Athena z nabrzmiałymi żyłami na szyi i przedramionach, z rozmazanym tuszem pod oczyma, wyje prosto w obiektyw, szczyrzy się, wyciąga pazury, jakby chciała mnie rozszarpać. Przewijam.

Athena rozmyta w pędzie, uchwycona w momencie wściekłego skoku ku aparatowi.

Wyłączam komórkę i rzucam ją w kąt pokoju.

*

Przesadam, mówiąc o swoim zagubieniu. Warunek powodzenia egzorcyzmu nie stanowi wielkiej zagadki. Wiem, czego ten duch pragnie, jakiego rodzaju zakończenie mogłoby tę sprawę zamknąć. Niestety, jest to szalenie proste: musiałabym przyznać, że to Athena napisała „Ostatni front”, że jestem w najlepszym razie współautorką, że choć miałam w powstanie tej książki pewien wkład, to jej również należy się uznanie.

Zabrnęłam jednak za daleko, by się teraz przyznać. To jedyna granica, której nie wolno mi przekroczyć. Wyznając prawdę, stracę wszystko, co zdobyłam, i przekreślę wszystkie swoje szanse na przyszłość. Nie chcę się cofać do punktu wyjścia. Zostałabym zesłana do dwóch piekieł jednocześnie: literackiego i towarzyskiego.

Powiedzcie mi, czy naprawdę na to zasłużyłam? Czy ktokolwiek zasługuje na coś takiego?

Athena nie żyje od ponad dwóch lat. A przed śmiercią zdążyła stworzyć naprawdę imponujące dzieła. Świat literatury nigdy o niej nie zapomni. Athena nie ma nic więcej do ugrania.

Ja natomiast muszę to jakoś przetrzymać. Bo prawda zniszczyłaby mnie bez reszty.

Dlatego muszę po prostu żyć dalej z jej duchem, muszę przywyknąć do jej twarzy mającej tuż pod moimi powiekami. Musimy odnaleźć jakąś równowagę, sposób współzycia, który nie każe mi dać jej tej jedynej rzeczy, jakiej ona pragnie.

*

Pewnego dnia, kiedy siedzę w kawiarni Saxby's i piszę, wychwytyuję kątem oka rozbłysk szmaragdowej zieleni. Przenoszę spojrzenie za okno i widzę ją. Rozwiane na wietrze włosy unoszą się wokół twarzy, patrzy w moją stronę. Ma na sobie ten sam szal, identyczne buty na wysokich obcasach. Czyż to nie dowodzi, że Athena jest duchem? Żywi się przecież przebierają, prawda? Umarli nie zmieniają się nigdy.

Spotykamy się oczyma. Ona natychmiast się odwraca, rzuca do ucieczki.

Podrywam się z kanapy i wybiegam na ulicę. Nie mam żadnego planu; chcę tylko przyszpilić zjawę, złapać ją za ramiona, potrząsnąć i zażądać wyjaśnień. Kim jesteś? Czego chcesz?

Zanim jednak zdążyłam wyminąć poirytowanych gości lokalu i znaleźć się na zewnątrz, ona jest już przecznicę dalej. Obcasy wybijają na chodniku żywy rytm, szal rozdyma się na wietrze. Nie, to nie jest duch. To człowiek z krwi i kości, równie przyziemny i konkretny jak ja. Gnam co sił w nogach. Jeszcze dwa kroki i wreszcie ją doganiam. Wyciągam ręce, chwytam ją za barki, czuję pod palcami opór konkretnego, namacalnego ciała. Dopadłam ją.

– Co, kurwa? – Odwraca się z sykiem.

To nie jest Athena.

Przyglądam się jej roziskrzonym, hardo patrzącym oczom, cieniutkim jak ostrze żyletki brwiom, czerwonej szmince jaskrawo kwitnącej na wąskich, wściekłych wargach. Czuję nagły ucisk w dołku.

To Diana Qiu.

– June? – Diana drga i cofa się, jakbym chciała ją ugryźć. Jej dłoń podfruiwa do torebki, wyszarpuje z niej pojemnik z gazem pieprzowym. – Cholera jasna... Nie zbliżaj się...

– Złapałam cię... – dyszę. – Mam cię...

– Nie wiem, czego chcesz – rzuca Diana – ale nie zbliżaj się nawet o krok...

– Nie wkręcaj mnie... Nie zwariowałam. – Bicie serca czuję aż w gardle. Całą moją twarz ogarnia fala straszliwego gorąca; kręci mi się w głowie. Rzeczywistość odpływa w dal, trzymam się jej ostatkiem sił. Wiem tylko, i poza tym nie mam nic więcej, że to Diana

jest wszystkiemu winna. To ona za tym stała, od samego początku. –
Wiem, co robisz. Wiem, że to ty...

– Chryste... – Ręka Diany drży, lecz nie spryskuje mnie gazem.

– Co ty wygadujesz?

– To jej buty. I jej szal. – Z wściekłości niemal się krztuszę. Czy to Diana pojawiła się tamtego wieczora w Politics and Prose? Czy to Dianę widziałam za oknem Coco's? Czy to naprawdę ona dręczyła mnie przez tyle miesięcy? Wracam myślami do tyrady, jaką wygłosiła w czasie pamiętnej dyskusji w Wirginii, do wszystkich udzielonych przez nią wywiadów i blogowych wpisów na mój temat, jakie wrzuciła od tamtej pory do sieci. Ta kobieta ma na moim punkcie obsesję. Czy wyobraziła sobie, że realizuje jakiś perwersyjny projekt artystyczny? Nawiedzenie Juniper Song?

– Zaraz. – Diana opuszcza gaz. – Czy tobie się wydaje, że przebrałam się za Athenę Liu?

– Nie udawaj – rzucam z naciskiem. – Jesteś ubrana dokładnie jak ona. Dręczysz mnie, nękaasz...

– To moje buty – odpowiada Diana. – To wszystko są moje ubrania. A obok Saxby's przechodziłam, bo ja tu, kurwa, mieszkam, wariatko.

– Nie jestem wariatką...

– Azjatki też się między sobą różnią – warczy Diana. – Tak trudno to ogarnąć, pieprznięta dziwko?

– Nie jestem wariatką... – Mało brakuje, żebym ją spoliczkowała.

Z bliska jednak wszystkie podobieństwa zaczynają zanikać. To nie są buty Atheny – ona nosiła zwykle swoje ulubione uggsy, brązowe z frędzlami. Diana ma czarne kozaczki z klamrą, na obcasie. Diana ma równo przycięte, proste włosy. Żadnych luźnych kosmyków i loków. A w uszach ma kolczyki w kształcie szerokich kół, nie szmaragdowych łezek. Także usta pociągnęła szminką zdecydowanie bardziej jaskrawą niż kolor, jaki wybrałaby Athena. Słowem, nie przypomina Atheny. W ogóle nie jest do niej podobna. Kogo, do diabła, widziałam za oknem?

– Nie jestem wariatką – powtarzam, aczkolwiek brak mi na potwierdzenie tej tezy dowodów. Nie mogę już ufać własnym oczom.

Nie wolno mi ufać pamięci. Nagle uchodzi ze mnie cała wola walki, zwieszam ramiona, wiotczeję. – Nie jestem... – głos mi się łamie.

Diana długą chwilę wpatruje się we mnie bez słowa. Na jej twarzy ciekawość miesza się ze współczuciem i odrazą. Ostatecznie chowa gaz do torebki.

– Jezu – rzuca półgłosem, po czym energicznie odchodzi, co kilka kroków oglądając się za siebie. Sprawdza, czy jej nie gonię. – Weź się lecz... – słyszę jeszcze.

*

Jakimś cudem udaje mi się zabrać rzeczy z Saxby's i ruszyć z powrotem do domu. Kierowca Ubera myśli pewnie, że jestem pijana – mam przyspieszony oddech i słaniam się na siedzeniu. Trzymam się uchwyty tak kurczowo, jakbym miała się przewrócić. Umysł raz po raz wyświetla mi powtórkę ze spotkania z Dianą. Widzę, jak wbijam palce w jej ramiona. Widzę jej gaz. Odrazę w jej oczach. I strach.

Ona naprawdę przez chwilę myślała, że się na nią rzucę. Nie wierzę, że to zrobiłam. Nie ma dla mnie wytłumaczenia. Tego nie da się usprawiedliwić. Napadłam człowieka w biały dzień, na środku ulicy.

W mieszkaniu wbiegam do łazienki i szarpana suchymi torsjami zawisam pochylona nad umywalką. Drżą mi ramiona. Oddech uspokaja się dopiero po chwili. Do ceramicznej miski spływa cienka strużka śliny. Podnoszę głowę, spoglądam w lustro. Widok sprawia, że zbiera mi się na płacz.

Zapadnięte policzki. Nieumyte włosy, przekrwione i zapuchnięte oczy, wiszące pod nimi ciemne, plamiaste worki. Ostatnio prawie nie sypiam. Od wielu dni nie zamieniłam słowa z nikim poza portierem mojego budynku. Jak nawiedzona żyłam z godziny na godzinę, próbując uciec przed udręką, zając myśli pracą nad rękopisem. Dłużej już po prostu nie mogę. Jestem naprawdę kurewsko zmęczona tym wszystkim – wizjami, paranoją, koszmarami. Męczy mnie napotykanie Atheny za każdym rogiem, słuchanie jej głosu, jej śmiechu. Nie prosiłam o to. Zacznijmy od tego,

że nie z własnej woli stałam się świadkiem jej śmierci. Przecież nie chciałam nawet do niej wtedy jechać. Sama się uparła. A potem zobaczyłam, co zobaczyłam, i odwaliło mi od tego bardziej, niż się spodziewałam.

Jestem zmęczona.

Tak okropnie zmęczona.

Chcę tylko, żeby zniknęła. Chciałabym wreszcie poczuć się normalnie.

Dzwonię do Rory. Wiem, że nie zrozumie ani słowa, ale opowiem jej o wszystkim. Od początku do końca. Nie musi poznać szczegółów, ważne jest tylko, by wysłuchała, by usłyszała, by wyczuła, jak cierpię. Chcę, żeby ktoś się dowiedział, jak bardzo mi źle.

Dzwonię i dzwonię. Wybieram numer siostry ponownie i po raz trzeci. Rory nie odbiera.

Wyszukuję w kontaktach nazwisko doktor Gaily. Nie chodzę do niej od lat, nie byłam u niej od studiów, ale numer mi został. Odzywa się już po drugim sygnale.

– Halo?

– Pani doktor Gaily? – Słowa wylewają się ze mnie strumieniem. Zbyt natarczywie, przesadnie desperacko. – Nie wiem, czy mnie pani pamięta. Nazywam się June Hayward, kilka lat temu byłam pani pacjentką. Studiowałam wtedy na Yale... To ja miałam to... hmm...

– June, naturalnie. Dzień dobry – wita się ze mną uprzejmym, choć lekko zaskoczonym tonem. – W czym mogę pomóc?

– Zdaję sobie sprawę, że minęło sporo czasu... – W tym miejscu muszę zawiesić głos. Oddycham głęboko, żeby nie poddać się łzom. – Ale powiedziała pani kiedyś, że gdybym kiedykolwiek uznała, że znów potrzebuję terapii, a właśnie... No... Wydaje mi się, że nie wszystko jest ze mną w porządku. Wiele się ostatnio wydarzyło i nie radzę sobie z tym najlepiej, i obawiam się, że to wszystko obudziło... hmm... dawne traumy...

– June, spokojnie, powoli i po kolei. – Doktor Gaily na chwilę milknie. – Chcesz umówić się na wizytę? O to chodzi?

– Och... Przepraszam, rozumiem, że jest pani zajęta. Ale gdyby znalazła pani jakiś termin...

– Zawsze możemy pomyśleć. – Jeszcze jedna chwila ciszy. Słyszę odgłos wysuwanej szuflady. Domyślam się, że usiadła właśnie za biurkiem. – Nadal mieszkasz w Connecticut?

– W tej chwili w Rosslyn, w Wirginii. – Pociągam nosem. – Ale mam ubezpieczenie... A jeśli nie, mogę zapłacić gotówką...

– Nie w tym rzecz, June. Nie mogę udzielić ci teleporady, jeżeli nie jesteś mieszkanką Connecticut. Moje prawo wykonywania zawodu nie obejmuje Wirginii.

– Ach... – Wycieram nos. Na dłoni zostają mi smugi śluzu. W głowie mam w tej chwili po prostu pustkę. – Rozumiem.

– Zawsze mogę kogoś polecić. – Dolatuje mnie szelest papierów. – Mówiłaś, że mieszkasz w Rosslyn, tak?

Nie dam rady. Nie mogę.

– Pani doktor, nie trzeba. Lokalnych terapeutów mogę poszukać sama. Przepraszam, że zajęłam czas...

– Chwileczkę – zatrzymuje mnie. – June, czy nachodzą cię może myśli o wyrządzeniu krzywdy sobie lub komuś innemu? Bo mogłabym połączyć cię z kryzysowym telefonem zaufania...

– Nie... Wszystko w porządku. – Znienacka ogarnia mnie koszmarne wstyd. Nie chciałam posunąć się aż tak daleko, nie chciałam nikomu sprawić kłopotu. – Nie planuję samobójstwa. Czuję się dobrze. Mam po prostu bardzo zły dzień. Chciałam z kimś porozmawiać.

– Rozumiem, Junie – odpowiada łagodniejszym tonem. – Ja niestety nie mogę udzielić ci pomocy w innym stanie. Ale zorganizujemy dla ciebie inne wsparcie, zgoda? Mogę cię prosić o odrobinę cierpliwości?

– Dobrze – rzucam ochryple. – Tak. Chętnie.

– Jutro z samego rana prześlę ci namiary. Czy adres mailowy, który mam w notatkach, jest nadal aktualny?

– Ja... Tak, aktualny.

– Świetnie. Zatem rano wysyłam co trzeba. Trzymaj się, Junie. – Rozłącza się.

Siedzę po turecku na łóżku, chowam twarz w dłoniach. Czuję się jeszcze bardziej fatalnie niż przed tą rozmową. Chcę zniknąć. Kurwa, po co do niej dzwoniłam? Dzień powszedni, po dwudziestej pierwszej. Zdecydowanie po godzinach. Doktor Gaily na pewno

tłumaczy właśnie mężowi: „Przepraszam, kotku. Była pacjentka dzwoniła. Odwala jej...”.

Nagle rozświetla się ekran komórki. Rzucam się do niej rozpaczliwym szczupakiem. Ale to nie Rory.

Powiadomienie z Instagrama.

Wiadomość od ducha.

Tym razem Athena na zdjęciu siedzi na kanapie w Saxby's i złośliwie pokazuje mi język nad słomką. Ubrana jest w ten sam komplet, w którym widziałam ją na spotkaniu w Politics and Prose i w Coco's... Identyczny strój, jaki wydawało mi się, że widzę dziś po południu. Rozchylone, szkarłatne wargi. Błyszczące oczy.

Widziałam dziś przyjaciółkę z dawnych czasów. Ciekawe, czy mnie jeszcze pamięta.

Wyc mi się chce.

Nie daję już rady. Muszę poznać prawdę. Bez tego nie posunę się ani o krok naprzód. Dopóki się nie dowiem, nie zaznam spokoju. Bez względu na to, co z tej historii wyniknie, jak się to wszystko skończy, muszę wiedzieć, kim ona jest.

Potrzebuję ulgi. Skoro nie mogę otrzymać pomocy, zadowolę się odpowiedzią. Chcę, żeby coś się wreszcie stało, bo inaczej wybuchnę.

Sięgam po telefon, znajduję konto Atheny i piszę: „Dobra. Słucham. Czego chcesz???”.

Duch jest online. Odpowiada bez chwili zwłoki:

„Schody egzorcysty.

Jutro w nocy.

Jedenasta”.

Dwadzieścia trzy

Athena żyje. Żadne inne wytłumaczenie nie przychodzi mi do głowy. O schodach egzorcysty wiedziałyśmy tylko my, taki tam dowcip. Chodzi o strome, czarne jak smoła schody w pobliżu kampusu Uniwersytetu Georgetown. To miejsce, gdzie ginie bohater „Egzorcysty”, filmowy ojciec Karras. Te schody są podobno nawiedzone, a kiedy pada deszcz lub śnieg, ich stopnie robią się tak śliskie, że aż dziw, że biegacze masowo nie zabijają się na nich.

Wybrałyśmy się tam z Atheną pewnego razu po wieczorku poetyckim, pierwszej zimy po mojej przeprowadzce do Waszyngtonu. Rzuciła mi wyzwanie, chciała, żebym bez zatrzymywania wbiegła po oblodzonych schodach. Zaproponowałam w zamian wyścig. Po dziesięciu stopniach rozwalłam sobie kolano, a Athena wyprzedziła mnie, nie oglądając się za siebie, i zwyciężyła.

Cokolwiek się tu, do kurwy nędzy, wyprawia – jakiegokolwiek nadnaturalne lub pokręcone wytłumaczenie istnieje dla tego konta – nie może stać za nim przypadkowy instagramowy kretyn. To nie jest dowcip. To mogła zrobić jedynie Athena. Tylko ona wie, co to miejsce dla mnie oznacza. Metafora jest aż nazbyt czytelna – ja upadam i ponoszę klęskę, ona wbiega tanecznym krokiem na szczyt.

Wiem, że to pułapka. Wiem, że pojawiając się na tym spotkaniu, robię dokładnie to, czego oczekuje duch, że prawdopodobnie narażam się na poważne niebezpieczeństwo. Innego sposobu jednak nie ma. To dla mnie jedyna szansa na poznanie prawdy, a marzę już choć o jej skrawku.

Planuję wszystko tak starannie, jak tylko potrafię. Doładowuję telefon, zaopatruję się w pas roboczy, w którego kieszenie wciskam latarkę ze świeżym kompletem baterii, gaz pieprzowy – dzięki, Diana

– oraz szwajcarski scyzoryk. Kupuję nawet w narożnym sklepiku w Chinatown sznur sztucznych ogni. Przeczytałam gdzieś w sieci, że huk niekiedy odpędza złe duchy. Tak, wiem, to głupie, ale chcę czuć, że jestem przygotowana. Jeżeli duch Atheny spróbuje mnie na tych schodach zabić... Cóż, pewnie i tak nie umknę przeznaczeniu. Nie zamierzam jednak poddać się bez walki.

Zastanawiam się, czy nie wysłać wiadomości do Rory lub nawet do Bretta. Po to, by zostawić po sobie ślad, żeby ktoś wiedział, dokąd się wybieram. Aczkolwiek jeśli spotkanie potoczy się tak, jak podejrzewam, może lepiej nie zostawiać żadnych śladów.

Zamawiam Ubera i wysiadam przed bramą Uniwersytetu Georgetown. Stąd czeka mnie jeszcze pięciominutowy spacer, ale nie chcę tłumaczyć kierowcy, po jaką cholere o tej porze wybieram się oglądać schody egzorcysty. Studenci mają ferie. Tej nocy jestem na kampusie jedyną spacerowniczką. Idę żwawym krokiem po tonącym w ciszy chodniku Trzydziestej Siódmej Ulicy. Smagana wiatrem ciasno oplatom się ramionami. Księżyc nie widać, jest ciemno i dojmująco zimno. Wezbrany po porannym deszczu Potomak z szumem bije o brzegi. Wszystko jest gotyckie i pełne dramatyzmu. Przychodzi mi do głowy, że gdybym była pałającym żądzą zemsty duchem, zwabiłabym ofiarę właśnie w takie miejsce. Brakuje tylko złowróbnego światła błyskawic, lecz niewykluczone, że i ten rekwizyt wkrótce się pojawi – burzowe chmury ściągną nad miasto przez całe popołudnie.

Nie boję się. Na tym etapie nie przestraszy mnie już nic. Obecnie marzę o tym, by Athena wyskoczyła wreszcie z cienia i rzuciła się na mnie z pazurami. Miałabym przynajmniej dowód, że jest prawdziwa, że nie oszalałam.

Na schodach nie ma nikogo. Nikogo nie widać też w promieniu kilku przecznic. Kiedy zbiegam po stopniach, znajduję na dole jedynie nieczynną stację benzynową. Dwudziesta trzecia pięć. Wracam zasapana na górę.

Czuję się jak idiotka. Może Geoff miał rację, może to jednak była ściema. Może ktoś chciał mnie tylko nastraszyć.

Kiedy szykuję się do powrotu, dolatuje mnie jej głos:

– Tak miło, że znów się spotykamy! – Athena. Nie mam cienia wątpliwości, że to ona. Odezwała się tym obojętnym, tak sztucznym,

że niemal ironicznym, a przez to jednoznacznie prawdziwym tonem, jaki słyszałam dziesiątki razy, kiedy udzielała wywiadów w radiu czy w podcastach. – Kopę lat!

– Athena? – Mam wrażenie, że stoi na górze. Pokonuję biegiem kilka ostatnich stopni i wychodzę na ulicę. Wokół wciąż pusto.

– Tak się ucieszyłam, kiedy się dowiedziałam, że jesteś fanką moich książek.

Co, kurwa? O czym ona mówi?

– Athena? – wołam. – Gdzie jesteś?

– Powiedz. – Tym razem głos brzmi, jakby dolatywał z większego oddalenia. Nadstawiam ucha, staram się zlokalizować źródło. – Co u ciebie? – Chyba stoi u stóp schodów. Jakim cudem dotarła tam tak szybko?

Może takim, że nie żyje. Może jest duchem i szybuje w powietrzu.

– Athena?

Na schodach rozlegają się kroki. Czyżby uciekała przede mną? Chcę za nią pobiec, lecz nie wiem dokąd. Głos słyszę z jednej strony, kroki z przeciwnej. Rozglądam się, obracam w miejscu. Wytężam wzrok, wypatrując w ciemności błysku twarzy, ruchu, śladu, czegokolwiek.

– Powiedz, co jest dla ciebie najważniejszym źródłem natchnienia? – pyta niespodziewanie Athena.

Natchnienia? W co ona ze mną pogrywa?

Ach tak. Znam właściwą odpowiedź. Wiem, w jaki sposób ją wywabić.

– Ty – wołam pełnym głosem. – Wiesz przecież. Ty jesteś moją najważniejszą inspiracją. To oczywiste.

Athena parska śmiechem.

– Cóż, następnym pytaniem będzie więc: dlaczego?

Wychwytuję w jej tonie specyficzną nutę. Zwróciłam na nią uwagę dopiero teraz. Nie tak rozmawia się z przyjaciółmi. Głos Atheny jest wysoki i nienaturalny, jakby odgrywała rolę w przedstawieniu. To głos, jakim w teleturniejach przemawiają celebrytki na chwilę przed konkurencją, w której mają opowiedzieć widzom o swoim pierwszym razie lub zjeść gotowany małpi mózg.

Czy wszystko z nią w porządku? Może ktoś wziął ją na zakładnika? Może ma w tej chwili pistolet przy głowie?

– Cóż, następnym pytaniem będzie więc: dlaczego? – powtarza Athena z identycznie sztuczną intonacją, poprzedzając słowa identycznie brzmiącym wybuchem perlistego śmiechu.

– Bez powodu – wołam. – Zabrałam twój rękopis. Przeczytałam go i wydał mi się genialny. A zawsze ci zazdrościłam. Chciałam po prostu poczuć, jak to jest. Nawet niespecjalnie to przemyślałam. Po prostu stało się...

– Nie przeszło ci przez myśl, że kradniesz owoc mojej pracy? – W tej chwili jej głos rozlega się gdzieś nade mną. Jest dziwnie zniekształcony, jakby mówiła spod wody. Zupełnie nie brzmi jak głos Atheny. – Nie pomyślałaś, że dopuszczasz się przestępstwa?

– Oczywiście, że pomyślałam. A teraz to rozumiem. Źle postąpiłam...

Znów ten dźwięczny śmiech. I kolejna powtórka pytania sprzed chwili, niezmiennym tonem:

– Cóż, następnym pytaniem będzie więc: dlaczego?

– Dlatego że to nieuczciwe – krzyczę, zirytowana. Postawiła przecież na swoim. Nie musi się mną bawić. – Ty wiesz, jakich opowieści chcą słuchać ludzie. Moje historie nie obchodzą nikogo. Chciałam mieć to, co ty masz... miałaś... Ale nie chciałam cię skrzywdzić. Za nic w świecie nie zrobiłabym ci krzywdy. Pomyślałam sobie...

– Szczęściara ze mnie, co? – Jej głos podnosi się o kolejne kilka tonów, brzmi dziewczęco, słodziutko.

– Moim zdaniem byłaś najszcześniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam – odpowiadam żałośnie. – Miałaś przecież wszystko.

– Czyli żałujesz? – Dźwięki są zniekształcone, niewyraźne. – Żałujesz, June?

– Tak, żałuję. I przepraszam cię. – W obliczu wyjącego wiatru moje słowa wydają się tak słabe, piskliwe. Gardło boli od wstrzymywanego płaczu. W tej chwili nie zależy mi już na podtrzymywaniu swojej bajeczki. Chcę jedynie zakończyć sprawę raz na zawsze. – Kurwa, Athena, tak strasznie cię przepraszam... Codziennie żałuję, że nie jestem w stanie cofnąć czasu. Zrobię

wszystko, co mogę, żeby to naprawić. Powiem twojej mamie. Powiem swojemu wydawcy... Przekażę wszystko, co mam, na jakiś szczytny cel, co do centa... Powiedz tylko, że jesteś cała i zdrowa. Athena, błagam, ja dłużej tak nie pociągnę.

Zapada przeciągła cisza.

Kiedy wreszcie słyszysz odpowiedź, jej głos ponownie brzmi inaczej. Nie jest tak wysoki, stracił sztuczne brzmienie. Jest w tej chwili ludzki, lecz ani trochę niepodobny do głosu Atheny.

– Czyli przyznajesz się do winy?

– Przyznaję się – potakuję i biorę głęboki oddech. – Przepraszam cię, Athena. Naprawdę bardzo żałuję... Proszę, pokaż się, porozmawiaj ze mną...

– Rozumiem. – Moment milczenia, po którym rozlegają się kroki. Tym razem słyszę je z tej samej strony, z której mówiła. Staje tuż za mną. – Dziękuję, June.

Odwracam się.

Z cienia wyłania się czyjaś sylwetka.

*

To nie jest Athena.

Dziewczyna w niczym nie przypomina Atheny. Twarz ma bardziej okrągłą, pospolitą. Jej oczy nie są tak olbrzymie ani tak sarnie. Nie ma tak niewiarygodnie długich nóg. Wchodząc odważnie w krąg światła, rzuca mi złośliwy uśmiezek i odnoszę niejasne wrażenie, że powinnam ją poznać, że już kiedyś czułam na sobie jej intensywne spojrzenie. Ale cóż, po prostu nie kojarzę.

– Nie? Nadal nic? – Nieznajoma krzyżuje ramiona na piersi. – Zniszczyłaś mi życie, skazałaś na banicję i nawet mnie nie pamiętasz?

Nagle elementy układanki z grzechotem składają się w moim mózgu w całość – drobniutka twarz na ekranie Zooma, zalew wściekłych maili, dawno zapomniana przeszkoda, wybór na drodze literackiej kariery.

„Candice została odsunięta od projektu. Nie musisz się już nią przejmować”.

– Candice?

– Cześć, Juniper – wypowiada moje imię jak nazwę jakiejś egzotycznej trucizny. – Kopę lat.

Poruszam ustami, lecz nie płynie z nich nawet jedno słowo. Co ona tu robi? Przeprowadziła się przecież do jakiegoś wygwizdowa, w sam środek oregońskiego zadupia. Poza tym jak to możliwe, że знаła Athenę? Czy Athena żyje? Współpracowały ze sobą przy tej akcji? A może to Candice stała za wszystkim od początku do końca?

– Ach, szkoda, że nie widzisz swojej miny. – Candice szczerzy się w wilczym uśmiechu. – Tak długo na tę chwilę czekałam.

– Ja nie ro... Skąd... – W moim umyśle dochodzi do krótkiego spięcia. Nie potrafię nadać konsternacji postaci artykułowanych pytań. – Dlaczego?

– To akurat proste – rzuca śpiewnie Candice. – Ty zrujnowałaś moje życie. Ja zniszczę twoje.

– Ale ja przecież nie...

– Masz jakiegokolwiek pojęcie, jak trudno jest znaleźć w naszej branży robotę komuś, kto trafił na czarną listę Danielli Woodhouse? Wywalili mnie z powodu recenzji na Goodreads. Kurwa mać, z powodu jednej recenzji na Goodreads. Może coś kojarzysz? Czy też nie?

– Nie do... Ja nie...

– Nie dostałam nawet odpawy. – Z ust Candice płynie potok słów, wylatują z nich niczym wściekłe szerszenie z poruszonego gniazda. Mówi, jakby to wszystko wrzało w jej wnętrzu od lat, jakby wiedziała, że jeżeli nie wyrzuci swej skargi natychmiast, niechybnie eksploduje. – „Nieprofesjonalne zachowanie”, usłyszałam od nich. Nie miałam na czynsz. Tygodniami spałam, kurwa, w wannie. Wysyłałam dziesiątki CV na stanowiska zdecydowanie poniżej moich kwalifikacji. Nikt nawet nie odpisał. Słyszałam, że jestem toksyczna, że nie przestrzegam zasad współpracy z autorami, że przekraczam granice. Tego właśnie chciałaś? Byłaś z siebie dumna?

– Przykro mi – udaje mi się wydukać. – Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz...

– „Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz” – przedrzeźnia mnie Candice. – Tak właśnie chcesz się migać przez całe życie? Trzepocząc rzęsami i zgrywając naiwną idiotkę?

– Candice, serio, ja zupełnie...

– Boże, przestań wreszcie kłamać! – Jej głos podnosi się o przynajmniej kilka oktaw. – Przyznałaś się. Nareszcie przyznałaś się do winy. Słyszałam to na własne uszy.

Nagle zaczynam się obawiać o jej stan psychiczny. Mówi jak człowiek, któremu naprawdę poważnie odważyło. Wyczuwam w jej tonie zagrożenie.

Cofam się o dwa kroki. Przypominam sobie o czekającym przy pasie gazie pieprzowym, lecz boję się tam sięgnąć. Boję się, że dowolny bardziej gwałtowny ruch może ją sprowokować.

– Jezu, marzyłam o tym od wieków. – W głosie Candice słyszę podniecenie, jest oszołomiona, naćpana adrenaliną. – Kiedy mnie wylali, chciałam w pierwszej chwili narobić szumu, ale kto by mi uwierzył? Nie miałam nic poza wątpliwościami. Kiedy zaproponowałam konsultacje kulturowe, zareagowałaś bardzo dziwnie. A o „Ostatnim froncie” od początku mówiłaś zawsze, jakby to nie była twoja książka. Jakby nie było to twoje dziecko, a coś, co możesz poszatковать na kawałki i nadać mu dowolny inny kształt. – Taksuje mnie uważnie, rozchyła usta, przez co wygląda jak wściekłe, wygłodniałe zwierzę; jak spinająca się przed skokiem bestia. – Boże, naprawdę miałam rację. Aż trudno uwierzyć. Miałam rację.

– Nie wiem, co ci się wydaje. – Próbuję zapanować nad oddechem. Jednocześnie gorączkowo staram się sklecić w głowie jakieś wyjaśnienie, szukam ewentualnych wymówek, sposobów, jak mogłabym zaprzeczyć wszystkiemu, co przed kilkoma chwilami wykrzyczałam w ciemność. Byłam zaskoczona, skonfundowana. Zostałam zmuszona. – Ale Athena była moją przyjaciółką...

– Och, naturalnie. Tak, była twoją największą muzą – prycha z sarkazmem Candice. – Znam ten tekst. Powiedz, jak długo planowałaś kradzież jej książki? I czy jej śmierć naprawdę była przypadkiem?

– To nie tak – rzucam z naciskiem. – Włożyłam w tę powieść mnóstwo ciężkiej pracy. Jest moja...

– Och, zamknij się już... – Podchodzi bliżej.

Cała ta scena skonstruowana jest z niezwykłym wycuciem dramatyzmu. Blask świecącej za plecami Candice latarni sprawia, że jej cień pada na mnie i na schody. Zupełnie jakbyśmy znalazły się

w jakimś gotyckim filmie. Trwa właśnie kulminacyjna scena, widzowie dowiadują się, kto jest prawdziwym czarnym charakterem; wkrótce usłyszymy monolog prawej, szlachetnej bohaterki, a zaraz potem zostanie strącona w piekielną otchłań.

– Wiedziałam, że sama za nic się nie przyznasz. Tak, to było dla mnie największym wyzwaniem. Zrozumiałam to właściwie na samym początku. Zdałam sobie sprawę, że nie piśniesz słowa, choćby oskarżenia padały ze wszystkich stron, choćby nie wiem jakie poszlaki pojawiały się w obiegu. Musiałaś utrzymać wersję wydarzeń, w której nie ty jesteś tą złą. Potrzebowałaś tego, kwestia psychiki. Mam rację, prawda? Dlatego dotarło do mnie, że jedyną możliwością jest nakłonić cię, żebyś wyśpiewała wszystko sama z siebie. – Candice podnosi głos. Mówi w tej chwili donośnie, wyraźnie wypowiadając każde słowo. Jakby przemawiała do kogoś trzeciego. Jakby od dawna nie mogła się doczekać, by wygłosić ten monolog w blasku teatralnych reflektorów. To cudaczne i lekko makabryczne, ale oto znalazła mnie; zastygła w przejęciu, zasłuchaną, przerażoną widownię. – Doszłam do wniosku, że trochę się z tobą pobawię. Że wstrząsnę tobą do tego stopnia, że wreszcie się wygadasz. Z Instagramem nie miałam najmniejszego problemu. Znam laskę, która prowadziła kampanie reklamowe Atheny, ona nadal miała dostęp do jej konta. Z początku kombinowałam tylko z Photoshopem. Nie byłam pewna, czy moje działania cokolwiek dają. Skutecznie mnie ignorowałaś. Potem jednak usłyszałam, że napadłaś na ulicy Dianę Qiu. Opowiadała, że wyglądasz koszmarnie. Okazuje się, że biali są bardziej naiwni, niż sądziłam.

Photoshop? Wydębiony od koleżanki login?

– Czyli Athena naprawdę nie...

– Nie żyje. Zimny trup. A co? – Candice zanosi się ostrym śmiechem. – Nadal masz nadzieję na spotkanie z duchem?

– Ale schody... – Wypytyując ją w ten sposób, czuję się jak skończona idiotka. Lecz nie mam nic innego do powiedzenia. Chcę, żeby ktoś mi wszystko wyjaśnił, krok po kroku, ponieważ Candice ma rację: w głębi ducha nadal jestem przekonana, że z cienia wychynie Athena i oświadczy ze śmiechem, że jest gotowa wysłuchać mojego wyznania. – Skąd wiedziałaś o schodach?

Chcę, żeby Athena w końcu się pokazała. Tylko jej chcę opowiedzieć całą tę historię. Potrzebuję prawdziwego katharsis, nie Candice Lee śmiejącej mi się prosto w twarz. Nie tego okrutnego, dziecinnie prostego wkrętu.

– Athena uwielbiała po nich biegać – odpowiada Candice. – Na Twitterze bez przerwy relacjonowała swoje treningi. Chwila, to nie wiedziałaś? – Dopiero teraz zauważa moją minę i wybucha głośnym śmiechem. – Myślałaś, że chodzi o coś bardziej osobistego? Dobrze, naprawdę bardzo dobre. Mam nadzieję, że się dobrze nagrało.

Prostuje się. Trzyma w ręku kamerę. Rejestrowała całe nasze spotkanie.

Przez chwilę gmera przy przyciskach, po czym odtwarza moje słowa: „Ty wiesz, jakich opowieści chcą słuchać ludzie. Moje historie nie obchodzą nikogo. Chciałam mieć to, co ty masz... miałaś... Ale nie chciałam cię skrzywdzić. Za nic w świecie nie zrobiłabym ci krzywdy”.

Zdobyła dowód rozstrzygający. Na nagraniu słysząc mój głos, nikt nie będzie mieć cienia wątpliwości. Zresztą uwieczniła też pewnie moją twarz, Bóg jedyny wie ile napstrykała fotek, ile nakręciła ujęć. Tego już się nie wyprę.

„Ale schody...” – Candice przyspiesza odtwarzanie i mój głos wzbija się na wyższy rejestr. Brzmi kretyńsko. „Skąd wiedziałaś o schodach?”

– Nieprzyjemne uczucie, co? – Candice wrzuca aparat do plecaka. – Tak patrzeć, jak ktoś zniekształca twój wizerunek i opowiada o tobie, co mu się żywnie podoba, z pełną świadomością, że nie możesz go powstrzymać. Że nie masz głosu? Tak właśnie czuliśmy się wszyscy, obserwując ciebie. Koszmar, nie?

– Candice. – Powietrze uchodzi mi z piersi. Kończyny mam jak z ołowiu. Wiem, że to bezcelowe, lecz nie potrafię się oprzeć i ciągnę rytuał punkt po punkcie. Nie mogę stąd odejść ze świadomością, iż mogłam zrobić cokolwiek więcej. – Posłuchaj, może jakoś się dogadamy...

– Nie – fuka Candice pod nosem. – Przykro mi. Łapówka nic ci nie da.

– Candice, proszę. Przecież ja wszystko stracę...

– Co chcesz mi zaproponować? – Wyciąga rękę nad głowę i zdejmuje z gałęzi drzewa jeszcze jedną kamerę. Chryste Panie, ile ma tego sprzętu? – Pięćdziesiąt tysięcy? Sto? Jaka jest cena sprawiedliwości, Juniper Song? – Kieruje obiektyw prosto na mnie. – Na ile według ciebie – dodaje z przekąsem – zasługuje Athena?

– Candice, przestań... – Krzyżuję palce przed twarzą, zasłaniam się.

– Na ile zasługuje pani Liu?

– Naprawdę nie jesteś w stanie zrozumieć, jak to było? – rzucam błagalnie. – Ani trochę? Kurwa, Athena miała wszystko. To nie było uczciwe...

– Tak to sobie tłumaczysz?

– Przecież to prawda, nie sądzisz? Sukces Atheny był z góry przesądzony. Tacy ludzie jak wy... Wszyscy ci różnorodni... Na rynku tylko wy się liczycie...

– Mój Boże... – Candice klepie się w czoło. – Ty naprawdę zwariowałaś. Wszyscy biali wygadują takie rzeczy?

– To prawda – nie ustępuję. – A ja ją po prostu dostrzegłam.

– Masz pojęcie, jak bardzo Athena dostawała w dupę od branży? – pyta ostrym tonem Candice. – Wcisnęli ją do szufladki, była dla nich egzotyczną Azjatką i niczym więcej. Za każdym razem, kiedy próbowała zainteresować kogoś innym tematem, słyszała, że powinna się skupić na problemach swojej mniejszości, że tego właśnie oczekują jej czytelnicy. Nie pozwalali jej pisać o niczym poza doświadczeniem imigrantów, poza tym, że połowa jej krewnych zginęła w Kambodży, że jej tata zabił się w dwudziestą rocznicę masakry na placu Tian’anmen. Bo opowieści o rasowej traumie świetnie się sprzedają, tak? Traktowali ją jak muzealny eksponat. Tak była reklamowana. Ucieleśnienie tragicznego losu Chińczyków. I nagięła się. Zrozumiała zasady tej gry. Wydoiła ich, wycisnęła z tej sytuacji tyle, ile tylko mogła. A skoro twierdzisz, że Athena odniosła sukces, to jak nazwiesz to, co spotyka nas pozostałych? – W głosie Candice pojawia się ostrzejsza nuta. – Wiesz, jak to jest, kiedy przynosisz do wydawnictwa książkę i słyszysz, że autora Azjatę już mają? Że nie mogą wypuścić jednocześnie dwóch powieści o mniejszościach? Że na rynku jest już przecież Athena Liu, więc ty jesteś po prostu zbędna? Cała ta branża zbudowana jest na uciszaniu

naszego głosu, na wdeptywaniu nas w ziemię i wciskaniu kasy białym, którzy tworzą na nasz temat rasistowskie stereotypy. Ale masz rację. Od czasu do czasu w kimś z branży budzi się sumienie i wtedy daje szansę niebiałemu twórcy, po czym zaczyna się cyrk i wszyscy rozplývają się nad tą książką, jakby poza nią literatura mniejszości w ogóle nie istniała. Byłam po drugiej stronie. Widziałam to na własne oczy. Siedziałam w pokoju, w którym wybieraliśmy powieść mającą stać się przebojem sezonu, razem z innymi decydowałam, kto jest na tyle wykształcony, wygadany i atrakcyjny, a jednocześnie odpowiednio dotąd zmarginalizowany, by zwróciły nam się koszty marketingu. Wiesz, to po prostu chore. Ale cóż, pewnie miło jest siedzieć w szufladce w roli żywego stereotypu. Skoro gra i tak toczy się według popieprzonych zasad, można wsiąść do windy różnorodności i wjechać na sam szczyt. Ty, zdaje się, właśnie taką logiką się kierowałaś, prawda?

– Candice...

– Wyobrażasz sobie, jak będą się zachwycać moją książką? – Rozpościera ręce szeroko, jakby kreśliła nimi tęczę. – „Yellowface” pióra Candice Lee.

– Candice... błagam cię. Nie rób tego.

– Jeśli tego nie rozgłoszę... przyznasz się sama?

Otwieram usta, zamykam je. Nie mogę na to pytanie odpowiedzieć. A ona doskonale to rozumie.

– Candice, proszę. Athena by tego nie chciała...

– A kogo obchodzi Athena? – śmieje się zjadliwie Candice. – W dupie mam Athenę. I tak wszyscy tej dziwki nienawidzili. Tu chodzi o mnie.

Tego argumentu zbić nie potrafię.

Wszystko sprowadza się do egoizmu.

Każdą opowieścią można manipulować tak, by zyskać przewagę. Można dopuścić się wszystkiego, byle zrealizować własny cel. Skoro branża wydawnicza działa według spaczonych zasad, można przecież zadbać, by spaczenie sprzyjało nam. Jasne, rozumiem. Sama tak postąpiłam; ostatecznie to przecież tylko taka gra. W tym światku na tym właśnie polega walka o przetrwanie. Gdybym była w tej chwili na miejscu Candice, gdybym dysponowała

tym fabularnym złotym samorodkiem, jaki znajduje się w tej chwili w jej plecaku, zrobiłabym to samo co ona. To oczywiste.

– No cóż, to już chyba wszystko. – Candice chowa ostatnią kamerę, zasuwa plecak i zarzuca go sobie na ramię. – Na twoim miejscu po powrocie do domu odciąłabym się od mediów społecznościowych. Oszczędź sobie cierpienia.

Nagle czuję w piersi ostre ukłucie. Budzi się we mnie ta sama emocja, z jaką obserwowałam kolejne sukcesy Atheny, kwaśne niczym ocet przeświadczenie, że to niesprawiedliwe. Candice stoi przede mną i pęka z dumy, z wyższością popisuje się zdobytym na mnie łupem, a ja już teraz wiem, z jakim przyjęciem spotka się w branży jej rękopis. Wszyscy dostaną na jej punkcie fioła, bo przecież ta historia jest po prostu idealna: genialna artystka o azjatyckich korzeniach ujawnia niegodziwość białej oszustki, kolejne wielkie zwycięstwo na drodze do sprawiedliwości społecznej, następny przejaw walki z opresją.

Od dnia premiery „Ostatniego frontu” byłam ofiarą ludzi takich jak Candice, Diana czy Adele: osób, które uważają, że jedynie dlatego, iż są „uciskane” i „marginalizowane”, mogą mówić i robić wszystko, co zechcą. Że świat powinien z definicji umieścić je na piedestale i otworzyć przed nimi wszystkie drzwi. Że odwrócony rasizm jest w porządku. Że mogą dręczyć, nękać i upokarzać ludzi takich jak ja, z tego jedynie powodu, że jestem biała, że według nich to ciosy wymierzane silniejszemu; dlatego że w naszej epoce kobiety takie jak ja wreszcie można wziąć na muszkę. Rasizm jest fe, ale jeśli chcesz wysłać wykształconej białej lasce mail z groźbą zabójstwa, to proszę bardzo, nie krępuj się.

Wiem jedno.

Nie pozwolę Candice odejść, nie złożę swojego losu w jej ręce. Tłumiona przez lata wściekłość – furia, którą budziło we mnie stereotypowe traktowanie, jakby mój głos nie miał znaczenia, jakby całą moją egzystencję można było sprowadzić do słów „biała kobieta” – osiąga wreszcie punkt wrzenia i eksploduje.

Skaczę szczupakiem naprzód, wyciągając ramiona ku talii Candice. Atakuję środek ciężkości – ktoś wrzucił kiedyś taki wpis na Tumblr; jeżeli zostaniecie napadnięci, bijcie napastnika po brzuchu i nogach. Pozbawcie go równowagi; przewróćcie na ziemię. A potem

walcie tam, gdzie boli najbardziej. O Candice można powiedzieć wiele, ale nie jest dwumetrowym dryblasem. Jest drobniutka. Wszystkie Azjatki są maleńkie. Przyglądając się Athenie, myślałam czasami, że dałoby się ją bez trudu objąć w pasie i podnieść. Ona i Candice są jak porcelanowe laleczki – a taką figurkę nietrudno przecieżyć stłuc, prawda?

Kiedy na nią wpadam, Candice zaczyna wrzeszczeć. Łądujemy na chodniku w płataninie rąk i nóg. Coś grzechoce i pęka z głośnym trzaskiem – mam nadzieję, że to te pieprzone kamery.

– Złaż ze mnie! – Jej pięść sunie prosto ku mojej twarzy. Bije jednak z dołu, uderzeniu brakuje impetu, a Candice nie jest żadną atletką. Jej knykcie ledwie stukają w mój podbródek. Niemniej rywalka okazuje się silniejsza, niż sądziłam. Nie udaje mi się przyszpilić jej do ziemi; wciąż obląkańczo się szamoce, krzyczy i miota przekleństwami, tłukąc łokciami i dźgając palcami wszystkie części mojego ciała, jakich dosięga. Przypominam sobie, że mam przecieżyć szwajcarski scyzoryk i gaz pieprzowy, ale nie mam czasu sięgnąć do pasa i odpiąć futerału. Mogę jedynie blokować jej ciosy.

Przemyka mi przez myśl, że szamocemy się zbyt blisko schodów. Możemy spaść obie, ewentualnie Candice może mnie zepchnąć w dół kopniakiem. Albo ja ją. Kurwa, nie... Co mi chodzi po głowie? Już teraz niektórzy rozpowiadają, że zamordowałam Athenę. Jeżeli policja znajdzie mnie u podnóża schodów, stojącą nad pogruchootanymi zwłokami Candice... Jak miałabym coś takiego wytłumaczyć?

Jak? Bez problemu – podpowiada mi cichy wewnętrzny głosik.

Wybrałyśmy się pobiegać. Obie mamy na sobie sportowe stroje, więc to chyba wiarygodne. Stopnie okazały się oblodzone, padał deszcz, Candice źle postawiła stopę. Jestem przekonana, że zdążyłabym ukryć gdzieś kamery jeszcze przed przyjazdem karetki. Cały jej plecak mogłabym wrzucić do Potomaku, choć... Nie, w ten sposób z pewnością zdałabym się na przypadek. Lepiej ukryć graty w okolicy i wrócić po nie potem. Skoro sama Candice niczego już nie powie, czy ktoś mógłby mnie podejrzewać?

Wiem, posrane to. Ale dochodzenie w sprawie morderstwa mogę przeżyć. Nie przeżyję natomiast tego, co zrobi mi Candice, jeśli ujdzie stąd z życiem.

Rywalka szarpie się z coraz mniejszym wigorem. Traci siły, ja też słabnę, lecz jestem od niej większa i cięższa. Wystarczy poczekać, aż będzie wyczerpana. Chwytam ją za przeguby i przyciskam ręce do ziemi. Napieram kolanami na klatkę piersiową. Nie chcę jej zabić. Jeżeli utrzymam ją w bezruchu, dam radę ściągnąć z niej plecak i znaleźć całą tę szpiegowską elektronikę. Tak, to byłoby rozwiązanie idealne. Wówczas obie mogłybyśmy stąd odejść w jednym kawałku. W przeciwnym wypadku, jeżeli przyjdzie co do czego...

– Złaź! – Candice wydziera się prosto w moją twarz. Pluje na mnie.

– Oddaj mi to! – Uparcie nie puszczam. – Oddawaj! Jak oddasz...

– Ty dziwko jebana!

Candice gryzie mnie w przegub. Ból przeszywa całe ramię. Zszokowana gwałtownie się cofam. Ukąsiła do krwi. Jezu Chryste, kurwa mać, całe zęby ma ubabrane, cała moja ręka jest czerwona.

Candice raz jeszcze się szarpie. Zsuwam się z jej piersi. Uwalnia się, podciąga kolana pod brodę i kopie mnie w brzuch. Jej stopy trafiają mnie z całej siły – niesamowite, tak wiele energii w tak drobnym ciałku. Kopniak nie tyle boli, co oszałamia, powietrze uchodzi mi z płuc. Zataczam się, chwieję, wymachując ramionami jak opętana, próbuję utrzymać równowagę, lecz za moimi plecami nie ma już ziemi.

Jest tylko powietrze.

Dwadzieścia cztery

Lekarze wypuszczają mnie ze szpitala po czterodniowym pobycie. Poskładali mi już obojczyk i kostkę, a ja dowiodłam, że jestem w stanie samodzielnie dokicać do samochodu, a potem wysiąść. Operacja raczej nie będzie potrzebna, ale chcę, żebym wróciła za dwa tygodnie na kontrolę. Trzeba sprawdzić, czy wstrząs mózgu nie wywołał trwałych skutków. Kuracja kosztuje, mimo ubezpieczenia, tysiące dolarów, aczkolwiek podejrzewam, że powinnam się cieszyć, że wywinęłam się tak tanio.

Kiedy się ocknęłam, nie zobaczyłam nad sobą twarzy policjantów. Nie było śledczych ani dziennikarzy. Powiedziano mi, że wyszłam pobiegać i poślizgnęłam się na schodach. Znalazł mnie jakiś dobry samarytanin, który wezwał pogotowie za pomocą alarmowej funkcji mojej komórki. Niestety, ów anonimowy dobroczyńca zniknął przed przyjazdem karetki.

Candice rozegrała to bez pudła. Nie mam podstaw, by wysunąć wobec niej jakiegokolwiek oskarżenie. Z perspektywy świata jesteśmy dla siebie praktycznie obce. Po raz ostatni kontaktowałyśmy się mailowo parę lat temu. Jej numer nie figuruje na liście kontaktów mojego telefonu. Nie ma najmniejszego powodu podejrzewać, że coś jest nie halo, bo przecież jaki niby miałyby motyw? Od kilku dni nad miastem przechodzą burze. Deszcz z pewnością zdążył splukać wszelkie odciski palców, ślady po jej kamerach. Nawet gdybym jakimś cudem zdołała dowieść, że Candice była tamtej nocy na schodach, skończyłoby się bitwą słowo przeciwko słowu, na którą obie wydałybyśmy prawdziwą fortunę. Co więcej, jestem przekonana, że ją posiniaczyłam, a Candice każdy z tych siniaków na pewno podkolorowała i obfotografowała na wszystkie strony. Nie ma gwarancji, że nawet z pomocą drogiego adwokata sprawa skończyłaby się moją wygraną.

Nie. Cokolwiek wydarzy się teraz, rozegra się w dziedzinie publicznej narracji.

Wracając Uberem do mieszkania, wpisuję do wyszukiwarki nazwisko Candice, robię to regularnie co kilka godzin, odkąd odzyskałam przytomność. To przecież kwestia czasu. Chcę tę wiadomość zobaczyć zaraz, gdy trafi do mediów. I tym razem z dawna wyczekiwany nagłówek ukazuje się na szczycie listy wyników.

Opublikowany przez „New York Timesa” wywiad: „Była redaktorka Candice Lee o Athenie Liu, Juniper Song Hayward i wyznaniu na wagę życia”.

Prawdę mówiąc, zaimponowała mi. Pomijając już fakt, że zdołała podbić swój zawodowy tytuł z asystentki na redaktorkę, naprawdę niełatwo jest w cztery dni nakłonić „New York Timesa” do opublikowania jakiegokolwiek tekstu, zwłaszcza jeśli dotyczy literackiego skandalu, który przestał budzić zainteresowanie wiele miesięcy temu. Nawet Adele Sparks-Sato nigdy nie wydrukowała żadnego eseju w NYT, niezmiennie musiała się ograniczać do „Voxa”, „Slate’a” lub, Boże zlituj się nad nami, „Reductress”.

Candice jednak dysponuje czymś, czego nie miał nikt inny. Ma nagrania. Ostatni zamieszczony pod wywiadem akapit artykułu zawiera wzmiankę o tym, że Candice pracuje nad dotyczącymi afery wspomnieniami. No kurwa, oczywiście, że pracuje. Rękopis jest wprawdzie w powijakach, lecz „liczne wydawnictwa” są już jakoby „mocno zainteresowane” jego nabyciem. Jako jedną z oficyn, które skontaktowały się z agentem Candice, wymienia się Eden Press. Pod koniec artykułu znajduję wypowiedź samej Danielli: „Oczywiście, że chętnie nawiążemy współpracę z panną Lee. Byłaby to znakomita forma zadośćuczynienia i przeprosin za rolę, jaką co przyznaję z głębokim żalem, odegraliśmy w tej wielkiej tragedii”.

*

A więc już po mnie. Jestem skończona.

Pierwszy, a następnie drugi tydzień przeżywam tylko dzięki środkom przeciwbólowym i tabletkom nasennym. Jawa mocno mi

cięży. Budzę się tylko po to, by coś zjeść. Smaku jedzenia nie czuję zupełnie. Utrzymuję się w istnieniu wyłącznie dzięki kanapkom z masłem orzechowym. Po kilku dniach odpuszczam sobie masło. Włosy mam przetłuszczone i skołtunione, lecz sama myśl o ich umyciu przyprawia mnie o skrajne zmęczenie. Odbębniłam najbardziej podstawowe rytuały życia, lecz *telos* straciłam bez reszty, nie mam na co czekać. Sunę po prostu naprzód po osi czasu. Podejrzewam, że Agamben to właśnie określiłby mianem „nagiego życia”.

Wiść o moim wypadku rozeszła się po sieci. Dostaję wiadomość od Marnie: „Słyszałam, że się połamiałaś. Czy wszystko w porządku?”. Domyślam się, że chce w ten sposób zapewnić sobie czyste sumienie, na wypadek gdybym jednak zmarła. Nie odpisuję.

Poza tym jednym wyjątkiem nie odzywa się do mnie nikt. Mama i Rory rzuciłyby wszystko i przyjechały natychmiast, gdybym im powiedziała, ale wolałabym wydłubać sobie oczy śrubokrętem, niż wdawać się w wyjaśnianie tej sprawy. Któregoś wieczora komórka zaczyna ćwierkać, ale okazuje się, że to tylko dostawca z papierem toaletowym. Kiedy wychodzi, płaczę w poduszkę, głęboko uzalając się nad sobą.

Wyczerpuję zapas prochów i muszę zmierzyć się z grozą świadomego myślenia, zaczynam więc zabijać kolejne godziny, scrollując w otepieniu Twittera. Znajduję tam zwyczajowe rzesze żebrzących o uwagę pisarzy. Nowa umowa wydawnicza. Prezentacja okładki. Inna nowa okładka. Dobra recenzja. Goodreads rozdaje książki. Prośba o składanie przedpremierowych zamówień. Okładka romansu, na której dwoje białych bohaterów wygląda zbyt podobnie do postaci zdobiących okładkę innego romansu, i twitterowe plemię nie jest pewne, czy wściec się na autorów, wydawców, ilustratorów, czy białych rasistów w ogóle. Wszystko to aż ocieka desperacją, ale nie potrafię się oderwać. To moja ostatnia więź z jedynym światem, którego chciałabym być częścią.

Samotność nie doskwierałaby mi tak bardzo – nawykłam do życia w pojedynkę, zawsze byłam sama – gdybym mogła pisać. Ale pisać nie mogę, nie teraz, nie ze świadomością, że prawdopodobnie nie mam już nawet agenta. A poza tym kimże jest pisarz bez czytelników?

Zdarzało mi się dawniej zastanawiać, jak czują się autorzy scancelowani – w sensie unieważnieni z sensownych powodów, w rodzaju molestowania seksualnego czy posługiwania się rasistowskim językiem – i odcięci od branży wydawniczej. Część takich osób próbuje wręcić się z powrotem, zazwyczaj poprzez podejrzane oficyny, wydające książki za kasę twórców bądź też dziwaczne, sekciarskie warsztaty. Znakomita większość jednak rozplywa się bezgłośnie w eterze, pozostawiając po sobie jedynie kilka wymęczonych nagłówków, opisujących dawne skandale. Przypuszczam, że rozpoczęli nowe życie, w innym zawodzie. Być może pracują w biurach. Może stają się pielęgniarkami, nauczycielami, może handlują nieruchomościami. A może poświęcają się wychowaniu dzieci. Ciekawe, jak się czują, przechodząc obok księgarni? Czy czują w trzewiach pragnienie powrotu do baśniowej krainy, która skazała ich na banicję? Geoffowi udało się wrócić. Ale Geoff jest zamożnym, atrakcyjnym, heteroseksualnym białym facetem. Geoff może sobie pozwolić na potknięcie, a nawet na kilka potknięć. Ja podobnej taryfy ulgowej od świata nie otrzymam.

Przyznaję, myślę o samobójstwie. W najczarniejszych godzinach nocy, kiedy monotonny napór czasu staje się nie do zniesienia, przyłapuję się na wyszukiwaniu w sieci informacji na temat czadu i zyletek. Teoretycznie wydaje się to prostym sposobem ucieczki przed dławiącym mrokiem. W dodatku moi hejterzy poczuliby się wtedy okropnie. Patrzcie, coście narobili. Zobaczcie, do czego ją doprowadziliście. Nie wstyd wam? Nie żałujecie teraz?

Z drugiej strony, samobójstwo kosztowałoby mnie wiele zachodu, a poza tym, choć jestem zrozpaczona, nie umiem pogodzić się z myślą, że odeszłabym z tego świata, nie zostawiając żadnego ostatniego słowa.

*

Miesiąc później Candice sprzedaje swoje sensacyjne wspomnienia wydawnictwu Penguin Random House za oszałamiającą, siedmiocyfrową sumę. Przewijam artykuł z informacją i zerkam na

komentarze. Niektóre są pełne złośliwej satysfakcji z ostatecznego triumfu, inne wyrażają odrazę z powodu uczynienia bolesnej, osobistej ludzkiej tragedii zwykłym towarem. Kilka osób wyraźnie nie dowierza, że autorka wydająca coś po raz pierwszy w życiu dostaje tak wysoką zaliczkę za książkę, która nawet jeszcze nie istnieje.

Nie rozumieją. Nieważne przecież, czy Candice pisze dobrze, czy nie. Kto wie, może dziewczyna nie jest w stanie złożyć do kupy pojedynczego akapitu? Ale kogo to obchodzi? O mnie i Athenie wspominały ogólnokrajowe media. Wyznania Candice kupią wszyscy, dosłownie wszyscy. Bez wątpienia szykuje się jedna z najgłośniejszych premier w branży, a kiedy się ukaze, moje nazwisko zostanie zszargane na zawsze. Już zawsze będę tą pisarką, która ukradła powieść Atheny Liu. Będę wariatką, zazdrosną białą rasistką, która zrabowała dziedzictwo Azjatki.

Trudno sobie wyobrazić bardziej druzgocącą, całkowitą klęskę.

Mój umysł reaguje jednak w całkiem interesujący sposób.

Nie wpadam w korkociąg rozpacz. Nie pojawiają się tak dobrze mi znane zwiastuny ataku paniki. Prawdę mówiąc, wprost przeciwnie. Jestem całkowicie spokojna, normalnie zen.

Czuję się żywa. I nagle zaczynam składać zdania. W marzeniach buduję zgrabne sformułowania, zarysowuję kształt kontropowieści. Padłam ofiarą budzącej grozę mistyfikacji. Dręczono mnie w cyberprzestrzeni, nęcano i zmanipulowano do tego stopnia, że nabrałam przekonania, iż odchodzę od zmysłów. Candice Lee przeobraziła moją miłość do zmarłej przyjaciółki w coś paskudnego i przerażającego. To Candice wykorzystała mnie, by stworzyć swoje dzieło, nie ja ją.

Dlatego że pokazując te taśmy, dowodzi tym samym, że w noc mojego wypadku była na schodach egzorcyisty. I nie można mieć wątpiwości, kto wezwał karetkę. Dzięki temu ja również mogę wysuwać oskarżenia.

Prawda jest rzeczą płynną. Każdą opowieść zawsze można przedstawić w innym świetle, wszystkie fabuły można wypaczyć. Tego się właśnie nauczyłam. Być może Candice wygrała pierwszą rundę, lecz nie pozwolę, by wymazała z istnienia mój głos. Powiem

czytelnikom, w co powinni wierzyć. Podważę każde jej stwierdzenie, przypiszę jej nowe motywy, zmienię kolejność wydarzeń. Zaprezentuję nową wersję wypadków, pasjonującą, bo skorelowaną z tym, w co publiczność chciałaby w głębi duszy uwierzyć: że nie zrobiłam nic złego i że cała afera była po prostu kolejną sytuacją, w której paskudni, egoistyczni, nadmiernie roszczeniowi ludzie sfabrykowali opowieść o rasizmie. Jednak w rzeczywistości go nie było. Spójrzcie, ta wasza cancel culture jest śmiertelnie groźna. Zobaczcie, to mój gips. A to moje rachunki za pobyt w szpitalu.

Zbuduję i sprzedam opowieść o tym, że presja branży wydawniczej uniemożliwia osiągnięcie sukcesu pisarzom zarówno białym, jak i kolorowym. O tym, że sukces Atheny został od początku do końca wytworzony sztucznie, że była zaledwie pionkiem, stereotypem. O tym, że moja mistyfikacja – tak, nazwę to mistyfikacją, nie kradzieżą – stanowiła w rzeczywistości próbę ukazania zgnilizny, na jakiej opiera się cały książkowy świat. O tym, że ostatecznie to ja jestem bohaterką.

Zaczynam planować kolejne kroki. Najpierw napiszę propozycję. Mogę to zrobić jeszcze dziś wieczorem, może jutro rano, jeśli będę zbyt zmęczona. Jednak na pewno zrobię to do końca tygodnia, a potem wyślę mailem do Bretta, o ile jeszcze nie postawił na mnie kreski. Jeśli tak, poproszę go o rozmowę telefoniczną i przedstawię swój pomysł. Musiałby zwariować, żeby mi odmówić.

Kolejne osiem tygodni poświęcę na spisanie wszystkich wspomnień i refleksji. Wykorzystam materiał ze swojej pseudoautobiografii. Nie, przecież w tamtej książce dla zabawy obsadziłam się w roli czarnego charakteru. Teraz potrzebuję odkupienia. Muszę sprawić, by poznali moją wersję wydarzeń. Athena była pijawką, wampirem, dręczącą mnie uparcie zjawą. Candice jest jej oszalałą, marną naśladowczynią. A ja jestem niewinna. Jedyne moje grzechy stanowią zbyt silna miłość do literatury i fakt, że nie chciałam, by znajdujące się w stadium prenatalnym dzieło Atheny poszło na zmarnowanie.

Szkic będzie chaotyczny i pełen błędów, ale to nie szkodzi. Cała ta historia jest taka. Ważniejsze, by kuć żelazo póki gorące. Wspólnie z Brettem skorygujemy najprostsze pomyłki, a potem zaczniemy rozglądać się za ofertami. Ktoś tę opowieść kupi. Może

Eden – zgodziłabym się na kolejną współpracę z Daniellą, pod warunkiem że padnie przede mną na twarz z plikami banknotów w rękach. Ale myślę, że tym razem będę mogła przebierać. Propozycje posypią się jak z worka. Nie zdziwię się, jeśli sprzedam tę książkę za kwotę wyższą od każdej, jaką otrzymałam do tej pory. Za rok trafię na półki wszystkich księgarń. Reakcja prasy początkowo będzie w najlepszym razie sceptyczna, w najgorszym bolesna. „Biała dama wyznaje całą prawdę! June Hayward napisała wspomnienia, na które nikt nie czekał. Ta wariatka po prostu nie potrafi odpuścić”. Diana Qiu wpadnie w furję. Adele Sparks-Sato dostanie ataku wściekizny.

Lecz potem jakiś recenzent przyjrzy się mojej książce uważniej. I ten ktoś opublikuje opinię sprzeczną z poprzednimi. Kontrowersje świetnie się w sieci sprzedają, więc nie będzie mieć problemu. „A jeśli wszyscy się mylimy?” To wystarczy. Ziarno zwątpienia zostanie zasiane. Internetowy tłum, tak uwielbiający dyskutować dla samej dyskusji, zacznie doszukiwać się luk w opowieści Candice. A potem zajmą się nami obiema. Przeczolągają nas, przeżyjemy koszmar, a kiedy opadnie kurz, pozostanie jedynie pytanie: „Co, jeśli Juniper Song napisała prawdę?”.

A wtedy, w końcu, ta opowieść znowu będzie moja.

Koniec



twoje
książki,
twoje
gadżety



Kupuj na
steelhog.pl



COPYRIGHT © 2023 BY REBECCA KUANG
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-980-8

TYTUŁ ORYGINAŁU: Yellowface

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT I OPRACOWANIE OKŁADKI POLSKIEGO WYDANIA NA PODSTAWIE ORYGINALNEGO PROJEKTU ELLIE
GAME © HARPERCOLLINS PUBLISHERS LTD 2023
Szymon Wójciak

TŁUMACZENIE
Grzegorz Komerski

ILUSTRACJA OKŁADKOWA
Shutterstock.com

REDAKCJA
Joanna Orłowska

KOREKTA
Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystribucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

YELLOWFACE

(propozycje tytułu: *Podróża, Podrasowana, Malowana-lata, Falszywka, Przemalowana*)

MARKETING
MÓWI, ŻE ZOSTAJEMY PRZY ORYGINALNYM,
BARDZIEJ SPRZEDAŻOWY!

BEZBŁĘDNA,
EKSCYTUJĄCA PROZA

AŻ DO KOŃCA TRZYMA
W NIEPEWNOŚCI

WCIĄGAJĄCA
I ZASKAKUJĄCA

NAJWAŻNIEJSZY GŁOS
MŁODEGO POKOLENIA

DZIĘKI SWOJEJ
ORYGINALNOŚCI ANGAŻUJE
OD PIERWSZYCH STRON

NIEZWYKLE BŁYSKOTLIWA
I INTELIGENTNA

ŚWIATOWY FENOMEN!

ŚWIEŻA FABUŁA

OBSYPANA NAGRODAMI

ZACZYNA SIĘ OD NIESPODZIEWANEJ ŚMIERCI.

A później napięcie rośnie, dosłownie odbierając oddech, aż do finału, który zaciska się na gardle niczym pętla. Finału, w którym katharsis przeplata się ze stadium szaleństwa, a my, nawet poznawszy całą historię, nadal nie jesteśmy pewni, kto jest ofiarą, a kto czarnym charakterem. A może, jak w życiu, w tej historii nie ma czarnych charakterów i niewinnych ofiar. Może są tylko mniej lub bardziej zdeterminowane postacie. Ludzie w różnym stopniu zanurzeni w szambie wyścigu po sukces i z nierówną furią obrzućeni błotem przez „opinię publiczną”.

„YELLOWFACE” pokazuje rynek wydawniczy, działanie social mediów i drogę do spełnienia marzeń od strony, której nigdy nie chcielibyście oglądać. A jednak nie odłóżycie tej książki, dopóki nie przeczytacie ostatniej strony.

Świetna lektura. Zbrodnia, satyra, horror, paranoja, kwestie tożsamości kulturowej i przywłaszczenia. A wszystko w sosie trwającej w mediach społecznościowych inby. Ponad wszystko, to jednak znakomita opowieść. Książka, którą trudno odłożyć,

a jeszcze trudniej zapomnieć.

STEPHEN KING

KING WIĘKSZE!!!
MOŻE CAŁOŚĆ DO GÓRY?
KTO DZIŚ CZYTA BLURBY?

